TWÓRCZOŚĆ

U.I.C.C.
NOV 30 1978
LIBRARY

1

STYCZEŃ

ROK XI 1955

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XI ZESZYT 1

WARSZAWA, STYCZEŃ 1955 ROK

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 6949/c z dnia 1.12.54 r. Nakład 4.830.
Druk ukończono w styczniu 1955 r. B-6-1604

ZOFIA NAŁKOWSKA

17 grudnia 1954 roku zmarła Zofia Nałkowska.

Z jej śmiercią kultura polska poniosła ogromną, niepowetowaną stratę. Zofia Nałkowska twórczością swoją służyła narodowi, w najszlachetniejszym i najpiękniejszym pojęciu funkcji literatury łącząc najwyższe ideały sztuki z najszlachetniejszymi ideałami postępu i człowieczeństwa. Była chlubą polskiej literatury i jednym z najwybitniejszych twórców współczesnej literatury powszechnej.

Długą, pracowitą drogę pisarską Zofia Nałkowska rozpoczęła w 1901 roku, publikując w „Chimerze" poezje. Te pierwsze próby poetyckie jak również pierwsze utwory prozą, powieści Kobiety (1906), Lustra (1914), Węże i róże (1914) powstają w kręgu oddziaływania ideologicznego Młodej Polski. Lecz już wówczas, w programowych latach hasła „sztuka dla sztuki" Zofia Nałkowska wychodzi poza zawężony program literacki tego czasu. Wrażliwa na sprawy ludzkiego świata i narodowej rzeczywistości, w powieściach Rówieśnice i Narcyza (1911) ukazuje realne konflikty społeczno-polityczne, nurtujące postępową inteligencję ówczesną. Już wówczas rozpoczęła tę drogę do realizmu, której ukoronowaniem po wielu doświadczeniach w szkole życia i sztuki staną się Medaliony, najbardziej wstrząsające dzieło we współczesnej literaturze świata.

W okresie międzywojennym Zofia Nałkowska w powieściach, opowiadaniach i dramatach dąży do ukazania prawdy o człowieku. Nie wszystkie jej utwory tego okresu osiągają swój cel. Olbrzymia inteligencja, głęboka wnikliwość zatrzymują się często na człowieku jako wrażliwym instrumencie cierpienia, miłości i osamotnienia. Zofia Nałkowska w powieściach takich, jak Hrabia Emil (1920), Choucas (1927), Niedobra miłość (1928), Niecierpliwi (1928), w dramatach Dom kobiet i Dzień jego powrotu (1931), w nowelach Charaktery (1922) czy Małżeństwo (1925) tworzy arcydzieła psychologicznego portretu ludzi i namiętności. Nie zadowala to jej talentu i nie wyczerpuje możliwości. Rzeczywistość, realne konflikty łączące i dzielące ludzi pomimo ich wewnętrznej samotności pociągają ją coraz bardziej. W Romansie Teresy Hennert (1923) a szczególnie w Granicy (1935) daje realistyczne, bardzo wyraziste odbicie otaczającego ją wówczas, a dziś historycznego już świata. Choć odbicie to nie jest jeszcze w Granicy pełne, chociaż pisarka ogranicza swoje spojrzenie głównie do inteligencji i mieszczaństwa, to przez ukazanie izolacji, oderwania od narodu góry rządzącej obnaża surową prawdę o Polsce przedwrześniowej. Zofia Nałkowska swoją twórczością międzywojenną wyraźnie opowiedziała się po stronie humanizmu i postępu, przeciwko faszyzmowi. I rezonans ideologiczny jej twórczości w tych latach zamętu był olbrzymi.

Po odzyskaniu niepodległości Zofia Nałkowska oddaje swój talent i swoje serce w służbę Polski Ludowej. Już w pierwszych miesiącach roku 1945 rozpoczęła w wychodzącym wówczas w Krakowie „Odrodzeniu" druk powieści Węzły życia. Wielkie to było wydarzenie — literatura polska

po hitlerowskiej nocy przemówiła pełnym głosem. Powieść ta wydana w 1948 roku jest ostrym, pełniejszym niż Granica oskarżeniem sanacji i faszyzmu.

Na wojnę, na faszyzm, na hańbę krzywdy i sponiewierania człowieczeństwa Zofia Nałkowska odpowiedziała w Medalionach samym bólem, samym cierpieniem. To największe dzieło jej życia jest największym pomnikiem, jaki literatura wzniosła ludzkiemu cierpieniu. W Medalionach Zofia Nałkowska osiągnęła szczyty realizmu w literaturze.

Córka uczonego i społecznika, Wacława Nałkowskiego, Zofia Nałkowska od wczesnej młodości związana była z postępowym nurtem polskiej inteligencji. W latach międzywojennych bliska radykalnym kołom lewicy brała udział w akcjach politycznych Frontu Ludowego. Swoją publicystyką zasilała literacki organ lewicy, „Przedmieście". Tak swoją twórczością, jak działalnością bezpośrednią brała udział w walce z faszyzacją kraju. Po wyzwoleniu Zofia Nałkowska z całym właściwym sobie entuzjazmem oddała się pracy społecznej. Jest członkiem Komisji do Badania Zbrodni Hitlerowskich, jest czynnym działaczem Ruchu Pokoju oraz Frontu Narodowego. Bierze udział w międzynarodowych Kongresach Pokoju, jest także posłem na Sejm. Nie było dziedziny życia społecznego, która by jej była obca. W przeddzień ataku choroby, który miał być śmiertelny, do późnego wieczoru uczestniczyła w konferencji poświęconej Opolu. Do ostatnich chwil życia dla każdej słusznej sprawy gotowa była dać z siebie wszystko.

Ze śmiercią Zofii Nałkowskiej odszedł wielki pisarz, piękny człowiek i wrażliwy na sprawy swojego narodu obywatel.

Cześć Jej pamięci!

Z „Medalionów"

PROFESOR SPANNER

1

Tego rana byliśmy tam po raz drugi. Dzień był pogodny, majowy, chłodnawy. Wiatr od morza szedł rześki, coś sprzed lat przypominał. Za drzewami szerokiej, wyasfaltowanej alei stał mur ogrodzenia, za nim ciągnął się rozległy dziedziniec. Wiedzieliśmy już, co przyjdzie nam zobaczyć.

Tym razem towarzyszyło nam dwóch starszych panów. Ci przyszli w charakterze „kolegów" Spannera — obaj profesorowie, obaj lekarze i uczeni. Jeden wysoki, siwy, o twarzy szczupłej i szlachetnej, drugi równie duży, ale przy tym tęgi i ciężki. Jego pełna twarz wyrażała dobroduszność i jakby zatroskanie.

Ubrani byli dość podobnie i nie po naszemu, raczej prowincjonalnie — w czarne, długie wiosenne palta z dobrej wełny. Na głowach mieli miękkie, również czarne kapelusze.

Skromny, nie tynkowany domek z cegły stał w rogu podwórza, na uboczu, jako nieważny pawilon dużego gmachu, w którym mieścił się Instytut Anatomiczny.

Naprzód zeszliśmy do rozległej, ciemnej piwnicy. W pochyłym świetle, idącym od dalekich, wysoko umieszczonych okien, umarli leżeli jak wczoraj. Ich ciała, nagie, białokremowe, młode, podobne do twardych rzeźb, były w doskonałym stanie, mimo że czekały tu już od szeregu miesięcy na chwilę, w której wreszcie przestaną być potrzebne.

Leżeli, jak w sarkofagach, w cementowych długich basenach, z uniesionymi pokrywami — wzdłuż, jedni na drugich. Mieli ręce opuszczone wzdłuż ciała, nie złożone na piersiach, według pogrzebowego rytuału. A głowy odcięte od torsów tak równo, jakby byli z kamienia.

W jednym z tych sarkofagów leżał na stosie umarłych znany już „marynarz" bez głowy — młodzieniec wspaniały, wielki jak gladiator. Na jego piersi szerokiej wytatuowany był kontur statku. Poprzez zarysy dwóch kominów przechodził napis wiary daremnej: BÓG Z NAMI.

Mijaliśmy jeden za drugim baseny pełne trupów, a obaj cudzoziemscy panowie szli także i także patrzyli. Byli lekarzami i lepiej od nas rozumieli, co to znaczy. Na potrzeby Instytutu Anatomicznego przy uniwersytecie wystarczyłby zapas czternastu trupów. Tu było ich trzysta pięćdziesiąt.

Dwie kadzie zawierały same głowy bezwłose, odcięte od tamtych ciał. Leżały jedne na drugich — twarze człowiecze, niby zesypane do dołu ziemniaki — jak popadło: jedne bokiem jak się leży na poduszce, inne obrócone w dół albo na wznak. Były żółtawe i gładkie, też świetnie zakonserwowane, też równiutko od karku odcięte, jak z kamienia.

W rogu jednej kadzi spoczywała na wznak ta nieduża, kremowa twarz chłopca, który umierając mógł mieć 18 lat. Lekko skośne, ciemne oczy nie były zamknięte, tylko zaledwie spuszczone. Pełne usta, barwy tej samej, co twarz, przybrały wyraz cierpliwego, smutnego uśmiechu. Brwi równe i wyraźne unosiły się ku skroniom jakby z niedowierzaniem. Oczekiwał w tej najdziwniejszej, przechodzącej jego pojęcie sytuacji na ostateczne orzeczenie świata.

Dalej były znowu baseny z umarłymi, a później kadzie z ludźmi przeciętymi na pół, pokrajanymi na części i odartymi ze skóry. W jednym tylko basenie leżały osobno i daleko nieliczne zwłoki kobiet.

Poza tym w podziemiu obejrzeliśmy jeszcze parę basenów pustych, zaledwie wykończonych, bez pokryw. Oznaczały, że zapas trupów, potrzebnych żyjącym, był niedostateczny, że istniał zamiar powiększenia całej imprezy.

Później z obu profesorami przeszliśmy do czerwonego domku i tam widzieliśmy na wyziębłym palenisku ogromny kocioł, pełen ciemnej cieczy. Ktoś obyty z terenem uchylił pokrywy i pogrzebaczem wyciągnął na wierzch ociekający płynem, wygotowany tors człowieczy, odarty ze skóry.

W dwóch innych kotłach nie było nic. Ale w pobliżu, na półkach oszklonej szafy, leżały rzędem wygotowane czaszki i piszczele.

Widzieliśmy też skrzynię, a w niej ułożone warstwami — oczyszczone z tłuszczu, spreparowane cienko płaty skóry ludzkiej. Na półce słoje z sodą kaustyczną, przy ścianie wmontowany w mur kocioł z zaprawą i duży piec do spalania odpadków i kości.

Wreszcie na wysokim stole kawałki mydła białawego i chropowatego i parę metalowych, powalanych zeschłym mydłem foremek.

Nie wchodziliśmy już tym razem na strych po drabinie, by oglądać tam zalegające wysoko polepę zsypisko czaszek i kości. Zatrzymaliśmy się tylko na chwilę w tej części dziedzińca, gdzie widać ślady spalonych całkowicie trzech budynków, szczątki pieców metalowych typu krematoryjnego i bardzo licznych rur i przewodów. Wiadomo, że i czerwony domek podpalono już dwukrotnie. Za każdym razem jednak powstający pożar został dostrzeżony i ugaszony.

Wyszliśmy razem z profesorami, którzy od razu odłączyli się od nas i prowadzeni przez kogoś nieznajomego udali się w swoją drogę.

2

Przed Komisją zeznaje człowiek młody, chudy i blady, o wyraźnych oczach niebieskich, przyprowadzony na badanie z więzienia. Nie mający pojęcia, czego od niego chcemy.

Mówi z namysłem, poważnie i smutnie. Mówi jednak po polsku, tylko z akcentem obcym, cokolwiek grasejując.

Mówi, że jest gdańszczaninem. Był w szkole powszechnej, później skończył jeszcze sześć klas i zrobił małą maturę. Był ochotnikiem, był harcerzem. Na wojnie dostał się do niewoli i uciekł. Pracował na ulicy przy śniegu, potem w fabryce amunicji. Też uciekł. Rzecz na ogół dzieje się w Gdańsku.

Niemiec zamieszkał u jego matki, gdy ojca zabrali do obozu koncentracyjnego. Ten Niemiec dał mu pracę w tutejszym Instytucie Anatomicznym. I tak dostał się do profesora Spannera.

Profesor Spanner pisał książkę o anatomii i wziął go na preparatora trupów. W uniwersytecie miał wykłady, taki kurs preparatorski dla

studentów. Wydawał swoją książkę, dla tej książki pracował. Jego zastępca, profesor Wohlmann, też pracował — jednak nie może powiedzieć, czy dla jakiej książki, czy tak...

Ta oficyna była wykończona w roku 1943 na Palarnię. Spanner wtedy postarał się o maszyny do oddzielania mięsa i tłuszczu od kości. Z kości miały być robione kościotrupy. W roku 1944 profesor Spanner kazał, żeby studenci odkładali tłuszcz z trupów osobno. Co wieczór po skończeniu kursów, jak studenci odeszli, robotnicy zabierali talerze z tłuszczem. Były też talerze z żyłami i z mięsem. Więc mięso wyrzucali albo palili. Ale ludzie w mieście skarżyli się policji, więc wtedy profesor kazał, żeby palili w nocy, bo za duży smród był.

Studenci mieli także powiedziane, żeby skórę całkiem czyściutko już odjąć, później tłuszcz czysto, później według książki preparatorskiej muskuły aż do kości. Tłuszcz wybierany przez robotników z talerzy później został leżeć całą zimę, a później, jak studenci wyjeżdżali, był przez pięć — sześć dni wyrobiony na mydło.

Profesor Spanner zbierał również skórę ludzką. Mieli ją ze starszym preparatorem von Bergen wyprawiać i coś z niej robić.

— Starszy preparator von Bergen — to był mój bezpośredni przełożony. Zastępcą profesora Spannera był doktor Wohlmann. Profesor Spanner był cywil, ale zgłosił się do SS jako lekarz.

Gdzie jest teraz doktor Spanner, więzień nie wie.

— Spanner odjechał w styczniu 1945 roku. Jak odjeżdżał, kazał nam tłuszcz zbierany w semestrze dalej wypracować, kazał nam porządnie mydło i anatomię robić i sprzątać, żeby ludzko wyglądało. Receptu nie kazał sprzątać, może zapomniał. Mówił, że wróci, ale już nie wrócił. Pocztę, jak wyjechał, posyłali mu do Halle an der Saale, *Anatomisches Institut.*

Siedzi, zeznając, na krześle pod ścianą, naprzeciwko okien, w świetle. Jest całkowicie widoczny — w swych zastanowieniach i namysłach, w usilnej chęci, aby dokładnie powiedzieć wszystko, jak było, by nie opuścić nic. On jest jeden, a nas jest osób kilkanaście: członkowie Komisji, miejscowe władze, sądownicy.

Nadmiar gorliwości sprawia, że niekiedy bywa niejasny.

— Co to jest recept?

— Recept wisiał na ścianie. Asystentka, która była ze wsi, przywiozła stamtąd recept na mydło i wypisała. Nazywała się Koitek. Asystentka techniczna. Ona też wyjechała, ale do Berlina. Oprócz receptu była jeszcze notatka na ścianie. To napisał von Bergen. Ona dotyczyła zupełnego oczyszczenia kości do wyrobu kościotrupów. Ale

kości się nie udały, zniszczyły się. Albo była za duża temperatura, albo za silny płyn — zatroszczył się jeszcze tym dawnym kłopotem.

— Mydło z receptu zawsze się udało. Tylko raz się nie udało. To ostatnie, co leżało w Palarni na stole, ono nie jest udane.

Produkcja mydła odbywała się w Palarni. Kierował produkcją sam doktor Spanner ze starszym preparatorem von Bergen. Z tym, co jeździł po trupy. Czy jeździłem z nim? Tak jest. Jechałem tylko dwa razy. I do więzienia w Gdańsku też raz.

Trupy przywozili naprzód z domu wariackiego, ale później nie starczyło tych trupów. Wtedy Spanner rozpisał wszędzie do burmistrzów, żeby trupów nie grzebać, tylko że przyśle po zwłoki Instytut. Przywozili ze Stutthoffu z obozu, z Królewca na śmierć skazanych, z Elbląga, z całego Pomorza. Dopiero jak w gdańskim więzieniu wystawili gilotynę, to już było dosyć trupów...

Przeważnie to były trupy polskie. Ale raz byli i wojskowi niemieccy, ścięci w więzieniu podczas uroczystości. A raz przywieźli cztery czy pięć trupów i nazwisko było rosyjskie.

Trupy von Bergen przywoził zawsze w nocy.

— Co to była za uroczystość?

— Uroczystość była w więzieniu. Poświęcenie gilotyny. Zaproszony był szef Spanner i różni goście. Szef wziął starszego preparatora von Bergen i mnie. Dlaczego mnie wziął, nie wiem, bo nie byłem zaproszony. Goście przyjechali autami i przyszli piechotą. Weszli do tej sali. Ale my tam nie weszliśmy, tylko musieliśmy czekać. Myśmy już oglądali gilotynę i szubienicę do wieszania. To wtedy byli ci czterej wojskowi niemieccy skazani na śmierć. I podobno święcił ksiądz niemiecki.

Widziałem, jak wpuścili jednego więźnia. Kajdanki miał z tyłu, boso, czarne nogi, tylko spodnie, a tak był nagi.

Była fioletowa zasłona, za nią drugi pokój i prokurator. Starszy preparator rozmawiał później z katem i opowiadał. Więc słyszeli mowę prokuratora, szum, jakieś rozciąganie, tupanie — jakby ktoś biegał. I uderzyło żelazo. Kat meldował, że wyrok wykonany. A my już widzieliśmy, jak czterech trupów wynieśli w trumnie otwartej.

Czy to był ksiądz przy tym poświęceniu, ja nie wiem. Ale mówili, że jeden wojskowy w mundurze to był ksiądz.

Na jeden raz to z tego więzienia von Bergen przywieźli z Wohlmannem sto trupów.

Ale później Spanner chciał trupów z głowami. Nie chciał też rozstrzelanych, za dużo koło nich było roboty, zawsze zaśmiardły. Jeden na przykład niemiecki wojskowy przyszedł skazany na śmierć. Ten

miał nogę złamaną i przestrzeloną. A był też i bez głowy. Wszystko naraz. Z zakładu wariackiego to były trupy z głowami.

Spanner schował zawsze trupy na zapas. Bo jak później było za mało trupów, więc wtedy już musiał brać trupów bez głów.

Ten wielki marynarz bez głowy jest z gdańskiego więzienia. Trupy przecięte wpół są dlatego, że całe nie chciały wejść do kotła, nie chciały się zmieścić.

Człowiek jeden da tłuszczu może z pięć kilogramów. Tłuszcz przechowywał się w Palarni w basenie kamiennym. Ile?

Myśli długo, chce być jak najbardziej dokładny.

— Jeden i pół cetnara.

Zaraz jednak dodaje:

— Tak było dawniej. Ale ostatnim razem było mniej. Jak już zaczęli cofać się do Rzeszy — to był może jeden cetnar...

O produkcji mydła miał nikt nie wiedzieć. Spanner zabronił mówić nawet studentom. Ale oni tam zaglądali, potem może jeden drugiemu powiedział, więc chyba wiedzieli... A nawet raz tak było, że do Palarni zawołali czterech studentów i z nimi razem gotowali. Ale na codzień dostęp do produkcji miał szef, starszy preparator, ja i dwóch robotników, Niemców. Mydło gotowe brał doktor Spanner i on nim dysponował.

— Mydło gotowe?... No, jak się zrobi — ono naprzód jest miękkie, no to musiało ostygnąć. Wtedy musieliśmy pokrajać... I Spanner zamknął mydło na klucz. Tam było nie samo mydło, maszyna tam stała. Chodziliśmy w pięciu. A inni musieli prosić o klucz, gdy chcieli wejść.

— Dlaczego to był sekret?

Nad tym zastanawia się dłużej. Pragnie odpowiedzieć wedle najlepszej swej wiedzy.

— Może się Spanner bał albo co... — rozważa w skupieniu. — Moja myśl jest taka, że gdyby się ktoś dowiedział cywilny w mieście, to może by był z tego jaki bałagan...

Mogło się zdawać, że i tu rozwieszona jest między nami a nim jakaś „fioletowa zasłona". Nie było na niego sposobu.

I ktoś zapytał wreszcie:

— Czy nikt wam nie powiedział, że robienie mydła z tłuszczu ludzkiego jest przestępstwem?

Odparł z zupełną szczerością:

— Tego mi nikt nie powiedział.

To jednak daje mu do myślenia. Nie od razu odpowiada na dalsze pytania. Wreszcie robi to bez niechęci.

— Owszem, przyjeżdżali różni do Instytutu i do Spannera. Profesor Klotz, Schmidt, Rossmann do niego przyjeżdżali. Był raz minister zdrowia w Instytucie Higieny i minister oświaty, też był gauleiter Forster. Jako rektor całej Akademii Medycznej przyjmował ich profesor Grossmann. Niektórzy byli, jak ten dom jeszcze nie stał, więc oni zwiedzali tylko Anatomię, badając, jaka jest Anatomia, czy czego może brak. A chociaż już była Palarnia — no, to mydło zostało zawsze po czterech, pięciu dniach sprzątane. Nie mogę mówić, czy widzieli to mydło. Mogli widzieć. I w czasie inspekcji recept zawsze wisiał. Więc jak czytali, to chyba wiedzieli, co tam gotują.

— Tak, szef kazał mnie robić to mydło z robotnikami. Dlaczego mnie? Nie wiem. O Spannerze, jak tak zamykał mydło, to sam myślałem, że on robi jakieś szaberstwo. Gdyby miał pisać w swojej książce o mydle, to by nam tak nie zabronił o tym mówić. Może on sam przyszedł na tę ideę, żeby robić mydło z resztek?... Chyba nie dostał na to polecenia, bo wtedy by się nie musiał sam starać o recept...

Z tych rozważań nie wynika żadna pewność.

— Co studenci?... Tak jak my. Każdy się bał tym mydłem myć na początku... Obrzydzenie było do tego mydła. Zapach miało niedobry. Profesor Spanner bardzo się starał, żeby ten zapach ustał. On pisał do chemicznych zakładów, żeby przysłali olejki. Ale zawsze czuć było, że to nie takie mydło.

— Owszem, mówiłem w domu... Z początku nawet jeden kolega widział: miałem dreszcz, że można się tym myć. W domu mama też się obrzydzała. Ale się dobrze mydliło, więc go używała do prania. Ja się przyzwyczaiłem, bo było dobre...

Na jego chudej, wybladłej twarzy pojawia się wyrozumiały uśmiech.

— W Niemczech, można powiedzieć, ludzie umieją coś zrobić — z niczego...

3

Po południu wezwaliśmy obu starych profesorów-lekarzy, kolegów Spannera, na przesłuchanie. Rozmowy odbyły się w obrębie terenu ich pracy, w pustej salce jednego z gmachów szpitalnych.

Obaj — badani z osobna — oświadczyli, że o istnieniu budynku mieszczącego ukrytą fabrykę mydła nie było im nic wiadomo. Oglądali ją tego rana po raz pierwszy i widok ten wywarł na nich wstrząsające wrażenie.

Obaj — badani z osobna — oświadczyli, że Spanner, człowiek naj-

wyżej czterdziestoletni, był w zakresie anatomii patologicznej powagą naukową. O jego stronie moralnej nie mogli nic powiedzieć znając go od niedawna i rzadko widując. Wiedzieli tylko, że należał do partii.

Każdy zeznając siedział z dala od nas na odosobnionym krześle z wyraźnym przygnębieniem na twarzy. Każdy siedział nie zdjąwszy swego czarnego palta, czarny kapelusz przytrzymując ręką na kolanach.

Obaj mówili roztropnie i z ostrożnością. Obaj, mówiąc, wszystko brali pod uwagę. Gdańsk o tej majowej porze był jeszcze pełen Niemców, ulicami przeciągały zastępy jeńców niemieckich, obsypywanych kwiatami przez ich kobiety. Ale władze były polskie, a w garnizonie stały wojska sowieckie.

Na pytanie, czy znając Spannera z jego działalności naukowej, mogli byli przypuścić, iż jest to człowiek zdolny do wyrabiania mydła z ciał umarłych skazańców i jeńców, każdy jednak odpowiedział inaczej.

Ten wysoki i szczupły, o siwej głowie i rysach szlachetnych, po dłuższym namyśle oświadczył:

— Tak, mogłem był to przypuścić, gdybym wiedział, że taki otrzymał rozkaz. Było bowiem wiadomo, że był karnym członkiem partii.

Drugi — ten tłusty, ciężki i dobroduszny, o cerze różowej i wiszących policzkach — także namyślał się długo. I po namyśle — wszystko niejako zważywszy w swym sumieniu — odpowiedział:

— Owszem, mogłem to przypuścić. Z tego mianowicie powodu, że Niemcy przeżywały wówczas wielki brak tłuszczów. Więc wzgląd na stan ekonomiczny kraju, na dobro państwa mógł go do tego skłonić.

Zofia Nałkowska

BALLADA

Jestem woźnicą.
Jechałem bystrą okolicą,
Gdy się przechodzień napatoczył
I do kolaski mojej wskoczył.
Zawołał: „Jazda!“ — „Dokąd?“ rzekę. —
„Przed siebie, naprzód! Przez tę rzekę,
„Przez tamtą górę!“ — Mówię wprost:
„Rzeka bez mostu.“ — „Zrobię most.“ —
„Góra jak mur spadzista.“ — „Celem
Moim jest przebić ją tunelem.
Po drugiej stronie, gdy to sprawię,
Ogromny, pyszny gmach wystawię,
A w nim muzyczną, świetną salę,
Jakiej nie znajdziesz równej wcale.
A w świetnej sali tej organy,
Jakich Bach nie znał uwielbiany.
A dla organów stworzę pieśni,
O jakich żaden geniusz nie śni.
A do tych pieśni takie słowa,
Że się zadziwi ludzka mowa.
Obudzę zachwyt i zdumienie,
Ekstazę, rozkosz, upojenie.“
I mówił z taką ognia siłą,
Że mi się w głowie zamąciło.
Konie pędziły jak wichury,
Lasy mijały nas jak chmury.
Widziałem chaos i żywioły,
Tęcze i skrzydła, i anioły,
Mgławice, gwiazdy i komety,
Słyszałem lutnie, harfy, flety,
Popadłem jakby w sen opilczy...
Gdy się przecknąłem, słucham: milczy.
Myślałem: Zdrzemnął się znużony.
Przetarłem oczy z mgły szalonej.
Lecz gdy się obejrzałem,
Nikogo nie ujrzałem.
Gościa nie było. W głowę zachodzę.
Wypadł po drodze?

Leopold Staff

DYZMA I GEZMA *)

Deszcz, deszcz październikowy,
Na deszczu krople nut.
Pamiętasz? — w roku owym
Hartował Polskę głód.

Bogactwem ziemi — złoto.
Przy liściu — złoty liść.
Do nowych dni z tęsknotą
Niejeden umiał iść.

Lecz grać na strunach deszczu,
Zawieszać liście zdań,
To nie wystarczy jeszcze,
By dać świadectwo dnia.

Spojrzyj w twarz człowiekowi
Jak Dyzma Chrystusowi
Zawieszonemu w męce
W kościelnej patrzy wnęce.

O Gezmo! — drugi łotrze!
Tyś sługą jest milczenia...
Chmury z czoła nie otrze
Prosty gest wyrzeczenia.

Deszcz, deszcz październikowy:
Bezwładne krople w dół.
Wiatr, wiatr listopadowy,
— Nasz wiek te sprawy czuł.

Nie piszę tego w przyszłość,
Sobie śpiewam a braciom.
W tym widzę niezawisłość,
Że chcę się w prawdzie zaciąć.

Łatwo ci upominek,
Historio, złożyć z chęci.
Taki wiersz-maminsynek
Jak liść z podmuchem leci.

*) Rzeźby średniowieczne w muzeum we Wrocławiu, przedstawiające łotrów ukrzyżowanych wraz z Chrystusem na Golgocie.

Jak makaty tureckie,
Jak sarmackie brokaty,
Prosty trzewik podepce
Liść spadły — zwiędłe kwiaty.

A leżą dywanami
Klonowe, grabowe wszędzie.
Pozłota ich nie kłamie,
Lecz stopa ich nie szczędzi.

O męstwo zimne świerków,
Pióro jak dłuta ostrze —
Prośba. Ojczyznę przekuj,
Jak traktor ziemię orze!

By Polski syn Ludowej
Miał prawdę, ciało, krew,
Deszcz, deszcz październikowy
Strugami spływa z drzew.

Deszcz, deszcz jesiennych dni.
Ludzkość na ludach się oprze.
Gołąb na twoim czole śpi,
Ukrzyżowany łotrze.

*
* *

Żonie

Jak wiadro dzwoni w wód porywach,
Tak księżyc leci wśród obłoków.
To halny wiatr zza gór przybywa,
To czas przyśpiesza swego kroku.

Kiedy pisałem wiersza datę,
Czwórkę miast piątki w roku cyfrze
Już chciałem kłaść przez nieuwagę...
Ty poprawiłeś liczbę — wichrze!

O dziesięć lat pomyłka nagle
Chciała się wymknąć mojej ręce...
A toć piętnaście lat pod żaglem:
Noclegów pięć i pół tysięcy.

A spowodował wichr podstępny
Niejeden krwotok w twoich płucach,
Wybijał zęby z mojej gęby,
Kłakami włos mi z głowy zrzucał.

Jak doświadczeni marynarze
Patrzymy w oko wichru tego,
Niech porysuje nasze twarze
Zmarszczkami czasu biegnącego.

Że tak okrutny, drwiący, to co?
Jeżeli prawda mu na imię?
Liście dni zmiata, a zaś nocą
To on wydyma sny olbrzymie.

A myślisz w śnie się czas nie liczy?
Przeciwnie — jest, lecz jak materia:
Tyle ma szczęścia, co goryczy,
Ciszą i burzą naraz wzbiera.

Jako galaktyk kwadryliony,
Jak chmury gwiazd, kosmosu dymy,
Rośnie świat o nas poszerzony,
Jeżeli w śnie go dopędzimy.

Do której wzrasta czas potęgi,
Gdzie się zamyka jego pętla?
I kto przewraca nas jak księgi,
I kto jak filmy nas wyświetla?

Kiedyś ucichnąć naszym strofom
Każe zamknięta wichrów róża.
Jak ptak świerkliwy — magnetofon
Milknie, gdy przejdzie przezeń burza.

Ale nie wszystko burz magnesy
Zatrą, czym sen i wicher płacze.
Część z nas gwiazd migot zwiąże gęsty:
Nadzieje, szczęścia i rozpacze.

Jerzy Zagórski

5.I.1952

NA BUDOWIE

Księżyc turecki, bez turecki,
jesienny liść — ikona z winem.
Mam walerianę i dziewczynę,
minę geroja i strój świecki.

Grzmi acetylen na budowie;
Ognisko płonie. Most. Drżą wózki.
W trzmielinie krwawe skrzą krakuski,
auta jak chrząszcze mahoniowe.

Jednym odjadę dziś do miasta.
Z tematem. Na wiersz już czekają:
brygada i noc na rozstaju.
No, w drogę czas. Już jedenasta!

Traktory huczą: — Nie umieraj!
I owies gwiazd się z nieba sypie.
I Diesel woła jak na stypie:
Wiersz piękny albo śmierć — wybieraj!

KIEDY SERCE SIĘ SPALI

Kiedy serce się spali
pod moją kamizelką,
pewno spalone serce
położą w tabakierce
i zechcą ciocie-drypcie
wąchać szczypta po szczypcie.

Lub gdzie z żonąśmy spali,
ruszą z procesją wielką
i nieść będą dewoci
wianuszki ze stokroci,
piasek z góry i morza
i dębinę podborza.

Kardynał w białej kapie,
czerwonym kapeluszu
pochowa serce z piórem
we filarze pod chórem:
Nienajgorszy lutnista,
Choć, trudno, komunista!

Nie!! Z oburzenia sapię.
Oto słyszeć mię muszą
dewoci, apostaci,
kardynał i prałaci,
ciotki i organiści,
i wreszcie autentyści:

Ja nigdy nie pozwolę,
ażeby prochy po mnie
po muzeach butwiały
w urnie wielkiej lub małej.
Popalcie fotografie,
ja bez nich żyć potrafię.

Proch rozsypcie przez pole,
sady, łąki przytomnie!
A potem przez ugory
niech zagrają traktory!
Niech bębnią za mną deszcze,
niech zielenią się jeszcze!

Jan Bolesław Ożóg

WIERZBA MÓWI

Czekam przy tej drodze,
wspieram się na nodze
drewnianej —
może gałąź utną
na gwizdek, bo smutno
tak samej.

Nikt tu nie przystaje —
cienia tyle daję,
co struny.
W myślach się pogrążam —
wicher mnie otrząsa
z zadumy.

Nocą ptak przeleci —
kiedy próchnem świeci
me wnętrze,
jak przedpotopowa
latarnia gazowa,
na piętrze.

Staram już i chora —
popękała kora
na mrozie.
Cóż ze mnie za wierzba?...
co za straszna rzeźba
na korze...

Choć u schyłku lata
warkocz z liści splata
noc ciemna —
drżę w zielonej chustce,
na tej jednej nóżce,
przyziemna —

SPEKTAKL WIOSENNY

Czyjaż to dekoracja?
Gdzie choreograf bezczelny? —
w kwiatach tańczą jabłonie;
oberek sadów pszczelnych.

Cóż to za postać? —
ściany bieli, okna myje,
kwiaty ujmuje w dłonie
— szczękają w bzach nożyce —
bukiet układa w wazonie;
a potem...
patrzcie — Julia!
Stoi pod księżycem
na kamiennym balkonie.

Nocą chłody studzienne.
Wbrew dyscyplinie zegara
wieczór się wciąż wydłuża;
pierwszy duet wiosenny —
a cóż to niby za para?
słowik i róża?

...dzisiaj spotkali się ukradkiem
i pod księżycem, w piasku
wyrysowali strzałę
i cały rebus sercowy —

Lecą z jabłoni płatki,
jak migotliwe oklaski
na wieczorny spektakl majowy.

Jan Gałkowski

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

W PIERWSZĄ ROCZNICĘ

Oto więc dobiegamy roku od chwili śmierci Juliana Tuwima. Niewieleśmy zrobili dla Tuwima-pisarza w ciągu tego roku. Z dzieł jego tylko K w i a t y p o l s k i e ukazały się w nowym wydaniu. Przygotowano także pierwsze tomy D z i e ł w y b r a n y c h — ale jeszcze nie wiadomo, kiedy się ukażą. Czas, który upływa na ich przygotowywaniu, jest chyba gwarancją staranności tego wydania. Z książkami można się nie spieszyć — wyjdą one na pewno. Zbyt wielką wagę mają wiersze Juliana Tuwima dla naszej współczesnej literatury, abyśmy się obawiali o los jego dzieł.

Tak samo — choć mało się mówi i pisze o Tuwimie — będą jeszcze o nim mówić i pisać historycy literatury, profesorowie, krytycy, esseiści. Kazimierz Wyka miał niedawno w Krakowie wykład o Tuwimie jako słowotwórcy. Żałować należy, że odczyt ten — stanowiący podobno cząstkę większej całości — nie został dotąd nigdzie ogłoszony drukiem. Moglibyśmy z nim polemizować lub zachwycać się zawsze ciekawymi propozycjami Wyki — zapełniłoby to może lukę, jaką odczuwamy w dziedzinie krytyki poezji Tuwima. Ale już te odczyty świadczą, iż dzieło Tuwima przeszło do dziedziny historii literatury, że poezja jego już staje się przedmiotem badania — tak niedawno jeszcze będąc zjawiskiem codziennym i przejawem otaczającego nas życia. Historycy coraz bardziej oddalają się — zresztą siłą rzeczy — od Tuwima żywego, od Tuwima-człowieka. I dlatego, zdaje mi się, że zadaniem jego najbliższych, tych, którzy go pamiętają i którzy serdecznie wspominają tę promienną indywidualność, jest jak najdłuższe zatrzymanie jego ludzkiego obrazu, przekazanie tym, którzy go nie znali, jego sposobu mówienia i reagowania na sprawy, narysowanie tych form, w których przejawiały się jego uczucia, mówienie o jego rozmowach, listach, spotkaniach z przyjaciółmi, o całej jego bezpośredniej i urzekającej istocie.

Trudno mi jest mówić o jego twórczości. Tak się z nią zżyłem, tak się z nią razem rozwijałem, że się znajduję niejako w jej wnętrzu — trudno mi jest spojrzeć na nią jak na skończony już blok, na gotową całość — do której, niestety, nic już nie będzie dodane. To nie znaczy, że łatwiej mi jest mówić o Tuwimie jako człowieku. Zbyt mało zwracamy uwagi na przechodzące obok nas życie; zbyt krótko zatrzymujemy w sercu i pamięci słowa, gesty ludzi, o których przecież nie myślimy, że odejdą. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z wielkości i z wagi ludzi, z którymi obcujemy. Zbyt często stawiamy siebie w sytuacji tego fryzjera, co mówił: „Pan Żeromski, pan Żeromski! Mówią, że to wielki człowiek! A przecież ja go codziennie goliłem!"

Otóż, mimo że od czasu do czasu prowadzę dziennik, że starannie zbieram listy do mnie skierowane — nie znajduję w moich notatkach niczego o Julianie Tuwimie. Był — jak było powietrze, słońce, wiatr, odwieczne zmiany dnia i nocy i pór roku, istniał, gadało się z nim, żartowało, czasem zamyślało razem — ale do głowy nie przychodziło, że to przecież Tuwim. Że jego słowa trzeba zapisać, że ten gest trzeba zanotować, to powiedzonko utrwalić. Zresztą to sprawy naturalne. Trudno zapisywać wszystko, a nigdy nie wia-

domo, co będzie z rzeczy utrwalonych miało znaczenie historyczne. A w końcu przecież z góry wiadomo, kto w tej naszej walce z czasem będzie ostatecznym i bezapelacyjnym zwycięzcą.

Charakter mojej wieloletniej przyjaźni z Julianem Tuwimem nie miał nic z koturnów i woskowych tabliczek. Byliśmy — i do końca zostaliśmy — czymś w rodzaju kolegów z uniwersytetu. Trzymały się nas żarty, czasami nawet dosyć głupie — a jeśli zamyślaliśmy się nad naszymi słowami, nad naszymi losami nawet i nad zadaniami naszych żywotów — to staraliśmy się udawać przed sobą, że się „nie przejmujemy" gromkimi słowami i że to wszystko nie jest „na poważno".

Bo przecież, kiedy spotykaliśmy się, mówiliśmy o rzeczach postronnych i przelotnych. O plotkach, żartach, ludziach — rzadziej o książkach. I nie przypatrywałem mu się, aby zanotować w pamięci niepowtarzalny kształt jego indywidualności. Widzę go jeszcze dzisiaj „oczami duszy" — jak mówi Hamlet — ale jednym z najprzykrzejszych dla mnie porównań było, gdy ktoś pisząc o nim porównał go do ptaka. To porównanie czysto zewnętrzne, konturowe — nic nie daje z istoty sprawy. Bo przecież najważniejsze było to, co uderzało w Tuwimie — to właśnie jego ludzkość. Człowiek, piękny człowiek, z całą swoją nerwowością, z całym swoim zacięciem, z całą pozą, jaka niewątpliwie uderzała nas w nim. Na co pozował Tuwim? Nie na poetę, nie na artystę — na człowieka. Odwracał się do rozmówcy swoim ludzkim, nie ptasim profilem, wypełniał pokój smugą jasności. Tak, był jasny, oczy, siwe włosy, śmiech — były jasne. W oczach ogień jasności i zapału, błysk żartu i ukrywane starannie uczucie, które co i raz wyzierało z tych oczu. Śmiał się z Makuszyńskiego i z jego niezliczone razy powtarzanego wyrazu „serce" — a w sobie taił przede wszystkim miłość. Miłość do człowieka i do jego tworu, do poezji. Gdy się przestawało z Tuwimem, wiedziało się, że się spala w uczuciach, w słowach. Zdania — nawet najprostsze — wyrzucał jak fajerwerki. I o ileż lepiej się rozumie pochodzenie jego poezji — gdy się wie, jak płonął ich autor, gdy się słyszy głos, którym je wypowiadał. Bo przecie Tuwim stwierdzał całą swą osobowością to, co napisał inny poeta, którego żałobną rocznicę także w tych dniach obchodzimy, że:

na to właśnie jest serce i mózg,
żeby życie było jak płomień.

Słowa jego rodziły się, jak wiersze, z impulsów gwałtownych; wyrywały się jak para przez ulegające potężnemu ciśnieniu klapy. Takie były także jego listy, krótkie jak okrzyki, patetyczne — powiedziałbym „ogromne".

„Kochany Jarosławku!

W tych paru słowach jest najgorętsza miłość dla przyjaciela i poety, który napisał M o d l i t w ę. Jest i zazdrość, czego nie będę ukrywał. Ale że się do niej przyznaję, więc Bóg mi wybaczy.

Ściskam Cię i całuję

Rabka, 12.VIII.36" Julek"

I te dedykacje, gdzie w jeszcze mniejszej ilości słów zawarte wybuchy uczucia. Zawsze „z miłością", czasami „z zaciętą przyjaźnią" — dla odmiany

„z przyjaźnią i miłością". Aż wreszcie uczucie przemaga nawet w Tuwimie wyrazistość słów i pozostawia mu już tylko westchnienie:

„Ach, mój Poeto! Ach, mój Jarosławie
z wielką miłością
20.X.36" Julek

tak jak kreśli na egzemplarzu T r e ś c i g o r e j ą c e j. A przecież nie łączyła nas gorąca, młodzieńcza przyjaźń. Przeciwnie, nie zawsześmy się rozumieli. Były całe miesiące — prawie lata, kiedyśmy się nie widywali. Ale pozostało to braterstwo w poezji, które dla Tuwima było najświętszym braterstwem. Wyraz temu dał przepisując na egzemplarzu L u t n i P u s z k i n a kawałek wiersza Puszkina do Jazykowa:

Izdrewle sładostnyj sojuz
Poetow mież soboj swiazujet:
Oni żrecy jedinych muz,
Jedinyj płamień ich wołnujet;
Drug drugu czużdy po sud'bie,
Oni rodnia po wdochnowienju.
Klanuś Owidijewoj tieńju:
POETO! Blizok ja tiebie!

To odszukiwanie braterstwa w poezji — chociaż tak prawdziwie byliśmy „czużdy po sud'bie" — to może najcharakterystyczniejsza strona stosunku Tuwima do przyjaciół. Bo wszystko inne było dekoracją życia, drobiazgiem życia. Naprawdę Tuwima obchodziła tylko poezja.

I to się odczuwało w każdej rozmowie. Palił się ogniem wewnętrznym, ilekroć mówiło się o poezji — i właściwie mówiąc tak, jak został mi w pamięci, tośmy rozmawiali tylko o poezji — od tego pierwszego wieczoru „Pod Picadorem" 29 listopada 1918 roku — do ostatniej, po moim odczycie o Tołstoju w Związku Literatów — 10 listopada 1953 roku — przez równe prawie 35 lat! Długa, nieobowiązująca, jedyna rozmowa o wierszach — a raczej zachwyt nad istnieniem wierszy i poetów.

Wydaje się to może zbyt patetyczne i nieszczere, ale tak było w istocie. Taki to był człowiek. Nic też dziwnego, że obijał się o kanty życia bardzo boleśnie. Tym bardziej że udawał życiowo zahartowanego. Ale dość jest przeczytać jego list z Ameryki do Janiny Broniewskiej skierowany, aby zrozumieć, co ta natura musiała wycierpieć w „czasach pogardy" — przedwojennych i wojennych. „...tyle we mnie kompleksów — pisał do mnie z Nowego Yorku — kompleksy „nieuczestniczenia", „nieobecności", „bezpieczeństwa", „sytości" — jeden wielki „kompleks ocalenia..." Myślę, że z tego się otrząsnę po powrocie do kraju." Otrząsnął się, lecz ślady przeżyć zostały.

Stąd płynęła nerwowość i niepokój, stąd owo zdrowie stale szwankujące. Stąd owo gorączkowe słowo — tak dla Tuwima charakterystyczne. Stąd owo spalenie się w jednym momencie — zniknienie sprzed oczu. „Ogniu równien prędkiemu" odleciał. Zostawił nam swoje słowo, będziemy nad nim trwać w kontemplacji i zachwycie. Ale obraz człowieka, cudownego, trudnego i czarującego człowieka zaciera się w naszych oczach, aż zniknie powoli.

Jarosław Iwaszkiewicz

MIECZYSŁAWA BUCZKÓWNA

TUWIM

Niedopisanej strofy gałąź
Kwitnie bez pnia.
To, co do nieba pieśnią sięgało,
Skrył zimny piach.
Ale nie zmilknie on, co zaludnił
Ojczyznę naszej mowy,
Choć nieobecny, obecny trudniej —
Gdy sam stał się słowem.

Mieczysława Buczkówna

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

CIENIOM JULIANA TUWIMA

Pod kominami i dymami,
Na które Ty patrzyłeś,
Codziennie idę ulicami,
Którymi Ty chodziłeś.

Nie widzę Cię w żałobnym prochu,
Choć w trumnie leży ciało:
Tu jeszcze echo Twoich kroków
I pieśni nie przebrzmiało.

Dzieciństwo Twoje na ulicy
Andrzeja jeszcze mieszka
I młodość Twoja z kamienicy
Wychyla się jak wieszczka.

I całą w dymów łódzkich smudze,
Gdy wiersz mnie Twój rozmarzy,
Spotykam tutaj Twoją Muzę —
Prządkę o zwykłej twarzy.

Szkoda, że pieśń Twa się urwała.
O któż ją, któż dośpiewa,
Gdy na twych ustach oniemiała,
Jak szum zmarłego drzewa?

Ty — pieśni czarnoleska, szczera,
Ptaku, gwiazdo, jutrzenko! —
Gdy zgasł poeta, z nim umiera
Niepowtarzalne piękno.

Włodzimierz Słobodnik

ARTUR SANDAUER

GAŁCZYŃSKI

...Skłóconego ze społeczeństwem artystę określa się zazwyczaj — jako buntownika. Miano to nie oddaje jednak specyficznej postawy Gałczyńskiego. Jego debiuty: fantazyjna opowieść Porfirion Osiełek (1929) i poemat Ludowa zabawa (1934), objawiają nam nie tyle buntownika, co człowieka umieszczonego w ogóle poza społeczeństwem. Nie myśli o tym, aby obalać istniejące hierarchie; ignoruje je po prostu. Cały system wartości moralnych, wytworzony przez mieszczaństwo: solidność, odpowiedzialność, poczucie godności, pozostawia go głęboko obojętnym. Wskrzesza ów późnośredniowieczny typ artysty-wesołka, który — w zamian za chwilę rozrywki — żąda jedynie od społeczeństwa, aby pozwoliło mu istnieć na swoim marginesie.

Cofając się do wczesnego okresu mieszczaństwa, gdy człowiek nie był jeszcze tak usztywniony, tak przystrzyżony przez społeczne konwencje, tak jednostronnie mózgowy, jakim stał się w epoce schyłkowej, Gałczyński odrzuca ową podstawową dla sztuki późniejszej zasadę wyboru, w myśl której artysta — dla obiektywnej, ponadindywidualnej doskonałości — powinien wyrzec się pewnych elementów swej natury. W poezji jego wyraża się nie człowiek ograniczony do pewnych tylko — chociażby najlepszych — cech, lecz człowiek cały i naturalny, pełen kaprysów i nieudolności, śmiesznostek i wad, mniej wyrównany może, lecz pełniejszy i bogatszy od współczesnego.

Zubożałemu psychicznie człowiekowi mieszczańskiego schyłku przeciwstawia się zatem model pełniejszy i bogatszy.

Toteż Gałczyński zwalcza wszystko, cokolwiek we współczesnej mentalności inteligenckiej, a więc i w sztuce, trąci specjalizacją i elitaryzmem. W braku ideologii, która by mu pozwoliła ów ideał sztuki ludowej umieścić w przyszłości, sięga po ideał miniony: sztuki jarmarcznej, zakorzenionej we wczesnym Renesansie. Stąd obsesja „ludowych zabaw", „balów u Salomona", „polowań z sokołami"; są to różne nazwy dla wciąż tego samego mitu: sztuki powszechnej, pod której działaniem nikną różnice między ludźmi.

Nic tedy dziwnego, że — po wojnie spędzonej w jenieckim obozie — Gałczyński wznawia działalność właśnie w „Przekroju", piśmie najpełniej realizującym ów ideał „ludowej zabawy". Niewielkie na pozór zaszły przez ten czas zmiany w jego poezji: po staremu jej adresatem jest nieustatkowany — obecnie zaś rozkołysany przez wojnę — żywioł drobnomieszczański; po staremu — celem jej ataków jest nie umiejący pożywać darów życia, zagubiony w „aspektach" i „koncepcjach" — inteligent.

Tu jednak występuje na jaw dokonana w Gałczyńskim ewolucja: przedmiot jego satyrycznych wycieczek pozostał ten sam, lecz atakuje go za co innego. Dawniej gromił inteligenta za jego abstrakcyjny liberalizm; teraz — za romantyczny mesjanizm, za konserwatyzm, za polityczne niezdecydowanie, słowem za to wszystko, co go skłania, by wyczekiwać „powrotu wodza na białym koniu".

Ów atak na konserwatyzm obyczajowy odbywa się na razie (w latach 1945—1947) nie w imię jakiejś określonej ideologii, lecz — zwykłego zdrowego rozsądku. W okresie, gdy obóz lewicy polskiej likwiduje przeżytki feudalizmu, Gałczyński — doprowadzając do absurdu i rozsadzając śmiechem obyczajowe i ideologiczne skamieliny — oddaje mu usługi nieocenione.

Koniec tego okresu zbiega się z wyjazdem poety do stolicy. Z tą chwilą rozpocznie się w twórczości Gałczyńskiego nowe — i ostatnie — stadium, którego szczytowymi osiągnięciami będą N i o b e, W i t S t w o s z i — tuż przed śmiercią pisane — P i e ś n i. Jeżeli za punkty orientacyjne uważać te trzy poematy oraz liryki takie, jak K s i ę ż y c czy S a n i e, linia Gałczyńskiego w tym okresie (który rozpoczyna się najsłabszym z powojennym zbiorem Ś l u b n e o b r ą c z k i — 1948) okaże się w sumie — może zygzakowata, ale wstępująca. O czym jednak utwory najsłabsze świadczą na równi ze znakomitymi — to o ciągłych poszukiwaniach, o gruntownej przebudowie poetyckiego systemu. Swoistość jej polega na tym, że Gałczyński nie wyrzeka się swych dotychczasowych założeń, lecz je tylko rozwija, że — zmieniając się — potrafi w pewnym sensie pozostać wiernym samemu sobie.

Przełom powojenny odbywa się zatem w dwu etapach: w pierwszym — zwracając się wciąż do tego samego, co przed wojną, adresata — poeta dokonuje z nim satyrycznych obrachunków, pokazuje mu jego wykrzywione w małpim zwierciadle oblicze; w drugim — w poszukiwaniu nowego odbiorcy — podejmuje jedyną w swoim rodzaju próbę: chce — po raz pierwszy od kilku stuleci — stworzyć sztukę całkowicie afirmującą i kolektywną, wyzbytą indywidualnego buntu i tragizmu, sztukę, gdzie artysta — jak w starożytnych chórach — byłby jedynie wodzirejem i gdzie znikłaby granica między nim a konsumentem. Poezję socjalistyczną wyobraża sobie zatem Gałczyński jako sztukę niemal obrzędową: potrzebna jest ona ludziom złączonym wspólnymi przekonaniami po to, aby je w sobie regenerować. Koncepcja ta — nie pozbawiona słuszności — zawęża jednak nadmiernie zadania sztuki socjalistycznej: ta nie wyklucza bynajmniej uczuć ściśle indywidualnych, nie wyklucza i tragizmu. Ujmować ją wyłącznie jako „opiewanie wspólnego szczęścia" — znaczy narażać ją na przesłodzenie i na wszystkochwalstwo, znaczy pozbawić ją elementów walki. To z kolei pociąga za sobą rozpad kompozycyjny utworu; tylko konflikt bowiem może zeń uczynić jednolitą całość.

Niebezpieczeństwo to grozi jednak tylko wtedy, gdy identyfikacja poety z ogółem jest niepełna; znika przy całkowitej. Przykładem tej ostatniej może być poemat N i o b e. Tym, co niepokoiło w nim krytyków, była właśnie jego wieloznaczność. Co symbolizuje owa Niobe? — pytali. — Pokój? Piękno? Kulturę? Socjalizm? Czy wreszcie osobiste przeżycia poety? Niobe jest jednak tym wszystkim równocześnie. Obierając jako stały motyw nieborowską głowę, Gałczyński naświetla ją w ciągu poematu z coraz to innej strony, interpretując ją już to jako głaz stojący nad brzegiem Sipylskiego morza, już to jako rzeźbę wędrującą z rąk do rąk, już to jako matkę szukającą dzieci, już to jako symbol kultury i pokoju, już to wreszcie jako aluzję do własnej okupacyjnej tułaczki. Żadne z tych znaczeń nie jest ostateczne, wszystkie przepływają w siebie, granica między indywidualnym a ogólnym zaciera się. Synteza historiozofii, aktualności i liryki, N i o b e ukazuje budowę socja-

lizmu w łączności z całą dotychczasową historią człowieczeństwa i z osobistym życiem poety.

Najpełniej tę koncepcję sztuki afirmującej i obrzędowej wyraził Gałczyński w Wicie Stwoszu. Wracając raz jeszcze do ulubionego średniowiecza, koncentruje tu jednak uwagę nie na igrcach i jarmarcznych szalbierzach, lecz na człowieku pracy, na rzemieślniku-artyście. Jest to wymyślnie prosta, kunsztownie nieskładna kantyczka o miłości do świata, do pokornych szczegółów życia codziennego, która tworzy sztukę. Misternie prymitywne rymy, przypominające Pieśń o św. Aleksym, dziecinna prostota obrazowania, cała forma poematu, jak gdyby niewprawnie snycowana w drzewie, służą temu, aby uwypuklić centralną figurę artysty, bożego prostaczka, który swą znajomość i miłość powszedniości oddaje na usługi panującej i nie przez siebie wymyślonej idei. Wit Stwosz mówi o sobie:

Co panowie rada uchwalili,
Tom wykonał, jak trzeba.

Gałczyński rozumie zatem sztukę jako solidną robotę rzemieślniczą; koncepcja ta w odniesieniu do średniowiecza jest całkowicie trafna. Widzi w niej jednak również program na dzisiaj. Pisze przecież :

Gdyby Stwosz dzisiaj żył, to by rzeźbił
monterów i szoferów.

Pojmuje zatem artystę nie jako świadomość interpretującą świat, lecz jako wykonawcę tego, co „uchwalili panowie rada": ma on jedynie wyrażać; myśleć i działać będą inni. Sztuka, tak pojęta, nie ma zmieniać rzeczywistości, lecz jedynie ją — uśpiewniać. Koncepcja dworska i renesansowa: są rycerze, aby świat przetwarzać, i są śpiewacy, aby sławić jego urodę.

*

Ten poeta, jeden z najbardziej nierównych, sprzecznych i oryginalnych, jakich zna nasza literatura — kojarzył w sobie cechy, rozdzielone zazwyczaj między odmienne i zwalczające się nawzajem indywidualności. Nowator — rozmiłowany był w tradycji; poeta trudny — trafiał bezpośrednio do serc. Był artystą kameralnym zarazem i masowym, z równą lubością oddychał kurzem biblioteki, co szosy. Zamiłowanie do tandety i jarmarcznych świecidełek łączył z kultem wielkiej sztuki przeszłości.

Był człowiekiem renesansowym.

Artur Sandauer

KONSTANTY

W poezji blasków po brzegi
jam i Anhelli, i Oniegin.
Jam burzą, śniegiem i tęczą,
co na rosy dzwoneczkach dźwięczą.

Zejdę po księżycowym promieniu,
zejdę wydłużony cieniem,
zejdę, zejdę świat zmienić,
ja, osypany gwiazd zielenią.

Przyjdę znów do was świecić fosforem,
blaski każdemu rozdać wieczorem.
Przyjdę z wichrami, przyjdę z piorunem
i twarz rozpalę świetlistą łuną.

Przyjdę, jak dawniej, z błyskotkami,
byście po nocach nie siedzieli sami.
Patrzcie, już idę, jak idą Cyganie,
gdy świeci księżyc, cieniem po ścianie...

Jan Nagrabiecki

JAN PARANDOWSKI

PETRARKA*)

VII

WIENIEC

W roku 1338, ledwo osiadł w Vaucluse, Petrarka zabrał się do pracy, która miała mu zająć wiele lat. Był to zbiór życiorysów, od Romulusa do Cezara — De viris illustribus. Wertował swoich autorów, zbierał w rozsądną całość rozproszone wiadomości, godził ze sobą sprzeczne, odrzucał wszystko, co niedorzeczne i fałszywe, zwłaszcza to, co się kłóciło z charakterem postaci lub nie było godne jej sławy. Nic bardziej nie mogło pociągać Petrarki, który w tym dziele miał sposobność zaspokoić wszystkie swoje uczucia: podziw dla męstwa i cnoty, miłość Rzymu i chwałę jego wielkości. „Zdaje mi się — zwierzał się cieniom Liwiusza — jakbym żył wśród Korneliuszów, Scypionów, Fabiuszów, Katonów, a nie wśród tych skrajnych rzezimieszków, wśród których na świat przyszedłem pod złą gwiazdą."

Objawiał w tym dziele nieco krytyki historycznej, więcej niż mógł się na to zdobyć ktokolwiek w jego czasach, lecz zarazem osłabiał ją osobistym stosunkiem do każdej postaci, w którą wkładał coś z siebie, jakieś źdźbło własnej rozterki i goryczy, własnego niepokoju i znużenia. Tak patrząc na ludzi sprzed wieków potrafił nieraz odkryć pobudki czynów i psychologiczny mechanizm zdarzeń, dla każdego innego tak ogołoconych z cech ludzkich, jakby w tych gemmach, medalach, spiżach i marmurach nigdy nie tłukło się żywe serce.

W tym samym czasie zbierał materiały do innej pracy erudycyjnej — Res memorandae (Rzeczy godne pamięci) — złożonej jakby z samych epizodów, dygresji, anegdot na takie tematy, jak otium, czyli pracowity spokój pisarza albo roztropność, gdzie szafował przykładami z historii rzymskiej, greckiej i nowszej. Erudycja była już humanistyczna, lecz dzieło miało pewien obrzask średniowieczny w swych pedantycznych rubrykach i podziałach. Nigdy go nie skończył.

Ze swoim temperamentem Petrarka nie umiał wytrwać w jednym dziele, zwłaszcza jeśli było zakrojone szeroko. Jego poetycka wyobraźnia gnała go zawsze ku nowym, bardziej kuszącym tematom. A taki właśnie spłynął nań któregoś z kwietniowych dni nad brzegami Sorgii.

*) Patrz numer poprzedni „Twórczości".

Rozszerzyła się pierś zachwytem i dumą, jakby głos z nieba powołał go na wieszcza narodowego.

A f r y k a miała być eposem równym E n e i d z i e. Temat z dziejów rzymskich przedstawiał ostatni okres wojen punickich, zakończony bitwą pod Zamą. Bohaterem był Scypion, z którego Petrarka uczynił idealnego *vir bonus*, wzór rzymskich cnót: piękny, czystych obyczajów, dobry syn, nieskazitelny obywatel, mężny wojownik, człowiek oświecony. Materiału dostarczył Liwiusz, Florus, a i Cyceron, bo z jego pism filozoficznych Petrarka czerpał maksymy dla moralnych sentencji i to, co można by nazwać kolorytem intelektualnym epoki. Formę wziął, oczywiście, od Wergilego z domieszką Lukana.

Po inwokacji do Muzy następowała modlitwa do Chrystusa, pierwsze w literaturze połączenie Olimpu i Golgoty, zapowiedź maniery humanistycznej, która trwała parę wieków. W podobnym duchu przetwarzał Petrarka całą historię, opiewał ją z żywą pamięcią o tym, co wniosło piętnaście wieków. Wizja Rzymu, oglądanego przez posłów kartagińskich, pełna blasków, jakich nie miała jeszcze stolica rzeczypospolitej z końca III w., jak i aluzje do współczesnego opuszczenia i przyszłej chwały łączyły się w ton dumnego patriotyzmu i proroczego uniesienia: „Aż po kres dni, aczkolwiek w ruinie, Rzym twój żyć będzie i do ostatnich wieków dobiegnie, by zginąć razem ze światem..."

Dwukrotnie wśród takich proroctw zjawia się i sam Petrarka. Mówi Scypion Starszy natchniony wiedzą zaświatów jak Anchizes w E n e i d z i e:

> Oto widzę młodzieńca: po wielu wiekach on przyjdzie
> Z kresów Etrurii i czyny twoje opowie, mój synu,
> I będzie nam drugim Enniuszem...

I jeszcze wyraźniej w księdze dziewiątej:

> Widzę młodzieńca z późnego rodu prawnuków,
> Kraniec Italii go zrodzi, a wiek to będzie ostatni.
> On to swą pieśnią z wygnania Muzy sieroce odwoła
> I Helikon starym znowu powróci siostrzycom,
> A imię jego Franciszek...

Dziwnie szybko rozniosła się wiadomość o tym poemacie. Nikt go nie znał, nikt nie widział; nikt nie słyszał ani jednego heksametru, nawet mało kto wiedział, co miało być jego treścią, a wszyscy mówili

o nim z zachwytem. Źródłem tych wiadomości był sam Petrarka, który podawał je w listach do przyjaciół. Był on i w tym prekursorem humanistów, że umiał zawczasu dbać o swoją sławę, co prawda dyskretniej niż oni. Niby od niechcenia, nieznacznym gestem lub słowem, strząśniętą w nawias wzmianką umiał zaprzątać uwagę, pamięć i wyobraźnię przyjaciół, a swoim protektorom narzucać własne życzenia. Nie miał jeszcze lat czterdziestu, gdy jednocześnie dwa miasta — Paryż i Rzym — ofiarowały mu wieniec laurowy.

Pisma z obu stolic przyszły w tym samym dniu, jedno rano, drugie pod wieczór, i przyniosły rozterkę, na którą Petrarka był, jak się zdaje, nieco przygotowany. Wymienił prędko listy z Colonną prosząc o radę. Nie ma potrzeby wątpić, że Colonna dawno o tym wiedział, bo nie bez jego udziału przyszło to zaproszenie. Petrarka mówi, że posłuszny jego radom i własnemu sercu wybrał Rzym. Lecz najpierw ruszył do Neapolu, do króla Roberta, przed którym miał złożyć jakby egzamin i otrzymać promocję na laureata.

Z Andegawenów, wnuk Karola z Anjou, był Robert za młodych lat Petrarki hrabią Prowansji, a więc panem ziemi, na której się poeta wychował. Może z tego tytułu i na tronie neapolitańskim uważał się za protektora i opiekuna Petrarki. Król Robert jest częstym gościem w jego poezji i prozie łacińskiej, gdzie wysławiane są królewskie cnoty, rozum, ludzkość. W chłodniejszej historii nie błyszczy on takim urokiem, ale Petrarka umiał zamykać oczy na wady książąt, zwłaszcza jeśli dla niego byli uprzejmi i życzliwi. Robert zaś w istocie lubił go szczerze i chętnie widział na swoim dworze.

Petrarka był pierwszy raz w Neapolu. Spotkał tam przyjaciół: Dionizego Roberti z Borgo di San Sepolcro, który niedawno przybył z Awinionu, by objąć biskupstwo w apulijskim Monopoli, a nade wszystko: Barbato z Sulmony, który będąc ziomkiem Owidiusza starał się dorównać poecie M e t a m o r f o z i znajdował takich, co wierzyli, że mu się to uda — Petrarka w jednym z listów poetyckich rzuca mu koleżeńskie pozdrowienie. Był on kanclerzem króla Roberta i bardzo się krzątał przy odznaczeniu Petrarki.

Neapol oczarował poetę. Znajdował on tutaj, oprócz pięknej przyrody, drogie sercu humanistycznemu pamiątki: Misenum, uwieńczone legendą i wierszami E n e i d y, jezioro lukryńskie, gorące źródła w Bajach, sławione przez Owidiusza, miejsca dotknięte stopą Eneasza szukającego wejścia do podziemia, grób Wergilego. Było to starorzymskie columbarium, które leżąc pod Posilippo, gdzie był ongi pochowany Wergili, zdobyło sobie legendę i chwałę, jakiej i dziś zażywa u neapoli-

tańskich przewodników. Petrarka z czcią tu pielgrzymował i zasadził laur, który przetrwał kilka stuleci i jeszcze w wieku XIX zatrzymywał podróżnych — autentyczna pamiątka po nowożytnym poecie przy nieautentycznym grobie starożytnego poety.

Egzamin królewski trwał trzy dni. Rozprawiano o Wergiliuszu i król był oszołomiony zgiełkiem symbolów i alegorii, które Petrarka wykrywał w każdym wierszu. Poeta czytał Robertowi swoje poezje łacińskie, objaśniał je, wynikały dyskusje, wreszcie nadeszła uroczysta chwila, gdy zaczął skandować heksametry A f r y k i. Żadne ucho nie było zdolne wyłowić zdarzających się tu i ówdzie dysonansów przez błędy iloczasu, z których sam Petrarka nie zdawał sobie sprawy, wszystkich upoił ten rytm od wieków nie słyszany w utworze współczesnym, zdawało się, jakby to ktoś z augustowskiej epoki zagościł na dworze neapolitańskim. Gdy wreszcie Petrarka przeczytał fragment z żeglugi Magona, najświeższy, napisany pod wrażeniem własnych przeżyć, wśród czarów zatoki neapolitańskiej, zapadło najpierw takie milczenie, jak w E n e i d z i e pod koniec opowieści Eneasza *(conticuere omnes...)*, potem podniosły się okrzyki zachwytu. „Trzeba przyznać — mówiono — że nasz Petrarka przewyższył Wergilego i Cycerona". Oto, aby taki sąd posłyszeć, Petrarka rozstał się w swej twórczości z mową włoską, takie słowa były właściwą nagrodą za pracowite dni i niespokojne noce.

Dziwnym kaprysem zegar życia znów wybił dla Petrarki wielką godzinę w kwietniu 1341. Drugiego kwietnia wyruszył z Neapolu w towarzystwie Jana Barili, który miał zastępować króla Roberta podczas ceremonii uwieńczenia. Po drodze Barili się odłączył, żeby oczekiwać u bram Rzymu. Lecz w okolicy Anagni napadli na niego zbóje i ledwo im umknął uciekając do Neapolu. Petrarka na próżno rozglądał się za nim przy wjeździe do Rzymu, gdzie stanął 6 kwietnia, w pamiętny dzień poznania Laury.

Był gościem Colonnów, jak za pierwszym pobytem, przed czterema laty. Senatorem, czyli najwyższym urzędnikiem Rzymu, jakby prezydentem miasta, był stary Orso dell'Anguillara, który również podejmował Petrarkę w 1337. Jego urząd kończył się właśnie w dniu Wielkiej Nocy i Orso chciał mieć ten zaszczyt, by w ostatnim dniu swej godności wprowadzić poetę na Kapitol.

Petrarka w szkarłatnym płaszczu, który mu ofiarował król Robert, stanął w wielkiej sali pałacu senatorskiego na Kapitolu. Strojna w kobierce i kwiaty, nie mogła pomieścić wszystkich urzędników, przedstawicieli cechów, rycerzy, dam, ludu, który się cisnął na schodach. Za-

grały trąby. Weszło dwunastu młodzieńców z patrycjuszowskich domów, w szkarłatnym stroju, i jeden po drugim deklamował wiersze Petrarki na chwałę Rzymu. Zaczem zjawiło się sześciu obywateli w sukniach zielonych, każdy z innym wieńcem na głowie, za nimi senator Orso z wieńcem laurowym. Gdy usiadł, herold wywołał Petrarkę.

Wśród ciszy poeta przemówił wierszem z G e o r g i k Wergilego:

Sed me Parnassi deserta per ardua dulcis
Raptat amor...

Mówił krótko, skromnie i powściągliwie, mogło się zdawać, że nie przygotowany, że bierze słowa, jakie mu nastręczają czcigodne kamienie Rzymu i wzruszone twarze słuchaczy. Zakończył okrzykiem: „Niech żyje lud rzymski i senator! Niech żyje wolność!" I ukląkł przed senatorem. Ten, zdejmując z głowy wieniec, włożył go na głowę Petrarki i rzekł:

— Weź ten wieniec, nagrodę cnoty.

Jednocześnie ogłosił go mistrzem poezji i obywatelem Rzymu. Petrarka podziękował sonetem ku czci dawnych Rzymian. Gdy umilkły oklaski i okrzyki, stary Stefano Colonna, głowa rodu, ojciec Jakuba Colonny, biskupa z Lombez, przyjaciela Petrarki, wygłosił wielką pochwałę uwieńczonego. Lud wołał: „Niech żyje Kapitol! Niech żyje poeta!" Zaczem ze stoków Kapitolu ruszył pochód przez całe miasto do bazyliki świętego Piotra, gdzie Petrarka złożył swój wieniec u stóp ołtarza jakby na znak, że się odwrócił porządek tryumfów, które ongi od Wzgórza Watykańskiego zmierzały na Kapitol. Wieczór rozjaśniły blaski pochodni, przy których ucztowano w pałacu Colonnów.

Był to wielki dzień dla Rzymu. Opuszczone przez papieży, zepchnięte w nędzę i zaniedbanie miasto, które przydomek „wiecznego" raczej upokarzał niż uświetniał, odetchnęło w ten dzień kwietniowy nie zaznaną od wielu lat wiosną serc. Wszystkie biły radością i nadzieją, bo oto znów stare ulice Rzymu widziały orszak tryumfalny, ale — o dziwo! — nie odprowadzał on żadnego z łupieżców i grabicieli cudzych ziem, nie szły w nim tłumy jeńców w łańcuchach, nie niesiono skrwawionych zbroi, zdartych z poległych wojowników, nie powiewały ani zdobyczne sztandary, ani napisy wygranych bitew, spalonych miast, ujarzmionych ludów, tryumfatorem był rycerz słowa, zdobywca podobłocznych krain wyobraźni. Lud rzymski wiwatując na jego cześć nie wyrażał podziwu dla jego dzieł, których nie znał i nie rozumiał, ale radosne zdumie-

nie na widok baronów, zawsze wrogich i ze sobą skłóconych, a w tym dniu uśmierzonych jakąś niepojętą siłą: to ona kazała im iść zgodnie w orszaku poety.

Dyplom, który senator wręczył Petrarce, powoływał się na przykłady z historii Rzymu, gdzie wawrzynem wieńczono zarówno zwycięskich wodzów, jak i poetów, zapewniających sławę i nieśmiertelność wielkim czynom. W naszych czasach — głosił dyplom — tak zbladła chwała poetów, że rozpowszechniło się mniemanie, jakoby w ich dziełach nie było nic oprócz kłamliwych wymysłów. Lecz godność poety jest wysoka i pełna powagi: on w barwach i cieniach poezji z tym większym powabem dźwięczną pieśnią ukazuje prawdę. Niegdyś wieńczono poetów na Kapitolu, lecz zwyczaj ten od 1300 lat został zapomniany, dopiero teraz znakomity poeta i dziejopis, Franciszek Petrarka, za swoje zasługi dostąpił tego zaszczytu. Na wniosek króla Sycylii i Jerozolimy senatorowie ogłaszają Petrarkę wielkim poetą i dziejopisem, nadają mu stopień magistra, kładą na jego głowę wawrzyn i powagą wspomnianego króla oraz ludu rzymskiego, udzielają mu praw zarówno w Rzymie, stolicy świata, jak i wszędzie indziej — nauczania, dysputowania, objaśniania własnych i cudzych utworów poezji i historii, i kiedy mu się podoba, może on występować w stroju poety, z wieńcem z wawrzynu, mirtu albo bluszczu.

Każdą wolną chwilę, jaką mu zostawiały owacje, przyjęcia, uczty, poświęcał Petrarka na odwiedzanie swych czcigodnych znajomych — ruin i zabytków Rzymu. Spotkał wśród nich młodego człowieka o bystrym spojrzeniu, swobodnej wymowie i niepospolitej znajomości antyku. Można się było od niego dowiedzieć wielu rzeczy nikomu nieznanych, jakby mu o tym powiedziały te stare kamienie, wśród których, zdawało się, żyje bardziej niż wśród ludzi. W jego słowach był żar i w pewien wieczór Petrarka gotów był przysiąc, że to one, a nie zorze płonęły na fasadzie Sant Adriano, który był ongi senatem rzymskim. W pewnej chwili młody człowiek, porzucając cytaty z Liwiusza, zapytał Petrarkę w mowie ojczystej, czy słyszał kiedy imiona: Crescenzia i Arnolda z Brescii. Petrarka skinął głową:

— Ale dlaczego o to pytasz?

— Chciałem ci powiedzieć, że duch republiki rzymskiej nie spłonął z nimi razem na stosie.

Nie widział go odtąd Petrarka aż do swojego wyjazdu. Młody człowiek żegnał się z nim na via Flaminia.

— Spotkamy się jeszcze.

— Gdzie? — zapytał Petrarka.

— W Awinionie.

Odsunął się na bok dając przejście senatorom i dostojnikom, którzy odprowadzali poetę. Nazywał się Cola di Rienzo, był synem oberżysty.

VIII

ROZDROŻE

Gdy coraz szerszymi kręgami rozchodził się po Włoszech rozgłos tych niezwykłych uroczystości, Petrarka, upojony i szczęśliwy, z każdego postoju w swej drodze powrotnej rozsyłał listy do przyjaciół. Z Pizy, gdzie stanął pod koniec kwietnia, pisał do króla Roberta: „Nową sobie u Muz zaskarbiłeś wdzięczność, gdy im ten mój skromny talent tak uroczyście poświęciłeś. Jednocześnie i sam Rzym, i podupadły pałac kapitoliński ozdobiłeś niespodzianym weselem i niezwyczajną zielenią. Mała rzecz! — ktoś powie. Lecz swoją nowością doniosła i uświetniona poklaskiem i radością ludu rzymskiego. Tradycja wawrzynu została nie tylko przerwana w ciągu długich wieków, ale po prostu zapomniana, kiedy inne troski i dążenia zaprzątały społeczeństwo, dopiero nasz wiek ją odnowił — za twoim przewodem, z moim skromnym udziałem."

Nie brakło zawistnych, którzy głośno sarkali, że jemu właśnie przypadł ten zaszczyt: podawano imiona pominiętych, jakoby świetniejsze. Inni wzruszali ramionami: nie ma dziś poetów godnych takiej sławy i takiego hołdu. Byli niegdyś w tych czasach, kiedy żył Wergili, Horacy, Owidiusz. „Jak było, tak i będzie — odpowiadał Petrarka i za siebie, i za wszystkich odznaczonych poetów, jacy kiedykolwiek mieli się zjawić — wiecznie to samo: dawne czasy cześć, a współczesne ściga zawiść."

Mógł jednak lekceważyć zawistnych, los był mu bardziej niż kiedykolwiek życzliwy. Znalazł nowego anioła-stróża w postaci pięknego rycerza, który w błyszczącej zbroi, na wspaniałym rumaku, niby święty Jerzy ze złoconych fresków awiniońskich, jechał u jego boku. Był to Azzo da Correggio, ten sam, w którego sprawie stawał ongi Petrarka przed sądem kurii papieskiej. Szło o Parmę. Prawnie należało to miasto do państwa kościelnego, jako dar hrabiny Matyldy jeszcze z czasów Grzegorza VII, po długich jednak walkach i sporach dostało się Skaligerom z Werony. Oni właśnie zajęli Parmę w roku 1335, a namiestnikiem ustanowili Guidona da Correggio, brata Azza. Sam Azzo pojechał do Awinionu bronić przed papieżem praw Skaligerów. Znalazł w Petrarce, swym rówieśniku, świetnego adwokata i ten je-

dyny raz w życiu, kiedy poeta skorzystał ze swoich studiów prawniczych, przyniósł mu tryumf. Parmę przyznano Skaligerom.

Azzo towarzyszył Petrarce z Awinionu do Neapolu, nie odstępował go w Rzymie, teraz odbywali razem drogę powrotną. Lecz nie Muza prowadziła za uzdę jego konia. Azzo, ledwo wygrał sprawę Skaligerów w Awinionie, zaczął przeciwko nim intrygować wszędzie, gdzie tylko mógł, w Neapolu zyskał poparcie króla Roberta i gdy Petrarka kładł na głowę wawrzyn poetycki, on był już pewny, że jego rodziny nie ominie diadem. W istocie bracia da Correggio zajęli Parmę i w dniu 21 maja 1341 Azzo wjechał do Parmy jako jeden z jej władców razem z braćmi: Gwidonem, Szymonem i Janem. Petrarka jechał z nimi i rozczulał się entuzjazmem ludu, który jak zwykle przy odmianie, spodziewał się lepszego losu.

Dobrze mu było w Parmie, w serdecznej gościnie u panów da Correggio. Swoim zwyczajem włóczył się po okolicy, najchętniej w Selvapiana leżącej między Parmą a Reggio. Nad brzegami Enzy wznosiły się wzgórza, porosłe lasem bukowym. Było tu wszystko, co najbardziej lubił: chłodny mrok lasu, otwierający się nagle na roześmiane słońcem równiny, winnice, pola, łąki w kwiatach, potok chrzęszczący w wąskim łożysku, skały, cisza nie zamącona głosem ludzkim i ofiarowana ptakom. „To wonne miejsce do rajskich błoni podobne — sławił je w wierszu łacińskim. — Muza tędy przechodzi. Tu stajał serca lód w świętym ogniu poezji. Moja pieśń bohaterska o Afryce od dawna zamilkła, lecz oto czar lasu zbudził mnie z uśpienia i włożył pióro w dłoń." Jeszcze na schyłku życia w swym liście do potomności wspominał te błogosławione dni, kiedy swój poemat prawie doprowadził do końca.

Myślał na stałe osiąść w Parmie, już się krzątał około kupienia domu, lecz znów go poniosło dalej. Nigdzie teraz nie znajdował spokoju. Po nocach nawiedzały go sny dręczące, w jednym z nich ujrzał swojego przyjaciela, Jakuba Colonnę, biskupa Lombez, jak szedł samotnie przez ogrody i pola. Petrarka zapytał go, dokąd idzie. „Do Rzymu" — odpowiedziała mara. Okazało się później, że tej samej nocy biskup umarł.

W Awinionie przyjęto uwieńczonego poetę z entuzjazmem. Był na audiencji u papieża, który mu nadał zaszczytne beneficjum w Pizie, Colonnowie wydawali dla niego uczty, które wobec świeżej żałoby nie mogły być zbyt huczne, były za to bardziej literackie. Każdy chciał słyszeć bodaj skrawek A f r y k i, na ulicach witano go okrzykami, Laura uśmiechnęła się doń z daleka i ów *„dolce saluto"* został natychmiast upamiętniony sonetem. Bliski czterdziestki Petrarka jakby od-

prawiał gody jesienne, był znów wesoły, nie stronił od towarzystwa, a gdy znikał, rozgrzeszały go pobłażliwe plotki. Nie możemy ich słyszeć, dlatego nie znamy imienia kobiety czy dziewczyny, która niebawem została matką jego ukochanej córki, Franciszki. Są przypuszczenia, że była to ta sama, która dała mu parę lat wcześniej syna, Jana. Jeśli była inna, tak samo jak tamtej nie wspomniał ani słowem, gorzej, bo w jednym z sonetów mówi z goryczą o tym okresie życia: „Płynie mój okręt w pełni zapomnienia po morzu burzliwym, wśród nocy i zimy, między Scyllą i Charybdą, a u steru siedzi Pan i wróg mój... Zginął wśród fal rozum i kunszt, nie widzę przed sobą przystani."

Nieszczęście dotknęło brata Gerarda: umarła kobieta, którą kochał. I nagle ten człowiek lekki, wesoły, towarzysz wszystkich, którzy w Awinionie lubili i umieli się bawić, doznał wielkiej przemiany. Najpierw odsunął się od świata, a w parę miesięcy porzucił go zupełnie, włożył habit i zamknął się w klasztorze Kartuzów pod Marsylią, w okolicy, którą niegdyś zwiedzał razem z Petrarką, gdy pielgrzymowali do groty Marii Magdaleny. Petrarka był wstrząśnięty. Czyż ma się powtórzyć w życiu epizod z wyprawy na Wietrzną Górę, gdzie Gerard, śmielszy i bardziej stanowczy, szedł prosto ku szczytom i wzywał do siebie brata, który, gnuśny i niepewny, szukał na próżno drogi po wąwozach? Petrarka skrył się w Vaucluse, aby przeżyć w samotności tę bolesną naukę.

Opadły go wszystkie troski i zgryzoty, które szły w trop za nim od lat. W doli czy w niedoli, wśród prac czy zabaw nawiedzała go niechęć do życia i świata, smutek i niesmak — do siebie, do swoich czynów i słów, do przeszłości, której w takich dniach nienawidził i do przyszłości tonącej w posępnym mroku. Nic nie było warte zachodu, dzień wstawał niepotrzebnie, noc skradała się jak złośliwa starucha płosząc z kątów mary, widma, strachy. Dręczył go niepokój bez nazwy i przyczyny. Demon średniowieczny, Acedia, siadał u jego stołu i wezgłowia.

W takiej właśnie chwili zaczął pisać S e c r e t u m, czyli — jak podaje autograf — D e s e c r e t o c o n f l i c t u c u r a r u m m e a r u m (O tajemnym sporze moich frasunków). Nie było to przeznaczone dla niczyich oczu oprócz własnych, które miały tu czerpać pociechę dla zmęczonego umysłu, gdy znów nadejdą dni rozterki. I zdaje się, że w istocie nikt nie zajrzał do S e c r e t u m za życia Petrarki. Tak jak dotąd szukał pokrzepienia w W y z n a n i a c h św. Augustyna, tak teraz chciał mieć podobnie budującą książkę, ale bardziej osobistą, własną, w której by słyszał swój głos i swoje serce.

Był to dialog na wzór Cyceronowych T u s k u l a n e k. Petrarka zaprosił na rozmowę towarzysza z Wietrznej Góry, świętego Augustyna, a była z nimi jeszcze trzecia osoba, milcząca, lecz samą obecnością wymowna — Prawda. Augustyn pytaniami jak na sądzie lub jak w konfesjonale wydobywał z duszy poety najbardziej poufne wyznania. Badanie trwało trzy dni, ujęte w trzy księgi — dotyczyło stosunku do śmierci, sławy, miłości. Poza słowami rozmawiających odzywały się głosy filozofów i poetów, których Petrarka powoływał na świadków.

Oto święty Augustyn przetrząsa duszę poety i nie znajduje w niej siły, hartu, woli. Jesteś nieszczęśliwy? Nieprawda, chcesz się tylko czuć nieszczęśliwym. Na próżno Petrarka powołuje się na swoje współczucie z niedolą ludzką, na swoje dążenie do czystości i cnoty. Czyż można zawsze tylko dążyć? Czyż godzi się mówić: ja chcę, ale nie mogę, gdy w istocie trzeba powiedzieć: nie mogę, bo nie chcę. Na próżno Petrarka powołuje się na swoje łzy, udręki, cierpienia. „Widziałem twoje łzy — mówi święty — nie widziałem twojej woli."

Niestety, ani łez od oczu, ni zgryzoty nie umie odpędzić od serca. Śmierć... „Słowo: śmierć — przerywa mu Augustyn — nie powinno być tylko przeznaczone dla uszu i dla przelotnej myśli, lecz powinieneś się w nim zagłębić i wyobrazić sobie jakbyś sam umierał. Dopiero wtedy myśl o śmierci ma swoją wartość, kiedy człowiek potrafi ją przeżyć tak, jakby jej rzeczywiście doznał." Na to Petrarka: „Niech mi Bóg wybaczy, lecz co dzień tonąc w tych posępnych myślach, a najbardziej po nocach, gdy umysł zwolniony od dziennych kłopotów skupia się w sobie, wtedy wyprężam to moje ciało, staję się sztywny, zdaje mi się, że naprawdę umieram i doznaję takiego wstrząsu, że zrywam się przerażony i krzyczę jak oszalały."

Ilekroć jednak wraca do tego przedmiotu opisując swoje zmory, lęki, niepokoje, nie widać, żeby szukał na nie rady z całą szczerością i dobrą wiarą, raczej znajduje w tym jakieś gorzkie zadowolenie, może sądzi, że gdyby się wyleczył, stałby się innym człowiekiem. — A ty nie chcesz być inny! — woła św. Augustyn. — Zbyt ufasz swoim zdolnościom, zbyt jesteś zarozumiały ze swojej wymowy, wiedzy, nawet z urody cielesnej — miłe ci są bogactwa, zaszczyty, nawet ze smutku czynisz sobie rozkosz.

Wszystko to prawda — Petrarka ani myśli się zapierać i w swej skrusze daje obraz owej „acedii", niesmaku i zniechęcenia, jakie go trawią nieustannie. Lecz święty spowiednik wydobywa na jaw dwie inne zmazy jego duszy: miłość do Laury i pragnienie sławy. Laura? Ależ to ona właśnie od zarania młodości prowadziła go ku rzeczom

szlachetnym i wzniosłym, to ona odwracała jego wzrok od ziemi ku niebu, to jej zawdzięcza czystość uczuć, to ona budziła z uśpienia jego ducha. Augustyn nie może się z tym zgodzić: ona ciebie odwodziła od rzeczy niebieskich i zamiast łaknąć Stwórcy, uczyła łaknąć stworzenia. Petrarka się broni: przecież nie ciało było przedmiotem mojej miłości, ale duch. Krzyżują się pytania i odpowiedzi.

Augustyn: Czy pamiętasz swoje młode lata? Ileż mocy miała w tobie wówczas bojaźń boża, myśl o śmierci, przywiązanie do wiary, umiłowanie cnoty!

Petrarka: Pamiętam i widzę z żalem, że z biegiem lat ubywa mi cnót.

Augustyn: W jakiej chwili życia to się zaczęło?

Petrarka: W połowie lat młodzieńczych. Jeśli pozwolisz, powiem dokładnie w którym roku.

Augustyn: Nie żądam tak ścisłej rachuby. Powiedz mi raczej, w jakim okresie ujrzałeś piękność tej pani.

Petrarka: Nigdy tego nie zapomnę.

Augustyn: Porównaj dwie daty.

Petrarka: Spotkałem ją w tym samym czasie, w którym przez swoje grzechy ściągnąłem na siebie naganę.

Augustyn: To właśnie chciałem od ciebie usłyszeć...

Nie mogąc posiąść Laury brał w ramiona inne kobiety: czystość była fałszem, prawdą był grzech. Chciałbyś stać jedną nogą w niebie, a drugą na ziemi, lecz to grozi tylko upadkiem.

W końcu Augustyn dotyka najczulszej struny — sławy: „W ciągu twej nieustannej pracy, podczas nocnych studiów, w twoim namiętnym poszukiwaniu wiedzy myślałeś tylko o sławie: I nie wystarczała ci sława u współczesnych, myśl twoja szła dalej, chciałeś mieć sławę u potomności i w tym celu podjąłeś pracę nad historią rzymską i nad A f r y k ą." „Cóż mam robić?" — jęczy Petrarka. — „Oddać się całkowicie swojej duszy i jej zbawieniu." „Dobrze, ale nie zaraz, niech najpierw doprowadzę do końca zaczęte prace. Nie mogę się zatrzymać w połowie." „Znów mówisz: nie mogę, zamiast nie chcę."

Tak się kończy ten nie rozstrzygnięty „spór trosk". Petrarka nie miał w sobie powołania do zakonu, choć tak często krążył myślami po klasztorach, nie był ascetą, chociaż w ascezie widział najpewniejszą drogę do wewnętrznego pokoju. Zamykał S e c r e t u m w gorzkim przekonaniu, że zawsze zostanie przy swojej rozterce, przy swoim niepokoju, na rozdrożu, o którym nie wiedział, że jest rozdrożem dwóch epok.

IX

PIEŚŃ i LIST

Mijając kościół Saint-Agricol natknął się Petrarka na młodego człowieka, który go zatrzymał łacińskim powitaniem. Poeta, zajęty swoimi troskami, nie od razu go poznał, dopiero gdy ów przypomniał mu Rzym i pożegnanie na via Flamina, odgadł, że stoi przed nim Cola di Rienzo. Wyglądał znacznie gorzej niż wtedy — blady, mizerny, jakby trawiony głodem lub gorączką. Okazało się, że i jedno, i drugie mu doskwiera. W kilku słowach opowiedział swoje przygody.

Po śmierci Benedykta IX zjechało do Awinionu poselstwo szlachty rzymskiej, żeby być przy obiorze i koronacji nowego papieża, złożyć mu hołd i otrzymać zatwierdzenie swych przywilejów. Przewodniczyli w nim Colonnowie i Orsini, a głównym mówcą był Lello Stephani di Tosectis, syndyk ludu rzymskiego, drogi Petrarce „Laelius", przyjaciel, powiernik, adresat wielu listów. Tymczasem w Rzymie wzięła górę partia ludowa, której duszą był Cola di Rienzo i on właśnie, nikomu tu nie znany, bez protekcji, z zaufaniem tylko w dobrą sprawę, przyjechał bronić przed Stolicą Apostolską praw ludu rzymskiego. Nowy papież, Klemens VI, słuchał go życzliwie, nawet pozwolił stanąć przed konsystorzem i wygłosić jedną z tych mów, którymi Cola umiał zdobywać serca i umysły. Lecz oto nagle, jakby nic nie zaszło, w maju papież zamianował dwóch senatorów Rzymu, Matteo Orsini i Paolo Conti, przedstawicieli znienawidzonych baronów. Był to skutek intryg kardynała Jana Colonny...

Cola di Rienzo bystro spojrzał w twarz Petrarki wymawiając to imię. Poeta pochylił głowę. Znał swego przyjaciela: kardynał w żadnej sprawie, a zwłaszcza takiej, nie przestawał być Colonną, dumnym panem, który nie uznawał roszczeń pospólstwa i raczej przystałby na powierzenie władzy jednemu z Orsinich niż oddanie jej przedstawicielowi ludu.

Nie dość — skarżył się Cola — że usunęli mu grunt spod nóg w Awinionie, że zamknęli przed nim drzwi do papieża, jeszcze postanowili go zniszczyć w samym Rzymie: zajęto jego mienie, zagrożono mu więzieniem. Pieniądze, które wziął ze sobą, wsiąkły w niesytą ziemię awinionską, głód zagląda mu w oczy, czuje się słaby i chory.

Nieznacznie, aby swobodniej rozmawiać, okrążyli kościółek i stali teraz pod jego absydą obrosłą prastarym bluszczem, w miejscu tak ustronnym, jakby nie znajdowało się w ludnym i gwarnym Awinionie.

Miało się ku zachodowi i w splotach bluszczu wróble kłóciły się już o nocleg. Słońce oświecało zmurszałe mury kościoła, który dobrze wyobrażał ruinę, o jakiej mówił Cola. A mówił z żarem niepojętym. Porzucając raz po raz ojczysty język, ową szorstką gwarę Rzymu, która pachniała razowcem i plecakiem starożytnych legionistów, wpływał strumieniem słów w łacinę dziwnie bujną, rozłożystą, o barwach witraży, z chwiejącymi się płomieniami świec, a ten język ambony spadał nagle na bruk, na wyszczerbione płyty starorzymskich ulic i cwałował po nich zgiełkiem zdyszanych tłumów. Jego słowa czuć było potem i krwią. Wszystkie gwałty baronów, wszystkie nędze ludu rzymskiego krzyczały w nim oburzeniem, nienawiścią, zemstą. „Ilekroć wspomnę tę rozmowę — pisał Petrarka w trzy dni później — serce mi się rozżarza i jestem gotów sądzić, że to nie był głos człowieka, ale Boga, dochodzący mnie z głębi kościoła."

...Od tego dnia wciąż jestem z tobą i raz mnie rozpacz nawiedza, raz nadzieja i między jedną a drugą się ważąc mówię sobie: O, gdyby kiedyś!... O, gdyby się to za moich dni zdarzyło! O, gdybym mógł mieć udział w dziele tak wspaniałym, w tak wielkiej chwale!..."

Zmienił się od razu stosunek kardynała Colonny i papieża do notariusza rzymskiego: nie podobna było lekceważyć człowieka, za którym stanął Petrarka. W kilka tygodni później Klemens VI w liście do senatorów Rzymu nakazywał im cofnąć wszystkie wyroki przeciw Mikołajowi, synowi Wawrzyńca, który stoi pod jego opieką. W istocie odtąd na niczym mu nie zbywało i Cola mógł na dworze papieskim spędzić bez mała rok.

Petrarka tymczasem ruszył do Neapolu jako papieski „orator" w poselstwie do królowej Joanny, która objęła tron po niedawnej śmierci króla Roberta. Ustanowienie regencji przy nieletnim królewiczu Andrzeju papież uznał za bezprawie, ponieważ do niego należała opieka nad osieroconym królestwem.

Burzliwa to była podróż. Parę razy Petrarka przesiadał się z okrętu na konia i znów z konia na okręt, tu burzą, tam wojną ścigany. Listopadowe morze spędzało go na ziemię, a ta, najeżona mieczami i włóczniami wojujących państewek, okazywała się jednako niebezpieczna i sam już nie wiedział, jakim cudem dotarł do Rzymu. Tu, jak zwykle, przyjął go niezawodny w swej gościnności dom Colonnów i stąd odbył już spokojnie dalszą drogę do Neapolu.

W niespełna dwa lata jakaż odmiana! Łaskawy, życzliwy, oświecony dwór króla Roberta przeobraził się w dom rozpusty, podstępów, intryg. Jakby na urągowisko, to samo drogie Petrarce imię Roberta

nosił mnich, który zawładnął i królową, i jej dworem. Oto jakich farb użył Petrarka dla odmalowania tej postaci:

„Zjawiło się przede mną — pisze do kardynała Colonny — trzynożne zwierzę, bose, z odkrytą głową, dumne ubóstwem, w rozkoszach zwiędłe. Ostrzyżony, czerwony na gębie, z otyłym zadem, ledwo osłoniętym skąpym fałatem — oto człowiek, który ośmiela się patrzeć z góry nie tylko na ciebie, ale i na papieża spogląda jakby z wysokiej skały swojej świętości. Nie dziw — w złocie gruntuje się jego pycha, bo fama głosi, że jego kabza jest w niezgodzie z habitem. Ten nowy gatunek tyrana nie nosi diademu ani purpury, ani oręża, ale brudne płaszczysko, które go ledwo do połowy okrywa, nie starość go garbi, ale obłuda, nie wymową jest silny, ale milczeniem i chmurnym czołem. Uwija się po królewskim pałacu podpierając się laską, ludzi niskiego stanu roztrąca, sprawiedliwość depcze, kazi wszelkie boskie i ludzkie prawa."

Wszystko na dworze było zatrute jakimś obcym duchem. Petrarka nie mógł nic wskórać, jego poselstwo było bezowocne. Sam je zresztą osłabiał, wziąwszy na siebie niewdzięczną rolę orędownika paru łotrów, których trzymano w więzieniu, a których Colonnowie chcieli uwolnić. Po paru dniach najchętniej by stąd uciekł, gdyby nie starzy przyjaciele — Barbato i Barrili. Z nimi odbywał wycieczki po okolicy, niesyty jej piękności i wspomnień historycznych. Lecz jakby żywioły się sprzysięgły, nawiedziła Neapol wielka klęska. Krążyła o niej przepowiednia, spodziewano się trzęsienia ziemi. W zapowiadanym dniu rozszalała się burza, jakiej nie pamiętano. Trwała całą noc, nazajutrz miasto wyglądało jakby po najeździe wroga: zwalone domy, trupy na ulicach. W porcie zatonęło kilka statków. Patrząc na wściekłe fale, rozmiatające maszty i belki kadłubów, Petrarka przysięgał, że nigdy więcej nie wejdzie na okręt. „Zaklinam cię — pisał do kardynała Colonny — byś mi nigdy nie kazał powierzać życia wiatrom i falom. W tym jednym nie będę posłuszny ani tobie, ani papieżowi, tak jak nie usłuchałbym ojca, gdyby wrócił na świat. Powietrze ptakom zostawiam, morze rybom: ja jestem zwierzę lądowe i po ziemi chcę chodzić." Powiada, że na lądzie stałym ani Maur mu nie straszny, ani Sarmata, gotów iść aż do Indii.

Neapol nie był bardziej bezpieczny od tych dzikich krajów. Rozmowy, narady, zebrania przeciągały się do nocy, która w grudniu wcześnie zapada, a „tutaj — pisze — nocna droga tak jest niepewna, jak w puszczy. Wszędzie pełno młodych szlachciców, uzbrojonych i nieposkromionej zuchwałości: ani ojciec, ani władza, ani królewski majestat

nie utrzyma ich w ryzach. ...Cóż tu się dziwić, że w ciemnościach nocnych bez świadków pozwalają sobie na takie swawole, gdy w jasny dzień na oczach królów i ludu odbywa się w mieście włoskim to haniebne igrzysko gladiatorskie z bardziej niż barbarzyńskim okrucieństwem. Niby zwierzęca przelewa się krew ludzka i przy oklaskach widzów, w przytomności rodziców zarzyna się ich synów, od których żąda się odwagi, jakby walczyli za ojczyznę albo o zbawienie wieczne. Nieświadom tego dałem się zaprowadzić na miejsce, które zwą Węglarnią, nieopodal miasta, i to imię słusznie mu się należy jako dymnej fabryce okrutnej śmierci. Była królowa, z nią królewicz Andrzej, pacholę wielkiego umysłu, było całe wojsko neapolitańskie tak świetne jak nigdzie, i tłum rzeką płynący. Spodziewałem się w tym wspaniałym zgromadzeniu zobaczyć coś wielkiego i wytężałem oczy, aż tu nagle, jakby się zdarzyła rzecz niezwykle radosna, uderzyły w niebo nieopisane oklaski. Rozglądam się i widzę urodziwego młodzieńca, który przeszyty mieczem pada u moich stóp..." Nie patrzył dłużej i wskoczywszy na konia uciekł od tej ohydy. Nie pomyślał nawet, że takie igrzyska rozgrywały się przez kilka wieków w czcigodnych murach Rzymu, których z takim nabożeństwem dotykał i że bywali na nich ludzie, których w swoich marzeniach widywał przeobrażonych w niebiańskie postacie. Niebawem opuścił Neapol.

Po neapolitańskich rozczarowaniach z rozkoszą odetchnął gościnnym powietrzem Parmy. Miał teraz czas zająć się nabyciem i urządzeniem domu, o czym od dawna myślał. Stał ów dom — i dotąd stoi — przy kościele św. Szczepana na przedmieściu świętojańskim otoczony rozległym ogrodem. Petrarka był zachwycony tą nową siedzibą, z której zamierzał uczynić swój „włoski Helikon", rywala Vaucluse, która była zaalpejskim Helikonem. Był tym tak pochłonięty, że nie miał głowy do rozejrzenia się w sytuacji Parmy i nagle przekonał się, że samochcąc wpadł w pułapkę.

Niestały Azzo da Correggio, pokłócony z braćmi, sprzedał Parmę za sześćdziesiąt tysięcy złotych florenów markizowi Obizzo d'Este z Ferrary. To rozjątrzyło sąsiednich książąt i koalicja Gonzagów, Viscontich, Skaligerów, bolońskich Pepoli i Carrara ruszyła przeciw markizowi, używając wojsk najemnych złożonych przeważnie z Niemców. Parma była oblężona. Petrarka uciekł.

Z niewielką eskortą wykradł się w pewien wieczór marcowy z miasta i udało mu się wyminąć nieprzyjacielskie posterunki. Była już głęboka noc, gdy znalazł się pod Reggio, lecz miasto było zajęte i musiał dalej uciekać. Nagle z zasadzki wyskoczyła banda zbójów i opadła

h z okrutnym wrzaskiem. Byli nieliczni, byli bezbronni, konie ich ratowały. Za uciekającymi sypały się kamienie i oszczepy. Nikt nie ostał raniony. Lecz koń Petrarki potknął się w ciemności. Wysadzony siodła Petrarka upadł i złamał rękę. Nie czując w trwodze bólu skoczył z powrotem na konia i biegł dalej. Zauważył, że jedzie z paru lko towarzyszami, reszta rozproszyła się, część zawróciła do Parmy. Nowy dopust boży: burza z piorunami, deszcz ulewny. Zeszli z koni pod ich brzuchami szukali schronienia. Za każdym gromem zwierzęta zucały się, była obawa, że lada chwila spłoszą się i znikną wśród tej cy piekielnej. Petrarka zaciskał zęby z bólu, ręka coraz bardziej rzmiewała. Wreszcie deszcz ustał, o pierwszym brzasku ruszyli dalej, iepewni swej drogi. Pierwsze miasto, do którego dotarli, Scandino, kazało się w przyjaźni z Parmą. Tu dowiedzieli się, że czatowała na ich pod murami gromada konnych i pieszych napastników, lecz odędziła ich ta sama burza, którą wydała się Petrarce ostatecznym kreem. W parę dni później stanął w Bolonii i wyczerpany, chory położył ę do łóżka.

Ci, którzy czuwali przy nim, zapowiadali ciężką chorobę. Przez niepokojny sen rzucał oderwane słowa: *Italia mia — rabbia tedesca — iletto almo paese — crudel guerra — latin sangue gentil*... „Krew mu ię burzy — mówili. — Majaczy." Nigdy jego umysł nie był bardziej asny a serce bardziej rozumne. Nazajutrz nie mogąc się ruszyć ani zziąć pióra do ręki, kazał wołać sekretarza i zamknął się z nim na parę odzin. Młody człowiek wyszedł z izby oszołomiony, w palcach ściskał ilka kart.

Nigdy jeszcze włoska poezja nie przemówiła tak gorącym słowem, ak w tej kanconie: I t a l i a m i a, nawołującej do zgody i pokoju. o ziemia wołała — *almo paese* — błogosławiona kraina, która tu żyła ze swoimi rzekami, słonecznymi dolinami, z górami postawionymi rzez naturę jak puklerz między nią a ową *rabbia tedesca* — niemiekim szaleństwem nasycającym jej niwy krwią barbarzyńską i szlahetną krwią łacińską — *latin sangue gentil*. Gorycz, ból, gniew przeiw zaalpejskim najemnikom depczącym ziemię włoską na rozkaz skłóonych książąt — wszystko to wrzało w tych słowach uniesionych śpiewnych. Skąd ten obłęd, skąd ta ślepota, by szukać sprzedajnych erc i wiary? Niechże idzie ta pieśń do ludzi wielkodusznych, których est mało, ale którzy są, i niech woła: Pokój. Pokój. Pokój.

Pace — Pace — Pace.

Italia nie miała nigdy zapomnieć tej pieśni. Wracała ona w czarnych momentach historii, ukazywała idealny i wymykający się rzeczywisto-

ści wizerunek zjednoczenia i zgody, wnikała w myśli książąt, wodzó
mężów stanu i jeszcze nawijała się pod pióro Macchiavellego, i już u pr
gu wolności podejmował ją Leopardi, Carducci. Sam Petrarka mó
mniemać, że nie przemówił na darmo, skoro wkrótce stanął pokój międ
zwaśnionymi panami i Joachim Visconti odkupił Parmę od marki
Obizzo d'Este. Parma znalazła się pod rządami władców Mediolan

W Bolonii pozostał Petrarka nie dłużej, niż tego wymagał stan zdr
wia. Przeniósł się do Werony i gdy możni tego świata przelewali kre
swoich poddanych o strzęp ziemi, on wygrał walną bitwę z pożerczy
czasem i odniósł jedno z największych zwycięstw w dziejach hum
nizmu. W bibliotece kapituły odkrył listy Cycerona, o których ni
nie wiedział, których się nikt nie spodziewał znaleźć w tym miejsc
Ledwo otworzył zmurszały kodeks, ledwo rozgarnął parę kart klejący
się od wilgoci, ledwo przeczytał stronicę, serce zaczęło mu bić gwa
townie i pot wystąpił na czoło. Czytał łakomie połykając mniej w
raźne słowa, przeskakując końce wierszy spełzłych u brzegu kart p
krytych brudem. Czytał i oczom nie wierzył. Miał przed sobą lis
Cycerona, za którymi od tak dawna tęsknił i aż dotąd na próżno.

Wszystko znikło — i ta sklepiona ciemna izba, i Werona, znikł cza
nawet on sam jakby się rozpłynął czy przeistoczył, jakby się wymkn
ze swoich dni, z tej utrapionej współczesności, i został wreszcie nagr
dzony żywą obecnością człowieka, którego kochał i podziwiał od dzi
ciństwa. Słyszał na koniec głos Cycerona, nie z mównicy ani z dyspu
filozoficznej, ale z wnętrza jego domu, z owego nieznanego atrium c
tablinum, gdzie rozmawiał z przyjaciółmi albo sam ze sobą, głos n
ułożony, nie przeznaczony dla tysięcy uszu, nie miarkowany sztu
lub względami, ale bezpośredni, w którym drgało dopiero co dozna
wrażenie lub uczucie, pękający nagle śmiechem lub zanoszący się pł
czem, namiętny, to znów łagodny, cichy, stłumiony jak prośba, raz j
skrawy jak gorące południe, kiedy indziej zgaszony jak samotna g
dzina nocy, kiedy tylko jedna myśl czuwa w całym domu.

Nie było mowy o wytargowaniu rękopisu od kapituły. Dopiero ter
nabrał on ceny i kanonicy nie myśleli się z nim rozstać. Lecz i P
trarka nie mógł go porzucić, póki nie zrobi odpisu. Miesiące, któ
nad tym spędził, liczył do najszczęśliwszych w życiu. Listami do prz
jaciół poruszył cały świat intelektualny. Było to oszałamiające odkr
cie. Kodeks zawierał: listy do Attyka, do brata Kwintusa, do Mar
Brutusa i parę apokryfów. Dziś wiemy, że przed okiem ludzi XIV wi
ku ukrywał się jeszcze jeden kodeks, i to znacznie obszerniejszy, listó
Cycerona, lecz wpadł on w ręce humanistów dopiero w następnym st

ciu. Petrarka miał wszelkie prawo sądzić, że trafił na unikat, który z niego spleśniałby doszczętnie.

Był uniesiony, ale jakby i urażony w swej czci dla Cycerona. Widział go teraz inaczej, z bliska, twarz przy twarzy i jeszcze bliżej — ytał w jego otwartej duszy. Nikt nie znał, nikt nie przeczuwał takiego cerona. Oto z piedestału zeszedł pomnik i stanął w swych ludzkich oporcjach, niepokojąco, ach! i śmiesznie małych. Petrarka był donięty. Najtrudniej wybaczyć własne błędy i ułomności, jeśli się je najdzie w drugim. Petrarka, dzięki listom, odkrył w Cyceronie te me upadki ducha, słabości, wahania, obawy, lęki, rozterki, tę samą ażliwość, próżność, na jakie sam cierpiał — i był zgorszony. Napisał t do wielkiego cienia.

Franciszek Petrarka pozdrawia Marka Tuliusza Cycerona.

Długo poszukiwałem twoich listów i znalazłem je w końcu tam, gdzie najmniej spodziewałem. Czytałem je chciwie. Słyszałem twoje słoa, twój płacz, poznałem twoją zmienność, Marku. Wiedziałem dochczas, jakim byłeś nauczycielem dla innych, teraz wiem, jakim by-ś dla siebie samego. Posłuchaj więc, gdziekolwiek jesteś—nie rady, ale argi, którą jeden z potomków, najtkliwiej kochający twe imię ze łza- wznosi. O niespokojny, wiecznie zalękniony albo, jeśli mam użyć oich własnych słów, gwałtowny i nieszczęsny starcze, po cóż narażaś się na tyle waśni i na nic niepotrzebnych zatargów? Gzież zostawiś spokój tak stosowny i dla twojego wieku, i zawodu, i fortuny?... Boleję nad twoim losem, wstyd mi i żal twoich błędów. Cóż warte st nauczanie innych, na cóż się zda mówienie w najpiękniejszym owie o cnotach, jeśli sam siebie w głębi duszy nie słuchasz? Ach, ileż lepiej było, zwłaszcza dla filozofa, zestarzeć się na wsi spokojnej rozmyślać o życiu wiecznym, a nie o tym tutaj, maluczkim, i nie eć ani rózg liktorskich, ani tryumfów, ani Katyliny. Lecz próżno tym mówić. Na wieki żegnaj, Cyceronie.

W górnym świecie, na prawym brzegu Adygi, w mieście Weronie, esnastego czerwca, roku od narodzenia Boga, którego nie znałeś, 1345.

Wzrusza nas staranność tej fikcji, gdzie data 16 czerwca brzmi po inie: XVI Kalendas Quintiles, bo Cyceron jeszcze nie używał nazwy lius, którą lipiec wziął od Cezara.

List wywołał oburzenie w świecie literackim: jakże Petrarka śmie sarkać na największego pisarza starożytności! Nikt z tych oburzoch nie pomyślał, jak nielekkie były te słowa dla samego Petrarki.

(Dokończenie w numerze marcowym)

Jan Parandowski

JERZY PUTRAMENT

BOLUTEK W SZKOLE*)

I

Za stołowym była niewielka sień, prawie ciemna, bo drzwi oszklo
na podwórze przesłaniał ganek o niskim i długim daszku. W lecie tw
rze ludzkie w sieni dostawały niezdrowych, zielono-czarnych cieni p
oczami: dzikie wino oplotło ganek, łykając resztki słońca, już prz
sianego przez ogromną, owalną lipę. W zimie było jaśniej. Ale sień n
nie znaczyła, była tylko wstępem: do tej drugiej, zaczarowanej połow

Mamusia wołała „Bolutek, Bolusieczek", powtarzała zakazy, str
szyła, ale tatuś właśnie zaczynał kaszlać i kończyło się na czczy
ostrzeżeniach. Bolusieczek piął się na palcach, chwytał wyślizga
łyżkę klamki, przymykał drzwi, stawał na ziemi wdychając z rozkos
i przerażeniem zimne, wilgotne, spróchniałe powietrze i jak najcisz
świadomy swego nieposłuszeństwa, wślizgiwał się „tam", do „salonu

Oto był pierwszy podział świata. Wszystko, co było niezbędne i nu
ne — obiad, sen — to był stołowy. Duża, niska izba z oknami w prz
ciwległych ścianach. Z jednej strony ława i przyciśnięty do niej st
z drugiej szerokie łóżko. Wielki piec z paroma paleniskami i masywny
okapem, na którym schło żółte i bursztynowe łuczywo. Naprzeciw
pieca bura, pluszowa kanapka z wypierającymi na wierzch krążka
sprężyn. Obok najgroźniejszy sprzęt pokoju: duży, czarny fortepi
o zrudziałych klawiszach i wyleniałych do białości kantach. W niedzie
po południu stawał się ostrym niebezpieczeństwem: mamusia urządza
istny pościg, chwytała gdzieś w kącie Bolutka, całowała z rozmache
wierzgającego, zwijającego się w jej ramionach jak piskorz, niosła
sobą, siadała na okrągłym tabureciku, brała w swoje ręce oporne dło
„syneczka" i kazała naciskać ten czy ów klawisz. Tatuś siedział
łóżku, palił papierosa i wyrażał powątpiewanie w talenty jedynak
Groziło to nowymi pocałunkami, Bolutek starał się uważnie wyszuk
wać potrzebne klawisze, rezygnował z oporu. Dopiero zbawcza Marcy
wychylała się z drzwi kuchennych, przeciągając: „Prosza pani, mle
przynieśli", Bolutek nagle wyprężał się, wyślizgiwał, pędem leciał p
drzwi, wpadał do sieni. W stołowym jadło się, spało, robiło się „egze
sysy". Ale prawdziwe życie było w „salonie".

*) Początek powieści, której bohaterem jest Bolutek Markiewicz, późniejs
podporucznik w kampanii wrześniowej.

Było tu także ciemnawo, ale nie tylko dlatego, że wino i że krzaki jaśminu. Okien było kilka, każde jednak z nich miało co najwyżej dwie lub trzy szyby, reszta — to były kawałki desek, dykty, tektury, kłąbki szmat, skrawki blachy z wyklepanej na płask puszki po konserwach. Był piec, śliczny, nie taki jak ten w stołowym ze zwykłej, brudno-różowawej gliny. Ten w salonie był z białych w niebieskie figurki kafelków. Bolutek za każdym razem stawał przy nim i patrzył na figurki: pani w szerokiej sukni wyciągała rękę do pana pochylonego ku niej, z dużym kapeluszem w cofniętej ku tyłowi i do góry drugiej ręce. Kafelki były zimne i gładkie; jak przyjemnie jest móc się o nie oprzeć bez obawy, że wybrudzi się plecy białym wapnem i mamusia będzie narzekać i trzepać.

Ale piec to jeszcze nie wszystko. Oto na podłodze stoi szeroka miednica. Emalia wielkimi płatami pozłaziła z jej boków i woda w tych miejscach staje się czerwonawa, trzeba poruszyć palcem, aby powstały mętne, maleńkie wiry. Raz po raz — jeśli na dworze jest deszcz — gruba kropla pada na powierzchnię, trudno ją schwytać, uderza o dłoń, ciężka jak kamyk, rozpryskuje się, trafia zimnymi szpileczkami w czoło, w policzki.

Nawet podłoga tutaj ma swój wdzięk. Wystarczy ściągnąć w kuchni nóż czy choćby łyżkę, a już ma się zajęcie na długie przedpołudnie, aż do obiadu. Można wydłubać dołek, można zrobić rzeczkę, nalać wody z miednicy, patrzeć jak zwolna wsiąka w spróchniałe drewno i odpływa — dokąd? Ale biada, jeśli przyłapie cię na tym mamusia. „Przeziębisz się — będzie krzyczeć, a co gorsza — niedobry, niszczysz gniazdo twych przodków". „Co to przodek?" zapyta kiedyś Bolutek, mamusia wyjaśni, ale nieprędko ta odpowiedź nabierze dla niego jakiegoś sensu.

Za salonem jest jeszcze jakaś komora, a potem znowu sień i znowu najdalszy, najciekawszy, bo zamknięty zawsze na klucz — pokój tatusia, jak powiadają, ale tatuś nigdy tam nie chodzi.

Są szafy — i w „salonie", i w komorze — kulawe, podparte ścianami. Trudno do nich dotrzeć; na niedosięgłej wysokości, ze szczytu drzwiczek zamyka je drewniana, kręcąca się na gwoździu zasuwka. Można tylko uchylić szpary na dole, ryzykując przyciśnięcie ciekawego palca, i wpatrywać się w ciemne wnętrze: jakieś papiery, brunatne księgi, pudełeczka, wielkie, nieznane skarby, serce „salonu".

Drugi podział świata nie będzie tak prosty. Kiedy klamka u drzwi znajdzie się na wysokości nosa i powoli będzie zniżała się dalej — dom straci na znaczeniu, odkryje się nową „przestrzeń życiową" — podwórze.

Lipa, która ciążyła nad sienią i stołowym, okaże się ośrodkiem całego systemu krzaków bzu, przyciśniętych do ziemi jej zachłannymi gałęziami. Tylko kręta ścieżka wewnątrz prowadzi do udeptanej niby altanki, z próchniejącym stolikiem i ławeczkami. Stary sad o niebosiężnie wysokich gruszach kończy się zwartym rzędem świerków — dalej iść nie można, tam jest niedobrze, tam „wieś". Za to z drugiej strony jest jeszcze aleja leszczyn zamykająca prostokąt ogrodu: pomidory, kapusta, kukurydza.

No i najciekawszy obiekt podwórza — dzieci. Nie tylko że nieskończone możliwości zabawy, ale i że — nie wolno! Kiedyś w samotnej, odkrywczej wędrówce przez sad natknął się na całą gromadkę stojącą z zadartymi głowami pod szeroką, usychającą jabłonią. Przystanął. Zakrzyczały trwożliwie i z drzewa zsunął się szybko jeszcze jeden, piegowaty, obdarty. Zaczęły uciekać. Pogonił za nimi, trochę rozżalony, że go unikają, trochę zagrzany ich lękiem, pokrzykiwał nawet, wymachiwał słonecznikowym badylem.

Żalu jednak było więcej i gdy następnym razem przydybał to samo towarzystwo kucnięte w miedzy ogrodowej nad szeregami słodkiego groszku, po chwili niespokojnego milczenia kucnął obok, zaczął pracowicie łuszczyć strąki, ogryzać jadalne pokrywy, wydłubywać miękkie ziarenka. Zezowali nieufnie, Bolutek czuł, że jeszcze nie jest swój, znalazł duży, spęczniały strąk, wyciągnął do najbliżej siedzącej dziewczynki. Przyjęła. Zwała się Ola, miała dwa białe warkoczyki i duże niebieskie oczy. Piegowaty chłopiec nazywał się Kolka. Chcieli już ruszyć pod ową jabłoń, gdy nadeszła mamusia.

Uciekli razem, złączeni wspólnotą zbrodni popełnionej na dworskim ogrodzie. Ale gdy wieczorem dostał się w ręce sprawiedliwości — o dziwo! — nie groch był podstawą oskarżenia, lecz towarzystwo: „Z chłopskimi dziećmi!" — mamusia była tak wstrząśnięta, że nawet klapsy wymierzała nieuważnie, pochłonięta dyskusją z tatusiem, który okazał się w jakiś sposób praprzyczyną nieszczęścia.

Tak się zarysował pierwszy zrąb nowego podziału. Chłopskie dzieci! Mamusia mówiła, że nauczą go brzydkich wyrazów i niegrzecznych zabaw. Chwilami, w przystępie rozpaczy, ulegał wrażeniu, że wszystkie dzieci na świecie są chłopskie z wyjątkiem jego samego. Przez jakiś czas był przekonany, że znalazł różnicę: on miał w domu „salon", a chłopskie dzieci — nie. Kiedyś zajrzał potajemnie do wiejskiej chałupy i przekonał się, że jest bardzo podobna do stołowego, tyle że mniejsza i bez fortepianu. Ale „salonu" tam nie było i ogrodu, i sadu także.

Okazało się jednak, niestety, że i ta różnica nie wystarcza. Za ogrodem, przed wielką pustą przestrzenią bagnistych pastwisk stała chałupa mniejsza nawet od wiejskich, za to nowsza. Pewnego lata przyjechała tam pani Galenkowska, jak nazywał ją tatuś, albo „Leokadia", jak mówiła mamusia, nakazując tytułować ją „ciocią". Ciocia Leokadia miała także synka, Lońka. Zamieszkali w chałupie bez salonu, ale przecież Loniek nie był chłopskim dzieckiem i jego towarzystwo zostało w pełni zaakceptowane.

Loniek był starszy o rok i wyższy o głowę. Miał białe włosy, białe brwi i rzęsy, zadarty nos. Obeszli we dwójkę sad, strząsnęli kamieniem niedojrzałą, zielono-buraczkową gruszkę. Loniek ją nadgryzł, cały się zmarszczył, splunął. Nasunęło to mu pomysł zawodów: kto dalej splunie? Był wyższy, miał doskonałą technikę, zwyciężył. Natychmiast wymyślił nową konkurencję, rozpiął spodnie: kto dalej? I tu zwyciężył, nazwał po imieniu sprzęt sportowy tych zawodów, zabawił się hałaśliwie nieświadomością Bolutka, jeszcze raz splunął, krzyknął „maminsynek", pociągnął kuzyna za ucho i rzucił się do ucieczki.

Rywalizacja, rozpoczęta w ten sposób, okazała się trwalsza od wielu rzeczy ludzkich i boskich, od paru cesarstw, kilku dynastyj, kilkunastu milionów istnień. Loniek wprowadził nowy styl zabaw — wojenny. Przyjechali z matką do swojej części majątku, uciekając przed jakimiś okrutnymi Niemcami. Był zbyt wyrośnięty, aby „salon" mógł go oczarować.

Trzeba przyznać, że jednej rzeczy nie trzeba było wbijać Lońkowi do głowy: chłopskie dzieci dla niego nie istniały, chyba że w roli Niemców. Uzbrojeni w siwo-zielone grudy szyszek ostowych krążyli z Bolutkiem we dwójkę po sadzie, czatując na nieprzyjaciół. Biada piegowatemu Kolce, jeśli się dał zdybać na jabłoni czy w grochu. Wrzask i szyszki ostowe, zaciekła pogoń, zarośla pokrzyw przy rozwalonym płocie. Dopiero pierwszy ogród wiejski — tam kończy się pościg, Kolka może odsapnąć, a nawet cisnąć parę smakowitych wyzwisk.

Bolutek wreszcie uchwycił różnicę między sobą i Lońkiem a tamtymi: tamci mówią odmiennie. Tę samą część ciała, obiekt klapsów mamusi i zabaw „w doktora" z Lońkiem w roli tytułowej, ten ostatni nazywa tak, oni zaś zgoła inaczej. Loniek krzyczy: „A żebyś zdechł", tamci odpowiadają: „Kab ty zdoch!" Doprowadzony do pasji wykrzykuje na nich „kacapy", tamci replikują „Lach, lach, g.... w zubach". Jest to śmiertelna obraza, na to można odpowiadać już nie ostem, ale tylko kamieniami.

Mody są zmienne, którejś jesieni Kolka przestał być Niemcem. Ale

antagonizm nie ustał, tejże zimy czy wiosny objawił się w jeszcze gorszym przemianowaniu: bolszewik! Natężenie i zaciekłość zabaw wzrosły, nawet rodzice przyłączyli się wreszcie do Bolutka. Nastąpiły dwa lata, kiedy, zdawało się, cały świat dokoła bawi się z ostem i kamieniem w ręce. Ale dorośli nie mieli odwagi i rozmachu Lońka i Bolutka, losy ważyły się parokrotnie, któregoś lata Kolka ze swoim towarzystwem już nie ukradkiem, lecz na oczach wszystkich zaczął atakować ogród, mamusia zaś i tatuś, i ciocia Leokadia — o hańbo! — uciekli. Nie do domu, dalej, do niebliskiego (cały dzień na furmance w lipcowej spiekocie) miasteczka Wawiórka. Tam siedzieli u organisty, znajomego cioci Leokadii, tydzień, dwa tygodnie. Zrazu było ciężko: Loniek dostał od cioci potężnie w skórę — za nazwanie kogoś na ulicy bolszewikiem. Dorośli nie mają zmysłu sprawiedliwości, sami szafowali tym obelżywym, zgoda, słowem jeszcze niedawno na prawo i lewo bez żadnych przykrych dla siebie następstw.

Ale potem się jakoś wszystko wyklarowało. Znaleźli tu więcej dzieci — nie chłopskich, mamusia patrzyła przez palce na nieobecność syneczka przez cały dzień, organista miał córki, młodszą i starszą. Tutaj Bolutek zaczął się domyślać oszałamiającej tajemnicy: dziewczynki i chłopcy. Loniek, doświadczony jak zawsze, wygłaszał mgliste hipotezy i aranżował ciągle swoją ulubioną zabawę — w doktora. Dawało to okazję do studiów z zakresu anatomii porównawczej. Dziewczynki piszczały, Bolutkowi zamierało serce.

Jesienią wrócili. Tam, w Wawiórce, dowiedział się wreszcie, dokąd. Nazywało się Molgi to, co przed pół rokiem dla Bolutka było środkiem świata. Teraz poznał skalę porównawczą. Niestety, Wawiórka była z pięć razy większa od Molgów. Chodziły mętne słuchy, że i Wawiórka nie należała do największych ośrodków kuli ziemskiej. Takie na przykład Lachowicze...

Molgi zresztą były bardziej urocze niż kiedykolwiek. Stołowy był prawie jak „salon": łóżko połamane, stół spalony, co ważniejsze, fortepian stanął dęba i stracił parę klawiszy. Mamusia płakała: bolszewicy, ale kiedy Loniek, ognisty jak zawsze, ofiarował się pójść i z Bolkiem wywrzeć zemstę na niegodnych sąsiadach, ofuknęła go z miejsca. Bolutkowi jednak trudno było wzniecić w sobie mściwe uczucia, fortepian był unieszkodliwiony, a stołowy nadawał się do zabawy. Spali wszyscy w kuchni na słomie. Było bardzo przyjemnie.

Przyszła zima. Kolka stracił na zadzierzystości, inne zajęcia wypłynęły na czoło: nauka. Tatuś parę godzin dziennie trzymał przed sobą jednego i drugiego wbijając im do głowy różne tabliczki mnożenia

i historie święte. Okazało się , że fortepian nie jest jeszcze najgorszy. Zreperowano go zresztą niebawem i mamusia zabrała się ze zdwojoną energią do „egzersysów". Loniek okazał się „jełopem", ciocia Leokadia tłukła go i poszturchiwała prawie co dzień. I Bolutkowi nie łatwo było zdobywać się na zapamiętanie tych wszystkich mądrości. Tatuś niecierpliwił się, palił, kaszlał, osłaniając dłonią siwo-rudawą bródkę.

II

Pojechali do Lachowicz w końcu sierpnia. Było jeszcze dalej niż do Wawiórki. Pietras, „rządca", onże furman i parobek, zaprzągł konia do „bryczki" równie omal nierealnej jak „salon" Ciocia Leokadia i mamusia zasiadły na względnie miękkiej ławce z tyłu, Loniek i Bolutek mieli do swej dyspozycji wąziutką deseczkę uczepioną kozła.

Sierpień był dżdżysty i teraz nie czuło się nic poza jesienią. Mgła stała o paręset kroków od drogi, niebieskawe widma pierwszych sosenek markowały laski, zimnawy zapach zleżałych liści przypominał, że pora na grzyby. Gdzieś jeszcze stały w karnym dwuszeregu snopy żytnie, już nie złote, z rozczapierzoną czapą na czole. Długie wioski po uszy w błocie, mamusia szeptała nazwy: Jancewicze, Jewsiewicze. Potem las podszedł do drogi, jechali w mrocznym wąwozie między sosnami i już pożółkłymi na amen brzózkami, jarzębinami, koło samotnego dębu.

Lachowicze zaczynały się jak jeszcze jedna wieś, tyle że wielouliczna i brzydsza, bo przy domkach brakowało sadzików. Piaszczysto-szare błoto czepiało się kół aż po osie, koń z trudem wyciągał kopyta, targał bryczką, ciocia chwytała się żelaznych poręczy. Potem był przejazd: — Tędy chodzą pociągi — wyjaśniła mamusia, przypomniał sobie stare żurnale z obrazkami. Dalej domki się zwierały ciaśniej, zwracały się węższym bokiem do ulicy, bryczka zaczęła podskakiwać na kamieniach. Było ponuro, deszcz lał, domki wyglądały staro i ubogo, spoza brudnych firanek wyzierały chude roślinki o czerwonych kwiatkach, w bańkach od konserw. Potem zaczęły się kamienice z pięterkiem, z facjatkami. Sklepy wystawiały na pokaz swoje ubogie wdzięki: dwie świece zawieszone knotami na drucie, kucnięte w rogu okiennym pudełka z szuwaksem.

Wreszcie mamusia krzyknęła: — Tutaj, zawracaj. — Wjechali na dziedziniec cuchnący końskim nawozem. W głębi była jakby stajnia ze słomianym, przegniłym dachem, wóz bez przednich kół klęczał w kącie, przy studni siedziała wymokła do nitki, ruda, naburmuszona kura.

Wyjrzał z drzwi kuchennych stary, zgarbiony człowiek o siwej bro-

dzie. — A, pani dziedziczka — zawołał dziwnym akcentem, bez przesadnej radości. — Prosimy — i krzyknął do wnętrza — Pani Markiewiczowa mit... — reszta brzmiała niepojęcie.

Mamusia wygramoliła się uchwycona dziarsko w pół przez Pietrasa, Loniek i Bolutek skoczyli prosto do kałuży pod studnią. Ciocia nie omieszkała skomentować tego wydarzenia, zapowiadając represje: — Czekaj, urwisie, jedyne buty! — Na szczęście bała się zejść sama, a Pietras się nie kwapił, zajęty prowadzeniem mamusi do mieszkania. Deszcz padał ciągle.

Wbiegli do kuchni. Pachniała obco jakimś ostrym jedzeniem i wilgocią. — Dzień dobry pani Jankielowej — zawołała przesadnie głośno mamusia do grubej, wysokiej kobiety o wyblakłych oczach i siwiuteńkich włosach. — Dzień dobry, dzień dobry pani jaśnie wielmożnej — Jankielowa długo wycierała ręce o fartuch, zanim uchwyciła wyciągniętą dłoń mamusi. — To pani synek? Jakie rozumne dziecko, jaki podobny — patrzyła na Lońka kiwając w zachwycie głową i lekko cmokając bezbarwnymi wargami. Wtedy dopiero mamusia przypomniała sobie ciocię Leokadię, ofuknęła Pietrasa i ten za chwilę ściągnął tamtą rozgniewaną. — Jesteś młodsza — zgryźliwie docięła ciocia — to się tobą mężczyźni interesują — i spojrzała na Pietrasa. Jankielowa tymczasem naprawiała niezręczność zdwojonymi zachwytami nad Bolutkiem. — Dziesięć lat — wołała — i taki duży? O, bardzo żywe dziecko, będzie pani z niego miała pociechę.

Szli do gimnazjum skacząc zręcznie przez kałużę, wyszukując drewniane kładki. Loniek upatrzył sobie jedną, chybotliwą i skoczył całym ciężarem. Smuga gęstego błota smagnęła po nogach mamusię i ciocię. — Ja ci dam, łobuzie — wołała ta ostatnia bezskutecznie przyśpieszając kroku.

Gimnazjum — był to dom piętrowy otoczony zaniedbanymi sadami. Weszli wycierając troskliwie obuwie; dziwny, smolisty zapach onieśmielił nawet Lońka. Po długiej wędrówce przez pokoje zapchane czarnymi ławkami znalazł się wreszcie jakiś niewysoki pan o chudej twarzy i w dużych okrągłych okularach. — Ile lat? — zapytał patrząc obojętnie na wybujałego Lońka — jedenaście? Nie może być! A zresztą — machnął ręką — u nas w trzeciej klasie uczy się dwudziestoletni, z wąsami i narzeczoną. Bałagan! Dobrze, jutro do egzaminu.

Była to straszliwa męka cały ten egzamin. Zebrało się ze dwudziestu wyrostków i dwa razy tyle mamuś, tatusiów i cioć. Mamusie szczebiotały z ciociami, chłopcy nieufnie się obwąchiwali wolno spacerując i zbyt często biegając do wygódki na dziedzińcu. Wreszcie przyszedł

ten sam pan w okularach, siedli na ławkach, zaczęli pisać różne mądre zdania w rodzaju: „Wróble latają na podwórzu". Bolutek straszliwie się pocił: „ó" i „rz". Loniek siedzący z tyłu podszeptywał, aż pan w okularach przyłapał ich na gorącym uczynku, wyprowadził Lońka za ucho na środek pokoju i zaczął mówić, jak niegrzecznie jest podpowiadać, bo w gruncie rzeczy jest to swoista kradzież. Kiedy juz zupełnie, prawie do łez wzruszył Bolutka opisem zmartwień płynących dla rodziców z tak złej konduity ich potomstwa, wpadł w ostry napad szału i zaczął wykrzykiwać: — Ale jeśli już, bęcwale jeden, podpowiadasz, to podpowiadaj dobrze, rozumiesz? Jeśli już kradniesz, to kradnij uczciwie! Jak się pisze wróbel? — zapytał klasę, groźnie wywracając oczami. Klasa milczała. — Nie wiecie? i chcecie trafić do państwowego gimnazjum imienia hetmana Stanisława Żółkiewskiego?— Ktoś z tyłu bąknął: — Przez „u" kreskowane. — Uczynił to jednak tak nieśmiało, a pan miał minę tak szyderczą, że już dwóch naraz i o wiele głośniej krzyknęło: — Przez „u" proste. — Pan zaczął biegać po pokoju, od czasu do czasu zatrzymując się przy stoliku i łupiąc dłonią w zielony papier. Klasa zupełnie straciła głowę, obydwa możliwe rozwiązania wywoływały u pana gwałtowną dezaprobatę. Wreszcie Loniek, indagowany ponownie, powiedział: — Przez „u" zwykłe. — Dlaczego, jełopie? — wrzasnął pan. — Bo rubel... — Ach, tobie ruble są miłe, nie możesz o nich zapomnieć, kacapie jeden! — I tu się stała straszna rzecz: Loniek urwis, oczajdusza, wytrzymujący z uśmiechem na twarzy wszystkie cielesne cierpienia z rąk cioci Leokadii, załamał się zupełnie od tej tortury moralno-politycznej i zaczął na głos beczeć młodym, nieokrzepłym basem. Dopiero wtedy pan w okularach trochę się udobruchał, kilka razy pociągnął go za ucho i szturchnął w plecy: — Siadaj! — Ale pałę i jemu, i Bolutkowi wlepił, jak o tym zakomunikowano im od razu z pierwszych ławek, podnosząc za plecami samotne, umorusane atramentem palce wskazujące.

Na tym się incydent nie wyczerpał. W przerwie któryś z chłopców miał czelność wypomnieć Lońkowi jego łzy i ponownie uderzył weń tym samym przezwiskiem. Loniek bez mrugnięcia okiem rzucił się nań, chwycił wpół, po dwóch sekundach przegiął do tyłu, obalił i zaczął tłuc leżącego kułakami po twarzy. Bolutek patrzył na to spokojnie, dopóki dwóch przyjaciół obalonego nie skoczyło z tyłu na Lońka. Wtedy coś zagrało w piersi Bolutka, złapał w objęcia głowy obu napastników, przycisnął z całej siły. Niezgrabnie wykręcając ręce, próbowali go dosięgnąć. Leżący na ziemi płakał, trącono ławkę, cała zawartość kałamarza wyprysnęła na ręce i twarz jakiegoś gapia. Wtedy

weszła pani z dużą, ciężką książką i jakimś kawałkiem żelaza w ręce. Stanęła w milczeniu na progu, kłębowisko się rozpierzchło, Bolutek puścił obu nieprzyjaciół i zręcznie wśliznął się do ławki. Tylko ten oblany atramentem został na środku sali, toteż właśnie na niego spadła furia świeżo przybyłej pani.

Mówiła zresztą słodkim głosem, nie unosząc się wcale. Ale niebawem zbrukany chłopiec zaczął cieniutko pochlipywać. Pani podniosła głos: jak źle będzie z mącicielami spokoju i teraz, w szkole, i zwłaszcza potem, przy egzaminie do raju. Chłopiec piszczał: — To nie ja, to nie ja. — Na pewno ty — mówiła pani — widzę po twoich oczach. Mnie nikt nie oszuka, dzieci, ja wszystko wiem! A ty za to, że kłamiesz, będziesz stał całą godzinę w kącie. — Chłopiec buchnął łzami, rozmazując po twarzy plamy atramentu. — Proszę pani — zerwał się Bolutek — to nie on, to ja! — Ach, tak? — zjadliwie przeciągnęła pani. Tak, tak — wrzasnęła klasa — to on. — Pani była głęboko rozczarowana, że zmysł psychologiczny ją zawiódł. — Dobrze — zadecydowała wreszcie — ty siadaj, a ty — skinęła na Bolutka — do kąta i na kolana! My zaś będziemy zajmować się muzyką i śpiewem, bo to rozwija nasze dusze.

Pan w okularach tłumaczył potem mamusiom i ciociom podobnie: że muzyka i że dusze. Po dłuższym przemówieniu dodał pobieżnie: — A zresztą, jak paniom wiadomo, brakuje nam trochę ciała profesorskiego. Dlatego ja się podjąłem polskiego i matematyki. A panna Poletyłłówna łaskawie zgodziła się wziąć śpiew i gimnastykę. Jeśli się da, to w ciągu roku rozszerzymy nasz zespół i będziemy uczyli także przyrody, geografii i historii.

Egzamin ze śpiewu także nie był łatwy. Pani uderzała żelazną pałeczką o stolik i rozbrzęczaną podnosiła do ucha kolejnego delikwenta, każąc powtórzyć. Chłopcy wydawali dziwne dźwięki, pani rumieniła się, nuciła sama i wreszcie, ciężko wzdychając, kazała siadać i przywoływała innego. Potem pytała, ile jest dźwięków w gamie i jak się nazywają. Milczano. Bolutek wreszcie szepnął — siedem. — Pani spojrzała na niego i pozwoliła wstać z klęczek. Kiedy zaś wyliczył — do, re, mi — aż do końca, odesłała go na miejsce i nawet pogłaskała po głowie. Chwaliła się później przed nim, że to ona obroniła go przed panem Kalasiewiczem, tym w okularach, który go chciał „ściąć". Może to była i prawda. W każdym razie przyjęto wszystkich, nawet Lońka. — Brak uczniów — szeptały ciocie — nauczyciele się boją, żeby im nie zamknęli szkoły.

III

Od Jankielów przenieśli się z Lońkiem do pani Kociumbasowej, zamieszkali na facjatce sztucznie wydłubanej w ciasnym strychu ceglanego domku. Mamusia zostawiła worek mąki, dwa wory kartofli i pokaźny połeć słoniny. Na książki i kajety Bolek otrzymał ileś tam papierków. Loniek także. Nie zdążyli jednak poczynić niezbędnych zakupów, bo zbyt szybko nadeszła niedziela.

Deszcz przestał padać. Grzecznie, parami poszli do kościoła. Bolek gapił się na wysokie sklepienia, na wielkie obrazy świętych. Organy huczały, klęknął, zaczął się modlić, przerażony i uszczęśliwiony potęgą Boga. Potem ksiądz proboszcz wygłosił płomienne kazanie o błogosławieństwie nauki, o czci dla rodziców, posłuszeństwie i dyscyplinie szkolnej. Potem wyszli na kościelny dziedziniec. Dwa klony u bramy czochrały się o leniwy wietrzyk, złote liście opadały po jednemu, długo kołując.

— Chodź — powiedział Loniek — coś ci pokażę.

Ruszyli, główna ulica pełna była spacerujących powoli żołnierzy, panienek w czerwono-niebieskich chustach na głowie, panów w czarnych ubraniach ze sztywnymi kołnierzykami.

Rynek, pusty, ale jeszcze cuchnący przedwczorajszym targiem, przylegał dużym kwadratem do głównej ulicy. Na rogu, w małym domku, mieścił się sklepik, otwarty.

Weszli. Dwa stoliki przy ścianach. Lada w głębi. Dwie kobiety, jedna starsza, brzydka, druga młoda, podobna do tamtej, ale — niewysłowionej piękności. Olbrzymie czarne oczy, czarne włosy, blada cera ze śladami śniadego rumieńca, usta czerwone, słodkie i życzliwe. Bolek stanął w progu, zapatrzony, nie śmiąc się ruszyć.

Ale nie dla podziwiania tej piękności ściągnął go tu Loniek. Popchnął kuzyna w kierunku stolika i sztucznie niedbałym głosem rzucił: — Dwie porcje lodów śmietankowych.

Starsza uśmiechnęła się uprzejmie: — Sara, podaj paniczom.

Sara wyniosła zza lady dwa szklane spodki z żółtymi kulami, pachnącymi słodką wanilią. Patrzył na nią nie mogąc oderwać oczu. Jeszcze się gapił, gdy wróciła na swoje miejsce, a Loniek zaczął już cmokać i chłeptać swoją porcję.

Wreszcie tamten się zniecierpliwił: — Jedz, bo ostygnie!

Jeszcze zapatrzony, uniósł łyżeczkę. Drgnął, gdy dotknęła ust. I doznał dziwnego rozdwojenia pragnień. Lody były niebywale smaczne. Życie ukazało mu dwie perspektywy, obydwie równie urocze. Jadł

i gapił się na Sarę. Gapił się i jadł. Z ulgą powitał męską decyzję Lońka: jeszcze dwie porcje. Sara widocznie była przyzwyczajona do tych niemych zachwytów; starsza, Chawa, uśmiechała się do niej z odrobiną smutku.

Wyszli wreszcie po nieskończonej rozkoszy zajadania słodkich i wonnych lodów, zziębnięci do głębi. Z przyjemnością ocierali się o jesienne słońce. Bolek w rozmarzeniu powiedział: — Ja się z nią ożenię.

Loniek walnął go po głowie: — Zwariowałeś, to przecież Żydówka.

— Co to są Żydzi?

Loniek komentował: — Oni zabili pana naszego, Jezusa Chrystusa. I poza tym nie jedzą słoniny.

Bolek nie przejął się tą rewelacją, on także nie lubił słoniny.

Loniek sięgnął po ostatni argument: — Oni są obrzezani. Nie rozumiesz? Cha, cha, cha! Saładucha, maminsynek.

Pobiegł przez rynek, ścigany przez Bolka. Niedaleko swojej uliczki zatrzymał się przed innym sklepem. Na szyldzie było napisane: „Cukiernia E. Cukiernika".

Weszli. Tu nie było Sary, za to pod szarawą gazą stały na wielkich tacach szeregi najrozmaitszych ciastek.

Jedli i jedli z zapałem, potem z wysiłkiem. Wyszli znowu, Bolek poczuł, że nic już w życiu nie przedstawia dlań uroku. Nawet lody. Nawet Sara.

Pani Kociumbasowa zagarnęła ich od razu z ulicy do stołowego. Wokoło stołu siedziało czworo jej pociech z najstarszą Lolą, czternastoletnią dzierlatką.

Zupa perłowa z rzadkimi skwareczkami. — Proszę jeść — zrzędziła Kociumbasowa — poskarżę się mamusi, to kawalerowi da w skórę. — Życie jest bezsensowne i nudne. Potem kartofle, też ze skwareczkami.

Nazajutrz okazało się, że starczy im pieniędzy już tylko na czytanki i zeszyt albo na rachunki i ołówek. A mamusia nakazała: i to, i to. Wyszli z księgarni. Bolek był przerażony — co robić? Loniek gwizdnął: — Chodź do Cukiernika. — Pokłócili się, Bolek wolał na lody. Poszli i tam, i tam.

We wtorek kupili po zeszycie i ołówku. Bolek krzyczał przez sen: — Co powiem mamusi? — Loniek bił go po głowie: — Głupi, powiemy, że zgubiliśmy.

Mamusia przyjechała z Pietrasem na targ. Uwierzyła, trochę popłakała. Przezornie wręczyła nową kwotę pani Kociumbasowej.

IV

Klasa powoli się klarowała, zapatrzona niewolniczo na starszych sąsiadów, drugą A. Bolek odczuł, że ostatni, molgowski podział tutaj nie wystarcza. Wszystkie dzieci mówiły w szkole jednakowo. Na którejś lekcji pan Kalasiewicz zaczął wywoływać uczniów po nazwisku, pytając o rok urodzenia, o imiona rodziców i ich zawód. Kilku odpowiedziało: rolnik. Dwóch braci Kulczyńskich powiedziało: starosta. Jeden, duży, grubawy i niezaradny Dubrownik, powiedział z dumą: — sołtys w Dziecieniacie. — Pan Kalasiewicz popatrzył nań przez okulary:

— W Dziecieniacie? Sołtys? A co to sołtys?

Dubrownik chrząknął, pokręcił szyją:

— To prawie jak wójt. Wójt jest w gminie, a sołtys w wiosce.

— Patrzcie państwo! To taki wysoki urzędnik, sołtys, a biedny Kalasiewicz nic o tym nie wie. A wójt to prawie jak starosta, prawda?

Dubrownik zarumienił się.

— No, tak, Dubrownik, oczywiście. Tyle że wójt w gminie, a starosta w mieście. Czyli że ty jesteś prawie jak Kulczyńscy.

Starszy z Kulczyńskich demonstracyjnie zakaszlał. Młodszy uśmiechnął się. Dubrownik opuścił głowę.

— Więc tak? Co? Prawie jak Kulczyńscy? Czemu milczysz? No? Tak czy nie? Dubrownik, ciebie się pytam, jełopie jeden! Tak czy nie? Tak, co?

Tamten wreszcie skinął lekko głową nie podnosząc oczu.

— Otóż nie, żebyś wiedział! Kulczyńscy, to synowie starosty, a ty jesteś syn chłopa, rozumiesz? Chłopa, nie żadnego tam rolnika czy sołtysa. To grzech jest wstydzić się swoich rodziców. Trudno, nie wszyscy mogą być starostami. Jak będziesz pilnie się uczyć, to pojedziesz do miasta i zostaniesz księdzem czy doktorem. I twoje dzieci już nie będą synami chłopa. Ale ty jesteś! I wiesz, co masz robić? Patrzeć na Kulczyńskich, uczyć się od nich manier. Bo zostaniesz na zawsze jakimś tam... sołtysem w Dziecieniacie.

Bolek bał się swojej kolejki, ale Loniek odpowiadał wcześniej i z pewnością siebie burknął: — obywatelka. — Pan Kalasiewicz popatrzył nań i nic nie powiedział. Bolek bąknął tak samo i wszystko się obeszło.

Na przerwie Kulczyńscy podeszli do Dubrownika:

— Jak się pan miewa, panie sołtysie? Skąd pan pochodzi?

— Z Bzdziecieniaty — rzucił drugi.

— Sołtys z Bzdziecieniaty — krzyknął najmniejszy w klasie, Rynkiewicz, zwany „Balonem". Śmiano się powszechnie, aż starszy z Kul-

czyńskich, Roman, podniósł rękę. Uciszono się. Chwycił Dubrownika za ucho.

— Pan profesor kazał, żebyś się od nas uczył manier. Ucz się — i pociągnął go za ucho.

Młodszy, Edward, chwycił gumkę do ścierania kleksów i zrobił nią coś w rodzaju przecinka na gęstej fryzurze Dubrownika.

— To się nazywa gruszka — skomentował starszy — można ją robić i bez gumki, paznokciem, o tak — zademonstrował zaciskając zęby. — No, teraz powtórz — powiedział, nadstawiając swoją głowę.

Dubrownik patrzył na nich błagalnie. Cała klasa otoczyła ich kołem.

— No, jełopie jeden! — Roman chwycił Dubrownika za rękę i pociągnął po swojej głowie. — Powtórz, bo ci...

Dubrownik wreszcie powtórzył. — Jeszcze, mocniej! — krzyknął Romek. Wtedy Edek i „Balon" rzucili się znienacka na Dubrownika:

— Ty chamie, jak śmiesz!...

Romek chwycił Dubrownika wpół i z tamtymi razem przydźwigał go do stolika profesorskiego.

— Kładź go, razem, raz, dwa!

— Spuścić mu portki — krzyknął „Balon".

Wtedy dopiero Dubrownik zaczął się bronić wierzgając nogami. Klasa śmiała się. Bolek szturchnął Lońka: — Jak to, we trzech na jednego? — Loniek go ofuknął: — Cicho bądź, niech nauczą chama. — Znalazło się jeszcze paru pomocników. Obezwładnionemu szybko spuszczono spodnie, ktoś chwycił pasek, Dubrownik wrzasnął — i od razu zrobiło się wokół niego pusto. Na progu stała panna Poletyłłówna. Nie od razu zrozumiała, co się dzieje, mrużyła trochę wyłupiaste oczy. Dubrownik zeskoczył ze stolika i zaczął szybko podciągać się i zapinać, czerwony aż do łez.

Panna Poletyłłówna ujrzała jego ruchy i z niesmakiem się odwróciła.

— Fe, wstyd, w takim wieku — pisnęła, marszcząc podwójny podbródek. — Jak się nazywasz? Dubrownik? Wyjdź za drzwi.

— Proszę pani, to nie ja, to...

Spod ściany ktoś mruknął sztucznym basem:

— Cicho bądź!

A inny głos w innym kącie dorzucił:

— Sołtys z Bzdziecieniaty!

Panna Poletyłłówna udała, że nie słyszy tych krzyków.

— No, mam zawołać woźnego?

Dubrownik wyszedł, całą lekcję siedział na korytarzu. Kiedy wrócił,

Kulczyńscy dali mu spokój, nawinęła się nowa ofiara, mały Żydek Lubczański.

Tak więc klasa uzyskała dwa niezbędne elementy swojej osobowości: grupkę nadającą ton i reprezentacyjną ofermę, czyli w miejscowym dialekcie — „saładuchę".

Trzeba przyznać, że ta ostatnia funkcja, niezbędna w każdej szanującej się klasie, przydzielona była tym razem ze względu na indywidualne walory Dubrownika, a nie na jego pochodzenie. Inni synowie „rolników" żyli sobie, uczyli się, czasem nawet dobrze — i nie stawali się łupem klasowych wodzirejów. Dubrownik padł ofiarą swego rodzinnego osiedla Dziecieniata; słyszał kto coś podobnego? I własnego braku wyobraźni. Z taką dumą mówił o tym sołtysie! Poza tym był dobroduszny i bezbronny.

Co innego Lubczański. Ten mógłby być najsprytniejszy, najodważniejszy, najbardziej „morowy" — ale dopóki nazywał się Hersz i mówił „czymać", stale był narażony na zaczepki i „kawały". Na szczęście miał także charakter pogodny i nie okazywał przejmowania się atakami „bandy" Kulczyńskich.

Albowiem tak właśnie się nazywało to towarzystwo. Kulczyńscy byli niewysocy i nienajsilniejsi w klasie. Taki, dajmy na to, Bakłan, vulgo „Bułeczka", kładł każdego z nich, jak chciał. Ale Bakłan był sam i był raczej flegmatykiem. Pocił się na matematyce. Ojciec jego, maszynista kolejowy, za wszelką cenę chciał z niego zrobić inżyniera. „Banda" zaś zawsze chodziła kupą. Wodzirejem duchowym „bandy" był starszy, Roman Kulczyński. Należał do najmłodszych w klasie i poza nazwiskiem posiadał tylko jedną obiektywną zaletę: nosił okulary w czarnej oprawie. Edek był mniejszy, miał rudą, krótką grzywkę, rude brwi i maleńki nosek. O ile starszy przejawiał inicjatywę, o tyle ten był wcieleniem woli wykonania. Bili się zresztą ze sobą przy każdej okazji.

Trzeci członek „bandy", „Balon", Rynkiewicz, mały, pucołowaty — wysokie stanowisko w klasie zawdzięczał w znacznej mierze swojej siostrze, starszej od niego o kilka lat pannie Eleonorze. Loli. Po pierwsze „chodzi" z nią właśnie nowy „historyk" gimnazjalny, pan Koziński. Po drugie taka siostra pozwalała na poznanie niektórych nader mętnych stron egzystencji kobiecej. Dokoła „Balona" unosiła się atmosfera znajomości dobrego i złego, mieszka przecież razem z dorosłą panną, musiał więc już na pewno różne rzeczy podpatrzeć. „Balon" bynajmniej nie dezawuował tego mniemania, opowiadano nawet, że swych możnych protektorów, Kulczyńskich, zaprasza do siebie na wspólne

seanse podglądania przez dziurkę od klucza panny Loli w trakcie strojenia się przed każdą szkolną zabawą. Był on najbardziej agresywny w „bandzie", wpadał zawsze na najdziksze pomysły i z uporem lazł do każdej awantury.

Był jeszcze czwarty, Mineyko, bardzo przystojny, o białej cerze z wielkimi rumieńcami i pięknie wygiętych wargach. Na egzamin przywiozła go matka parą potężnych kasztanów, w eleganckiej bryczce.

— To jest obywatel — mawiał pouczająco pan Kalasiewicz przy lada okazji — a nie jakaś tam hetka-pętelka na trzydziestu hektarach. Mineyko, ile wy macie ziemi?

Mineyko rumienił się i nie odpowiadał, co powiększało jeszcze podziw pana Kalasiewicza. Do „bandy" przyciągnęła go trochę jej renoma — najlepsze towarzystwo w klasie, synowie starosty i adwokata — trochę siostra „Balona". Był bardzo wrażliwy na tajemnice kobiety. Poza tym także miał żyłkę awanturnika.

Lońkowi „banda" od razu zaimponowała. W październiku ni stąd, ni zowąd spadł pierwszy śnieg i zanim rozdeptały go brudne wozy targowe i chlapiące nogi przechodniów na ulicy przed gimnazjum — wybuchła wojna. Loniek zajadał właśnie z Bolkiem długą kromkę czarnego, molgowskiego chleba ze skwarkami, gdy na podwórze wpadł „Balon" z piekielnym wrzaskiem: — Druga złapała Romka i „karmi" go. — Chwila konsternacji i zwoływania się. — Stasiek, Janek, gdzie Bakłan? — W tym momencie proces krystalizowania się klasy został zwycięsko ukończony; napaść z zewnątrz rozdmuchała nieuświadomiony dotąd instynkt patriotyzmu klasowego. Hejże na agresorów!

Loniek z Bolkiem biegli pierwsi, o pół kroku za nim. Za bramą ujrzeli grupkę wyrostków szamocących się dokoła czegoś leżącego na ziemi. Wrzask atakujących od razu ją rozproszył, Romek zerwał się cały mokry, o krwistoczerwonej twarzy, zaczął wytrząsać zza kołnierza i wypluwać brudny śnieg. Jego dręczyciele uciekali odcięci od gimnazjum, przełazili przez płoty sąsiednich sadów. Upojony pościgiem Loniek krzyczał, ciskał w biegu kule śnieżne. „Balon" z Mineyką przyłapali na płocie któregoś z drugiej A, ściągnęli za nogę i z kolei Romek dopadł do niego: — Karmić, karmić!

Trwało tak z minutę to szczęście zwycięstwa, bo oto z okna gimnazjum ktoś się wychylił, znęcony wrzaskiem „karmionego", i już w głębi klasy huczało: „pierwszaki karmią naszego" — i na schodach dudniła pośpieszna odsiecz.

Starszy Kulczyński, któremu Loniek pierwszy przybiegł na pomoc, szarpnął go teraz i syknął: — Wiać do jasnej cholery!

Wymknął się chyłkiem z gromadki „karmiącej" obalonego nieprzyjaciela, pośpiesznie otarł ręce mokre od śniegu, wyciągnął z kieszeni okulary i poszedł jakby nigdy nic prosto do bramy. Pospolite ruszenie drugiej A, biegnące z wrzaskiem przez podwórze, wyminęło go, ktoś go przypadkiem potrącił, ale nikt nań nie zwrócił uwagi.

Reszta „pierwszaków", ciągle jeszcze wpychająca do ust ujętemu garście śniegu, została przyłapana in flagranti. Masakra trwała parę minut. Bolek oberwał potężnie. Czyjeś łapy pchały mu za kołnierz i do ust ohydny śnieg, pachnący mokrym suknem. Próbował się bronić, ale gdzieżby dał radę tym dryblasom. Lońka maltretowano najdłużej. Po pierwszym dzwonku, gdy już wrócili do klasy, banda szczególnie zaciętych z drugiej A zaatakowała — o zgrozo! — pierwszaków w samej klasie. Po krótkiej potyczce na pięści i paznokcie sforsowano obronę drzwi, wdarto się do wewnątrz, krzycząc: — Balona! Balona! — Złapano Rynkiewicza chwytającego się rozpaczliwie ławek, wyciągnięto. Loniek próbował mobilizować odsiecz, ale przegrana była oczywista, duch klasy się załamał. Rynkiewicz po chwili wrócił czerwony, ze łzami w oczach. Spotkała go największa hańba: wciągnięcie przemocą do wrogiej klasy. Pierwszacy unikali jego wzroku, nawet Kulczyńscy nie pocieszyli go ani słówkiem. Nosił na sobie piętno tego gwałtu przez parę dni.

Po lekcjach złożyło się, że Loniek z Bolkiem wyszli jednocześnie z „bandą". Romek Kulczyński pokpiwał z Edka, że mu nabili guza: — Teraz ojciec wsypie ci w tyłek. — Edek się odcinał: — Kogo karmiono? Żeby nie Kiernoz (to miłe przezwisko otrzymał Loniek z uwagi na białe rzęsy), to byś oberwał jeszcze więcej.

Romek nie znalazł odpowiedzi. Mineyko, aby zmienić temat i zatrzeć wrażenie klęski, podsunął: — Chodźmy na ciastka. — Minęli „Cukiernię E. Cukiernika", przy której Bolek zwolnił kroku, niesłusznie, bo oto skierowali się do największego w miecie lokalu tego typu, „Ameryki".

Bolek lękliwie przestąpił próg. Prześladowały go czarne myśli — kto będzie płacić? Ale za nic w świecie nie cofnąłby się: taki zaszczyt, razem z samymi Kulczyńskimi! Siedli w kącie tłocząc się przy małym stoliku. — Z szarego marmuru — wyjaśnił niedbale Mineyko. Panienka w białym fartuchu, brzydsza od Sary, ale także czarna, przyniosła im pięć spodeczków i tackę z ciastkami. Łapczywie się na nią rzucili wychwytując na wyścigi najokazalsze, z jakimiś wykrętasami z żółtej i szarej masy. Przez parę minut gadano z wypchanymi ustami. Potem

Romek, patrząc obojętnie przez okno, rzucił: — No, Kiernoz, ty dziś stawiasz, bul gotówkę.

Loniek zaczerwienił się, zaczął z udaną dokładnością szperać po kieszeniach.

— O, psiakrew! Musiałem zgubić — wrzasnął zbyt głośno, aż się obejrzała jakaś starsza pani siedząca w kącie nad szklanką kawy. — Zaraz poszukam, to pewno, gdy mnie karmiono...

Zanim się tamci zdobyli na protest, wyskoczył zza stolika i pobiegł z powrotem pod gimnazjum. Romek nie bez podziwu spojrzał na Edka. — Cwaniak z tego Kiernoza. — Bolek stał się kolejnym obiektem ataku. Chciał powtórzyć wykręt Lońka, nie wypuścili go. Powiedział wreszcie wprost: — Myślałem, że wy, bo ja nie mam...

— Jak się nie ma pieniędzy, to się nie chodzi do „Ameryki" — pouczył Romek. — Wywracaj kieszenie, zobaczymy, co tam chowasz.

Wyciągnął brudną chustkę, kromkę zeschłego chleba, suszoną gruszkę z Molgów, kawałek patyka, rogatkę bez gumy.

— To wszystko? Ech, ty, także obywatel ziemski!...

— Czekaj, tu ma scyzoryk — Bronek namacał w kieszeni spodni i wyciągnął zardzewiały, niedomykający się kozik.

— G.... — Ocenił krótko i trafnie Romek, po czym łaskawie zgodził się — no, co robić z żebrakiem, dobra psu i mucha. Minek, zabieraj ten kozik i płać. Pora na obiad.

Mineyko uśmiechnął się wyrozumiale, wziął kozik. Zapłacił w kasie. Wyszli, na ulicy odwrócili się od Bolka i poszli sobie. Powlókł się do pani Kociumbasowej, gdzie Loniek chłeptał już zupę perłową z kartoflami, postną. — Bo dziś piątek — z radością głosiła gospodyni.

Tak więc z Kulczyńskimi nie wyszło. Bolek pierwszy raz tak ostro odczuł, że nie zawsze w podziale świata on jest po tej lepszej stronie. Jakiś czas gryzła go ta świadomość, potem przyzwyczaił się. Loniek, ten nie chciał się z tym pogodzić, jeszcze parę razy towarzyszył Kulczyńskim w ich wyprawach do „Ameryki". Zbiegało się to zwykle z jakąś jego katastrofą osobistą. Stał się zdumiewająco roztrzepany: wszystko gubił. Pani Kociumbasowa zrzędziła, narzekała, groziła, ale gdy raz przyszedł ze zbyt głośnym płaczem, że zgubił płaszcz — chwyciła go za głowę, obaliła na ławę i przy czynnej współpracy swoich córek potężnie go zlała pasem. Trochę to pomogło. Zresztą Kulczyńscy sami nie ukrywali tego, co myślą o „Kiernozie". Myśleli nieszczególnie i na dłuższą metę trudno było to wytrzymać.

V

Jesień brnęła coraz głębiej w błocie, deszczu, szarzyźnie. Szli na lekcje, kiedy ranek dopiero się przecierał. Deszcz padał, na przerwach w ciasnych korytarzach gimnazjum tłoczyło się blisko dwustu wyrostków, poszturchując się, grając na parapetach okiennych w pióra i guziki, stojąc po prostu pod ścianami. Dzwonek wpędzał to wszystko do klas. Dyżurni z trzaskiem zamykali okna. Wbiegało się i czuło, jaki dziwny zapach ma powietrze. To jesienne, przesycone deszczem, otarte o nieskanalizowane, rynkowe miasteczko powietrze pachniało jednak po zaduchu na korytarzach, jakby rozpryskano w klasie żywicę z pączków topoli.

Świat komplikował się powoli, niedostrzegalnie. Byli morowcy i saładuchy — ten podział najbardziej rzucał się w oczy, ale nie był jedyny. Była przecież także nauka. I tu rysował się podział na cztery co najmniej grupy. Dobrzy uczniowie bywali rozmaici. Poważano prymusów, jeśli się nie starali, jeśli sukcesy przychodziły im łatwo. Gardzono kujonami, choć czasem haniebnie ich wyzyskiwano żądając „ściągaczek" i podpowiadania. Źli dzielili się podobnie. Podziwiano tych, którzy lekceważyli sobie naukę. Wyśmiewano starających się i nieudolnych.

Czas także nie był jednolity i jednoznaczny. Kilkunastominutowa przerwa znaczyła więcej niż trzy bite kwadranse lekcji. Autorytet prymusa, jaśniejący jaskrawo w czasie lekcji, nikł natychmiast razem z dzwonkiem, chyba że na następnej lekcji miała być jakaś bardzo ważna „klasówka". Kiedyś zdarzyło się tak, że sami Kulczyńscy podeszli i przez parę minut słuchali łaskawie wykładu aktualnego prymusa, małego, mięsistonosego Lewinsona, który na tablicy objaśniał Dubrownikowi ponure tajemnice kunsztu dzielenia. Dubrownik łączył w sobie harmonijne stanowisko saładuchy i hańbę kujoństwa.

Popołudnia były najcięższe. Szło się do domu pochylając głowę przed nieustępliwym deszczykiem. Pani Kociumbasowa karmiła perłówką albo kapuśniaczkiem na skwarkach, jeśli był dzień mięsny, lub na grzybkach, jeśli były jej ukochane środy czy piątki. Potem dawała gotowane kartofle, czasem groch, czasem znowu kaszę. W niedziele obiad celebrowano jak fetę państwową: było mięso.

Ich pokoik był ciemnawy, ciasny i zimny. Sienniki niebawem zleżały się na bliny. Mały stolik przed okienkiem między łóżkami przeznaczony był na naukę i Bolek zrazu długo wysiadywał przy nim, pochylony nad szarawym zeszytem z ćwiczeniami gramatycznymi. Wieczorem dosta-

wali gorącą, żółtawą wodę, zwaną potocznie herbatą, i po pół kostki cukru. Chleb mieli molgowski, skwarki trzymali u siebie, ale zjadali je w ciągu dwóch dni i do następnego targu trzeba się było bez nich obejść.

Lampka naftowa miała brzydki zwyczaj filowania, vulgo „kopcenia", któryś bok jej szkła zawsze był czarny, czarne, włókniste zawiesiny leniwie fruwały po pokoju, starając się przy okazji trafić do nozdrzy mieszkańców.

Czasem po obiedzie, jeśli deszcz był niewielki, szli z Lońkiem na miasto. Krążyli jak ćmy przed ogniem dokoła „Cukierni E. Cukiernika", zaglądali przez okno do małej budki, starając się ujrzeć Sarę. Było zimno, lody nie szły, budka często bywała zamknięta. Przechodzili koło „Ameryki" — ten szczyt miejskiego luksusu budził jednak w obydwóch niemiłe wspomnienia, odwracali głowy. Potem odkryli inną, niemniej potężną rozkosz.

W miasteczku były dwa kina. Jedno większe, w głębi podwórka, nazywało się „Nirwana", drugie, prawie naprzeciw „Ameryki", ochrzczono „Edisonem". Wielkie afisze oznajmiały „potężny, wstrząsający, niebywały itd. dramat w 12 aktach i dwóch seriach". Którejś niedzieli, po zręcznym obdarciu mamusi z paru papierków, przecisnęli sie do kasy. Jakaś kobiecina wyjrzała z okienka: — Dla dzieci zabronione — burknęła — i wręczyła im dwa niebieskie bilety.

Przepchali się przez tłum żołnierzy i panienek do pierwszych rzędów. Zrobiło się ciemno, przed nimi ktoś zaczął wystukiwać na fortepianie jakieś walczyki i marsze. Snop zakurzonego światła buchnął z tyłu, zaczęły skakać jakieś napisy, zbyt szybko znikające, aby je można było schwytać. Potem ujrzeli olbrzymią fotografię olbrzymich domów: „Zupełnie jak w żurnalu — pomyślał Bolek — tylko większe". Potem ujrzeli chodzących ludzi i rozpędzone samochody. Ktoś biegł, ktoś wyciągał rękę — z rewolwerem! Ogromna twarz kobiety o bardzo rozszerzonych oczach. „Giń, niewierna" wyskakiwał napis. Rewolwer stał się jeszcze większy. Loniek ścisnął go za łokieć. — Zaraz strzeli — syknął z rozkoszą i ziarenkiem przestrachu. Znowu twarz, oczy zrobiły się jeszcze większe, potem dolne powieki drgnęły i przesłoniły ćwierć tęczówek. Dwie krople ukazały się w kącikach oczu. Rewolwer. Trochę białego dymu, fortepian przed nimi krzyknął donośnym, samotnym akordem. Twarz znikła, ujrzeli kobietę: zwolna się słania, potem pada jakoś w bok, twarzą w dół. — Dobrze jej tak, niech się nie puszcza — skomentował głośno jakiś zachrypły bas z tyłu. Jakaś dziewczyna żałośliwie westchnęła.

Wyszli już o zmierzchu. Dwa potoki spotkały się w poczekalni kinowej, pchano się tam i z powrotem, kobiety piszczały. Bolek z rozkoszą wyszedł na dwór. Drobny deszczyk odświeżył mu spoconą twarz, dopiero teraz poczuł, jaki zaduch był tam wewnątrz.

U pani Kociumbasowej byli goście. Jakaś pani gruba i jeszcze jedna chuda. Siedziały w stołowym podparłszy łokciami głowy. — Co pani powie? Tak, tak — mrużyła oczy gruba. — A ja myślałam, że to porządna dziewczyna — wzdychała pani Kociumbasowa. — Idźcie, idźcie sobie — rzekła ujrzawszy chłopców — nic tu po was — i pchnęła ich w kierunku sypialni.

Sypialnia była małą norą z okienkiem na cuchnące podwórze. Duże łóżko stało koło bielonego pieca, naprzeciw drzwi. W kątach kucnęły dwa mniejsze. Czeladka Kociumbasiątek rozpełzła się po gratach i piernatach, wierzgając nogami i pokrzykując, tylko najstarsza, Lola, z wstążeczką w ładnie uczesanych włosach, siedziała na jedynym krześle, patrząc marząco przez okno.

— Bawmy się w kino — krzyknął Loniek ściągając za portki z łóżka najmłodszego Kociumbaska. — Lolu, ty także!

Lola chłodno spojrzała na niego.

— Będziesz artystką! A ja — bandytą! — dorzucił z żarem.

— A my? A my? — kotłowały się młodsze.

— A wy będziecie publicznością. — Usadził ich na gołej podłodze. — Ty także siadaj — wrzasnął na Bolka. — Będziesz fortepianem. Lolu, chodźże raz wreszcie.

Lola leniwie wstała, podeszła. Ustawił ją przed sobą, rozejrzał się po kątach, chwycił stary pantofel. — To rewolwer — ostrzegawczo skomentował — on strzela. Graj — krzyknął na Bolka.

Bolek posłusznie zaczął nucić walczyki. Ti—la—la—la—la,— Ti—ti—la—la—la. W stołowym zrobiło się ciszej. Loniek spostrzegł to i z ferworem, który daje powodzenie, wyciągnął do Loli rękę z pantoflem szepcąc: — Zrób wielkie oczy, bój się! Giń, niewierna! — wrzasnął nagle — Bolek, rób paf! — Bolek na całe gardło huknął: Paf! — Padaj, padaj! — krzyczał Loniek, popychając Lolę w kierunku łóżka. — Dobrze jej tak — sztucznym basem mruknął Bolek — niech się nie puszcza!

Drzwi nagle walnęły o ścianę. Pani Kociumbasowa stanęła w progu, podparła się w boki. — Kto to powiedział? — syknęła złowieszczo. — Ty, bajstruku? — Chwyciła Bolka za szyję. — Ależ, proszę pani — bąknął Loniek, chowając się przezornie za łóżko — to my tak sobie, my się bawimy. W kino! — Ja ci się zabawię! — syczała pani Kociumba-

sowa szukając jakiegoś narzędzia tortur. Chwyciła wreszcie stary wieszak i zaczęła walić Bolka trzymając go ciągle lewą ręką za szyję. — To moja Lola się puszcza? Ja ci się puszczę! Moja Lola jest uczciwą dziewczyną — wołała zbyt donośnie jak na lokalne potrzeby informacji i propagandy, z widocznym przeznaczeniem dla pań siedzących w stołowym. Bolek usiłował się wyrwać, kręcił się w kółko, ścigany nieubłaganym wieszakiem. Pani Kociumbasowa rozgrzewała się w trakcie egzekucji coraz bardziej. — Lola się nie puszcza, bajstruku — powtarzała ciągle. — To może twoja matka się puszcza... Aj! — wrzasnęła, puściła Bolka i zaczęła dmuchać na lewą rękę.

Bolek nie skorzystał z okazji, nie uciekł, na odwrót, z błyszczącymi oczami rzucił się na panią Kociumbasową. — Ja ci dam! Ja ci nie pozwolę! — Tamta cofnęła się o krok, zapomniała o ugryzionej ręce. — Ja cię zabiję! — syknął jeszcze i wreszcie wyskoczył z pokoju, przemknął przez stołowy i zadudnił po schodach do swej facjatki. Kiedy po kwadransie Loniek wrócił na górę, zastał kuzyna z twarzą pod poduszką. — Daj spokój — rzekł pocieszająco — nie bądź babą. — Bolek wychylił spod poduszki twarz czerwoną i mokrą i powtórzył łkając: — Ja ją zabiję!

Kolacji, ma się rozumieć, nie dostali. Po pół godzinie obie panie poszły sobie. Pani Kociumbasowa odprowadziła je do drzwi i tutaj umyślnie głośno skomentowała sytuację majątkową Markiewiczów i Galenkowskich: — Oni myślą, że są obywatelami. A oni są ubożsi od niejednego chłopa. Jak się ubierają, wstyd, proszę pani. Żebracy.

Ale innych konsekwencji nie wyciągnęła i nawet po paru dniach, przed kolejnym piątkiem, zaczęła niedwuznacznie demonstrować chęć polubownego załatwienia konfliktu. Lola przynosiła im większe niż dotąd porcje na obiad, we czwartek dostali nawet mięso. Loniek tego dnia wieczorem zaczął długo przekonywać Bolka, aby dał spokój i nie skarżył się mamusi. — To biedna kobieta, wdowa, ma czworo dzieci, z czego je wykarmi, jak my stąd się wyniesiemy?

Bolek długo się chmurzył, potem machnął ręką. Już w łóżku, kiedy Loniek, zadowolony ze swego sukcesu dyplomatycznego, zaczął zasypiać, Bolek szturchnął go i poufnie zapytał:

— Loniek, a co to puszczać się?

— Durny — ziewnął Loniek. — To jak kobieta chodzi z kimś.

– No i co?

— A daj mi spokój — Loniek się rozgniewał. — Potem z tego są dzieci.

Bolek westchnął ciężko, położył się do tak zimnego łóżka, że aż się

wydawało mokre, i opatulił się zgrzebnymi kocykami, „dzierużkami". Długo nie mógł zasnąć. Dopiero teraz odczuł całą nikczemność zniewagi wyrządzonej mamusi. Kiedy przyjechała z Pietrasem, tulił się milcząc do niej, obejmował za szyję, aż się zniecierpliwiła: — Pewno coś znowu przeskrobał — pokaż buty!

VI

Do kina więcej nie chodzili, nie było pieniędzy. Bolek w niedzielę szwendał się po miasteczku. Było małe i brudne, z trzech stron ściśnięte bagnistymi łąkami, na których rosły sczerniałe teraz olchy. W środku znajdowały się dwa kościoły i ciężki gmach poklasztorny, gdzie się mieściło starostwo. Trochę dalej, na niewielkim płaskim wzgórzu stały cztery wysokie mury dawnego zamku. Dokoła tego wszystkiego uczepiły się dzielnice domków z sadzikami: Ferma, Zakasanka, Słobódka, Piaski, Wygon. Ta ostatnia była po prostu zwykłą wioską ze stodołami i ogrodami, leżącą między śródmieściem a koleją.

Na Fermie mieszkali bogatsi kolejarze, urzędnicy ze starostwa, oficerowie. Domki były tu czyste i większe niż na innych przedmieściach; stały w głębi sadów, otoczone klombami georginii i złocieni. Tutaj stał na „stancji" Mineyko i mieszkała reszta „bandy".

Jesień kończyła się słonecznie. Niebo było jasnolazurowe, u horyzontu białawe. Ranne przymrozki ścinały ostatnie kwiaty. Kałuże przy chodnikach krzepły. W gimnazjum palono w piecach. Pan Kalasiewicz chodził już w nausznikach i szaliku tulącym jego długawy nos. Z rana słychać było każdy szept, każdy półkrok lokomotywy na odległej o kilometr stacji.

Bolek po raz drugi przeżył napad tęsknoty za Molgami. Pierwszy raz — zaraz po egzaminach. Ale wtedy jakoś się obeszło szybko: hałas szkolny zagarnął go doszczętnie. Teraz było to dłuższe i cięższe. Któregoś słonecznego dnia wybrał się na wygon. Od ulicy Trzeciego Maja, wiodącej na dworzec, skręcił w prawo, bagniste sto metrów niebrukowanej drogi polnej. Przy krytych słomą chatach stały wysokie topole, parę jabłonek po zimowemu nagich i otulonych, kury, krzyczące pod płotami, stodoły, studnie z żurawiami. W nocy śniło mu się, że trafił do molgowskiego „salonu". Otworzył szafę i znalazł tam piękny, nowy cyzoryk. Mamusia uśmiechnęła się, wzięła go na kolana. — To od twoich przodków — powiedziała. Po takich snach trochę popłakiwał z rana, kryjąc się przed Lońkiem.

Potem się zachmurzyło znowu, trzy dni lało, huczał wiatr wieczo-

rami, facjatka trochę przeciekała nad piecem. Na czwarty dzień deszcz stał się śniegiem. Wrócili ze szkoły przemarznięci i źli, długo się bili, zrazu dla rozgrzewki, potem prawie naprawdę. Pani Kociumbasowa nie dawała drzewa. Wreszcie wyjrzało słońce. Ciężkie chmury nadbiegały co parę godzin, sypiąc już suchym śniegiem. — Zima — powiedział w klasie pan Kalasiewicz. — Kulczyński, idź do kąta! — natychmiast dorzucił widząc, że Romek się uśmiecha. Podejrzewał wszystkich, że się z niego nabijają: — Niedługo będzie okres, zobaczymy, kto się będzie śmiał.

Śmiało się niewielu, ale i nie płakano na ogół, choć dwójek nie poszczędzili i pan Kalasiewicz, i pan Koziński, i nawet panna Poletyłłówna. Jeszcze nie doceniono w pełni wagi tego paskudnego stopnia. Bolek miał dwójkę z matematyki i polskiego, za to ze śpiewu dostał piątkę. Loniek miał cztery dwójki, nawet ze śpiewu — najwięcej w klasie. Powitano to osiągnięcie z podziwem. Przez parę dni nikt nie ośmielił się nazywać go „Kiernozem". Kulczyńscy też mieli po parę dwójek i Mineyko, i „Balon", i nawet Dubrownik. Tylko Lewinson miał same piątki.

Przyjechał Pietras na szerokich, wyłożonych słomą saniach, zabrali manatki, pani Kociumbasowa pomachała im ręką na odjezdnym.

Molgi zjawiły się na horyzoncie kilkoma suchymi drzewami w wiosce, gruszką na wzgórzu, rzędem ciemnozielonych świerków. Pietras machnął batem na lewo: — Za lasem jest majątek, Bartoszewicze. Kupił go chłop z Wawiórki, Łopko. Niedobrze. Taki z chłopa pan — to najgorszy.

Nie słuchali go wypatrując domów. Bolek zerwał się pierwszy, skoczył do sieni, wpadł jak bomba: — Mamusiu!

— Ciszej — szepnęła mamusia — tatuś dopiero zasnął. Z nim jest znowu gorzej.

Ten pierwszy powrót pozwolił Bolkowi zobaczyć i zrozumieć wiele. „Dwór" w Molgach był bardzo stary. Wszedł do „salonu" — ten wydał się mniejszy, niższy, brudniejszy. Ojciec chorował, leżał w stołowym, palił ciągle, spod kołdry wystawała jego mała, chuda twarzyczka i buro-siwa bródka. Za to mamusia wyglądała dobrze, wydała mu się przystojniejsza od wszystkich kobiet, może nawet od Sary. Była pełna, wyższa od tatusia, miała piękne niebieskie oczy i czerwone usta. Tyle, że ubierała się prosto, prawie jak Marcyna.

Chodził przez godzinę po „salonie", stołowym, korytarzykach, sieni. Nie mógł się napatrzeć. Potem wyszedł na podwórze. Leżał śnieg, tylko

wąskie ścieżynki prowadziły do stodoły, do studni. Poszedł którąś z nich, trafił pod chatę pani Galenkowskiej, zapukał, wszedł.

Było za późno się cofać. Ciocia Leokadia święciła powrót jedynaka na swój sposób. Loniek leżał na ławie, wierzgając nogami i wiercąc gołym pośladkiem: — To ci za polski, to za matematykę, to za historię! — wołała ciocia, łupiąc go z całej siły pasem. Najboleśniej ją dotknęła jednak ta czwarta dwójka, ze śpiewu. — Nie chce ci się śpiewać, ja ci zaśpiewam — darła się ochryple. Loniek porykiwał od czasu do czasu i błagał: — Już nie będę, mamusiu, już nigdy!

Przyjście Bolka uratowało go — ciocia sapnęła, obejrzała się na siostrzeńca: — Wstawaj, łachudro — krzyknęła. — Pocałuj mamusię w rękę. Co ja mam z tym nicponiem! I za co mnie Pan Bóg nim pokarał?

Loniek wstał, zapiął się, ciocia wyciągnęła rękę: — Całuj! Dziękuj mamusi, że cię wychowuje! — Cmoknął i bąknął: — Dziękuję. — Wyszli z Bolkiem do sieni. Loniek tym razem nic nie ukrywał, nie zaciskał zębów. Za stodołą zaczął przykładać śnieg do obolałego siedzenia, sycząc i szepcąc: — Ja jej dam, ja jej dam, niech tylko wyrosnę, tej ..... Bolek słuchał z przerażeniem: — O kim ty tak? O twojej mamusi? — Loniek nie odpowiedział, łypnął ponuro sczerwieniałymi powiekami.

Choinki nie robiono, zawieszono tylko parę świerkowych gałęzi — tatuś choruje, ani mi w głowie zabawy — mówiła mamusia. Ale ubrała się w czarną błyszczącą suknię i włożyła koronkowy kołnierzyk. Pojechały w ciocią do Jewsiewicz, do nauczycielki. Pietras przywiózł je późnym wieczorem i długo jeszcze rozmawiał z mamusią w kuchni, pewnie o gospodarstwie. Bolek nie doczekał się jej przyjścia, zasnął na kanapce, koło fortepianu.

Przed Nowym Rokiem Molgi stały się nudne. Parę razy śniła się mu klasa, „banda", nawet pan Kalasiewicz. Śnieg leżał na metr wokoło, Loniek szwendał się gdzieś po wsi, ścigany co dzień przez ciocię Leokadię, w „salonie" było zimno. Mamusia już nie brała go na kolana, nie tuliła: „Duży jesteś — mówiła — już ci nie w głowie mamusine pieszczoty". Może i miała trochę racji, ale niewiele.

VII

Znowu się niecierpliwił, wyglądając tym razem Lachowicz. Pani Kociumbasowa już zapomniała o tamtej historii, uścisnęła go nawet. Lola wyrosła trochę, miała blade policzki. W ich pokoju była umyta podłoga i napalone w piecu.

W klasie powitano ich sensacją: — Nowy! — Nazywał się Łopko i był synem tego z Bartoszewicz. Mówiono o nim, że ma majątek, on sam twierdził, że jest rolnikiem, Loniek od razu go zdemaskował: chłop z Wawiórki, najgorszy, bo zbogacony. „Balon" zreasumował: — Łopko — chłopko. — Jełopko — dorzucił Romek.

Znęcali się nad nim przez parę dni. Był brzydki: chudy, z mięsistym, obwisłym nosem i wykrzywionymi wargami. Po historii wołali nań — Krzywousty. Nie miał zupełnie charakteru, nie odcinał się, nie skarżył, nie protestował. Dali mu niebawem spokój.

W lutym wydarzyła się Bolkowi rzadka okazja — poszedł do „głównego gmachu". W ich budynku zwanym „filią" mieściły się tylko cztery młodsze męskie klasy. Cztery młodsze żeńskie lokowały się w „głównym", na Trzeciego Maja. Tamże były cztery starsze, koedukacyjne.

Nie mieli z „głównym" prawie nic wspólnego, poza mapami. Map było mało i pan Rutkowski, geograf (onże przyrodnik), po każdej lekcji kazał je odnosić z powrotem. Zwykle powierzano tę odpowiedzialną funkcję któremuś z „kujonów", Klebanowi, Dubrownikowi. Była to podwójna przyjemność — spóźniało się o kilka minut na następną lekcję i oglądało z bliska dziwny, obcy, niepokojący świat dziewczynek.

Tym razem mapy były zbyt duże i Kleban skinął na Bolka: — Pomóż mi. Wyszli z klasy dźwigając na ramionach dwa zwinięte rulony. Na korytarzach „filii" huczało, zbliżał się koniec wielkiej pauzy. Był zaduch. Przy schodach czatowali jak zwykle ci z drugiej: „Wszaki, pierwszaki" — zawyli na ich widok, obdarzając „gruszkami" i „sójkami" (wielkim palcem pod żebro). Pochylając kornie głowy przemknęli na dół. Kilku najstarszych, z czwartej, biegło galopem do ustępu — Na papierosa! — szepnął tajemniczo Kleban — No, niech ich przyłapie „Kaleson".

Przeszli przez miasto, przepychając się przez tłum gapiów na rogu Suwalskiej i Trzeciego Maja, koło „Ameryki". Główny gmach stał w głębi podwórza. Przerwa tu się też kończyła, dzwonek brzęczał, ale na korytarzach jeszcze chodziły parami i trójkami pod rączki panienki w granatowych sukienkach z białymi kołnierzykami. Bolka uderzył jakiś dziwny zapach tego korytarza. Był ciężki, trochę po prostu przykry, trochę denerwujący, a przede wszystkim zupełnie inny niż u nich na „filii". Weszli w tłum spacerujących, „przepraszam" — wołał Kleban, rozstępowały się przed nimi, nie zaczepiały, nie drażniły („Oho, u nas — z odcieniem dumy pomyślał Bolek — u nas dawno by «gruszek» nadawali!"), patrzyły tylko na nich z jakąś onieśmielającą uwagą.

Bolek zarumienił się: taksowały jego buty, trochę rzeczywiście koślawe i nie czyszczone zresztą, jego wytartą na łokciach marynarkę, jego spodnie z wyleniałego samodziału. Szepty, szepty biegły dokoła, normalny gwar i szurgot stu dziewczynek ściszał się, nagle gdzieś z boku jakiś pisk: — Chłopczyki, gdzie, gdzie chłopczyki? — ale zaraz uspokojono go sykaniem i szczypaniem.

„Brr — pomyślał Bolek — za nic w świecie tu więcej nie pójdę."

Na piętrze były cztery starsze klasy. Tu byli także chłopcy, ba, nie chłopcy, panowie! Wysocy, wyżsi od pana Kalasiewicza, powolni, dostojni. Spacerowali poważnie z równie dużymi pannami. — Patrz — szepnął Kleban — tam siostra „Balona", ta, co z Koziński-skim...

Była niezbyt duża, ale wydawała się Bolkowi bardzo dorosła. Jak przystało na początkującego mężczyznę, nie potrafił zanalizować jej szczegółów, oszołomiła go tylko jej ogólna uroda, jakaś jasna, różowa, słodka i bliższa niż ciemna piękność Sary. Zwolnił kroku gapiąc się na nią, aż Kleban, zblazowany częstym chodzeniem do „głównego", pociągnął go niecierpliwie za sobą.

Oszczędzał teraz Klebana, który nie należał do mocarzy klasy i przy okazji obrywał od „bandy". Liczył, że tamten znowu go weźmie ze soba. Po lekcjach biegał pod „główny" czekając, aż szósta, w której była Lola, zacznie wychodzić. Serce mu zaczynało śmiesznie podskakiwać, gdy widział jej szary, puszysty kołnierz i różową buzię. Onieśmielony przebiegał na drugą stronę ulicy. Kiedy odchodziła, zwykle sama, szedł za nią. Koło zamku parę razy czekał na nią pan Koziński. Ten był wysoki, tęgi i wydawał się Bolkowi niezwykle przystojny. Bolek nie czuł do niego żadnego żalu.

Zima zawzięła się w końcu stycznia. Okno w ich pokoiku zgrubiało i zmętniało. Zaokrąglone lodowce gromadziły się u dołu, zwolna spełzając na parapet. Odsunęli stolik od okna, dygotali w nocy pod kocykami i płaszczami. Pietras przywiózł furę drzewa, ale pani Kociumbasowa twierdziła, że to starczy na kilka dni i wydzielała co dzień po dziesięć polanek. W szkole także było nie ciepło. Na parę dni nawet zawieszono lekcje. Bolek zrazu się ucieszył jak inni, ale potem strasznie się biedził: — Co robić z czasem?

Potem przyszła zamieć, odwilż, chmury otuliły miasto. W „głównym" zrobiono zabawę: karnawał. Przekradli się z „bandą" pod okna, podglądali przez kilka minut, później uciekali pośpiesznie przez zaspy — pan Koziński wyszedł na ganek.

Przyszedł dzień, kiedy ukazało się słońce, odwilż zaś nie znikła.

W rynnach wesoło ćwierkała woda, wieczorem zastygała w przezroczyste, stożkowate sople. Wróble hałasowały na rynku.

Zrobiono rekolekcje. Z przerażeniem uświadomił sobie podczas pierwszego kazania ogrom grzechów ciążących na jego duszy. Przemawiał do nich sam ksiądz dziekan Bajoruniec, ogromny, tęgi, o grzmiącym głosie. Wołał w dudniącym kościele o posłuszeństwie, o modlitwie, wzywał do kornego przyjmowania rodzicielskiej kary. Nawet Loniek był wstrząśnięty i aż do komunii zachowywał się w klasie niepokojąco spokojnie.

Bolek przejął się szczególnie tym, co ksiądz dziekan powiedział o martwieniu rodziców złymi postępami w nauce. Na „wywiadówce" pani Kociumbasowa została poinformowana, że matematyka u Bolka ciągle kuleje. Wysiadywał przez kilka godzin dziennie, starał się jak mógł podołać mętnym historiom z pociągami, które ze sobą się ścigały, i z kilogramami fantastycznie tanich cukierków. Ale pan Kalasiewicz nie chciał go pytać. Mówił: — Byłeś bęcwał i bęcwał zostaniesz.

Okres jednak wypadł lepiej: poza matematyką miał wszędzie „dost.", z gimnastyki zaś i ze śpiewu — „b. dobrze". Nawet Loniek trochę się poprawił — miał tylko trzy dwójki, panna Poletyłłówna mu wybaczyła.

Wielkanoc: jajka malowane łupinami z cebuli, szynka z chrzanem. Mamusia przyjmowała życzenia Pietrasa i Marcyny, wypiła z „rządcą" kieliszek nalewki wiśniowej. Ciocia Leokadia domyślnie mrugała, goląc jeden za drugim kieliszki czystej, i szeptała: — Patrz, Markiewicz, jaką masz młodą żonę. — Tatuś też wstał, błąkał się w śmiesznym, czarnym tużurku po stołowym, kiedy nikt nie widział, wychylił także kieliszek wódki. Mamusia potem usiadła przy fortepianie, grała i śpiewała nawet walczyka „Na sopkach Mandżurii". W „salonie" zawalił się płat sufitu koło pieca.

W Lachowiczach kwitły bzy przy „głównym". Na pauzach bójki z drugą przeniosły się aż na ulicę. Panna Poletyłłówna przekazała ich nowemu gimnastykowi. Był wysoki, milczący, o pociągłej twarzy. Nazywał się Kipan i był zaciekłym sokołem. Na Trzeciego Maja paradował w rogatywce z piórkiem i w jakiejś marynarce z czerwoną podszewką, zarzuconej na ramiona. Dziewczynki kochały się w nim na zabój, jak twierdził „Balon".

Lola Kociumbasówna dostała pracę. — W magazynie — mówiła z dumą pani Kociumbasowa — to jest lepsze niż jakieś tam gimnazjum, bo daje fach. Ale zachowywała dyskrecję, jeśli chodzi o adres tego magazynu. Loniek niebawem wyśledził: sklep z butami jakiegoś Szwarca. Lola odnosiła ważniejszym klijentkom sprawunki i zamiatała sklep po

pracy. To odkrycie pozwoliło mu z nonszalancją odnosić się do gospodyni: — Niech spróbuje, zaraz wszystkim opowiem, że Lola jest sprzątaczką w żydowskim sklepie.

„Banda" rozhulała się na dobre. Wieczory były ciepłe i długie. Loniek opowiadał, że zbierają się na „fermie", zwołują się specjalnym gwizdem i idą przez całe miasto. Biada „powszechniakom", jeśli napotkają „bandę". Krążyły słuchy, że i ktoś z drugiej oberwał. Autorytet Kulczyńskich wyrósł niebosiężnie.

Bolek pobił się z pucołowatym Brejwą, spod okna. Poszło o pióro złamane w toku ważnej rozgrywki na parapecie. Uchwycili się wpół, Brejwo był trochę wyższy i próbował go przechylić w tył. Wykręcił się, ale tamten uchwycił go prawą ręką za szyję: — „Nawias", „nawias" — krzyknęli gapie. Klasa się zbiegła — ta pozycja nie wróżyła nic dobrego Bolkowi, każdy chciał być świadkiem położenia go na obie łopatki. Bolkowi brakło tchu, z całej siły ściskał Brejwę w pasie i usiłował wyrwać głowę z „nawiasu". Runęli obaj. Tarzali się po zakurzonej podłodze. Walka pozostała nierozstrzygnięta. Wszedł pan Kalasiewicz: — Markiewicz, wyjdź za drzwi, znowu się biłeś.

Niepostrzeżenie przyrosła do niego opinia zabijaki. „Banda" go nie przyjęła, ale i nie ścigała. Trzymał się bliżej tylko z Lońkiem. Pozwalało to oprzeć się różnym amatorom bitki chodzącym w pojedynkę. Pan Kalasiewicz kilka razy stawiał go do kąta i wyrzucał za drzwi. To wyrobiło mu trochę wybitniejszą pozycję w klasie.

Fala upałów w czerwcu. Po lekcjach biegali się kąpać do małej, bagnistej i zimnej rzeczułki, Lidziejki. Żegnał się szybko, biegł i skakał — serce, zdawało się, wdzierało się do szyi, oszołamiająco zimna woda, po paru minutach przebierania rękami i nogami czyhający na brzegu upał stawał się wymarzonym ratunkiem. Teraz dopiero zarysowała się wybitna indywidualność Krupowicza z ostatnich ławek: pływał na boku!

Ostatnia wywiadówka — pan Kalasiewicz jest ciągle nieubłagany. Ciocia Leokadia przyjechała tym razem osobiście. Składała wizyty panu Kalasiewiczowi i nowemu poloniście, panu Niessnerowi. Loniek mrukliwie komentował: — Coś im przywiozła, masła i szynki.

Kłujący niepokój końca roku. Na przerwach szeptem powtarzano najdziksze plotki: połowa „zostaje", albo na odwrót — „przechodzą" wszyscy. Ulegał tym nastrojom zdumiewająco łatwo. Po którejś fali pesymizmu chciał się nawet utopić, poszedł nad Lidziejkę, ale na mieście po drodze spotkał Krupowicza. — Chodź — zawołał tamten — nauczę cię „sażonek".

To ostatnie było najnowszą modą pływacką Lachowicz: płynęło się prawie stojąc, z głową wysoko nad wodą i wyciągniętymi rękami, jakby się odmierzało wodę. Do dobrego tonu należało za każdym razem klepnąć wodę dłonią. Gdzieżby można było oprzeć się takiej pokusie!

„Sażonki" były niełatwe, zwłaszcza to klepanie. Nazajutrz jednak atmosfera uległa odprężeniu: „Balon" rzekomo dowiedział się od siostry, że panu Kozińskiemu mówił pan Kalasiewicz: „w mojej klasie przejdą wszyscy". Bolek wpadł w ekstazę i zaczął tańczyć na ławkach. Pan Rutkowski, który wszedł o minutę za wcześnie, postawił go do kąta.

Na rozdanie świadectw przyjechały i mamusia, i ciocia. — Brejwo — wołał pan Kalasiewicz — i wyciągał papierek. Dubrownika jednak nie wywołał. Wszyscy przez chwilę patrzyli na „wójta z Bzdziecieniaty" trochę że współczuciem i bardzo — z ciekawością. Ale niebawem o nim zapomniano, jeszcze nie wyczytani zagryzali wargi, z drżeniem czekając na swoją kolej, już wyczytani wolno wracali pożerając wzrokiem cenzurki. Galenkowski — zawołał pan Kalasiewicz — masz, ale żebyś mi w drugiej się uczył, a nie... Szmer poszedł po klasie, była to wielka sensacja. No, jeśli Loniek... Bolkowi ulżyło. Dostał jednak „zastrzeżenie", oczywista z matematyki. — Źle będzie, Markiewicz — groził pan Kalasiewicz. — Ucz się rachować. No i zachowanie... Uważaj!

Loniek nie miał „zastrzeżenia" i to trochę ubodło Bolka — tamten przecież miał w drugim okresie trzy dwóje i nic się nie uczył. To niesprawiedliwie. Inni komentowali podobnie, ale niedługo, bo wszyscy śpieszyli do domów.

VIII

Upał i kurz. Na Piaskach, w ostatniej dzielnicy Lachowicz, koń zaczął wierzgać — gzy! Pietras cmokał zawzięcie na niego, potem stanął, poszedł z mamusią i ciocią na piwo. Dojechali pod wieczór.

Dzitwa! Ledwo przywitał się z tatusiem, ledwo przełknął uroczysty obiad: kura z kartoflami. Wpadł po Lońka, pobiegli.

Upał zwolna zamierał. Na prawo, za ogrodem niewyjeżdżona droga wiodła przez wydmę z kilku sosnami: cmentarz molgowski. Zaciekle trzeszczały małe, letnie pasikoniki, rozlatując się spod nóg skrawkami purpurowego i niebieskiego papieru. Za cmentarzem już nie było żadnej drogi, tylko łąki.

— Tędy, saładucha — warczał Loniek — tam bagno! — Skacząc przez kępy sitowia, rozchylając rękami krzaki wiklin przedarli się nad

rzeczkę. Była powolna, cieplejsza od Lidziejki. Pierwszy krok zmącił wodę, z chlupotem wyciągnął stopę, była czekoladowa. — Tam, na prawo jest głębiej — ciągnął Loniek.

Wyprychali się do syta, wracali szczęśliwi: żadnych lekcji, żadnej pani Kociumbasowej. Na kolację Bolek pożarł dzbanek zsiadłego mleka i miskę kartofli. — Nie obżeraj się — komentował tatuś. Mamusia się śmiała. Loniek przyszedł o zmierzchu. Szwendali się jeszcze po sadzie, szukali zdziczałych malin w zaroślach pokrzywy i ostu przed stodołą. Żaby grały nad Dzitwą. Zapędziły ich wreszcie do domu komary.

Ranki teraz były słoneczne. Muchy czarnymi chmurami krążyły po kuchni, atakując świeże mleko, różowawą strugą spadające do dzbanów. Marcyna opędzała się lewą ręką, przechylając trzymane pod pachą blaszane wiaderko i prostując wygiętą pod ciężarem mleka marlę.

Szwendali się dokoła Molgów, coraz bardziej się oddalając od domu. W bagnach wydeptali ścieżkę wiodącą do pochylonej wierzby nad Dzitwą — tam było najgłębiej; i najmniej błota. Po kąpieli przystawali, wpatrując się w niedosięgły, zaczarowany kraj zadzitwiański: niskie, dalekie pagórki, jakaś wioska, małe zagajniki. Nie wiodła tam żadna droga, nie było mostu.

Molgi w ogóle były jakby piaszczystą wyspą, odciętą z trzech stron bagnami, z czwartej Dzitwą od reszty świata. Odkrył, że ostatni kawałek drogi, od dzikiej gruszy na wzgórzu — to grobla niedbale usypana na miękkiej, podatnej skórze bagna. Tylko dwór i wioska, i trochę ziemi ornej, i jeszcze cmentarz znalazły tu dla siebie miejsce. Odkrycie to podniosło w jego oczach walory Molgów: stały się one jakby przytulniejsze, bliższe, niepodobne do reszty świata.

Z wioską zresztą niewiele mieli wspólnego — Dzitwa zanadto ich pochłonęła. Czasem pędzali brzuchate dzieci z ogrodu. Kiedyś, wracając wieczorem znad rzeki, natknęli się na stado wiejskie, w obłoku kurzu defilujące koło cmentarza. Z tyłu szedł czarnonogi wyrostek z ogromnym batem, pohukując na krowy. Dziobata twarz wydała się Bolkowi znajoma: toż to Kolka. Igiełka zazdrości gdzieś w środku: taki bat, sam pasie, zupełnie dorosły. Kolka łypnął białkami na nich, przeszedł milcząc w towarzystwie kudłatego kundla.

Stopniowo wydeptali wszystkie zakamarki wyspy molgowskiej. Loniek podsunął pomysł: — Chodźmy do „Jełopki". — Bartoszewicze leżały za niedużym lasem, za nieprzebytym bagniskiem po lewej ręce, jeśli z Molgów patrzeć na Dzitwę. Widać je było spod cmentarza: sad, bielony duży dom, dalej wiejskie chaty.

Poszli zaraz po obiedzie. Za gruszą skręcili w prawo. Las tu tworzyły olchy, droga co chwila zapadała w urwiste bajorka o zielonkawej, zimnej wodzie. W głębi lasu bajorka stały się bagnem. Tu i ówdzie sterczały z niego suche gałęzie, resztki gaconej kiedyś drogi. Na szczęście byli boso, brnęli prawie po kolana. Loniek krzyknął: — Pijawka!

Potem zaczęły się sosny, jakaś polanka, dzikie irysy nad stawkiem, niebieskoskrzydłe ważki, roztrzepotane nieruchomo nad wodą.

Długo, długo szło się do Bartoszewicz. „Czy nie zbłądziliśmy?" — myślał Bolek, a Loniek dodawał: — Tu zdarzają się wilki. — Na wszelki wypadek wyłamali sobie z wierzchu bure, o soczyście zielonej podszewce kijki leszczynowe.

Wreszcie, jak nożem uciął: słońce i żyto. Upał, o którym zapomnieli w lesie, chwycił za gardło. Powietrze grało, brzęczało, dygotało od muszek. Miedzą pełną rumianków, między dwiema ścianami żyta doszli wreszcie.

Dwór był nieogrodzony. Ruszyli przed sad pod dom. Wszystko spało. Przed gankiem, w dołku, wyrytym pośrodku zapuszczonego klombu z krzakiem jaśminu, leżała obwisłobrzucha świnia, słodko pokwikując przez sen.

Weszli do sieni — pusto. Zapukali — cicho. Duży, bielony pokój prawie nie miał sprzętów — jakiś stół i ława. Nikogo.

Szli tak przez cały dom pełen much i dusznego upału, aż wreszcie natknęli się na jakiegoś człowieka o chytrych oczkach i obwisłych wąsach. — Do kogo? — syknął i zaraz dodał — Aha, to pani Markiewiczowej. Do Włodka?

„Jełopko" wyszedł z jakiejś ciemnej komory, przecierając oczy. Powitał ich bez zdziwienia, jakby bywali u niego co dzień. Z ironią popatrzył na swego wąsatego ojca: tamten był boso. Spojrzenie było wymowne, nowy dziedzic bartoszewicki nieśmiało przestąpił z nogi na nogę i zaraz się ulotnił.

Stali chwilę w pokoju. Niewiadomo było, co robić. Loniek próbował prowadzić konwersację, „Jełopko" odpowiadał monosylabami. Wreszcie Bolek niewinnie bąknął: — Pewno maliny już dojrzały, widziałem koło domu...

Aluzja była zbyt bezpośrednia, tamten nie mógł się wykręcić. Czym prędzej wyszli z domu ocierając pot z czoła. Ale „Jełopko" energicznie uciął próby gości przedarcia się do bujnych zarośli malinowych koło domu. — Tam niedobre — łgał bezczelnie — robaczywe. — Zaprowadził ich w sam koniec sadu, gdzie rozpleniła się metrowej wysokości pokrzywa. W samym środku tej dżungli samotnie sterczał krzaczek

maliny z dwiema jagódkami. Loniek z rozpaczą machnął kijem, chcąc wyrąbać sobie przejście do tych, pożal się Boże, skarbów. — Nie, nie — prawie krzyknął „Jełopko" chwytając go za rękę — nie można, pokrzywę dajemy świniom.

Wracali milcząc, wstyd było za „Jełopkę". Więcej tam nie chodzono.

Żniwa. Wysokie obłoki, jak dobrze ubita pianka z białka, wolno napływały zza Dzitwy. O zmierzchu słychać było dalekie śpiewy, samotne i smutne: to kobiety z Jewsiewicz wracały do domów. Znowu snopy, rżyska, mgła poranna. Grusze-sapieżanki otrząsały z siebie przejrzałe, popękane owoce.

Czekał z niecierpliwością końca wakacji. Po pierwsze — będzie już w drugiej A, już mu nie będą wymyślać od „wszaków, pierwszaków". Po drugie nauczył się wreszcie klasycznych „sażonek" z klepaniem.

Pietras woził na targ pomidory. — To dla ciebie — mówiła mamusia z westchnieniem. — Na podręczniki. — Tatuś słuchał sceptycznie, kaszlał, kręcił papierosa.

IX

Czas jakby się urwał z łańcucha. Pani Kociumbasowa jeszcze grubsza. Lola w czarnej sukience, wyższa i chudsza. Podała im ręce bez uśmiechu, odwróciła się wzgardliwie, gdy Loniek chciał ją walnąć przyjaźnie po ramieniu.

— Gdzie druga A? — wołali, przepychając się przez tłum gapiowatych malców. Bolek szturchnął tego i owego, tamtemu dał „gruszkę", jeszcze kogoś przelotnie wziął w „nawias". Rozstępowali się w milczeniu nie pozbawionym lęku i szacunku. Jak przyjemnie czuć, że się nie jest najmłodszym! — Markiewicz, tutaj, tutaj! — ktoś wrzasnął z końca korytarza. Brejwo. Skoczył do niego, zapominając o tamtej bójce. — Jak się masz, stary?

Zeszli się wszyscy. — Widzieliście „wójta z Bzdziecieniaty"? — krzyczał „Balon". — Jeszcze utył i wyrósł. Jest jakby z czwartej klasy. Nowi myślą, że to pan profesor.

Oni też mieli nowych: dwóch „repetentów" — Płungus, niewysoki, bardzo spokojny, o szerokiej twarzy, i ostronosy, krzykliwy Wismont.

„Belfrzy" też byli nowi — ruda, pudlowata „francuzica", pani Küstner, „niemiec", Klein, z wąsami zadartymi do góry, garbatonosy. Pan Kalasiewicz ciągle był ich wychowawcą. — Markiewicz, stań do kąta — zaczął od początku. — Nie lubię, jak ktoś się uśmiecha bez powodu.

Po lekcjach Bolek złapał Krupowicza. — Chodź, pokażę ci, jak teraz pływam. — Ale Krupowicz nie chciał słuchać: futbol.

Była to wielka rewelacja. Okazuje się, że w lecie dotarła do Lachowicz piłka nożna. Skutki jej były piorunujące. Syn burmistrza, jedna z pierwszych ofiar tej manii, namówił swego wysoko postawionego ojca i w zamku, gdzie dotąd pasły się kozy okolicznych obywateli lachowickich — zrobiono boisko. Było ono zbyt krótkie, jak twierdzili znawcy, ale za to leżało w samym śródmieściu.

Loniek zaciągnął go tam w sobotę: mecz. Afisze głosiły: zawody towarzyskie LOSO — Makabi. — Co to LOSO? — pytał Bolek. Nikt nie wiedział. Makabi — to wiadomo, to Żydzi.

Przy wejściu, koło na wpół zburzonej wieży stał tłum wyrostków. Przedostali się do środka, dumnie pokazując bilety. Cała „banda" siedziała już na najlepszych miejscach. — Te, Kiernoz — powiedział Romek — pokaż bilet. — Loniek z niedbałą dumą wyciągnął rękę z papierkiem. — A nie mówiłem — wzgardliwie zadarł nosa wódz „bandy" — oni kupili! — Wszyscy buchnęli śmiechem. — My tędy — pokazał „Balon" przeciwległą wieżę — tam można, po kamieniach.

Trudno było powiedzieć, co w meczach było ciekawsze — oglądanie czy przedostawanie się na widownię bez biletów. „Banda" z tego właśnie zrobiła prawdziwy sport. Siedzieli teraz, komentując fachowo wydarzenia. — To środkowy pomocnik — mówił Edek. — Ofsajd, ofsajd! — ryczał „Balon". Teraz będzie korner! Romek co chwila krzyczał: „sędzia kalosz!"

Na boisku uganiali się dryblasy w czerwonych i niebieskich koszulkach. Kiedy niebiescy byli górą — widownia ryczała z zachwytu. — To Makabi — mówił Romek — to Żydki się cieszą. Gwizdnął dwa razy. — Ja za LOSO.

— A co to LOSO? — natrętnie dopominał się Bolek.

— LOSO to także Żydki — z lekkim zawstydzeniem odrzekł Roman. — Tylko mniej. Tam jest jeden Kukiński, na łączniku. Wiecie, ten z szóstej. I dlatego my za LOSO. A wy? — zapytał Lońka i Bolka z groźbą w głosie.

— Za LOSO, za LOSO — pośpieszył Loniek.

— Sędzia kalosz! — wrzasnął Romek — Krzycz — sędzia kalosz!

— Czemu?

— Bo dał wolnego przeciw LOSO.

Krzyknęli chórem. Publiczność zaczęła na nich sykać, paru zaś typów o kudłatych czuprynach podeszło bliżej i usiadło, zezując nieżyczliwie i groźnie na Romka.

— Brawo sędzia! — znowu krzyknął Romek. — No! — odwrócił się niecierpliwie do swej świty. Bolek wrzasnął: „brawo!" — Bo co? — zapytał.

— Bo dał wolnego za LOSO.

LOSO wygrało. Romek w napadzie entuzjazmu chwycił czapkę „Kierownoza" i zaczął podrzucać do góry. Tłum ruszył ku wyjściu. W ścisku Bolek zobaczył nagle koło siebie dwie nieprzyjazne twarze. Ktoś go chwycił za rękę, inny, z tyłu, szturchnął parę razy kułakiem pod żebra. — Ty będziesz jeszcze krzyczeć? — nachylił się nad nim jakiś kędzierzawowłosy łeb. — Ja za LOSO — hardo odrzekł Bolek, usiłując się wyrwać. — Loniek, Romek!

Odsieczy nie było. Za wąską bramą rozluźniło się, energicznie targnął się w bok, wyskoczył. Rzucili się za nim. Uciekał przed siebie z całej siły. Słyszał z tyłu zduszone krzyki „Balona", pewnie go złapano także.

X

Oto i racja bytu na najbliższe cztery czy pięć latek. Romek dostał od ojca piłkę. Szli po lekcjach pod prawosławny cmentarz na Zakasance albo na wygon, puste ogromne pole za rynkiem. „Balon" był skrzydłowym, Mineyko grał w pomocy. Loniek został „bekiem".

Najtrudniej było znaleźć przeciwników. Czasem trzeba było się po prostu dzielić. Wówczas Romek i Bronek stawali naprzeciw siebie. — Jazda! — krzyczał Mineyko. Roman stawiał prawą stopę przed lewą. Bronek czynił to samo. Schodzili się wolno, aż któryś nakrywał stopą nogę drugiego: miał pierwszeństwo w wyborze: — Balon! — krzyczał od razu, przegrany na pocieszenie chwytał sobie Mineykę, pierwszy brał Krupowicza, drugi — Lońka. Pod koniec zostawał tylko Bolek. Uważali go za najsłabszego.

W październiku na klasówce wyrzucono Lewinsona za drzwi: wysłał ciągaczkę Bakłanowi. W tymże czasie zachwiała się poważnie pozycja „Balona": Koziński przestał chodzić z Lolą Rynkiewiczówną. Szeptano o starszej Koszowskiej.

Ciocia Leokadia wrzepiła Lońkowi znowu za podarte buty. Agitowała mamusię, buty Bolka były także do niczego. Częściowo jej się udało: mamusia natargała go za uszy.

Zima była nijaka. Miał dwójkę z matematyki i z francuskiego. Loniek miał pięć, znowu najwięcej w klasie. Nie mogli się doczekać wio-

sny: futbol! Trzecia A tłukła ich przy okazji, za to pierwsza obrywała od nich.

W początkach marca „banda" ożyła. Ruszyli na wygon całą niemal klasą. Na bagnach za rynkiem leżał jeszcze śnieg, ale na szczycie wygonu było już błocko. Ułożyli z cegieł bramki. — „Niemcy" na „francuzów" — krzyknął Romek. „Francuzi" byli silniejsi: obaj Kulczyńscy, „Balon", Krupowicz. Jednego gola strzelił nawet sam Bolek, którego dali na lewe skrzydło. Rozpędził się za piłką i tuż przed nadbiegającym Brejwą — strzelił! Ujrzał niezgrabnie podskakującego Lubczańskiego, który był u „niemców" bramkarzem. — Gol! — zawył Romek — brawo trąba! (Tak go właśnie zaczęto przezywać — czemu?) Bolek z rozpędu wpadł do kałuży, ze dwa metry ślizgał się na lodzie, jeszcze kryjącym się pod rzadką kaszką błota, potem siadł, potem łupnął twarzą naprzód.

Prowadzili go jak triumfatora. Był oblepiony błotem od włosów po buty. Z nosa ciurkała krew. Próbował trochę się oczyścić zleżałym śniegiem, przez parę minut odrzucał zróżowiałe i szczerwieniałe grudki, potem dał spokój. Pani Kociumbasowa na jego widok rozłożyła ręce i oniemiała. — Ostrożnie! — łgał Loniek — On wpadł pod auto.

Ten gol trochę poprawił mu renomę. Brali go teraz do drużyny zaraz po Lońku i przed Brejwą.

Na Wielkanoc zrobili sobie coś takiego okrągłego ze szmat i kopali w Molgach za stodołą. Rozgrywali nawet jedyne w swoim rodzaju mecze-single. Loniek zresztą zawsze wygrywał.

W trzecim okresie Romek wynalazł doskonały sposób na zaradzenie katastrofalnemu brakowi czasu. Po prostu uciekało się z którejś lekcji, np. z przyrody. Pan Rutkowski był krótkowidz i niedorajda. Kiedyś Kleban z powodzeniem odegrał rolę Romka, a po paru minutach występował już w charakterze Klebana. Pan Rutkowski marszczył zadarty nosek, poprawiał okulary. Coś mu się tu wydawało podejrzane. Ale nie wpadł na pomysł przeliczenia uczni.

Słońce paliło, na wygonie pasły się krowy. Pierwsza A dostawała od „bandy" regularnie 5 : 0, 6 : 0. Trzecia przyjęła wyzwanie w czerwcu. „Wywiadówki" nie zauważono: dyskutowano — kto ma grać na bramie. Było to stanowisko pogardzane: nie można było strzelać goli. Koniec końców Romek się ofiarował osobiście.

Grali po obiedzie. Bolka nie wzięto, stał pod bramką. Trzecia zrazu górowała, ale potem „Balon" z Edkiem parę razy zręcznie wykiwali przeciwnika. Przerwa 1 : 0 dla „bandy". Po przerwie trzecia zaczęła

polować na kostki przeciwników. Mineyko zbiegł z pola na jednej nodze. Uganiano się za „Balonem".

Trzecia przegrała. Byli tak przygnębieni, że nawet nie napadli na swoich młodszych zwycięzców. „Banda" wróciła z „Balonem" na ramionach Bronka: strzelił dwie bramki.

Mamusia przyjechała, gdy odbywał się rewanż. Odszedł z żalem z boiska prowadzony pod rączkę przez Pietrasa i ciocię. Loniek ukrywał się w krzakach za zamkiem. Nie chciał się poddać, targował się o warunki. Ciocia nieopatrznie zapowiedziała, że tym razem zedrze zeń żywcem skórę: został na drugi rok. Bolka traktowano jak zakładnika. Także zresztą pozostał.

XI

Przekonał się, że to nic strasznego. Przykro, że dawniejsi koledzy są teraz starsi od ciebie i musisz im ulegać w potyczkach. Przykro, że niedawne „wszaki, pierwszaki" — są z tobą za pan brat. Taki np. Dubrownik, przed rokiem wyśmiewany, podchodzi teraz i klepie cię po ramieniu. Ale z drugiej strony wielu jest w tej samej sytuacji i to najmorowszych: Edek, „Balon", Mineyko. Tylko Romka przepuszczono, choć miał więcej dwójek niż brat. Po drugie zaś „wszaki" tylko udają tę niby naturalną poufałość. Naprawdę odnoszą się do ciebie z szacunkiem, aż hen do końca drugiego okresu.

Piłka nożna została nieodłącznym elementem bytu, ale tak ostrej formy już nie miała. Powoli wybiło się kilkunastu asów, reszta chodziła, patrzyła, krzyczała, uwielbiała tamtych, sama zaś szukała innych dziedzin dominowania.

W czwartej trafił do orkiestry szkolnej. Tegoż roku Lońka wreszcie z trzaskiem wylano. Zgubiła go Joasia.

Była to dziwna historia. Kiedyś wieczorem trafili przypadkowo do kościoła: Romek, Edek, „Balon" i Loniek. Było prawie pusto, ale organista grzmiał na chórze naciskając z zapałem partie basowe. Kościół dudnił. Romek ziewnął, nachylił się do reszty: — Chodźmy. — Tamci nie usłyszeli. Krzyknął prawie — bez skutku. Organista zagłuszał niemal myśli w głowie, cóż dopiero jakieś tam wątłe słowa ludzkie.

Wtedy Romek wpadł na pomysł: „kichniemy". Robi się to tak — między czterech młodzieńców o dobrze rozwiniętej klatce piersiowej rozdziela się trzy krótkie słowa i jedno dłuższe: as, trefl, pik, Joasia, po czym wszyscy jednocześnie na dany znak krzyczą jak najgłośniej każdy swoje. Największy efekt uzyskuje się letnim wieczorem, naj-

lepiej koło jakiejś wodnej powierzchni i niedaleko zwartej ściany leśnej. Można także powtarzać taką operację trzy razy z rzędu, raz po raz. Tak nawet wypada bardziej przekonywająco.

Loniek dostał Joasię: miał głos najdonioślejszy. „Kichnęli" — i zdumieli się, żadnego efektu. Nawet klęczące niedaleko kobiety — i te się nie spostrzegły. Organista był niepokonany.

— Potrójne! — skomenderował Romek — raz, dwa...

„Kichnęli" raz, drugi, trzeci. Za drugim zrozumieli, że tym razem nabili organistę. Wszyscy odwrócili się do nich z przestrachem i oburzeniem. Z rozpędu kichnęli po raz trzeci.

Skoczono ku nim. — Jazda! — zawołał Romek, rzucając się do ucieczki. Okazało się, że organista właśnie skończył swoje popisy muzykalne, oni zbyt jednak byli wypełnieni własnym wrzaskiem, aby to zauważyć.

Koniec końców wyrzucono tylko Lońka. Reszta dostała „odpowiednie" z zachowania. Nie wypadało wobec opinii publicznej — synów samego starosty! Wynaleziono więc zbawczą formułę: Leonard Galenkowski wydawał w kościele nieprzyzwoite okrzyki. As, pik, trefl — były niewinne. Ale Joasia...

Na wiosnę tegoż roku klasa przeżyła krótki okres napięcia politycznego. Któregoś dnia Bolek zobaczył za bramą starostwa — karabin maszynowy! Kilkunastu żołnierzy w hełmach stało w dwuszeregu. O co chodzi? Jakiś pierwszy maja, znowu ci bolszewicy. W klasie zresztą tego nie komentowano.

Ale w dwa tygodnie później pobili się między sobą już nie „niemcy" i „francuzi", ale „rządowcy" i „buntownicy". „Banda" była na ogół za rządem. Na czele partii przeciwnej stał Bakłan, *vulgo* „Bułeczka". Dubrownik, jak zwykle, znalazł się pośrodku i jego głównie maltretowano, zarówno, jak Lubczańskiego. Chodziło o to, że obie partie nie miały zbyt jasnego wyobrażenia o swojej własnej mocy i wolały nie ryzykować otwartej bitwy. „Buntownicy" więc obrali „wójta z Bzdzieciniaty", krzyczeli na niego „Witos", „Witos" i tłukli na korytarzu. „Rządowcy" dla wszelkiej pewności poszturchiwali Lubczańskiego. Było to o tyle wygodne, że pozwalało zarzucać przeciwnikowi żydowskich sprzymierzeńców.

Bolek także znalazł się jakoś pośrodku. Kiedy w najlepsze trwała dyskusja między Romkiem (dopędzili go w międzyczasie, repetował czwartą) i Bakłanem — Bolek długo usiłował zrozumieć swoje własne reakcje intelektualne. „Buntownik, Żyd, bolszewik" — wykrzykiwał Romek. „A kto zbudował państwo polskie? Precz z kapitalizmem!" —

eplikował „Bułeczka". „Balon" cisnął gąbką w Lubczańskiego. Brejwo sadził szpilkę Dubrownikowi. Tamten zerwał się z wrzaskiem. rudno było wyrobić sobie obiektywny sąd. Koniec końców Bolek wyalazł wyjście — chwycił swoją trąbkę orkiestrową i wydał dwa zmiące tony. Kiedy wszyscy przycichli, skoczył na ławkę: — Byczo st, chłopcy. Romek, daj pyska „Bułeczce". Po co tam myśleć. Indyk yślał, myślał i...

Pyska Romek Bakłanowi nie dał, ale i tak wszystko się obeszło. Wszystko na świecie jakoś się obchodzi.

Bern, 16.VI — 1.VII. 1946

Jerzy Putrament

ALEKSANDER MALISZEWSKI

BALLADY I ROMANSE

Osoby:

ADAM MICKIEWICZ
MARYLA WERESZCZAKÓWNA
FRANCISZKA WERESZCZAKOWA — matka Maryli
MICHEL, JÓZEF — bracia Maryli
WAWRZYNIEC HR. PUTTKAMER — narzeczony Maryli
TOMASZ ZAN, JAN CZECZOT, MICHAŁ RUKIEWICZ — Filomaci, przyjaciele Adama
TEKLA STYPUŁKOWSKA — domownica Wereszczaków, kuzynka Adama
KAROLINA KOWALSKA — żona lekarza z Kowna
ROZALKA — służebna Maryli
SIKORA — służący u Wereszczaków

Rzecz dzieje się w latach 1820—1823
Akt pierwszy — w Tuhanowiczach
Akt drugi — w Wilnie
Akt trzeci — w Wilnie.

AKT PIERWSZY

W Tuhanowiczach. Salon we dworze. Fortepian, fotele, kozetka, kominek. Dwoje drzwi z lewej, dwoje z prawej. Na wprost — oszklona weranda z wyjściem do ogrodu.

Godzina przedwieczorna. Chmury. Pomruki nadciągającej burzy. Tekla Stypułkowska stoi na niskim taburecie i deklamuje z patosem. Rozalka przykucnęła naprzeciw niej i słucha z wielkim przejęciem.

TEKLA:

„Jakiż to chłopiec piękny i młody?
Jaka to obok dziewica?
Brzegami sinej Świtezi wody
Idą przy blasku księżyca.

Ona mu z kosza daje maliny,
A on jej kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka...“

ROZALKA *(z zachwytem):* Achjej, paniulitiu złota!... Toż głowa, nie żart! Jak pan Adam co wymyśli, to prosto, choć ty siądź, choć ty płacz...

TEKLA: Znowu mi przerwałaś... Przecie jeszcze nie koniec...

ROZALKA: Bożeż mój, on, znaczy się, żenić sie będzie ten ów kawaler?...
TEKLA *(upominająco):* Rozalka, Rozalka...
ROZALKA: Toż niech mnie, w imię Ojca i Syna, żebym ja i słowo jedno owiedziała!...

TEKLA *(deklamuje):* „...Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka.
Każdą noc prawie o jednej porze,
Pod tym się widzą modrzewiem..."

(wchodzi Franciszka Wereszczakowa — niespokojna, podniecona)

WERESZCZAKOWA: Nie ma ich jeszcze?...
TEKLA: Nie ma. *(zeskakuje z taburetu, po chwili)* A niechże się pani marszałkowa dobrodzika tak nie zamartwia. Tylko patrzeć jak wrócą...

(Rozalka wybiega przez pierwsze drzwi po lewej)

WERESZCZAKOWA *(przy oknie):* Jakaż ta chmura czarna! Jezus, Maria, widziałaś, Tekluniu? Żeby znowu jakiego nieszczęścia nie było...
TEKLA: O, pani marszałkowa to tylko na nieszczęście czeka...
WERESZCZAKOWA: Skąd ty wiesz, moje dziecko, na co ja czekam. Już lepiej nic nie mów. Każ Rozalce — niech pozamyka okna. Pioruny lubią przeciągi, w imię Ojca i Syna...
TEKLA *(wychylona przez pierwsze drzwi po lewej):* Rozalka! Rozalka! Pozamykaj okna! W pałacu i w murowance! Żywo! *(do Wereszczakowej)* Nie mogli daleko pojechać. Mówiłam Maryli, że będzie deszcz, bo starego Sikorę od rana blizny bolą...

(grzmot toczy się szeroko)

WERESZCZAKOWA *(mruczy):* Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko ...nie racz gardzić w potrzebach naszych... *(do Tekli)* Oj, żeby konie się nie napłoszyły i nie poniesły! Jak u Ślizieniów, pamiętasz, Tekluniu? W Bartnikach. *(Tekla kiwnęła głową, że pamięta, zamyka okno staje przy nim zamyślona)* Wszystko się już rychło uładzi, wszystko się ułoży, jak tylko pan Adam do Wilna pojedzie — jeszcze dzień, dwa — jeden za lasem...
TEKLA: Ułoży się albo się i nie ułoży. *(z westchnieniem)* Oj, zapatrzył on się, nieborak, zapatrzył na wiek...
WERESZCZAKOWA: Co ty tam mruczysz pod oknem? Kto się zapatrzył?...
TEKLA: O Adamie mówię, pani marszałkowo dobrodziko...
WERESZCZAKOWA: Bandury pleciesz, moje dziecko. Pan Adam młodziutki, to mu jeszcze niejedna dziewczyna oczami w sercu dziur narobi. Kto poezje układa, temu wszystko zda się piękniejsze niż trzeba. Dziś to, jutro tamto. Tak, tak — już ty głową nie trząchaj, wiem, co mówię.
TEKLA *(wspominając):* Całą zimę ani słowa do nas nie napisał. Marylka listy układała i rady szły — wysłać, nie wysłać... Wychodziło, żeby nie wysyłać, więc płakała i płakała...
WERESZCZAKOWA: I czegóż ona płakała?
TEKLA: Bo to wiadomo, czego się płacze, jak na człowieka przychodzi. Czasem tylko wiersz przysłał. Choćby i ten, co ma najsmutniejsze na świecie zakończenie...

(weszła Rozalka i zamyka drugie okno)

WERESZCZAKOWA: A ty czego okna zamykasz?! Duszno, choć zgiń, przepadnij, a ona okna zamyka. Otwieraj zaraz!. *(Rozalka chwilę pomyślała i otwiera jedno, potem drugie)* O czym to ja?... Aha, o tym zakończeniu... *(patrzy na Teklę)*

TEKLA *(deklamuje):*

„...Dziwią się panie, dziwią się rycerze.
A on w zwycięskiej chwale
Wstępuje na krużganki.
Tam od radosnej witany kochanki,
Rycerz jej w oczy rękawiczkę rzucił,
»Pani, twych dzięków nie trzeba mi wcale!«
To rzekł i poszedł, i więcej nie wrócił..."

WERESZCZAKOWA: Hm.

TEKLA: Tośmy tak płakały, tak płakały, że ledwośmy na obiad zdążyły. *(Rozalka rozbeczała się, wybiega)*

WERESZCZAKOWA *(odprowadziła wzrokiem Rozalkę — jest jakby lekko dotknięta możliwością aluzji w wierszu):* A cóż to za rycerz taki?

TEKLA: Emrod się nazywał, pani marszałkowo...

WERESZCZAKOWA: Emrod, powiadasz? Hm. Nie znam. *(surowo)* A ty powinnaś pamiętać, że Maryla jest narzeczoną pana hrabiego Puttkamera! A jeśli wypadnie, to i przypomnieć komu trzeba, choćby i panu Mickiewiczowi — krewny twój przecie. Pan Adam — owszem — chłopiec baaardzo, baaardzo... — szkoda, żeby go jakaś przykrość spotkać u nas miała... *(grzmi — szeroko. Wereszczakowa zamyka okno. Wchodzi Michel. Jest to człowiek usposobienia pogodnego, lubi się uśmiechać, skłonny do sentymentalizmu, mówi nieszybko, jakby z namysłem)*

MICHEL *(z uśmiechem):* Co to się u nas dzieje z tymi oknami! Przed chwilą Rozalka wszystkie na gwałt zamykała, a teraz otwiera. Mówi, że jej tak kazano. *(nachyla się do ręki matki)* Jeszcze cię dziś nie widziałem, mamo — cały dzień na polowaniu.

WERESZCZAKOWA *(całuje go w głowę):* Ach, Michel, ciągle tylko zmartwienia i zmartwienia.

MICHEL: Co się znowu stało?

WERESZCZAKOWA: Adam z Marylą na szpacyjery konno pojechali i jeszcze ich nie ma — a deszcz i gromy jakie.

MICHEL *(śmieje się):* Gdzież tu zmartwienie?

WERESZCZAKOWA *(gest zniecierpliwienia, że Michel nic nie rozumie):* Ech, Michel... *(po chwili)* Lorens przyjechał.

MICHEL: Był w Wilnie?

WERESZCZAKOWA: Był, był... Dopiero co, przed samą burzą prosto z Wilna przyjechał, do domu nie wstępując.

TEKLA: Pan hrabia Puttkamer siedzi teraz w pokoju i źle się czuje.

WERESZCZAKOWA *(patrzy na Teklę zdumiona):* Źle się czuje?

TEKLA: Nie chciał nic jeść i nie chciał powiedzieć, co mu jest.

WERESZCZAKOWA: Bój się Boga, dziewczyno, nic mi o tym nie mówiłaś! Zaraz każę zrobić naparu z ziółek. *(idzie w kierunku pierwszych drzwi po lewej stronie)*

MICHEL *(zatrzymuje ją):* Zaraz, mamo, zaraz... Bo uważasz, mamo, tu napar z ziółek nic nie pomoże. Ta choroba trwa nie od dzisiaj. Bo widzisz, mamo, trzeba by... Bo to, uważasz najlepiej byłoby, żebyśmy już przestali udawać, że nic nie widzimy... *(zamilkł na chwilę)*

WERESZCZAKOWA: Tak jakoś dziwnie żartujesz, że sama nie wiem...

MICHEL: ...że nie wiemy, dla kogo w Tuhanowiczach kwiaty najpiękniej kwitną i ptaki tak śpiewają, jak jeszcze nigdy nie śpiewały... Bo, uważasz mamo, chciałem już z tobą o tym dawno pomówić, ale zawsze... *(zamilkł na chwilę)*

TEKLA: To ja pójdę — naparzę jednak tych ziółek.

(wybiega przez pierwsze drzwi po lewej)

MICHEL: ...zawsze zdawało mi się, że na ten temat najchętniej mówiłabyś innego dnia... *(śmieje się)*

WERESZCZAKOWA *(zakłopotana):* Ach, Michel...

MICHEL: ...a tymczasem, uważasz, urosła rzecz o specjalnie delikatnej materii. No i tak. No i teraz trzeba już... Trzeba się, mamo zastanowić, jakby to wszystko... Bo żeby, widzisz, nie zranić człowieka...

WERESZCZAKOWA: Eee, zranić, zaraz zranić. Młodemu rany szybko się goją. Niewiele minie czasu, jak i blizny, choćby szukał, nie znajdzie.

MICHEL: ...żeby mu, widzisz, nie wytrącić spod nóg fundamentu, na którym swoje życie ustawia...

WERESZCZAKOWA: Eee, co dzień inny świat przewracają i inny budują. W takim rozruchu, moje dziecko, o własne fundamenta dba się nie za wiele.

MICHEL: ...i żeby go uchronić od rozpaczy... żeby nie stracić przyjaciela...

WERESZCZAKOWA: Mądry jest, to mu krew, jak trzeba, spieni się, wzburzy i uspokoi. A jeśli głupi... Hm... jeżeli głupi... Tak, tak, Michel, masz rację. Trzeba by jakoś, już nie zwlekać...

MICHEL: Najdelikatniej całą rzecz... Bo, uważasz, mamo... Tak, tak — przede wszystkim będzie chciał zaraz potem oddać nam cały dług. A przecie wiem, że nie da rady. Wiem. Pójdzie na dno jak kamień, a uprze się, żeby oddać... Jakbym to widział, mamo...

WERESZCZAKOWA: Michel!... *(uderzył piorun — Wereszczakowa przeżegnała się)* W imię Ojca i Syna... *(odczekała aż grzmot ucichnie)* O jakim długu mówisz? Jeśli cię dobrze pojmuję, chciałbyś doprowadzić do zerwania Maryli z Lorensem?

MICHEL: Tak, mamo.

WERESZCZAKOWA *(poruszona):* Zdawało mi się, że w inną stronę rzecz prowadzisz...

MICHEL *(siada obok matki):* Maryla ostatnimi czasy bardzo się zmieniła — prawda, mamo? Tyle światła ma w oczach. Zupełnie, zupełnie inny człowiek... W każdym ruchu, w każdym uśmiechu... Wszyscy to widzimy — i ty, i ja... Lorens... I Lorens to widzi, mamo. Lorens wie, że nie on te światła zapalał. Jeszcze niedawno — wszystko miał do wygrania. Przyrzekłaś mu rękę swojej córki, ale on nie zdołał pozyskać jej serca. Stracił je. Przegrał, mamo.

WERESZCZAKOWA: To wszystko z tych nowych książek i z głowy roz-

palonej imaginacjami. Bój się Boga, Michel, do czego to podobne! Przyszedł poeta, rymem koło serca zadzwonił, o miłości szepnął — jak to się teraz u was mówi? — wiecznej i nieśmiertelnej, a panna gotowa rzucić wszystko, potargać, za nic sobie mając słowo matki i rady. Ech, Michel, Michel!

MICHEL: Adam pięknie umie dzwonić, mamo.

WERESZCZAKOWA: Za moich czasów tak nie bywało, żeby panna... O, nie mów, Michel, że tak być powinno.

MICHEL: Sama o tym wiesz, mamo, że każdy młody musi popełnić wszystkie te same błędy, które przed nim zostały popełnione. Bo jakżeby...

WERESZCZAKOWA *(zniecierpliwiona)*: Michel!

MICHEL: ...bo jakżeby inaczej... jakżeby mógł poznać smak radości i smak klęski? *(pauza)* Jeżeli Maryla nie kocha Lorensa...

WERESZCZAKOWA *(wybucha)*: Mnie nie pytano, czy kocham świętej pamięci ojca twojego, a jednak... *(pauza)* jednak go pokochałam... *(płacze)*

MICHEL *(po chwili)*: Może nie powinienem ci o tym mówić, ale...

WERESZCZAKOWA: Mów, Michel, mów... *(ociera chusteczką oczy i mówi o sobie, usprawiedliwiając wzruszenie)* Ot, fiksatka, daję słowo...

MICHEL: Bo, uważasz, mamo... I ty się zmieniłaś razem z Marylą. Tak, zmieniłaś się. Stukasz niecierpliwie palcami w blat stołu, gdy Adam się zawieruszył, a Maryla na próżno czeka pod kasztanem...

WERESZCZAKOWA *(obraziła się)*: Stukam w blat stołu? Przecie nie z powodu Adama.

MICHEL: ...Popłakujesz po kątach, gdy nagłe niesnaski między młodymi...

WERESZCZAKOWA: Popłakuję?

MICHEL: ...I promieniejesz cała radością i dobrocią, gdy czytasz w ich oczach porozumienie...

WERESZCZAKOWA: Co też ty, Michel? Co ci do głowy przyszło?

MICHEL: Nie wiem, mamo, czy pozwolisz na to, aby... Nie wiem, czy zgodzisz się, aby Maryla zerwała z Lorensem... Nie, nie wiem. Ale dzięki tobie... dzięki twojej mądrości, Maryla... *(pauza)* Jakby ci to powiedzieć?

WERESZCZAKOWA: Powiedz, moje dziecko, już teraz wszystko powiedz...

MICHEL: Pozwalasz córce swojej przeżyć to wszystko, czego tobie, być może, przeżyć nie pozwolono. *(pauza)* Tak to rozumiem, mamo. *(pauza)* Za to cię jeszcze bardziej kocham.

WERESZCZAKOWA *(wzruszona)*: Gałgan jesteś, Michel. Wielkie, wielkie moje utrapienie... *(pauza)* Miłość, moje dziecko, na złotych koniach jeździ, a złote konie złotego żądają siana. Wolałabym, żeby ten Adam więcej po ziemi chodził. Kto chodzi po ziemi — nie ma, gdzieby upadł.

MICHEL: Ani do drzwi, ani do okien ich domu nie zajrzy niedostatek. Będę nad tym czuwał, mamo. Pomogę im z całego serca.

(chwila milczenia — deszcz leje, błyska)

WERESZCZAKOWA: Tego jeno nie mogę pojąć, że ten Lorens tak spokojnie na wszystko patrzy...

MICHEL: Lorens, uważasz, mamo, Lorens jest jak człowiek, którego z dala od domu spotkał deszcz. Cóż może uczynić? Stanąć pod drzewem i przeczekać ulewę.

(wchodzi Józef — jest to człowiek zimny, porywczy, stanowczy, szybki)

Tylko że Lorens, uważasz, mamo, nie zdaje sobie sprawy, że to się zaniosło na dłużej...

JÓZEF: Skoro już o tym się mówi — c'est bien! — Postawmy sprawę jasno. Tak dłużej być nie może...

WERESZCZAKOWA: Ach, Pepi, jesteśmy tego samego zdania.

JÓZEF: Oh, maman, Lorens patrzy i milczy. Je suis très content, że cię nie muszę przekonywać, bo już mi się zdawało... Alors, kto z nas pomyślał, ile upokorzenia mieści się w milczeniu Lorensa...

WERESZCZAKOWA: Ależ, moje dziecko...

JÓZEF: Pora już, aby Maryla zrozumiała, że ekskursje z Adamem na złe jeno wypaść mogą...

MICHEL: O, to zależy, to zależy...

JÓZEF *(przerywa)*: Michel! Naprawdę myślisz, że Maryla zgodziłaby się zostać żoną nauczyciela z Kowna?

MICHEL: No... Jeśli się kochają...

JÓZEF: Kochają, kochają... Imaginez, maman, co by się działo, gdyby Maryla zerwała z Puttkamerem. Jaki krzyk podniósłby się dokoła! Ileż byśmy kondolencyj z sąsiedztwa otrzymali! Ile współczucia by nam okazano! Ile żartów, przycinków, domysłów! O, sacré nom de Dieu! Dla kogóż to? — Dla Mickiewicza!...

MICHEL: Mówisz tak, jakby Wereszczakom korony z głów pospadały, gdyby Mickiewicz wszedł do ich rodziny. Mickiewicze — szlachta przecie!

JÓZEF: Po co ma zaraz „wchodzić do rodziny"?! Pół tysiąca studentów wileńskich kocha miłością wieczną a nieśmiertelną — a który z nich myśli zaraz o małżeństwie? Miłość, miłość — po co wyciągać tego upiora, o którym wszyscy tak wiele mówią, ale którego naprawdę nikt nie widział.

WERESZCZAKOWA: Tyle razy cię prosiłam, żebyś tak nie żartował...

JÓZEF: Excusez, maman... *(do Michela)* Nauczyciel, miłośnik chłopskich bandur i piosnek pastuchów! Poważna to partia! Jakiż los byśmy jej zgotowali?!

MICHEL: Nie ma takiej mądrości na ziemi, która by losy ludzkie wybierać umiała...

JÓZEF: Pomówmy spokojnie: Maryla musi wyjść za Lorensa, a my powinniśmy uczynić wszystko, aby to się stało jak najprędzej. D'autres situations sont pas possibles. Jeśli to się szybko nie stanie — nie wiem, co mógłbym uczynić.

WERESZCZAKOWA *(zatrwożona)*: Pepi, czyżbyś, Boże broń, o czymś wiedział?! *(do Michela)* Tego się właśnie obawiałam...

JÓZEF: Gdy Lorens przystępował do budowy cukrowni — dałem mu na rewers sześć tysięcy rubli srebrem. Wiecie, jakie były losy tej antrepryzy.

WERESZCZAKOWA: Bo któż rozsądny będzie się upierał, żeby z buraków cukier pędzić...

MICHEL: Cóż to ma wspólnego z Marylą?

JÓZEF: Imaginuj sobie, mon frère, że ma, bo w tę cukrownię i ja ulokowałem wszystkie swoje pieniądze.

WERESZCZAKOWA: Mówiłam, że będzie nieszczęście. Bój się Boga, Pepi!... Nic nikomu nie powiedziałeś, niczyjej nie zasięgnąłeś rady.

JÓZEF: Liczyłem na to, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, to i dla dobra ojczyzny, i dla postępu, i dla mnie, i dla was. Stało się inaczej. Majowy grad pogrzebał moje nadzieje. Zbliżają się terminy różnych płatności... Nie wiem, co robić. *(pauza)* Nie możemy przecie dopuścić do rozdziału Tuchanowicz między wierzycieli...

WERESZCZAKOWA: Jezus, Maria, Pepi!

MICHEL: Wszystko we mnie kipi, wszystko się we mnie buntuje — jak można losy Maryli wiązać z komercjalnymi spekulacjami!...

JÓZEF: Ba.

MICHEL: Czekaj. Przecie to niesposób, żeby tak... Mam trochę oszczędności. Ileż ci potrzeba na rewersa?

JÓZEF: Pięć tysięcy rubli.

WERESZCZAKOWA: Pięć tysięcy rubli?!

MICHEL: Pięć tysięcy... *(po chwili, zmartwiony)* No... tyle nie mam. To już doprawdy... że... hm...

JÓZEF: Na szczęście... — O, Lorens to subtelna i szlachetna dusza. — Na szczęście zrozumiał, jak mnie ta strata zmartwiła i czym to nam grozi — uparł się, że zwróci mi sumę, którą pożyczył, i sumę, na której wydanie namówił. Dał parole d'honneur, że zwróci. Razem jedenaście tysięcy rubli.

MICHEL: Zaczynam rozumieć...

WERESZCZAKOWA: Z czegóż on ci zwróci?

MICHEL: Z posagu Maryli.

JÓZEF: Tak, z posagu Maryli.

WERESZCZAKOWA: O!

JÓZEF: Zgodnie z wolą świętej pamięci ojca naszego, jesteśmy obowiązani wypłacić posag w dniu ślubu. Będzie tego razem z odestkami — około dwanaści i pół tysiąca rubli. C'est ça!... *(chwila milczenia)*

MICHEL: A Maryla? — Gdzież sumienie, żeby tak...?

JÓZEF: O sprawy Maryli jestem spokojny. Suma posagowa zostanie przez Lorensa zabezpieczona na majątkach Unichów i Brażelce. W razie czego majątki te przejdą pod naszą rękę...

(Michel zaczyna się śmiać)

JÓZEF *(oburzony):* Cóż to znowu za śmiechy?!

MICHEL *(przestaje się śmiać):* Pytam, co na to Maryla? Mówiłeś z Marylą?

JÓZEF *(z rosnącą pasją):* Maryla uczyni wszystko, czego od niej zażądamy.

MICHEL: Jesteś tego pewien?

JÓZEF: Tak.

MICHEL *(z uśmiechem):* A ja nie *(tymczasem — ściemniło się zupełnie. Przed chwilą Rozalka wniosła zapalony świecznik i ustawiła na bocznym stoliku. Za Rozalką wszedł Sikora z uździenicami w ręku. Sikora stoi zakłopotany przy drzwiach, nie śmiąc przerywać rozmowy. Józef zobaczył Sikorę)*

JÓZEF *(krzyczy):* Ty czego?

SIKORA: Koni, znaczysie, przyszli, ale bez państwa. Znaczysie, bez panienki Maryli i bez pana Mickiewicza.

JÓZEF *(krzyczy):* Jakto — przyszli?

SIKORA: Znaczysie, urwali uździenicy i przyszli.

WERESZCZAKOWA: Matko najświętsza!

JÓZEF *(j. w.):* Czego strzelasz gawrony?! Zaprzęgaj kałamaszkę! — Ruszaj! Szukać!...

SIKORA: Jaż był...

JÓZEF *(j. w.):* Gdzieżeś był?

(Sikora ogłuszony krzykiem zamilkł)

WERESZCZAKOWA: Panno naświętsza! Mówże, Sikora, mówże. Sikora, pytają się — gdzie byłeś?

SIKORA: Dopraszam łaski pani marszałkowej, durniem pojechał, durniem i wrócił sie. Gdzież tu skweres robić? Oćma, ot jaka — na cztery strony świata — kogo by i znaleźć w taki czas?!

JÓZEF *(biega po salonie, zatrzymuje się przed Sikorą):* Czego stoisz?! Powiedziałem czy nie powiedziałem?

MICHEL: Czekaj. Nieszczęścia nie przegonisz. Gdzież lecieć? Wrócą lada chwila.

SIKORA: A toż wo! Po mojemu, znaczysie, przywiązani do drzewa byli.

WERESZCZAKOWA: Co ty pleciesz? Kto był przywiązany?

SIKORA: Nuż kto? — żesz koni, masierozumieć. Grom, znaczysie, po jemu, a żywioła dzika taka poszła da poszła, państwa ostawiwszy.

JÓZEF *(do Sikory):* Ruszaj! Zapalić pochodnie! Zapalić pochodnie, mówię! Szukać!

SIKORA: Zapalić, tak, zapalić... *(wychodzi)*

JÓZEF *(do Michela):* Powiedziałeś: sumienie. Ale sumienie jest nie jedno. Jest twoje, jest i moje! Ja w swoim jestem spokojny.

MICHEL: Tego ci zazdroszczę.

(Józef wybiega przez pierwsze drzwi po lewej)

MICHEL: Będziesz, mamo, dzisiaj rozmawiała z Marylą.

WERESZCZAKOWA: Będę, Michel.

MICHEL: Pamiętaj, mamo, o czym mówiliśmy. Te pieniądze — to rzecz ważna, może nawet bardzo ważna. Ale życie — jasne, spokojne, szczęśliwe życie, mamo...

WERESZCZAKOWA: Wiem, Michel.

MICHEL: ...żeby, uważasz, mamo, jak to mówił ojciec? Jak on to mówił? Żeby dla kilku ziarn kąkolu nie spalić całego pięknego żniwa. Pojmujesz, mamo?

WERESZCZAKOWA: Dobrze, Michel.

MICHEL: A ja pójdę do Lorensa.

(całuje matkę w głowę, wychodzi przez pierwsze drzwi po prawej)

WERESZCZAKOWA *(chwilę siedzi nieruchomo):* Zaraz, zaraz... bo już teraz sama nie wiem. *(pauza)* Tyle zawsze nagadają, że wszystko się w głowie przewraca... Jezus, Maria, po co to wszystko? Przecie pan Adam wcale się nie zdeklarował, o rękę nie prosił! Tekluniu! Tekluniu!

(wychodzi przez pierwsze drzwi po lewej — przez drugie drzwi po prawej wpadają Tekla i Rozalka)

TEKLA: Nie ma nikogo. Mówisz, że bardzo krzyczeli?

ROZALKA: Achjej! Z tego kawalerskiego stanu już sami nie wiedzo, co zmyślić.

TEKLA *(zamyślona):* Żeby dla Adama jaka krzywda nie wyszła.

ROZALKA: Achjej! Toż to byłoby i z grzechem! On żesz prosto jak ten anioł...

TEKLA *(myśli):* Trzeba coś zrobić. *(myśli)* Ale nie wiadomo co. *(myśli)* Pan Michel będzie wiedział. Zapytam pana Michela.

(wybiega przez pierwsze drzwi po lewej. Za oknem migają zapalone pochodnie. Z pierwszych drzwi po prawej wychodzą Puttkamer i Michel)

PUTTKAMER: ...tedy prosto z Wilna przyjechałem, aby się z wami naradzić. *(ujrzał pochodnie, biegnie do okna)* Coś się stało? Co to się dzieje?

MICHEL *(po chwili namysłu):* Pewno bóg Perun wezwał swoich wiernych...

PUTTKAMER *(przy oknie):* Biegną z pochodniami.

MICHEL: Toż pogańska wiara na Litwie uczyła, że piorunowy ogień jeno ogniem ugasić można. Zapalili pochodnie i biegną do pożaru. *(pauza)* Dobrze, żeś przyjechał, Lorens. Różnych spraw się nazbierało. Trza by od serca pomówić, choćby o pożarach — bo to, uważasz, różne przecie pożary bywają...

PUTTKAMER: O tym żeśmy i w Wilnie mówili. A najwięcej — względem swobodności dusz chłopskich. Żeby coś uczynić i żeby w tym sposobie Rewolucji Francuskiej w Polsce nie powtórzyć. Żeby po tym nie trza było ogniem ognia gasić.

MICHEL: Ba! Uważasz, Lorens, w życiu narodu, jak i w życiu każdego człowieka, mogą być momenta, że nijak inaczej, jak tylko jednym cięciem pałasza... ciach! — i tego... Często i sercu naprzeciw. Choćby i zabolało... Otóż...

PUTTKAMER: O zbrojnym powstaniu myślisz? Dzisiaj pono w całej Polsce spadek ochoty do orężnych czynów. Car Aleksander i Książę Konstanty ogromne w Warszawie honory Polakom czynią. Mówi się o nowej konstytucji i łaskach amnestyjnych.

MICHEL: Uważasz, Lorens... Uważasz, Lorens, Książę Konstanty podwójne miodowe miesiące przeżywa — z Joanną Grudzińską i z Polską. Podobno białego orła w koronie na lewym ramieniu nosi i z ręki go karmi. Rad wielce, gdy to z daleka widać. Ale z daleka widać co innego — z daleka widać, jak to Grudzińska, przez familię przymuszona, że niby tym sposobem ojczyznę ma zbawić, serce i oczy w inną zwraca stronę, nie na Konstantego patrzy. Ach, Lorens, kiedy, uważasz, białogłowa serce innemu oddała, choćbyś ją i księżą stułą do ręki przywiązał — nie utrzymasz, poleci... *(pauza)* Poleci, Lorens, poleeeci...

PUTTKAMER: Tak mówisz. *(zrozumiał aluzję Michela, usiłuje uniknąć z nim rozmowy na ten temat).* Otóż tak... No i więc... tego... tak... Szły w Wilnie rady z delegacją Wolnomularstwa Narodowego. Różne między nimi były zdania. Myśmy podawali, żeby wykorzystać jak najszerzej dary przyrodzone tej ziemi, przerabiać płody surowe, zakładać fabryki, cukrownie, papiernie. Trzeba rzucić pewną ilość kapitałów, choćby ze stratą, na pożytki antrepryzom przemysłowym. Inni mówili o prawach i wolnościach obywatelskich. Ach, Michel, głosów było, jak zwykle między Polakami. Doszło do tego, że jeden zapytał — jeżeli wszyscy mają być całkiem równi i wolni, to kto będzie pracował?! *(śmieje się, urywa nagle)* Tak powiedział. *(Michel milczy)* —

Ale ci z Warszawy chcą czegoś innego. Żądają przygotowań do zbrojnego powstania.

MICHEL *(jakby się ocknął):* Zbrojnego powstania? Banialuka!

PUTTKAMER: Otóż to. Podniosłem, że jest nas spora grupa obywatelów wierzących, że drogą lojalnej i spokojnej pracy można najwięcej zdziałać.

MICHEL: Był na tym spotkaniu Tomasz Zan?

PUTTKAMER: Był. Świadczono mu honory, jak wodzowi całej młodzieży wileńskiej. Żądano, by Promieniści i Filareci włączeni byli do sprawy.

MICHEL: Cóż on na to?

PUTTKAMER: O Polskę bić się, powiada, wielka to rzecz. Skoro my tu jednak różnego jesteśmy zdania, jakimi drogami do wolnej ojczyzny iść trzeba, cóż powiemy, stanąwszy przed młodzieżą? Od razum sobie, Michel, przypomniał takież same słowa Adama Mickiewicza. Z jednej to muzyki skrzypce.

MICHEL: Wiadomo — z jednej. Cóż dalej?

PUTTKAMER: Nic. Rozjechaliśmy się, nic nie postanowiwszy.

MICHEL: Nie pierwszy to raz.

PUTTKAMER: A nie pierwszy.

MICHEL *(pauza — zdecydowanie):* Uważasz, Lorens. Mam ja tu dla ciebie taką rzecz... Powróciłeś z podróży pełen wielkich wrażeń i wielkich decyzji, a już na progu domu... na progu domu, który chciałbym, abyś uważał za swój... Tak, na progu domu czekają na ciebie sprawy, może, jakby to powiedzieć, mniejszego kalibru, chociaż... No, jednym słowem, uważasz...

(wpada Tekla)

TEKLA: Ach, panie Michel, wszędzie pana szukam. *(zobaczyła Puttkamera)* Przepraszam, nie wiedziałam, że pan hrabia tutaj... bo... ja... *(dygnęła, chce uciekać)*

PUTTKAMER: Panno Teklo! Panno Teklo! Nie tak prędko... *(Tekla zatrzymała się)* Cóż to, boi się mnie pani? *(Tekla milczy)* Pewnie jakieś sekrety? *(Tekla milczy)* Będą sekrety? *(Tekla kiwnęła głową. Do Michela)* Poddajmy się więc losowi...

MICHEL *(popatrzył na niego, zrozumiał, że Puttkamer pragnie uniknąć rozmowy na temat Maryli):* No, cóż poddajemy się jeszcze raz... Odsapnij trochę, wypocznij... *(uśmiecha się do Tekli)* Bardzo lubię sekrety panny Tekluni, taka moja nieszczęsna dola. *(Tekla wybiega)* Powoli, panno Tekluniu, na miłość boską, powoli... *(wybiega za nią)*

(Puttkamer przez chwilę — sam. Przeszedł od okna do fotela po lewej stronie sceny, usiadł. Scena oświetlona jest tylko jednym świecznikiem, stojącym na bocznym stoliku. Wbiega Rozalka, chwyta świecznik, wynosi, zobaczyła Puttkamera.)

ROZALKA: Achjej!

PUTTKAMER: I ty mnie się boisz?

ROZALKA: E, czegóżby się i boić?

PUTTKAMER: A tak krzyknęłaś.

ROZALKA: ...żesz każdy by krzyknął. Pan hrabia cichutkiż taki, jak ten Józio.

PUTTKAMER: Józio? Któż to jest Józio?

ROZALKA: Achjej, toż panoczku, każdy jego i zna. Nocą wspomnisz, to aż obojętnie robi się.

PUTTKAMER: Nie znam tego Józia.

ROZALKA *(przez chwilę przełamuje w sobie onieśmielenie, po czym recytuje z wielkim przejęciem i gestykulacją):*

„Onego czasu żyła ja na świecie,
Maryla zwana przed laty.
Ojciec moj, pierwszy urzędnik w powiecie,
Możny, poćciwy, bogaty.

Za życia pragnoł sprawić mi wesela
A że dostatnia i młoda,
Zbiegło się zewszond zalotników wiela,
Posag wabił i uroda..."

(zatrzymała się, przypomina sobie)

PUTTKAMER: Tu nic o Józiu nie ma.

ROZALKA *(recytuje):*

„Przybył i Józio, dwudziesta miał wiosna,
Młody, cnotliwy, nieśmiały;
Obce dla jego wyrazy miłośne,
Choć czuł miłośne zapały.
»Ja pójda« — mówił ze łzami —
(z gestem w kierunku drzwi) — »Idź sobie!«
Poszed i umar z miłości."

(pokazując palcem na podnóżek Wereszczakowej, stojący przed fotelem)

„Tu nad rzeczułko, w tym zielonym grobie
złożone jego są kości..."

(zamilkła — Puttkamer odruchowo spojrzał na podnóżek)

PUTTKAMER: Cóż to takiego?

ROZALKA *(ze śmiechem):* Strachałka pana Miczkiewicza dla panienki Maryli.

PUTTKAMER: Miałaś ten świecznik gdzieś zanieść. Pewnie czekają.

(Rozalka dygnęła, wybiega ze świecznikiem. Półmrok. Puttkamer siedzi zamyślony. Słychać szelest ulewnego deszczu. Przez drzwi werandy wchodzą Maryla i Adam. Otrząsają się z deszczu. Zdejmują płaszcze i pozostawiają na werandzie. Cała scena wejścia odbywa się w milczeniu. Adam — zawsze pełen wewnętrznego żaru, szybki, łatwozapalny — mówi sugestywnie, gorąco, ale bez patosu, Maryla — skłonna do egzaltacji i sentymentalizmów, zmienna w nastrojach.

Za szybami jeszcze trochę błyskania.)

MARYLA *(z wyciągniętymi przed siebie rękami zmierza ku fotelowi po prawej):* Nic nie widać... Tam, na stoliku zawsze stoi świeca.

ADAM *(idzie ostrożnie we wskazanym kierunku):*

„Czasami płomyk okaże się blady,
Czasem grom trzaska po gromie,
Same się z mogił ruszają pokłady
I larwy stają widomie...

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
To znowu głowa bez ciała;
Roztwiera gębę i wytrzyszcza oczy,
W gębie i w oczach żar pała...

(śmiech Maryli)

Albo wilk bieży, pragniesz go odegnać,
Aż orlem skrzydłem wilk macha..."

MARYLA *(pada na fotel, śmieje się):* Adamie, Adamie...

ADAM *(przypada do jej kolan):* Powiedz — co mam uczynić, abyś tak zawsze się śmiała? Chcesz, abym cierpiał potępieńczo jak Werter Goethego? Dobrze, będę cierpiał, będę płakał... Będę pisał pamiętnik miłości i tęsknoty — z dala od ciebie, bez nadziei...

MARYLA: Dlaczego z dala i bez nadziei?

ADAM: Pragnąłbym stać się podobnym do któregoś z romansowych bohaterów, którymi zaludniona jest twoja wyobraźnia...

MARYLA: Do żadnego z nich nie jesteś podobny.

ADAM: ...Płaczesz nad ich losami — może byś i nad moim zapłakała.

MARYLA: Jeszcze ci moje łzy do szczęścia potrzebne?

ADAM: Największa nawet klęska lżejszą się staje, gdy nad nią łzę uroni kochanka.

MARYLA: Nie poznałeś dotąd klęski — o czym więc mówisz?

ADAM: Na próżno błagam o uśmiech wybaczenia... jeżelim zawinił.

MARYLA: Adamie...

ADAM: Chcesz, abym buntował się, gniewał, nienawidził i kochał, i kochał ponad wszystko?! Mario! Czynię to, buntuję się, gniewam, nienawidzę i kocham, kocham ponad wszystko!... Ubierz oczy w promień wesela! Dziś przecie jest święto naszej miłości. Natura użyła wszystkich efektów, aby je uświetnić. Były pioruny i błyskawice, był drżący krzak dzikiej róży i były nawet gwiazdy między chmurami.

MARYLA: ...i deszcz, i błoto rozmiękłej drogi.

ADAM: Nie zauważyłem, Mario, byłem zanadto szczęśliwy.

MARYLA: I słowa twoje uparte, niesprawiedliwe...

ADAM: Nie zauważyłem, Mario, byłem za bardzo niespokojny.

MARYLA: Człowiek może dać z siebie tylko to, co posiada. Uczyniłam wszystko — czego jeszcze pragniesz?

ADAM: Czyżbyś naprawdę już wszystko uczyniła? Pragnę, z całego serca pragnę, abym całując cię nie musiał sięgać poprzez cudze ramię.

MARYLA: Adamie...

ADAM: ...i abym spojrzeń na ciebie nie musiał krzyżować z innym spojrzeniem.

MARYLA: Lepiej by o tym nie mówić...

ADAM: I ja tak myślę. Powiedzieć o wszystkim Lorensowi i przestać o tym mówić.

(Puttkamer podnosi się z zamiarem włączenia się do rozmowy. Chwilę stoi — nie widzą go)

MARYLA: Nic nie ukryłam przed tobą.

(Puttkamer siada)

ADAM: Czemu więc przed nim ukrywasz?

MARYLA: Rozsądek doradza inaczej!

ADAM: Rozsądek, rozsądek...

MARYLA: Zawsze jest kilka punktów, na których nie schodzi się serc dwoje, a punkta te wystarczą na długo, by uczynić życie nie do zniesienia.

ADAM: Wiem przecie, Mario, jakie chmury przechodzą przez twoje czoło, znam ognie, błyskające w twoich źrenicach, znam smak goryczy, która zatruwa twoje uśmiechy. Jakże im nie działać naprzeciw!? Jakże nie zepchnąć z drogi wszystkiego, co cię ode mnie oddala?! Pomóż mi, Mario! Nie powtarzaj ciągle: rozsądek, rozsądek. Cała natura krzyczy przeciwko temu rozsądkowi. Rzuciła nas ku sobie. Tylko człowiek jałowy, tylko człowiek stary nie umie usłyszeć głosu natury! Któżby... ktoby chciał zawsze kierować się tylko rozsądkiem — niczego by w życiu nie dokonał, przymuszony do ciągłych refleksyj i obliczeń. Poddaj się, Mario! Poddaj się głosowi serca, poddaj się głosowi duszy!

(Zza chmur przedarło się światło księżyca. Twarz Maryli rozświetla się) Mario!... Krew masz na twarzy. Jesteś raniona gałęzią. *(chce chusteczką obetrzeć jej czoło)*

MARYLA *(odsuwa jego rękę)*: Te dzisiejsze błyskawice niejedno mi rozświetliły. Ujrzałam wszystko wyraźniej. Sprawy bolesne — boleśniejszymi się stały, sprawy radosne — bardziej radosnymi. Zobaczyłam granice spraw i granice ludzi. Jest, Adamie, czas na marzenie i jest czas na życie. Boję się, abyśmy, płynąc do urojonych przez ciebie brzegów, nie przekroczyli granicy któregoś z tych czasów. To byłoby fatalne. Jesteś pełen prędkości, Adamie.

ADAM: Mario, Mario, Mario... Każdy twój ból odzywa się we mnie tysiąckrotnym echem, czemuż więc każdej twojej myśli nie znam jak swojej?! Kiedy patrzę w niebo, na gwiazdy — czuję, jakbym brał udział w niewymiernych kosmicznych obrotach, jakbym był niezastąpioną cyfrą ogromnego rachunku. Kiedy patrzę na ciebie i myślę: kocham, kocham — czuję, że krew krążąca w naszych żyłach tym samym co gwiazdy podlega prawom — i nie jestem pewien, czy nie jedno serce wszystkim porusza. Chyba jedno serce, Mario! Nie pojąłbym tego tak przejmująco prawdziwie, gdyby nie ty, Mario, taka, jaka jesteś we mnie. *(siada obok niej)* Mówisz o czasie, który jest na marzenie, i o czasie, który jest na życie. Musimy tak żyć, moja miła, aby nie tracić na jawie tego, cośmy w marzeniu zdobyli. *(wyciera chusteczką krew z jej czoła)* Jesteś raniona gałęzią. Gałąź dzikiej róży — świadek naszej miłości — chciała cię zatrzymać...

MARYLA *(wstaje, idzie ku drzwiom drugim po lewej. Adam idzie za nią,*

Maryla zatrzymuje się): Gdyby... gdyby do twojego szczęścia potrzeba ci yło tylko mojej miłości — byłbyś nad miarę szczęśliwy. Pamiętaj o tym nie popędzaj czasu, który nam sprzyja. *(wychodzi, po małej chwili Adam ybiega za nią)*

(Puttkamer idzie kilka kroków w ich stronę, staje, myśli — wybiega przez ierwsze drzwi po prawej. Z pierwszych drzwi po lewej wychodzi Tekla ze wiecznikiem — z drzwi drugich po lewej wybiega Adam zadowolony, zczęśliwy)

ADAM: Ach, Tekluniu, droga moja! Jakże ja jestem szczęśliwy!

TEKLA *(ze smutkiem):* Jesteś szczęśliwy... *(pauza)* Obyś nie zanadto szuał upodobania w imaginacji...

ADAM *(śmieje się):* Cóż ty taka jesteś? Masz minę naszej babci. Pamiętasz? iedy chciała nas nastraszyć...

TEKLA *(przerywa):* Adamie!... Byłoby może... Byłoby może najrozsądniej, dybyś... gdybyś podziękowawszy pięknie za gościnę, czym prędzej stąd wyechał... Smutno mi, że ci to mówię...

ADAM: Wyjechać? Wyjechać w chwili, gdy niebo na moim horyzoncie apłonęło najpiękniejszymi barwami i gdy zapowiada się dzień pełen pogoy i wesela?...

TEKLA *(stawia świecznik, obrównuje płomienie):* Czytałam kiedyś taką istorię o żołnierzu. Ten żołnierz, Adamie, wraca z pola bitwy, upojony wycięstwem i dowiaduje się, że w sztabach postanowiono inaczej... W sztaach obliczono, że to ma być klęska.

ADAM: Dalibóg, nie jesteś dzisiaj do siebie podobna. Cóż to za metafory? zyjaź to ma być klęska?

TEKLA *(zaciska pięści, wybucha):* Och, ja bym ich! Tacy oni są!... wierzchu malowane, a w środku... — och!... *(bliska płaczu)* Adamie! Dziś a być wyznaczony termin ślubu Maryli z Puttkamerem.

ADAM *(po chwili milczenia):* Któż będzie go wyznaczał?

TEKLA: Maryla. *(pauza)* Taka jest wola rodziny.

ADAM: A jaka jest wola Maryli?

TEKLA: Nie wiem. *(płacze)* Nie wiem. Teraz już nic nie wiem.

ADAM *(zamyślony):* Nie wiesz... *(obejmuje ją i wyprowadza przez drugie rzwi po prawej. Wraca Puttkamer — trzyma w ręku dopiero co napisany st, składa go, aby włożyć do koperty. Maryla idzie na werandę po zaomnianą torebkę. Zobaczyła Puttkamera — jest zakłopotana, sili się na śmiech)*

MARYLA: A!... Witam z podróży...

PUTTKAMER *(pochylony w ukłonie):* Witam panią. Witam oraz, korzystac ze sposobności, jakby to wyrazić... Tak jest, muszę prosić o przebaczenie.

MARYLA: O przebaczenie? Za jakież to grzechy?

PUTTKAMER: W ciągu całej swojej nieobecności tyle nie nagrzeszyłem, przez kilka minut w Tuhanowiczach. *(patrzy na Marylę — pauza)* Mario! yłem świadkiem pani rozmowy z Adamem. Nie miałem siły odejść.

(Milczenie)

MARYLA: To dobrze, że był pan świadkiem tej rozmowy. Myślę, że pan ozumie i przebaczy. *(siląc się na uśmiech)* Widzi pan — to raczej ja proę o...

PUTTKAMER *(przerywa pośpiesznie, ze smutkiem):* O, przebaczmyż sobie wszystko — to, co się już stało, i to, co się jeszcze stać może...

(pauza)

MARYLA: Dziękuję panu. *(wychodzi)*

(wchodzą Józef i Michel)

JÓZEF: Imaginuj sobie, Lorens, kupiłem ogiera... *(urywa, patrzy na Puttkamera)* Co się stało? *(pokazuje na list, który Puttkamer jeszcze trzyma w ręku)* Co to jest?

PUTTKAMER: List. Miał być do ciebie, ale teraz to już... *(macha ręką)*

JÓZEF *(bierze mu z rąk list, czyta. Na chwilę traci pewność siebie):* Co się stało „inaczej"? Nic się nie mogło stać. Chcesz nas opuścić? *(opanował się)* Ano — jak wola. Wygląda mi to jednak na kapitulację — je m'excuse, Lorens — na kapitulację przed pierwszą potyczką...

PUTTKAMER: Jeśli już mamy używać terminów wojskowych — nie miałem zamiaru staczać bitwy. To jest moja osobista sprawa — przegrana sprawa mojego serca, może mojego życia... Cóż — bywa i tak.

JÓZEF: Jesteś bardzo poruszony. Rozumiem, że chciałbyś jednym cięciem załatwić wszystko — rzeczy duże i małe. Zatrzymaj się. Bywa, że łatwiej jest nadać bieg wypadkom, niż je potem cofnąć.

PUTTKAMER: Znam już wszystkie karty, widzę wszystko do końca...

JÓZEF: Nie odchodzi się przed końcem gry — to nie fair. Wygrać lub przegrać można nawet ze złamanym sercem. W tych sprawach serce się nie liczy.

PUTTKAMER *(wybucha):* Tak rozumować nie można. Tak — nigdy się nie porozumiemy!... W końcu — człowiek nie traci bezkarnie na jawie tego, co zdobył w marzeniu! Tak myślę...

JÓZEF: Zapewniam cię, że myślisz inaczej.

(Michel wybucha śmiechem)

PUTTKAMER *(do Michela):* On nic nie pojmuje, nic nie pojmuje.

JÓZEF *(oddaje Puttkamerowi list):* Schowaj to. Oddasz mi po kolacji. Oddasz albo nie oddasz. *(zmienia temat rozmowy)* Kupiłem ogiera. Vollblut! Musisz go zaraz zobaczyć. Michel ci pokaże.

MICHEL: Chodź, Lorens, pokażę ci tego ogiera. *(Puttkamer się ociąga)* Zapewniam cię, że Józef lepiej od ciebie wie, nie tylko, co myślisz, ale co myślałeś i co będziesz myślał. *(śmieje się)*

JÓZEF *(upominająco):* Michel!

PUTTKAMER: Cóż — to chodźmy...

(Puttkamer i Michel wychodzą przez pierwsze drzwi po lewej — Józef puka do drugich drzwi po lewej)

JÓZEF *(po zapukaniu uchyla drzwi):* Mario, jesteś? *(wchodzi)*

(przez pierwsze drzwi po lewej wchodzi Tekla, za nią Rozalka)

ROZALKA *(podniecona):* To wszystko żesz bez pomiarkowania.

TEKLA *(odsuwa szufladę komódki):* Przestań, Rozalka, gadać, już głowa boli.

ROZALKA: Jak tu i przestać? On żesz i szykarny ten ów graf, no, gdzie jemu będzie do takiego polubieńca, jak nasz pan Mickiewicz?!

TEKLA *(wyjmuje z szuflady obrus):* Weź ten obrus i powiedz, żeby zaraz nakrywali do stołu, bo pani marszałkowa będzie się gniewać...

ROZALKA: Achjej, paniulitiu złota! Żebyż tak nie było, jak w tej strahałce.

TEKLA: Mówiłam ci już, że nie w strachałce, a w balladzie.

ROZALKA *(powtarza)*; Balladzie... *(Tekla, nachylona nad szufladą, dobiera erwetki — Rozalka odczekała i deklamuje z wielkim przejęciem)*

„Tutaj, bywało, na ranku
Nad wodo sobie stoim,
Ja o twoim kochanku,
Ty mnie mówisz o moim.
Już wiencej ze sobo nie bendziem mówili —
Nie masz, nie masz Maryli..."

TEKLA: Nie wywołuj złego, przecie jeszcze nic nie wiadomo.

ROZALKA *(spluwa za siebie)*: A zgiń, a przepadnij, a żeby tobie oko zgniło, a kysz!

TEKLA *(zamyka szufladę, staje zamyślona, mówi powoli)*: Jeśli się tak darzy, że Maryla wyjdzie za mąż za hrabiego Puttkamera, to pojedziesz nią do Bolciennik, będzie ci tam dobrze. Jeżeli zaś, bo ja wiem, ale gdyby, nój Boże, wyszła za Adama — zostaniesz tutaj. Adam jest ubogi...

ROZALKA *(z przejęciem)*: Achjej! — i ja uboga! Dla swojego choćby popłakać przyszło, nie żal...

TEKLA *(z westchnieniem)*: Oj, Rozalka, Rozalka... *(Pogładziła ją po włoach)* Biegnij, zanieś ten obrus. Czekaj — i te serwetki!

(Rozalka wybiega. Tekla puka do drzwi Maryli, otwiera — cofa się. Wychodzi Maryla, a za nią Józef)

MARYLA *(staje przy oknie)*: ...tylko o to cię proszę.

JÓZEF: Zachowujesz się, jakbyś była sama jedna na świecie, jakby dokoła ebie nie było ludzi, praw, obowiązków...

MARYLA: Czy uchybiłam?

JÓZEF: No — jeszcze nie...

MARYLA: Proszę więc tylko o jedno — o spokój.

JÓZEF: Prosisz właśnie o to, czego ci nikt z nas dać nie może. Idą ciężkie la nas dni. Może się zdarzyć, że właśnie spokoju będziesz miała najmniej. *pauza)* Nasze sprawy majątkowe... cóż, nie będę ukrywał — jesteśmy w obliu katastrofy.

MARYLA *(ze zniecierpliwieniem)*: Nie od dzisiaj przecie. *(przechodzi do otela, siada)* Nie mogę pojąć, czemu to nagle dzisiaj, koniecznie zaraz am wyznaczyć dzień ślubu z Lorensem. Kogo to ma uratować — mnie? prensa? ciebie? nasz majątek?

JÓZEF: Jesteś zawsze wielce przekorna, ale dzisiaj odwołuję się do twogo rozsądku, do twoich wszystkich rozsądków razem. Mario, nie ma inego ratunku — trzeba podjąć z depozytu twoją sumę posagową, te dwaaście tysięcy rubli — i to jak najprędzej.

MARYLA: Aha... (milczenie) O to chodzi. *(milczenie)* Sumę tę można odjąć w dniu mojego ślubu. Ale w testamencie nie ma mowy o Lorensie. Lorensie jeszcze w ogóle wtedy mowy nie było. *(pauza)* Co ty na to?

JÓZEF: Czyżbyś miała kogo innego na uwadze? *(staje przed Marylą)* Miabyś zamiar poślubić Adama?

MARYLA: Jeszcze o tym nie myślałam. Ale od tej chwili zacznę myśleć.

JÓZEF *(zirytowany):* Takie rozwiązanie sprawy nie wchodzi w rachubę. *(zobaczył Teklę, która stoi jak porażona — milczy, dopóki Tekla, ukrywszy twarz w dłoniach, nie wybiegnie)* Małżeństwo z Mickiewiczem nic nie ratuje. Posag musiałby rzeczywiście być użyty na urządzenie waszego domu, na zabezpieczenie twojego losu. *(Maryla milczy)* Musisz zrozumieć, tu chodzi o całość i honor naszej rodziny, o matkę chodzi, o nas wszystkich. Chodzi o coś więcej... o coś więcej...

MARYLA *(przez chwilę śmieje się nerwowo):* Tak samo, tymi samymi słowami przemawiałeś do mnie wtedy... kiedyś zakładał hodowlę koni rasowych i potrzebne ci były moje oszczędności... tak samo — w sprawie tego młyna — wiesz... tak samo wreszcie — przed rozpoczęciem budowy cukrowni...

JÓZEF *(z rosnącą pasją wtrąca między jej słowa):* Bardzo... bardzo cię proszę... Wypraszam sobie .. Proszę cię, abyś...

MARYLA: Ach, uspokój się, wiem, że jesteś niewinny. Okoliczności, prawda? — właśnie. Cóż jesteś winien, że konie okazały się nierasowe, młyn niepotrzebny, cukrownia zła, a ty i Puttkamer nie wiecie, co zrobić z burakami, których kazaliście nasadzić ponad wszelką miarę...

(siada przy fortepianie)

JÓZEF: Bardzo cię proszę, abyś uważała nie tylko na słowa, ale i na intencje słów, które wypowiadasz. Nie sądzę, abyś miała zamiar mnie obrazić...

(Maryla gra kilka taktów swojego walca)

MARYLA *(mówi, grając):* Wszystko przewidziałeś, obliczyłeś — nie pomyślałeś tylko o moim losie... o moim losie nie pomyślałeś. *(gra)* To już chyba będzie koniec naszej rozmowy. Innej odpowiedzi dać ci nie mogę.

JÓZEF: Nie, nie koniec. Jeszcze nie o wszystkim wiesz, Mario. *(opiera się łokciami o skrzydło fortepianu, przysuwa twarz do jej twarzy)* Zwierzam ci rzecz tajemną. Nie mam innej rady. Sama zrozumiesz — gardłowa sprawa...

(Maryla przestaje grać. Od tej chwili Maryla będzie, pod wrażeniem słów Józefa, coraz mniej pewna siebie, choć jeszcze zasadniczo zbuntowana przeciwko bratu)

JÓZEF *(przez chwilę milczy, chodzi, myśli, dobiera słowa):* Są rodacy, którzy — o, nom de chien! — którzy miast myśleć o wolności kraju, znowu między ludem jakobińskie rozrzucają myśli. Chcieliby ojczyznę podpalić, jak tamci kiedyś we Francji podpalili swoją. Słuchasz, Mario?

MARYLA: Mów.

JÓZEF: Trzeba temu przeciwdziałać. Trzeba ludowi inne okazać cele, w innym kierunku oczy obrócić. Pomyśleć o nim. Lorens podał prośbę do władz o zezwoleństwo na udzielenie niektórych swobodności jego dusz włościańskich. Za Lorensem i my pójdziemy. Słuchasz?

MARYLA: Mów.

JÓZEF: Trzeba do głów ludu nieść światło, a nie ogień złowrogi. Myślimy o zakładaniu szkół wiejskich. Światła dać można zawsze tyle, ile trzeba — pożarowi wędzideł nałożyć się nie da. Słuchaj, Mario... Lorens, ja i wielu jeszcze obywatelów dobrze myślących związaliśmy się przysięgą... Żeby... Słuchasz?...

MARYLA *(pauza)*: Tak.

JÓZEF: ...żeby każdy wysiłek oddany był dla sprawy, każdy grosz, wszystkie siły. Te cukrownie, te gorzelnie, młyny, papiernie — to właśnie. To wielka rzecz, Mario. Niejeden już życie za tę sprawę oddał. Niejeden odda jeszcze. To ci chciałem powiedzieć. *(pauza)* Dawniej — trzeba było mieć pieniądze, żeby zrobić rewolucję, dziś trzeba mieć pieniądze, żeby inni rewolucji nie zrobili — taki czas. Może zbyt odważnie, Mario, angażowałem nasze mienie w sprawy obywatelskie, może... No, to było nie tylko dla zysku. Różne rzeczy się nie udały... Raz bywa tak, raz inaczej... Dzisiaj — my i Puttkamer w jednakiej jesteśmy sytuacji. W złej sytuacji. Dlatego ta sprawa. Musisz pomóc, Mario.

MARYLA: A... Adam? Czy Adam wie o waszym sprzysiężeniu?

JÓZEF: Nie wie. *(pauza)* Będzie mu chyba bliżej do tamtych. Nazbyt przyjaźnie z różnymi zapaleńcami gada. Jeżeli mówi inaczej — nieprawdę mówi. *(po pauzie — innym tonem)* Mario! Ja wiem, ja to pojmuję — jeśli w sercu drzazga uczucia — ja wiem, to niełatwe. Niełatwo się zdecydować. Niełatwo wybrać. Bo przecie trzeba wybrać między Lorensem i Adamem. Ale cóż — i Adam musi wybierać. Czy jesteś pewna, że wybierze ciebie?

MARYLA: Jakto — „wybierać"?

JÓZEF: Musi przecie zdecydować się — ty czy jakaś tam pani Kowalska, która w Kownie czeka pono i doczekać się nie może powrotu Adama. Wiąże z tym powrotem jakieś nadzieje. Mówią, że ma ku temu prawa.

MARYLA *(zrywa się)*: Po co mi to mówisz? To jest nieprawda! Nieprawda! *(biegnie ku drzwiom)* Adam sam na to odpowie, on sam... *(wpada w ramiona Wereszczakowej, która w tej chwili ukazała się w drzwiach)* ...Mamo, Adam... mamo!... Józef... *(wybucha płaczem)* Mamusiu!...

WERESZCZAKOWA *(obejmuje ją i gładzi po włosach)*: Marylko, biedna moja...

JÓZEF *(ze złością do Wereszczakowej)*: Ona nic nie pojmuje, nic a nic...

WERESZCZAKOWA *(prowadzi Marylę ku kozetce, sadza ją obok siebie)*: Jak moje serce miało tyle lat, co jej — także nic pojąć nie mogło. A później się wszystko powoli uciszy, uspokoi, zapomni i będzie tak, jakby inaczej nigdy być nie miało... jakby inaczej być nie mogło. Kiedy wyjdziesz za Lorensa, będziesz może mniej szczęśliwa, ale za to bardziej spokojna. A spokój, moje dziecko, to często w życiu więcej znaczy niż szczęście. My nie jesteśmy stworzone na to, aby nam było dobrze *(wzruszyła się, otarła łzę. Pauza)* Ten ślub... Ach... ten ślub urządzimy nieprędko. O, nie ma się co śpieszyć. *(liczy na palcach)* Teraz mamy wrzesień. Może gdzieś koło Bożego Narodzenia... albo na Nowy Rok. Nie ma pośpiechu — niech więc będzie na Trzech Króli, to jeszcze kawał czasu, prawda, Marylko? *(pauza — Maryla skinęła głową — porozumiewawcze spojrzenie między Józefem i matką)* Właśnie. To jeszcze kawał czasu. A teraz już nie płacz, bo zaraz podadzą kolację i będziesz miała oczy czerwone jak królik — do czego to podobne! *(Józef wyszedł. Wereszczakowa podnosi się i idzie ku wyjściu. Zatrzymuje się w drzwiach)* A na szpacyjery z Adamem jeździć możesz... *(pauza)* tylko zabierajcie ze sobą Lorensa... *(westchnęła i wyszła)*

(Maryla siedzi nieruchomo. Z drugich drzwi po prawej wychodzi Adam — zatrzymał się na progu — chwila milczenia)

ADAM *(tonem pytająco-stwierdzającym):* Zostaniesz żoną Puttkamera...

(milczenie)

MARYLA: Boję się. Strasznie boję się pustki, która nagle rozwarła się przede mną.

ADAM *(patrząc w ciemność parku):* Pustki? Na miejsce jednej rzeczy przychodzi druga — takie jest prawo natury. Tak. *(pauza)* Już wszystko powiedziane — już nie ma żadnej nadziei...

MARYLA *(potrząsa głową, że nie ma — zrywa się i wybiega przez drugie drzwi po lewej).*

MICHEL *(wchodzi — jeszcze widział wybiegającą Marylę):* Adamie, ja... *(zmartwiony, rozkłada bezradnie ręce)...* bo widzisz... *(milknie)*

ADAM *(patrzy przez okno w ciemność parku):* Dziękuję ci, Michel...

(wychodzi przez drugie drzwi po prawej. Michel staje przy oknie w tym miejscu, gdzie stał Adam — patrzy w ciemność parku)

WERESZCZAKOWA *(wchodzi):* Tyle razy prosiłam, żeby Teklunia uważała, co się do niej mówi. Czego sama nie dopilnuję — przepadło.

TEKLA *(wchodzi):* Wszystko tak będzie, jak sobie pani marszałkowa dobrodzika życzyła.

WERESZCZAKOWA: Nie wszystko, moje dziecko, nie wszystko. Gdzież oni się porozchodzili? Tekluniu, proszę odnaleźć Marylę. *(Tekla wchodzi do pokoju Maryli)* Rozalka! *(wbiega Rozalka)* Gdzie są panowie?

MICHEL: Jestem, mamo...

PUTTKAMER *(wchodzi):* Pani marszałkowa mnie wzywała...

WERESZCZAKOWA: Wzywałam cię, mój drogi, naturalnie, że wzywałam. Rozalka! Mówiłam, żebyś odnalazła pana Józefa!

(wchodzi Józef, a za nim Sikora z tacą, na której stoi butelka wina i kieliszki)

ROZALKA *(wskazując na Józefa, odpowiada Wereszczakowej):* A toż wo!

JÓZEF: Tę butelkę, cheries, zakopał w piwnicy świętej pamięci ojciec nasz, marszałek nowogródzki, sędzia brzeski — Antoni Wereszczaka w dniu urodzin Maryli... Ileż to lat?

WERESZCZAKOWA *(macha rękami):* Ach, Pepi, nie żartuj już, proszę...

(weszły Maryla i Tekla, stanęły przy drzwiach)

JÓZEF: Je suis hereux, qu'à présent le moment est venu, że miodem tym wypijemy zdrowie Maryli i Lorensa, życząc im wszelkiej pomyślności. Vivat!

WERESZCZAKOWA *(która zaaferowana swoimi myślami wyszła była przed chwilę do pokoju stołowego — pierwsze drzwi po lewej — wraca):* Proszę... proszę do stołu... już nie marudźcie. Codziennie trzeba z wami wojować. *(wychodzi)*

PUTTKAMER *(podchodzi do Maryli):* Pomyślności w życiu nie mamy za wiele...

(Maryla po chwili wahania opiera się na ramieniu Puttkamera. Idą przez całą szerokość sceny do pokoju stołowego. Józef uderzył w klawiaturę fortepianu, gra kilka taktów z marsza weselnego, po czym, wykrzykując dalszy ciąg melodii, zmierza za wszystkimi. Za Józefem — wychodzi Sikora z tacą, po chwili wraca. Na scenie milczący Michel, przestraszona Rozalka, stojąca bez ruchu Tekla i Sikora. Drzwi do stoło-

wego otwarte. Głos wiwatującego Józefa. Po chwili wybiega Józef z kieliszkiem w ręku.

JÓZEF: Michel!

(bracia przez chwilę mierzą się oczami. Józef opuszcza głowę i idzie za Michelem. Wyszli.)

ROZALKA *(patrząc przez otwarte drzwi do stołowego):* Toż panienka szlocha a szlocha...

SIKORA: Oj, durnaż ty, durna. Bandura ty, bandura. Panienka szlocha od szczęścia...

(Pierwsza wybucha płaczem Tekla, za nią — Rozalka. Sikora popatrzył na jedną, na drugą, odwraca się tyłem do widowni, wyjmuje z tylnej kieszeni kurtki dużą fularową chustkę. Drżą mu plecy.)

AKT DRUGI

U Jana Czeczota w Wilnie. Pokój umeblowany skromnie. Prymitywne łóżko, zydle. Przy oknie stół, zawalony papierami i książkami. Podłoga obok stołu zarzucona podartymi papierami, z kominka dobywają się światła płonącego polana. Popołudnie. Przez otwarte okno widać prawdopodobnie Górę Trzykrzyską lub Zamkową, bo rzecz dzieje się w Domu Konsystorskim na placu przed Katedrą. Drzwi po lewej — wyjściowe, drzwi po prawej — do drugiej izby. Jan Czeczot czyta z rękopisu, Tekla słucha bardzo przejęta.

JAN: „...Pod pałac niewiadoma ciągnęła mnie władza.
Tysiąc ogniów północne rozpędza ciemnoty,
Słychać wrzaski pojezdnych i karet turkoty.
Już jestem blisko ściany, skradam się pomału,
Wciskam oczy ciekawe w podwoje z kryształu,
Wszystkie stoły nakryto, wszystkie drzwi przemknięto;
Muzyka, śpiewy — jakieś obchodzono święto!
Toast! ...słyszałem imię... ach, nie powiem, czyje!
Jakiś głos nieznajomy wykrzyknął: »Niech żyje!«
»Niech żyje« — z ust tysiąca zabrzmiały te słowa:
Tak, niech żyje... i z cicha przydałem.: bądź zdrowa!...
Wtem... (o, gdy mnie wspomnienia same nie zabiją!)
Ksiądz wyrzekł drugie imię i krzyknął: »Niech żyje!«..."

TEKLA *(z wielkim przejęciem):* Tak było, Panno Święta, tak było...

JAN *(czyta dalej):*

„...Ktoś dziękuje z uśmiechem... znam głos... pewnie ona...
Nie wiem pewnie... nie mogę widzieć za zwierciadłem,
Wściekłość mnie oślepiła, poparłem ramiona,
Chciałem szyby rozsadzić... i bez duszy padłem..."

TEKLA: I ona padła bez duszy. Pan Czeczot nie wie, jak to było?

JAN: Nie wiem.

TEKLA: Długo jej nie można było przywołać do życia. A jak się budziła, to wpadała w taką złość, że wszyscy od niej uciekali, nawet pan hrabia Puttkamer uciekał.

JAN: O, nawet Puttkamer... A cóż on na to wszystko?

TEKLA: Zawsze blady, jak Józio. *(spojrzała na Jana, który nie rozumie)* Tak to nazwała Rozalka i tak już zostało. Jak się Maryla z tej nieprzytomności budziła, zaraz kazała siodłać konia i galopem do gaiku. *(spojrzała na Jana)* Wspominać. Całe godziny siedziała na kamieniu i myślała sam Bóg wie o czym. A potem przyjeżdża do domu i zaraz listy pisze, przeważnie do pana Tomasza Zana... Z tego zawsze była chrypka i kaszel.

JAN: Z tych listów?

TEKLA: Ach, przecie pan Czeczot wie, że od siedzenia na kamieniu zawsze chrypki się dostaje.

JAN: Nie wiedziałem. Ale dlaczego do Zana?

TEKLA: Bo pan Zan zaraz odpisywał. Listy od niego nazywały się rozdziałkami. Wszystko tam było opisane. *(pauza)* Mnie się zdaje, że nikt i do nikogo na darmo takich długich listów nie pisze.

(Jan śmieje się)

TEKLA: Pan Czeczot się śmieje, a ja nic złego nie chciałam powiedzieć, tylko wychodzi na to, że pan Tomasz chyba także tam u nas serce zostawił. *(pauza)* Prawda?

JAN: A niechże go Opatrzność ma w swojej opiece. I cóż ta biedna Maryla?

TEKLA: Może ona i biedna, ale nie wiadomo, kto biedniejszy. *(pauza)* Pan doktór Nowicki długo u nas przebywał i różne konsolacje dawał. Co i raz przystawia ucho do pleców Maryli, choroby słucha. A potem każdemu z osobna w tajemnicy opowiada, że to wszystko z miłości.

JAN: Hm. No cóż, prawdę powiedziawszy, niejedną już ranę serca czas uleczył. Podobno najlepszy to lekarz na te materie.

TEKLA: Jak się chory uprze chorować, to i najlepsi lekarze rady mu nie dadzą. W lutym rok minął od ślubu Maryli, a u nas tak wszystko się dzieje, jakby się wczoraj zaczęło. Nie ma spokojności i nie ma. *(pauza)* Zjechaliśmy do Wilna całym domem. Niby na te kontrakty. Ale wszystko to Maryla wymyśliła, a Puttkamer tylko głową kiwał, że owszem, że zgadza się. *(wstaje)* Szkoda, że Adama nie ma.

JAN: Muza poetycka go wyniosła. Bo to widzi panna Tekla, jest tak: najpierw siedzi tu, przy stole i pisze. Potem drze to, co napisał. *(pokazuje na podłogę obok stołu)* A potem zrywa się i leci. Przeważnie nad Wilię.

TEKLA: Wiersze układa?

JAN: Układa.

TEKLA: Chwała Bogu — Takich wierszy na karmelku się nie znajduje. O miłości także?

JAN: O miłości i nie o miłości. Teraz obmyśla poemat o litewskiej dziewczynie imieniem Grażyna.

TEKLA: Grażyna? *(pauza. Z niechęcią)* To też Maryla?

JAN *(śmieje się)*: Chyba nie.

TEKLA *(z ulgą)*: No... *(pauza)* Już pójdę, tylko... jaką mam zanieść odpowiedź... że przyjdą?

JAN *(rozkłada ręce)*: Adama nie ma. Tomasza nie ma *(śmieje się)* a ja się przecież nie liczę...

TEKLA: Cóż, tak i powiem. *(zmierza ku wyjściu)* Jak to mi pan Czeczot z tych „Dziadów" czytał o kobiecie? *(przypomina sobie)* „Kobieto..."

JAN: „Kobieto! boski diable! ty wietrzna istoto!...“

TEKLA: Właśnie. *(z westchnieniem)* Co prawda, to prawda. Bądźcie mi tu zdrowi.

(wyszła. Jan powoli czyści kurtkę i śpiewa)

JAN *(śpiewa)*: „Stajała Hanulka pod leskom
Klikała Maciejka hałaskom:
Jedziesz, Maciejko, nie baúsie
Użo moj ojczeńko prybraúsie;
Cisowyje stoliki postaúlaú
Załatyje kubeczki ponaliwaú.“

(z drugiej izby wychodzi Rukiewicz bez kurtki) O, Rukiewicz! Nie śpisz? Ja tu się męczę, na paluszkach chodzę, a on nie śpi... *(pauza)* Kto śpi, ten nie grzeszy.

RUKIEWICZ *(przeciąga się z lubością, z uśmiechem)*: A to widać mi grzechy spać nie dają.

JAN *(nalewa z dzbanka do kubka)*: Napij się mleka.

RUKIEWICZ: Mleka?

JAN *(daje mu kubek i chleb)*: *Pij.* Zdrowo na piersi.

RUKIEWICZ *(łamie chleb, je, popija, przysiadłszy na krawędzi łóżka)*: Jak to można człowieka skrzywdzić. Taki, na przykład, Tomasz Zan, mówił mi, że nie umiesz śpiewać. „Krzyczy — powiada — jak goły w pokrzywach“. A przecie sam słyszę — jaka niesprawiedliwość. *(Jan śmieje się)* Śmiej się, śmiej. Rzecz cała dojdzie do Zosi Malewskiej i może być dramat życiowy.

JAN: Prawdę powiedziawszy, jużem przed nią wyśpiewał, co miałem do wyśpiewania.

RUKIEWICZ: Była zachwycona?

JAN: Była.

RUKIEWICZ: Hm.

JAN: A co u was, w Białymstoku, znaczy „hm“?

RUKIEWICZ: Jęk duszy w ogniu zwątpienia.

(wpada Tomasz Zan)

TOMASZ *(zaaferowany)*: No, jestem. *(rzuca paczkę, którą przyniósł, zagląda do drugiej izby)* Nie ma Adama?

JAN: Muza go poniosła. Stało się co?

TOMASZ: Zostałem wezwany do rektora Twardowskiego. Żądał, aby przynieść ze sobą wszystkie dokumenta Promienistych i Filaretów. *(pokazuje na paczkę)* Przyniosłem je tu, pójdę bez papierów.

RUKIEWICZ: Odpocznij. Od pośpiechu jeszcze nikomu nigdy lepiej się nie zrobiło. Będzie cię Twardowski dzisiaj mocno pytał, bo przed gubernatorem ma zdać relację z tego, co się na mieście dzieje.

TOMASZ *(wybucha)*: Jakiemuż celowi służą te wszystkie burdy i bitwy nocne po kasynach, teatrach i kafenhauzach?! Policzkowanie oficerów na ulicach?! Tyle lat pracowaliśmy, aby naszą młodzież w najszlachetniejsze uzbroić myśli.

JAN *(przerywa)*: Przecie nie ma między tamtymi naszych, związwych?!

TOMASZ: Ale kogo o tym przekonasz?!

RUKIEWICZ: Trzebaż przekonywać?

TOMASZ: Trzeba! Cokolwiek się stanie — tam, w urzędzie gubernatorskim jedną podkreślają linią.

JAN *(macha ręką):* A choćby i dwiema!

TOMASZ: ...a pod linią zawsze im wypada, że my jesteśmy winni wszystkim ekscesom żółtodziobów — my, Promieniści, my — Filareci — Adam, ty, on, ja. Wszystko spada na głowy rządu naszego stowarzyszenia.

RUKIEWICZ: Gdzie się drwa rąbie...

TOMASZ *(przerywa):* Już mi o tym nie mów! Tych wiórów jest jednak za wiele. Ręce opadają, zapał gaśnie.

RUKIEWICZ: Wszędzie, w każdym kraju, gdzie rządzi despotyzm — młodzież burzy się, buntuje. Na wodzów się nie ogląda, nie czeka. To jest prawo młodości.

JAN: Widocznieśmy już bardzo postarzeli, skoro tego zrozumieć nie możemy.

RUKIEWICZ: Gubernator Korsakow miał się wczoraj wyrazić, że na przyjazd do Wilna Jego Cesarskiej Mości Aleksandra Pierwszego całkowicie oczyści powietrze od tych, o których poweźmie się przekonanie, że zasady ich są niebezpieczne.

JAN: Prawdę powiedziawszy, nie można mu odmówić zmysłu przezorności.

RUKIEWICZ: Jakoś, Tomaszu, pomiędzy wieloma zmartwieniami nie znajduję tego, że mnie w cudze ubiorą szaty.

JAN: Jakby na złe wyszło, to i własne będą za ciasne. *(podaje mu kubek z mlekiem)* Napij się mleka.

TOMASZ *(odsuwa rękę Jana):* Brrr...

RUKIEWICZ *(uderza się pięścią w piersi, śmieje się):* Na piersi zdrowo!

TOMASZ: Trzeba iść... *(wstaje)* Będę bardzo wymowny o rzeczach, które są wszystkim znane. *(pauza. Do Rukiewicza)* Masz wątpliwości, Michale, czy trzeba ich przekonywać, że inne są nasze zadania niż robienie awantur na ulicach... Oto są skutki tego, żeśmy dotąd milczeli: Adam na próżno czeka na paszport zagraniczny, a ja... — mnie się pozbawia lekcyj, bym zgorszenia między młodzieżą nie czynił... bym umysłów nie rozpalał...

JAN: Zwłaszcza dziewczętom...

TOMASZ *(upominająco):* Janie!

JAN *(kończy z powagą):* ...opowiadając dzieje naszego kraju...

(Rukiewicz wybucha śmiechem. Tomasz machnął ręką, staranniej lokuje za łóżkiem paczkę, którą przyniósł)

JAN: Słuchajno, Arcypromienisty! Była tu panna Teklunia Stypułkowska. Puttkamerowie przyjechali do Wilna. Maryla prosiła ciebie i Adama, abyście tam przyszli.

TOMASZ: Mnie i Adama?

(odwraca się, idzie do okna, patrzy na ulicę. Rukiewicz spojrzał pytająco na Jana, Jan kiwnął głową)

RUKIEWICZ: Hm.

JAN *(po chwili):* Jak myślisz, Tomaszu?. Powiedzieć Adamowi o tym?

TOMASZ *(przy oknie):* Myślę, że nie. Nie, nie mów! Niczego mu teraz tak

nie potrzeba, jak spokoju. *(po chwili)* Wczoraj była tutaj pani Karolina Kowalska...

JAN *(z przejęciem):* Kleopatra.

TOMASZ: Ale mu także o tym nie powiedziałem. *(Wszyscy trzej teraz stoją przy oknie)* Pójdę już. *(westchnienie)* O, jakże wiele jest na świecie pięknych niewiast!

RUKIEWICZ: Czasem i jednej za dużo.

TOMASZ *(refleksyjnie):* Za często jestem zakochany. I za każdym razem za długo to trwa.

JAN: Zakochani pomrą, a miłość zostanie.

TOMASZ: Pójdę. Będę miał ciężką drogę. W taki piękny, wiosenny dzień wszystkie kobiety podobają mi się. Wrócę, poczekajcie. *(już przy drzwiach wyjmuje z kieszeni ćwiartkę papieru i podaje Rukiewiczowi)* Aha, zwracam te punkta ustawy „Towarzystwa Zjednoczonych Słowian". Przepisałem. *(wychodzi)*

RUKIEWICZ *(dopił mleka):* No, trzeba się ubrać. *(wyszedł do drugiej izby. Jan wkłada kurtkę, obrywa mu się guzik)*

JAN *(bezradnie trzyma w ręku guzik):* Ach, kaduk ty, kaduk, szczoby tebe oko zhniło! *(nawleka igłę, przyszywa, śpiewając)*

„...Jedziesz, Maciejko, nie baúsie
Użo moj ojczeńko prybraúsie
Cisowyje stoliki postaúlaú,
Załatyje kubeczki ponaliwaú..."

(pukanie do drzwi — Jan nie odwraca się) Co ty znowu za obyczaje wprowadzasz? *(wchodzi Karolina Kowalska — rozgląda się)* Wielbłądzie Byrona, co się stało?

KAROLINA: Ja?...

JAN *(obejrzał się, przeciera oczy):* Jezus Maria! *(wdziewa kurtkę, guzik huśta mu się na nitce)*

KAROLINA *(śmieje się długo i ładnie):* Pan Jan nie poznaje Kowalskiej Karoliny, doktorowej z Kowna?

JAN: Jakżebym nie poznał?! Tylko że tak nagle. Każdy by stracił głowę.

KAROLINA *(śmieje się):* Któż widział, żeby dla starej, brzydkiej kobiety zaraz głowę tracić. *(śmieje się)*

JAN: Gdzież stara? Gdzież brzydka?

KAROLINA *(śmieje się):* Pan Jan psotnik, jak zwykle. Ledwo com weszła, a już furę komplimentów nagadał. *(śmieje się)* Dworski kawaler. *(poważnieje)* A... pan Adam... zdrowy?

JAN: Nie narzeka.

KAROLINA: W Kownie często narzekał na kłucie w piersiach i gardła bolenie.

JAN: Na gardła bolenie, to czasem... bywa, ale to dlatego, że za dużo mleka pije.

KAROLINA *(z przejęciem):* Mleka?! W Kownie nigdy mleka nie chciał pić.

JAN: Ludzie się zmieniają.

KAROLINA *(popatrzyła na Jana):* To prawda. *(pauza)* A gdzież on? Nie ma go?

JAN: O, nie ma. W ogóle nie ma. Nieobecny.

KAROLINA: Nieobecny? W Wilnie nieobecny?

JAN: Nieobecny.

KAROLINA: W imię Ojca i Syna, a kogoż to ja wczoraj na Ostrobramskiej widziałam, jak nie pana Adama z tym drugim, czarnym?! Będziesz mi tu, panie Janie, pele-mele gadał. Nieobecny.

JAN: Mówiłem w tym rozumieniu, pani doktorowo dobrodziko, że duchem nieobecny. O, duchem — to nasz Adam — ho, ho, — nie wiadomo gdzie...

KAROLINA *(znowu przyjrzała się Janowi uważniej):* Cóż mi tu o duchu będziesz?... Pytam, jak kogo dobrego, a pan mi tu o duchach... Interes mam od męża, nie do ducha przecie.

JAN: Jak zdołałem zauważyć, pani doktorowa dobrodzika nie żywi do mnie zbyt wielkiego zaufania. *(Karolina milczy)* Prawda?

KAROLINA: Wszyscyście jednakowi — dwa słowa, a cztery fantazje.

JAN: A ja, prawdę powiedziawszy, nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć pani doktorowej dobrodzice, czy Adam jest w Wilnie i kiedy wróci. Bywało — wychodził rano, a wracał za miesiąc. Moje sumienie...

KAROLINA: Już mi, panie Janie, o sumieniu nie opowiadaj. Sumienie. Wiem ja dobrze, jakie to są te wasze sumienia. *(bierze ze stołu książkę)* Choćby i to: „Poezye Adama Mickiewicza tom pierwszy" — Czytał pan tę deklamację pod nazwaniem „Pani Twardowska"?

JAN *(pokornie):* Czytałem.

KAROLINA: Toż przecie tam na to wychodzi, że kobieta jest gorsza od diabła!...

JAN *(zakłopotany):* Wychodzi, że jest.

KAROLINA: Bójcie się Boga. Jakże tak można?!

JAN *(bezradnie rozkłada ręce):* Mówiłem, ostrzegałem — nie posłuchał.

KAROLINA: Niech mu pan powie, kiedy pan taki szlachetny, żeby się w Kownie nie pokazywał, bo mu z każdego okna garnek na głowę spadnie albo i co gorszego. Chyba... *(śmieje się)* Chyba, że na rogatce lichwiarskie opłaci myto. Wiele kowieńskich piękności na siebie zachmurzył przez tę „Panią Twardowską".

JAN: Powiem mu, żeby nie jechał, chociaż... Adam z wielkim smutkiem to miasto wspomina... Pani doktorowa dobrodzika także samo, o ile ośmielam się wiedzieć, nie bardzo ostatnio była dla Adama łaskawa. Do swoich drzwi pukać zabroniła, okna firankami pozasłaniała... Bardzo to sobie Adam do serca brał.

KAROLINA: Okna firankami pozasłaniła! Och, bo już sama nie wiem, co powiedzieć!... Jak dawniej, to mógł szambelana Nartowskiego lichtarzem przez łeb zdzielić, gdy mu ten drogę do mojego domu zagradzał — a dzisiaj firaneczki w oknie przeszkodą. Och! Jak kto chce, to i deski nie przeskoczy, sam pan wie, jak jest!...

JAN *(pokornie):* Wiem.

KAROLINA *(popatrzyła uważnie na Jana):* Właśnie. *(pauza)* Ja tu już raz byłam, teraz drugi. Dziś muszę do Kowna wracać, a sprawa jest taka: mój mąż urządził dla chorych kąpanie się i siarczane nakadzanie na modę zagraniczną. *(podaje kartkę)* Tu przesyła o tym objaśnienie i prosi, żeby

Adam, jako że wszystkim znajomy, w „Gazecie Warszawskiej" dał o tem wiadomość.

JAN *(bierze kartkę):* Jak tylko przyjdzie, zaraz...

KAROLINA *(zbiera się do wyjścia, chce coś powiedzieć, nie wie jak):* A jakby wcześniej przyszedł, to ja stanęłam u siostry... W aptece Macewicza... *(śmieje się)* No, naprzeciw Ratusza, będzie wiedział...

JAN: O, będzie wiedział.

KAROLINA *(decyduje się powiedzieć):* Studenci w mieście takie różne rozruchy robią. Nieszczęście z tego będzie, jak amen w pacierzu. Powiedz, panie Janie, Adamowi, żeby w domu siedział — on zawsze w gorącej wodzie kąpany.

JAN: O, zapewniam panią doktorową dobrodzikę, że my kochamy ciszę i spokój.

KAROLINA *(już stoi przy drzwiach, patrzy na Jana, kiwa głową, snać nie wierzy jego słowom — spostrzega wiszący na nitce guzik):* A guzika przyszyć nie umie. *(umocowuje guzik)* Pan Jan Czeczot — też poeta, a książki nie widać.

JAN: A nie widać. Bo ja, pani doktorowo dobrodziko, wszystkie swoje poezje mam jeszcze w głowie.

KAROLINA: W głowie. *(skończyła przyszywanie guzika)* Żaden poeta nie umie przyszyć guzika. *(śmieje się ładnie i długo)* Do widzenia!

(Wyszła. Jan, pod wrażeniem jej urody, patrzy przez chwilę na drzwi, przez które wyszła)

JAN *(z uznaniem):* Oj, Adamie, Adamie...

RUKIEWICZ *(już ubrany wchodzi):* Co się stało?

JAN: Nic. *(po chwili, jakby się sumitując)* Nic a nic.

RUKIEWICZ: Co się stało? Coś taki zamyślony? O czym myślisz?

JAN: O Zosi Malewskiej. Była dzisiaj w kościele na Antokolu. A ja nie byłem. Cały dzień stracony, nie mówiąc o nocy.

RUKIEWICZ: Nie słyszałem, żebyś którą noc spędził bezsennie. Chrapiesz jak stary młyn.

JAN: Tak, ale zanim zasnę!

RUKIEWICZ: Posłuchaj no, co tu piszą w tych punktach ustawy „Towarzystwa Zjednoczonych Słowian". Słuchasz? *(Jan kiwnął głową. Rukiewicz czyta)* „...Staraj się usuwać wszelkie przesądy, zwłaszcza odnoszące się do innych warstw społecznych..." „...Poświęć życie dla wyzwolenia wszystkich narodów słowiańskich spod absolutyzmu". Słuchasz, Janie? *(strzepnął palcami po papierze)* Mądre słowo — warte kapelusza.

JAN *(powoli się zapala):* Zmiłuj się, Michale, przecie człowiek ma tylko jedno życie! Gdzież choćby i mnie ginąć za sprawę słowiańską, kiedy, prawdę powiedziawszy, może polska sprawa na moją głowę czeka.

RUKIEWICZ *(gorąco):* W dudki dzwonisz! Nie siedź, bracie, za płotem, wystaw głowę, zobacz, co się na świecie dzieje.

JAN: Dla Polaków — niedobra to rzecz!

RUKIEWICZ *(zapala się):* W czym niedobra?!

JAN: Jeszcze jedno rozbicie i rozproszenie sił niesie! Dzisiaj co drugi Polak własnemu przewodzi sprzysiężeniu! Anarchia, jak mi Bóg miły, anarchia!

RUKIEWICZ: Anarchia jest niczym innym, jak stanem wymagającym nowej, silnej idei! Myślisz, że kto układał te punkta, com ci je przed chwilą czytał?! Polak — Lubliński i Rosjanin — Borysow! Taka dla nich sprawa polska bliska, jak i rosyjska! Nie miałeś jeszcze w historii takiego rzeczy rozumienia, to i wierzgasz, jak młody koń, co chce być mądrzejszy od jeźdźca!

JAN: Bywa, że konie do domu prowadzą, gdy jeździec zgłupieje!

RUKIEWICZ: Nie każdego los na jeźdźca sposobi! Różnie bywa! *(potrząsając kartką)* Adam powiada, że jest to „most między narodami"!

JAN: Już wy tam wiele filarów nie macie, co by ten most trzymały!

RUKIEWICZ: Wasza wielmożność zna się na tym jak kura na pieprzu! Młody las rośnie, coraz silniejsze ma gałęzie! Naucz się, Janie, „Hymnu do młodości" — on jest jak rosa na zmęczona oczy — jak wino... *(przez chwilę chodzi niemal wzburzony, po czym zaczyna recytować. Recytuje z rosnącą żarliwością)*

„Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy;
Młodości! dodaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy:
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka w nadziei złote malowidła.

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępymi zakreśla oczy.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca!

Patrz na dół — kędy wieczna mgła zaciemnia
Obszar gnuśności zalany odmętem."

(Wchodzi Adam, Rukiewicz milknie. Adam w ciszy przechodzi przez scenę, po drodze rzuca trzymany w ręku płaszcz na łóżko — siada przy stole, pisze. Milczenie. Jan i Rukiewicz porozumieli się oczami, Rukiewicz wyszedł na lewo, Jan po cichu idzie ku drzwiom do drugiej izby.)

ADAM: Janie...

JAN: Tak.

ADAM: Niedawno szedłem ulicą, pod naszymi oknami. Słyszałem twoje śpiewanie...

JAN: Moje śpiewanie?

ADAM *(nuci)*: „Załatyje kubeczki ponaliwaú" — Ludzie stawali, zadzierali głowy...

JAN: Z podziwu?

ADAM *(po chwili)*: Wątpię. *(pauza)* Słuchałem twojej piosenki i tak

sobie myślałem: dziewczyna wiejska czerpie dłonią wodę ze źródła i pije. A my pijemy wodę, którą nam przynoszą wodociągi. Oto jest różnica... O poezji ludu mówię. I o naszej poezji. Ta twoja piosenka, coś ją śpiewał, znad Niemna rodem?

JAN: Znad Niemna.

ADAM: Zbierasz te piosenki — dużoś uzbierał?

JAN: Rośnie książka.

ADAM: Będzie piękna jak las.

JAN: Śmieją się ze mnie, mówią, żem prościna, bo mi prostackie rymy i muzyki smakują.

ADAM: Śmiejmy się razem z nimi. Przecie byli u nas już i tacy, co chcąc smak owoców ulepszyć, cukrem je napuszczali. A drzewa rodzą, jak rodziły. Ach, żebyż tak wiersze pisać, jak drzewa rosną. I żeby każdy mógł poznać, która ziemia sok naszym wierszom dawała... Ach, Janie, Janie.

JAN: Pójdę, a ty pisz.

ADAM: Przecie będziesz śpiewał.

JAN: Nie będę. Zobaczysz, że nie będę. Pisz. *(wychodzi do drugiej izby. Adam pochyla się nad stołem, kreśli, poprawia, po chwili czyta)*

ADAM *(bez patosu, zwyczajnie):*

„Precz z moich oczu!... posłucham od razu,
Precz z mego serca!... i serce posłucha,
Precz z mej pamięci!... nie — tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha.

Jak cień tym dłuższy, im padnie z daleka,
Tym szerzej koło żałobne roztoczy —
Tak moja postać, im dalej ucieka,
Tym grubszym kirem twą pamięć pomroczy.

„...Na każdym miejscu i na każdej dobie,

(słychać śpiew Jana — Adam milknie, uśmiecha się, odchyla na oparcie krzesła) Janie!... *(śpiew milknie)* Janie! *(drzwi powoli się otwierają, staje na progu skruszony Jan)*

JAN: Już dalej śpiewał nie będę, bo już dalej nie umiem.

ADAM *(pogodnie — rzuca pióro na papiery):* I ja dalej nie umiem.

JAN *(podchodzi do stołu, patrzy na rękopis):* Nie dokończyłeś? *(nachyla się, czyta po cichu, potem głośno, spokojnie, bez afektacji. Adam zapala lulkę)*

„...Na każdym miejscu i na każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnej komorze
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę,
Przypomnisz sobie: właśnie o tej porze
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę.

Czy grając w szachy, gdy pierwszymi ściegi
Śmiertelna złowi twego króla matnia,
Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia...

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujrzysz kochanków nadzieje,
Złożywszy książkę z westchnieniem głębokiem,
Pomyślisz sobie: ach! to nasze dzieje..."

(Jan milczy)

ADAM *(po chwili):* Powiedziałeś coś?

JAN: Jeszcze nie, ale już pomyślałem. *(milczenie)* Piękny wiersz. Niejednemu sercu drogę do drugiego serca pokaże, poprowadzi... tylko...

ADAM: Grzmij.

JAN: Nie samą piękność w nim ludzie widzieli...

ADAM: Aha...

JAN: Nie samą tylko piękność.

ADAM: Chcesz powiedzieć, że obrazy i imiona osób są w moich poezjach prawdziwe i że każdemu jest wiadomo, z kim bezprzestannie witam się i żegnam?

JAN: Już, Adamie, nie jesteś li tylko autorem filareckich toastów i piosenek. Poezje twoje czytane są szeroko. Może już nie zabawy młodzieńca, a głosu Polaka ludzie w rymach twoich nadsłuchują?

ADAM: Tak myślisz... *(pauza)* Mój drogi, jeśli za lat parę wpadnie komu do rąk moje pisanie, już mu nic znajome nie będzie, oprócz głosu krwi serdecznej i piękności ludzkiego kochania. *(pauza)* Ta miłość, Janie, jeszcze dotąd porusza wszystkimi moimi czuciami, wszystkimi moimi myślami, jak daleki — bardzo daleki — wiatr żaglami łodzi.

JAN: Czy tak bardzo daleki?

(milczenie)

ADAM: Dziękuję ci, Janie, żeś mi szczerze powiedział, co myślisz.

JAN: Nie gniewaj się.

ADAM *(z uśmiechem):* Samym gniewem nawet świecy nie zapalisz. Za wszystko ci dziękuję. Za całą serdeczną przyjaźń twoją.

JAN: Nie wychodź, zaraz wróci Tomasz. Są ważne sprawy.

ADAM: Będę czekał.

(Jan wybiega w lewo. Adam siedzi przy stole, czyta, uważnie słuchając słów wiersza)

„Precz z moich oczu!... posłucham od razu.
Precz z mego serca!... i serce posłucha,
Precz z mej pamięci, nie — tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha..."

(Weszła Maryla. Słyszała ostatnie dwie linijki wiersza)

MARYLA *(we drzwiach, prawie szeptem):* Nie posłucha, Adamie.

(Adam zerwał się, stanął plecami do stołu)

MARYLA: Nie posłucha.

ADAM: Tutaj?

MARYLA: Pukałam... nikt nie odpowiadał. Drzwi były otwarte... przepraszam...

ADAM *(nie wiedząc, co powiedzieć):* Drzwi były otwarte?... Przepraszam...

MARYLA *(zaśmiała się zakłopotana):* To ja... *(milczą)* Nie przyjechałeś do Bolciennik... *(Adam kręci głową, że nie przyjechał).* I nie przyszedłeś, choć przecie wiadomym ci było, że jestem w Wilnie. *(Adam milczy)* Jakoś nie tak widziałam w imaginacji nasze powitanie.

ADAM *(oprzytomniał):* Ach, nie — proszę... rad jestem... *(prowadzi ją do krzesła, sadza. Milczenie)*

MARYLA: O, gdybym była wtedy wiedziała, Adamie, jak wielkim cierpieniem jest tęsknota!... Kiedy nie jesteś ze mną — w każdym miejscu, w każdym kącie widzę twoją nieobecność. *(pauza)* Przyszłam tutaj... przyszłam tutaj wbrew obyczajowi, wiedziona nie tylko nakazem serca...

ADAM *(dopowiada z lekką nutą ironii):* ...ale i rozsądku?

MARYLA: Ach, Adamie... *(zamilkła na chwilę, opanowała się)* Tak, i rozsądku. Jestem pełna niespokojności... pełna niespokojności o ciebie.

ADAM: Już przecie wszystko stać się mogło — i nic się nie stało.

MARYLA: Nic się nie stało... Adamie, Adamie! Trzebaż, byśmy wszystkich użyli sposobów, aby się wzajemnie udręczyć, choćby do ostatniego duszy odetchnienia? *(wstaje, podchodzi do Adama)* Nic w moim życiu nie ma oprócz ciebie. Myślę twoimi słowami, twoimi wierszami, śmieję się twoim śmiechem, płaczę twoją tęsknotą. Cały świat zaczyna się dla mnie na brzegu twojego spojrzenia. Każdą piękniejszą myśl odkładam dla ciebie. Jakżeby to było, gdyby każde nasze spotkanie tak się potoczyło, jak to w marzeniu układam.

ADAM: Masz więc zamiary i na dalsze spotkania?

MARYLA *(odchodzi od niego, siada):* Jesteś zły, szorstki, prawie... niegrzeczny. Na przekór sobie takim jesteś, na przekór wszystkiemu. A przecie w listach jesteś inny. Dlaczego w listach jesteś inny?

ADAM: Już nie będę pisał listów.

MARYLA: Przecie muszę ci wierzyć, że ta męka, która z każdego wyziera słowa, nie jest li tylko zmyśleniem czy zabawą. Dlaczego, powiedz, dlaczego, gdy się spotkamy, wszystkich używasz sposobów, bym odjechała upokorzona i złamana? Tak dalej być nie może... Musimy wreszcie zdobyć się na determinację i powiedzieć sobie, że już naprawdę nie ma dla nas inszego życia, jak tylko razem, obok siebie...

ADAM: Komuż i na co ta determinacja teraz przydać się może?

MARYLA: Jestem słaba, Adamie, bardzo słaba, ale... i to właśnie chciałabym, abyś wiedział... w tej słabości znalazłam jednak tyle siły, aby dotąd... pozostać ci wierną.

ADAM: Jak to?

MARYLA: I cóż z tego, że w oczach świata jestem małżonką Wawrzyńca Puttkamera, skoro...

ADAM: Po co to mówisz?

MARYLA: Aby ci wiadomym uczynić mój zamiar...

ADAM: Mów.

MARYLA: I abyś nie dopuścił do tego, iżbym stąd odejść miała... obrażona twoją obojętnością.

ADAM *(chodzi):* ...obojętnością... obojętnością... *(staje)* Jaką obojętnością?

MARYLA *(staje przed nim, składa ręce):* Adamie... Posłuchaj... postanowiłam opuścić dom. Słyszysz? Pójdę z tobą, jeśli się na to zgodzisz. *(stoją naprzeciwko siebie)* Adamie! *(Adam obejmuje ją, usiłuje przycisnąć, ona usuwa się z jego ramion)* Nie, nie... Nie teraz... Adamie, przecie muszę ci wyjawić... *(Adam trzyma dłonie Maryli zamknięte w swoich dłoniach)* Tymi dniami pojedziesz do Drezna... Użyję wszystkich sposobów, abyś rychło otrzymał poszport i potrzebne dokumenta.

ADAM *(puszcza jej ręce):* Po cóż mam jechać do Drezna?

MARYLA: Aby się stąd wydostać jak najprędzej. Niebawem do ciebie przyjadę. Toczy się teraz proces o sukcesję firlejowską... To jest taka zadawniona sprawa mojej rodziny... Wygramy na pewno... Dostanę dużo pieniędzy... Pojedziemy do Paryża, do Rzymu i dalej — świat jest szeroki, pomieści nasze szczęście, zobaczysz...

ADAM: Czy jesteś dość silna, aby opuścić dom, aby opuścić kraj...

MARYLA: Przecie będę z tobą.

ADAM: A Lorens?

MRYLA: Napiszę do niego stamtąd, z zagranicy. Musi zrozumieć. Nie będzie miał innej rady.

(Milczenie. Adam chodzi)

ADAM: Będę, Mario, bardzo szczęśliwy...

MARYLA: Uczynię wszystko, abyś nim był.

ADAM: Będę, Mario, bardzo szczęśliwy, jeżeli ten list napiszesz teraz.

MARYLA: Nie rozumiem.

ADAM: Tutaj, w kraju... *(pauza)* A choćby i w tej chwili. Zresztą — po co pisać listy, kiedy można rozmówić się, patrząc prosto w oczy.

MARYLA *(zalękniona):* Ach...

ADAM: Tak uczyń. Powiedz Lorensowi, że jest to sprawa — jak ty to zwykle nazywasz — nie tylko serca, ale i rozsądku. Powiedz mu, że nie masz siły i sumienia dalej tak żyć, ale masz siłę, odwagę i sumienie stanąć wszystkiemu naprzeciw — choćby całej rodzinie, otoczeniu, opinii — choćby wszystkim wyobrażeniom o życiu, o miłości, o obowiązku — ba! — o honorze... *(patrzy na Marylę)* Tak przecie postanowiłaś, prawda?

MARYLA *(pauza):* ...Nie mam tyle siły, tyle odwagi. Teraz widzę, że nie mam. Mogę się zdobyć tylko na jedno szarpnięcie. Zamknąć oczy i porwać wszystkie więzy.

ADAM: Musisz tak rzecz całą poprowadzić, aby twój wyjazd nie był ucieczką. I żeby nie był koniecznością. Abyś mogła żyć obok mnie — tutaj lub gdziekolwiek nas losy zapędzą.

MARYLA: To jest niemożliwe, Adamie. Odgrodzą się od nas wszyscy. Zostaniemy zupełnie sami. Taka samotność nie jest mędrców mistrzynią. W takiej samotności nikt jeszcze nie był szczęśliwy.

ADAM: Więc zostanie, jak jest.

MARYLA: Myślałam, że mi pomożesz wydobyć się z tej bezprzestannej nocy, która mnie otacza, a w której nie ma promyka nadziei.

ADAM: Myślałem, że mi pomożesz wydobyć się z nocy serca, w której nic nie ma — nawet smutku.

MARYLA *(z żalem):* Musi zostać, jak jest.

ADAM: Jeszcze snać nie dojrzał twój zamiar, nie udoskonalił się w ogniu wewnętrznym, bo słowa znacznie wyprzedziły czyn.

MARYLA: Jeszcześ nie zobaczył dna rozpaczy, bo słowom i czynom umiesz właściwe oznaczać miejsce. Musi zostać, jak jest.

(Wszedł bez pukania Rukiewicz. Maryla spojrzała na niego, zmierza ku wyjściu. Rukiewicz otwiera przed Marylą drzwi i kilka chwil patrzy za nią, gdy wyszła. Adam stoi nieporuszony. Rukiewicz spojrzał na Adama, przeszedł się po scenie, znowu spojrzał na Adama — zaczyna mówić tonem bardzo rzeczowym, relacyjnym).

RUKIEWICZ: Otóż... *(pauza)* Przyjechał z Petersburga Pełczyński. Przywiózł listy. Jest coś i dla ciebie... *(kładzie list na stole)* Ma do Wilna zjechać wysłannik rosyjskiego ruchu wolności... Chciałby trafić i do Warszawy... Myślę, że warto by o tym zawiadomić Pietraszkiewicza — niechby się nim zajął... *(pauza — Adam milczy)* Umyślili zamach na cara.

ADAM *(przetarł dłonią czoło):* Zamach na cara? *(pauza)* Cóż to pomoże? *(ogląda kopertę listu, otwiera)* Jedna głowa carska spadnie — druga urośnie, jak smokowi w krakowskiej legendzie. *(czyta list)*

RUKIEWICZ: I między nimi różne są w tej materii zdania. I u nich, jak i u nas, wielkie jest sił rozproszenie. Każdy ma inne rozumienie wolności. *(pauza)* Albo go wcale nie ma.

ADAM *(trze dłonią czoło):* Powiedz mi... powiedz mi... a jak twoje misje? Co się dzieje? Co ze Związkiem Przyjaciół Wojskowych?

RUKIEWICZ: Trudne to zadanie i nie na jeden dzień robota. O, nie od razu kwiat z tego wyrośnie. Owszem, są efekta. Mamy już przyjaciół i w penzeńskim pułku piechoty, i w brygadzie konnych grenadierów, i w Korpusie Litewskim. Pierwsze to są ziarna — do żniwa jeszcze daleko.

ADAM *(zapatrzony w zaokienną dalekość):* Do żniwa jeszcze daleko.

RUKIEWICZ *(gorącej):* Agenci Towarzystwa Patriotycznego przepytywali w Korpusie Litewskim, czyby Rosjanie czegoś nie przedsięwzięli w razie zbrojnego w Polsce powstania...

ADAM: Tak.

RUKIEWICZ *(z emocją):* A cóż oni wyrabiają?! Taki, na przykład, Oborski zupełnie jawnie spisuje młodych do powstania! Przy kartach i pijatyce! Toż oni, Boże mój, poprowadzą tych ludzi na zatracenie, prosto w łapy żandarmerii! *(milczenie, wchodzą Tomasz Zan i Jan Czeczot)*

ADAM *(do Tomasza):* Byłeś?

TOMASZ *(podniecony):* Tak. Zażądał, aby wszystkie dokumenta Promienistych i Filaretów przynieść do niego. *(Rukiewicz chce coś powiedzieć)* Czekaj... Zażądał, abym mu dał słowo honoru, że natychmiast rozwiążemy wszystkie stopnie naszego stowarzyszenia. Tłumaczyłem, wyjaśniałem... Dążymy, powiadam, do doskonalenia umysłu i serca, do zapamiętywania zasad moralnych, pomagamy sobie w nauce — gdzież tu niebezpieczeństwo dla Cesarstwa Rosyjskiego?! Śmiał się. „Mój drogi — powiada — nie przypuszczas chyba, a i nie będziesz mnie przekonywał, że władze prowadzą dochodzenia w sprawie picia mleka na studenckich majówkach"...

RUKIEWICZ: Mam nadzieję, żeś go nie przekonywał.

TOMASZ: Co robić? Radźcie. *(wyciąga zza łóżka paczkę, którą pierwej przyniósł)* Oto są dokumenta... Prawa, protokoły, przemówienia, spisy... Spalić? — ukryć? — oddać?

(milczenie)

JAN: Prawdę powiedziawszy... *(milknie)*

ADAM: Czy to są świadectwa jakiejś naszej wielkiej chwały? Wielkich czynów?

JAN: Każdy z nas zostawił w tych papierach cząstkę siebie...

ADAM *(mówi spokojnie, bez patosu)*: Przed kilku laty, gdyśmy tworzyli Związek Przyjaciół, jedną byliśmy połączeni myślą. Warto ją dzisiaj przypomnieć. *(milknie)*

TOMASZ: O czym mówisz?

ADAM: ...Gdziekolwiek będziesz czynił dobre, dla ojczyzny będziesz czynił. Bo gdy sami serca swoje i umysły na niewzruszonych upewnimy zasadach — cały gmach, który układamy, tęż samą postać przybierze. Tomaszu, Janie, Michale, niejedno zawdzięczam naszemu związkowi, niejedną pracę zostawiłbym w połowie drogi, gdyby nie wasza pomoc. Czy zmarnowaliśmy te lata? Czy nie przyczyniliśmy się do umocnienia w umysłach naszych przyjaciół zrozumienia celu głównego — dążenia do wolnej ojczyzny i wolnego człowieka?... Nie zmarnowany to czas!

RUKIEWICZ: Nie zmarnowany.

ADAM: Nie zmarnowany, chociaż już dzisiaj niekiedy na różnych znajdujemy się drogach.

JAN: Prawda.

ADAM: Ileż razy nam się zdarzyło, że na spotkaniu rządu Filomatów, pośród największego ognia dysputy, milkniemy nagle i spoglądamy na siebie jakby z nieśmiałością.

TOMASZ: Bywało tak.

ADAM: Będziemy może milkli coraz częściej i coraz dłużej na siebie spoglądali, ale jeśli dożyjemy tej chwili, że kraj nasz będzie wolny — to jeszcze w wolnym kraju nie starczy dni naszych, by podołać wszystkiemu. Rozszerzajmy i pogłębiajmy dalej dusze bratnie — a to? *(wskazuje na dokumenty)* Dym! *(gest palcami)* Dym!

(milczenie)

TOMASZ *(do Rukiewicza)*: Michale, a ty co?

RUKIEWICZ: Jeżeli się spali, to nie będzie co oddawać. Ot i rozwiązało się.

(Tomasz niesie paczkę do kominka, przyklęka, wrzuca pierwszą porcję papieru — kominek odpowiada wzmożonym migotem ognia)

JAN: To wszystko jest prawda, a jednak żal...

TOMASZ *(paląc papiery)*: Od góry idzie bezprzestanna dążność do przytłumienia ducha narodowego, do pogłębienia różnic w społeczeństwie, do wywołania nieporządków. *(pauza. Płoną papiery)* Nasyłają nam tu urzędników, którzy mają interes utrzymać wszystko w nieładzie, choćby widzieli środki zapobieżenia.

RUKIEWICZ: Śród nieporządku wyraźniej widać tych, co by ten nieporządek usunąć chcieli. A jak myślisz? Nas nie widać? *(pauza — płoną pa-*

piery) Gdy się tak, wiecie, nauwijam między ludźmi, naobracam językiem, a bo to raz i na próżno? — kiedy zmęczony do kresu sił, wracam do domu... Kładę się, wiecie, i tak sobie myślę, tak sobie marzę: — o, żeby znaleźć takie słowo, że przyszedłeś, powiedziałeś, a już każdy uwierzył w jego moc i prawdę, serce otworzył, poszedł za tobą... *(żarliwie)* Jakimi słowami przemawiać do ludzi?! — Jakiego dobywać głosu?! — aby tę ogromną noc, stojącą między człowiekiem a człowiekiem, chociaż na tyle rozświetlić, abyśmy się wzajemnie zobaczyli i nie pogubili?! *(zakłopotany z powodu swojego uniesienia)* Ot, nagadał, wybaczcie...

TOMASZ: Wszyscy, Michale, szukamy tego słowa, które tak ci jest potrzebne...

ADAM: Szukali i szukają tego słowa poeci wszystkich czasów i wszystkich narodów...

JAN: I dopóki go szukać nie przestaną — jaśnieć może tęcza nadziei na niebie ludzkości...

RUKIEWICZ:

„...W krajach ludzkości jeszcze noc głucha,
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.
Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha :
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń wieczne skojarzy spojnie..."

ADAM: Wyjdzie z zamętu świat ducha, bo ta noc, Michale, o której mówiłeś, już nie jest tak czarna, jak była jeszcze przed kilku laty. Duch się budzi, młody duch ziemi. Na całym świecie oczy ludzi wypatrują się wzajemnie. To są oczy młodości.

RUKIEWICZ: Oby dzień przyszedł, nim oczy osłabną...

(milczenie — płoną papiery)

ADAM *(szuka wśród pozostawionych na stole papierów, odnajduje rękopis. Czyta spokojnie, stopniowo się rozpala):*

„I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległym ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem młodzi przyjaciele!...
Choć droga stroma i śliska,
Choć los sprzeczny i własna słabość bronią wchodu,
Gwałt niech się gwałtem odciska..."

(zatrzymuje się, odwraca do stołu, kreśli, poprawia — czyta dalej)

„Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i przemoc bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością uczmy łamać się za młodu...

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury.

Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie:
Młodości! Orla twych lotów potęga.
Jako piorun twoje ramię.

Hej! ramię do ramienia! — Zgodnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko..."

(zatrzymuje się, odwraca do stołu, kreśli poprawia — czyta dalej)

„Hej, ramię do ramienia! Spólnymi łańcuchy,
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej bryło z posad świata!
Nowymi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomniesz lata...

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednym „Stań się" z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie
A gwiazdy błękit rozjaśnią —

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha:
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie;
Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha:
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie...

Pryskają nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące;
Witaj, jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!"

(umilkł, przetarł dłonią czoło, wyszedł w prawo z kartką i piórem w ręku)

JAN *(z melancholią, do swoich, snać niewesołych myśli):* Witaj, jutrzenko swobody...

(milczenie)

TOMASZ: Niedaleko mojego domu jest sosna wysokopienna, która wyrosła ponad inne drzewa. Ona pierwsza zaczyna drżeć z niepokoju, gdy jeszcze nikt nie wie o zbliżającej się burzy — ale za to... za to przede wszystkim na jej gałęziach zapalają się pierwsze światełka każdego nowego dnia.

(pauza)

JAN: Dlaczego to mówisz?

TOMASZ: Myślę o Adamie. *(pauza. Wstaje)* No, czas.

RUKIEWICZ: I na mnie poczta czekać nie będzie.

JAN: Nie mogę sobie dzisiaj miejsca znaleźć. Pójdę z wami. *(wychodzą)*

(Po chwili wraca Adam, niesie palącą się w lichtarzu świecę, podnosi do góry, rozgląda się — jest sam. Stawia świecę na stole, wychodzi do drugiej izby, drzwi zostawiając otwarte. Wchodzi bez pukania Rozalka. Rozgląda się. Idzie ku drzwiom po prawej, ale po drodze zboczyła ku rozłożonej na stole książce. Nachyla się i sylabizuje, popychając litery palcem i pomaga sobie językiem.)

ROZALKA *(sylabizuje):* Zb...rod... zbrod...nia... to... nie...se...ły...chana...

ADAM *(z drugiej izby):* Kto tam?

ROZALKA *(dygnęła w stronę drzwi):* Żesz ja — Rozalka...

ADAM *(wchodzi):* Rozalka... cieszę się... cóż tam? *(pokazuje książkę)* Umiesz czytać?

ROZALKA: Eee, czytaniec ja nieduży. Ot, panienka Teklunia głoski pokazawszy, która jaka i jest. Nastomiła ja sie, Bożesz mój... zbierać i wyrozumieć — nie pętelka. Uchapić trudno...

ADAM *(ze zrozumieniem):* Aha. A spróbuj no — weźmy ot, choćby tutaj... *(pokazuje na książkę)*

ROZALKA *(sylabizuje):* Bal... bal... Duże głoski lekciejsze, małe — jak te mrówki rozłażo się... *(sylabizuje)* — bal... la... ballady i... *(śmieje się i mówi z pamięci)* ...i romanse! Strachałki, znaczy się.

ADAM: Strachałki. *(bierze książkę ze stołu i podaje Rozalce)* Weź sobie tę książkę.

ROZALKA *(z lękiem):* Jakże tak — na wiek?

ADAM: Na wiek. A jak... jak się zobaczymy następnym razem, żebyś wszystko umiała przeczytać...

ROZALKA *(krzyżuje ręce na piersiach z zakłopotaniem, nie bierze książki):* Achjej! Człowiek pańsko roboto zapędzony...

ADAM: Weź.

ROZALKA: Jakże brać! Toż ja... *(Adam wkłada jej książkę do rąk)* Achjej!

ADAM: Pewnie będziesz chciała powiedzieć mi coś?

ROZALKA *(szuka w wycięciu sukienki):* A toż... A toż... *(podaje list)* wo!... Od panienki Maryli.

(Adam z listem podchodzi do stołu, Rozalka z nosem nad książką stanęła po przeciwnej stronie sceny. Adam stojąc tyłem do Rozalki, pochylony przy świecy czyta list.)

ADAM: „Nie musi zostać, jak jest. Uczynię wszystko, aby było inaczej. Pragnę widzieć cię przed odjazdem z tych stron. Przyjdź jutro o czwartej. Będę sama" *(zamyślony powtarza słowa listu)* Będę sama. *(zgniótł list w dłoni, rzucił na stół, siada, pisze list. Ze smutkiem)* Musi zostać, jak jest. *(drze papier, znów pisze, zatrzymuje się, odwraca głowę, słucha, co czyta Rozalka)*

ROZALKA *(pokonała tymczasem trudności sylabizacyjne pierwszych słów i dalej uradowana, rozmarzona — nie patrząc na Adama — mówi z pamięci):*

„Jednemu oddajesz wieniec
Z róż, liliji i tymianka;
Kocha cię inny młodzieniec,
Ty jednemu dajesz wieniec...

Zostawże łzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka;
Gdy szczęśliwy bierze wieniec
Z róż liliji i tymianka..."

(Adam powoli rozprostowuje dłonią list Maryli)

ADAM: „Nie musi zostać, jak jest. Uczynię wszystko, aby było inaczej. *(pauza)* Przyjdź jutro." *(przełamuje się)* Dobrze. Przyjdę. *(pisze list)*

ROZALKA *(nie patrząc na Adama zamyka książkę i przyciska ją do piersi):* Achjej!

AKT TRZECI

U Adama Mickiewicza w Wilnie. Skromnie umeblowany pokój na Placu Ratuszowym. Tomasz Zan, pomrukując jakąś melodię, przegląda przy stole papiery. Porządkuje, grupuje. Michel Wereszczaka chodzi po scenie wyraźnie podniecony. Pora przedwieczorna. Listopad.

MICHEL: Kiedy Czeczota aresztowano?

TOMASZ *(nie przerywając pracy):* Kiedy? Kilka dni temu. Ten Jankowski — wiesz? *(Michel kiwnął głową, że zna)* Ten na śledztwie gada — oj, gada. Promieniści, Filareci... *(śmieje się)* Filareckiego ruchu zaprzeczać nie będziemy. Owszem, istniał związek do wzajemnej pomocy w naukach potrzebny. *(mruczy pod nosem, odczytując rękopis)* Słuchaj! *(czyta pogodnie)*

„Będziemy idących witać
I powracających pytać,
Lękliwym rozpędzać trwogę,
Błędnym pokazywać drogę...

Nim dojdzie siwizny dziecię,
Nim starego dzwon powoła,
Jeszcze ich spotka na świecie
Niejedna chwila wesoła..."

(mówi z uśmiechem) To z „Dziadów".

MICHEL *(staje przed Tomaszem):* Powiedz mi, co zamierzasz uczynić?

TOMASZ: Co zamierzam — to i czynię. Widzisz przecie, że przeglądam papiery Adama. Muszę sumienie uspokoić, że nic nie zostało zaniedbane.

MICHEL *(lekko zniecierpliwiony):* Niewiele ci, jak widać, do spokojności trzeba. Przecie, uważasz... przecie, jeżeli dotąd nie zostało na śledztwie wymienione nazwisko twoje i Adama...

TOMASZ: Jak to nie zostało wymienione? Zostało wymienione.

MICHEL: Bój się Boga, Tomaszu! Przecie to już, uważasz, przekracza granice ludzkiego rozumienia! Będziecie siedzieć i czekać?!

TOMASZ: A cóż, twoim zdaniem, powinniśmy uczynić?

MICHEL: Trzeba, abyście wyjechali.

TOMASZ: Wyjechali.

MICHEL: Nie rób mi tu, uważasz, min i gestów. Lepsza kawka na wolności niż orzeł w łańcuchach. Tak.

TOMASZ: A ty nie złość się. Jeżeli się gra, trzeba liczyć i na przegraną. W tej chwili nie widzę jeszcze brzegu klęski. Dzisiaj — ot, po prostu —

cała nasza praca wystawiona jest na próbę trwałości i szlachetnego dźwięku. Cóż z tego, że kilku nas aresztowano?... Mokry deszczu się nie boi.

MICHEL: Więc nic się właściwie nie stało. Tak uważasz?

TOMASZ: Nie złość się, Michel, bo złość zamyka drzwi do rozsądku.

MICHEL: Ech.

TOMASZ: Słuchaj no... Idziemy coraz szerszym gościńcem. Coraz większe jest rozumienie celu głównego. Rośnie z nami i Towarzystwo Przyjaciół Wojskowych. Dzisiaj — właśnie dzisiaj odbyła się pierwsza rozmowa z wysłannikiem rosyjskiego ruchu wolności, Michałem Bestużewem. A ty co? Radzisz nam uciekać? Michel, pomyśl...

MICHEL: Ja swoje, a ty swoje. Wiem, że Książę Konstanty przysłał rozkaz, aby z całą bezwzględnością zdeptano każdą najmniejszą nawet iskierkę polskiego ducha narodowego.

TOMASZ: Widzisz więc, widzisz, jak jesteśmy potrzebni.

MICHEL: Te wszystkie badania policyjne w szkołach, zamykanie uczniów do więzień, wreszcie te sądy... sądy... — to dopiero początek.

TOMASZ: A zatem — czekajmy końca i róbmy to, cośmy za dobre dotąd uważali. Ja — nie wyjadę.

ADAM *(wchodzi — usłyszał ostatnie słowa):* A kto wyjedzie?

MICHEL: Ty.

ADAM: Ja? *(śmieje się)* Michel, witaj, bracie! *(uścisnął go)* Tak postanowiliście? Postanowiliście, że wyjeżdżam? *(zaczyna czegoś szukać w papierach na stole)* Ciekaw jestem, jak ja to mam uczynić?

MICHEL: Właśnie jak... — otóż właśnie...

ADAM *(przerywa, ze śmiechem do Tomasza):* Czemu ty mi ciągle porządki robisz w tych papierach? Każda rzecz, po wyjściu z chaosu, ma swoje miejsce we wszechświecie. Jak zaczniemy układać po swojemu, to niczego znaleźć nie będzie można. *(szuka, znajduje, chwilę czyta, chowa do kieszeni)* Otóż właśnie...

MICHEL: Bo, uważasz, jak się od Tuhanowicz patrzy, to wszystkie sprawy wyglądają większe, ważniejsze. Każdą rzecz, uważasz, widzi się w całości od początku do końca. Można to i owo zobaczyć, co tutaj spod waszej uwagi umknie. Więc nie mogłem usiedzieć i przyjechałem...

ADAM: Cóż takiego zobaczyłeś?

MICHEL: Śmiał się ze mnie Tomasz, nawet nakrzyczał — nie ruszajmy. Inna rzecz jest taka: do Ślizieniów zjechał był komisjoner z Zurychu, niejaki Johan Mühl. Dostał w podróży gorączki, no i uważasz, wstąpił do Bartnik po zdrowie, a kilka dni temu ducha wyzionął...

ADAM: Mieli kłopotów...

MICHEL: O, mieli... Wreszcie policja wszystkie jego papiery, kontrakta i inne tam rzeczy zabrała. Ale dokumentów osobistych przy nim nie znaleziono.

ADAM: Nie miał.

MICHEL: Miał, ale nie znaleźli.

TOMASZ *(śmieje się):* Czarna magia!...

MICHEL: Nie znaleźli, powiadam, bo nie mogli znaleźć. Bośmy te papiery, uważasz, na wszelki wypadek, wcześniej nieboszczykowi zabrali.

TOMASZ *(śmieje się):* Ot, czarna magia!

MICHEL *(do Adama):* Przyszła do nas wiadomość, że władze odmówiły ci paszportu na wyjazd zagranicę. *(wyjmuje z kieszeni papiery)* Masz. *(kładzie na stole)* To dla ciebie. Właź w cudzą skórę — jutro będziesz już poza granicami Rosji.

(milczenie)

ADAM: Darujesz mi to?

MICHEL: Bierz, całym sercem proszę. A to... *(kładzie portfel obok papierów)* ...trochę pieniędzy... Na podróż wystarczy, a potem, to już... *(Adam milczy)* Możesz wziąć, Adamie, to z moich oszczędności. Moje własne. Nikt inny... Nikt inny nawet nie wie... I nie będzie wiedział.

ADAM *(bierze papiery — uścisnął Michela):* Bóg ci zapłać, Michel...

MICHEL: Pojedziesz?

ADAM *(bierze do rąk portfel — pogodnie):* Zdaje mi się, Michel, że jednak będziesz musiał tę podróż opłacić. U nas bieda taka, że myszy pouciekały. *(chodzi po scenie)* Nawet o prywatne lekcje coraz trudniej. *(śmieje się)* Tak mi się czasem zdaje, że ludzie tutaj coraz bardziej nas kochają i coraz więcej nas się boją. *(oddaje Tomaszowi papiery i portfel)* Zanieś, Tomaszu, niech ktoś jedzie do Królewca i dalej, jak było umówione. Niech zawiezie wiadomości o nas i o naradzie z Bestużewem. Niech się zobaczy w Getyndze z Malewskim. Oby tylko zdążył. *(do Michela)* Tak zrobimy. Nie gniewaj się, Michel.

MICHEL: Cóż gniewać się. Taki gniew i psu na budę się nie przyda. Ot, uważasz, myślałem sobie, że z tego wszystkiego, co się tutaj dzieje... z tego, co się dziać będzie... — tyś powinien ocaleć. Powinieneś ocaleć, uważasz, bo tylko ty jeden możesz dać świadectwo prawdzie o nas i o naszych czasach.

ADAM *(z uśmiechem):* Świadectwo prawdzie? Hm. Jeślibym istotnie miał dać świadectwo prawdzie, toś nie powinien mnie namawiać do wyjazdu. Nie powinieneś, pojmujesz, Michel? Tylko to jest prawdą, co się własnym sercem odmierzy. *(pauza)* — Trzeba mi iść do Lelewela. *(do Michela)* Odprowadź mnie.

(Tomasz tymczasem złożył uporządkowane papiery w jedną paczkę, owinął w kawałek płótna, przewiązał sznurkiem i zostawił na stole)

TOMASZ *(bierze portfel i dokumenty):* Chodźmy. *(wychodzą)*

(Po chwili — pukanie, wchodzi Karolina — przyniosła paczkę, owiniętą w płótno i przewiązaną sznurkiem — jest bez narzutki, bowiem przebiegła tylko schody, mieszka w tym samym domu — rozejrzała się, zaczyna robić porządki, paczkę z papierami leżącą na stole wrzuca pod łóżko — znalazła na podłodze kartkę, czyta.)

KAROLINA: „Dzisiaj wieki są tańsze, a droższe zapłaty..." *(zamyśla się, nie rozumie)*

„Dzisiaj wieki są tańsze, a droższe zapłaty.
Ta, której złoto daję, prosi o piosenki,
Ta, której serce daję, żądała mej ręki,
Ta, którą opiewałem, pyta, czym bogaty..."

(zamyśla się — z westchnieniem) Jednak były trzy...

(pukanie — Karolina otwiera drzwi, cofa się — wchodzi Maryla)

MARYLA *(zaskoczona widokiem Karoliny, zakłopotana):* Pani... tutaj mieszka?

KAROLINA *(zaskoczona, zakłopotana):* Ależ nie!

MARYLA: A...

KAROLINA *(uzupełnia):* ...w Kownie, ale zatrzymałam się tu, na dole, u siostry, za apteką, w tej samej kamienicy...

MARYLA *(kończy pytanie):* A... pan Mickiewicz?... Nie ma go?

KAROLINA: Jak pani widzi. Nie ma. Nieobecny.

MARYLA: Czy chce pani przez to powiedzieć, że nieobecny w Wilnie?

KAROLINA: Możliwe.

MARYLA: Ach, tak... Więc omyliłam się oddając dziś ukłon przed Uniwersytetem.

KAROLINA: Możliwe.

MARYLA: A... Pani czeka na pana Adama?

KAROLINA: Czekam.

MARYLA: Chociaż i nieobecny?

(Karolina milczy)

MARYLA: Więc dobrze. I ja poczekam.

(siedzą, patrzą na siebie — po chwili Karolina zaczyna się śmiać — śmieje się długo, ładnie, aż do łez)

MARYLA *(z dezaprobatą, chłodno):* Z czegóż tu się śmiać?

KAROLINA *(ocierając łzy):* O, teraz to już można. I z siebie, i z ludzi. *(poważnie)* Ile ja się przez panią napłakałam, to tylko moja poduszka wie.

MARYLA *(krótko, niechętnie):* Tak.

KAROLINA: W imaginacji wsypywałam pani truciznę do wina. Jak w romansie. Konała pani w okropnych męczarniach, wiła się pani z bólu i błagała o litość i przebaczenie. *(pauza)* A pani mnie truła?

MARYLA: Ja? *(wzrusza ramionami)*

KAROLINA: Nie ma się czego wstydzić. Ludzka rzecz. *(milczą — patrzą na siebie)* Ciekawa jestem, co też pani sobie w tej chwili myśli?

MARYLA *(zdecydowała się włączyć do rozmowy):* Myślę sobie — to jest ta Karolina Kowalska. To jest ta właśnie Karolina Kowalska... — oto, co myślę.

KAROLINA: Tylko tyle?

MARYLA: ...i myślę jeszcze: gdyby jej nie było — kto wie, jakimi drogami poszłoby moje życie.

KAROLINA: Hm. Niech się pani nie oszukuje. Poszłoby tą samą drogą. Tylko jedną drogę ma przed sobą los każdego człowieka. Przecie, gdyby mnie nie było, pani nie byłaby inna. *(milczenie — Karolina wspomina)* Mój Boże! Przecie ja pokochałam pana Adama wtedy, gdy mi opowiadał o swojej miłości do pani.

MARYLA *(poruszona):* Dopiero wtedy?

KAROLINA *(zdziwiona reakcją Maryli):* Tak, dopiero wtedy. Ach, jakże on pięknie mówił!

MARYLA: Nie sądzę, aby miał wiele do opowiadania.

KAROLINA: Bardzo cierpiał, proszę pani. Kiedy się uważnie słucha człowieko cierpiącego, to jakby mu się kamienie z pleców zdejmowało.

MARYLA *(parsknęła niedobrym śmiechem):* Więc zdejmowała mu pani te kamienie.

KAROLINA: O, niech pani odrzuci od serca nienawiść. To przecie już było bardzo dawno. Och, nie wszystko się przecie mierzy ilością lat. To dla mnie było bardzo dawno. Dla mnie minęła już godzina miłości, dla mnie już i godzina rozpaczy minęła.

MARYLA: O, tego nigdy nie można być pewnym.

KAROLINA: Czasami można, ale to już się człowiekowi przeważnie na nic nie przyda. Otóż wtedy, kiedy mi pan Adam opowiadał, a i później, gdym czytała jego poezje, tom sobie imaginowała, że pani jest — bo ja wiem — bóstwo jakieś, cud świata. *(pauza. Zaczyna mówić wiersz, adresując go jakby do swego wyobrażenia o Maryli)*

„Słońce błyszczy na wschodzie w chmur ognistych wianku,
A na zachodzie księżyc blade lica mroczy,
Róża za słońcem pączki rozwinione toczy,
Fijołek klęczy, zgięty pod kroplami ranku.

Laura błysnęła w oknie, ukląkłem na ganku;
Ona muskając sploty swych złotych warkoczy:
— Czemu, rzekła, tak rano smutne macie oczy
I miesiąc, i fijołek, i ty, mój kochanku? —

W wieczór przyszedłem nowym bawić się widokiem;
Wraca księżyc, twarz jego pełna i rumiana,
Fijołek podniósł listki otrzeźwione mrokiem;

Znowu stanęła w oknie moja ukochana,
W piękniejszym jeszcze stroju i z weselszym okiem:
Znowu u nóg jej klęczę tak smutny, jak z rana..."

(pauza) Aż kiedyś pokazano mi panią na Skopówce. Przypatrzyłam się i pomyślałam sobie — ot, zwyczajna kobieta... jak każda inna... nie żadne tam cudo...

(Maryla poruszyła się niespokojnie)

KAROLINA: ...i zaraz zaczęłam się buntować.

MARYLA: Buntować... Cóż to pomoże?

KAROLINA: Nic. *(pauza)* Nic a nic. *(pauza)* Jak się kobieta w miłości zbuntuje — co z tego może wyjść? Najwyżej nowa miłość. A mężczyzna to się zaraz bierze do przerabiania całego świata. Jak nasz Adam. *(pauza)* Widzi pani... Gdyby był o mnie napisał jaką poezję, to bym się może nawet trochę i wstydziła, ale... *(z ciężkim sercem)* ...nie napisał. I cóż z tego, że nie napisał? Te jego wiersze, proszę pani, to są takie, że każdy człowiek, jak czyta, to czuje, jakby to było o nim. Więc chociaż się i wie, to i tak naprawdę nikt nie pamięta, a może i nie wierzy, że to wszystko było pisane z miłości do pani.

MARYLA *(dotknięta):* Jak to nie wierzy? *(spokojnie)* Kto wie, ten wierzy i pamięta. *(odchodzi do okna)* A jeśli to panią w jakiś sposób ukontentuje... jeśli ukontentuje, to można wiedzieć, że pan Adam już od dawna wierszy miłosnych nie układa.

KAROLINA: Wielka to dla wszystkich szkoda.

MARYLA: Inne muzy prowadzą jego myśl i rękę.

KAROLINA: Sam najlepiej wie, co robi. Każdemu z latami i rozumu przybywa. *(Maryla obejrzała się, ale twarz Karoliny jest spokojna, nieprzenikniona)* Nie takie zresztą czasy, żeby o miłości pisać.

(słychać turkot przejeżdżającego pojazdu)

MARYLA *(patrząc w niebo):* Patriotyzm... bohaterstwo... ojczyzna.... świat cały... *(gest ręki)* z gwiazdami...

(pauza)

KAROLINA: „Zanim owies zakwitnie — słońce jaśniej zaświeci". Taka jest wróżba. Trzeba wiedzieć, o co chodzi, żeby zrozumieć.

MARYLA: Wszyscy rozumiemy, że nadchodzą czasy lotu orłów narodowych.

KAROLINA: Jakieś nieszczęście z tego wyjść musi. Ale widocznie innej rady nie ma.

MARYLA: Drżę cała na myśl, co się z nimi stać może.

KAROLINA: Tak już jest ciemno, proszę pani, i taki strach dokoła, że zanim kto dwa słowa powie — trzy razy się obejrzy. Tak żyć nie można. Trzeba zmienić. Któż ma zmieniać, jak nie oni.

MARYLA: Muszą wiedzieć, że nie są w walce samotni. Przyniosłam Adamowi głos mojego serca. Przyniosłam mu słowa pokrzepienia.

(pauza)

KAROLINA: A ja mu przyniesłam trochę ciepłej bielizny, że, jakby co, żeby znowu tego bolenia w piersiach nie dostał. *(kładzie paczkę na stole, w tym miejscu, gdzie przedtem leżały papiery — po pauzie)* Chyba pójdę. Prawdę mówiąc, niewiele byśmy z panem Adamem mieli sobie teraz do powiedzenia. Po co go jeszcze grzecznościami dręczyć. *(idzie ku drzwiom — zatrzymuje się)* Nie w głowie mu dzisiaj ballady i romanse. *(Maryla milczy, nie rusza się)* Ale niektórzy tego nie rozumieją. *(Maryla milczy)* Dobrej nocy, pani hrabino. *(Maryla zerwała się — Karolina wyszła)*

MARYLA *(szarpie ze złości chusteczkę):* C'est abominable! Oh, abominable! *(przeszła przez scenę, usiadła tyłem do drzwi)*

ADAM *(wchodzi, zatrzymuje się przy drzwiach):* Przyjechałaś... *(bez przekonania)* to dobrze, że przyjechałaś... *(całuje ją w rękę)*

MARYLA *(patrzy mu w oczy):* To dobrze, że przyjechałam?

ADAM *(zakłopotany):* O, nie patrz tak na mnie. Widzisz, jak to jest... nawet cieszyć się nie potrafię.

MARYLA: Wnet odejdę. Po co bym cię miała grzecznościami dręczyć? Pewno ci nie w głowie dzisiaj ballady i romanse.

ADAM: Ballady i romanse?... *(w zamyśleniu)* Ballady i romanse... Tak, to był czas kwitnienia. Nigdy przedtem, a i nigdy potem słowiki mi tak pięknie nie śpiewały. *(z uśmiechem)* W twojej były służbie, Mario, twojej woli posłuszne. Obezwładniły mnie, szatany, obezwładniły w ten pierwszy wieczór.

MARYLA: A... powiedz, proszę — piorun i błyskawice także w mojej były służbie?

ADAM: Nie! Piorun i błyskawice ja sam wymodliłem u natury. I ten wielki, samotny w polu krzak dzikiej róży — pierwszy dom naszej miłości.

MARYLA: Często staję przed tym domem. Jest coraz większy. Tylko miłości w nim nie ma.

ADAM: O, jakże to było dawno! Urosły góry, popłynęły rzeki...

MARYLA: I chmury nad górami, i ciemność w dolinach...

ADAM: Byłaś wtedy na kształt czarodziejskiego obwodu, który wszystkie moje czucia, wszystkie myśli ogradzał.

MARYLA *(z goryczą):* Ciasny to był obwód. Nie starczyło ci miejsca na rozpostarcie skrzydeł.

ADAM: ...skrzydeł... skrzydeł... cóż tu mówić o skrzydłach. Wydobyłem z siebie wszystką umiejętność na przeżycie całego szczęścia i wszystkie siły na poniesienie całej klęski.

MARYLA: Ja także, Adamie.

ADAM: Przeżyliśmy wszystko, co nam miłość dać mogła. Najpiękniejsze uniesienia i najczarniejsze rozpacze.

MARYLA: Pamiętam.

ADAM: Gdziekolwiek mnie losy zagnają — zawsze rad będę wracał wspomnieniem do tych chwil i do tych miejsc.

MARYLA: To znaczy — odchodzisz naprawdę.

ADAM: Zawsze będziesz, Mario, słońcem moich wspomnień.

MARYLA: Co dzień, zawsze od nowa przeżywam wszystkie nasze łzy i uśmiechy.

ADAM: A przecie... przecie nie tylko na łzy i uśmiechy jesteśmy stworzeni.

MARYLA: Na cóż jeszcze? *(pauza)* Na cóż jeszcze?

ADAM *(po chwili):* Coraz mocniej to pojmuję... coraz mocniej pojmuję, że i dla dobra innych ludzi na świecie.

MARYLA *(zatrwożona):* Nic nie widzę poza tymi słowami. Nie widzę twojej myśli. To jest tarcza. Co jest poza tarczą?

ADAM: Spokojność... *(pauza)* i pragnienie burzy.

MARYLA: O tę spokojność dla ciebie modlę się całą żarliwością serca.

ADAM: Módl się o wieczny niepokój ducha.

MARYLA: Adamie...

ADAM: ...abym szukał, gdy inni szukają...

MARYLA: Adamie...

ADAM: Módl się o bezprzestanny niepokój myśli... *(pauza)* ...abym czuwał razem z innymi...

MARYLA: Będę się modliła... *(chwila milczenia — Maryla wyjmuje z torebki książkę)* To są poezje lorda Byrona. Towarzyszyły nam przez całą drogę — niech tobie dalej towarzyszą. *(kładzie książkę na stole)* Nie chcę, nie chcę poezji! *(płacze)*

ADAM: Mario... *(pauza)* Mario, bez poezji nie ma życia. Nie odrzucaj, nie odpychaj, nie przekreślaj...

MARYLA *(opanowała się):* Bez poezji nie ma życia. Będę czekała na twoje wiersze. To jest jedyna rzecz na świecie, na którą będę czekała. Do końca... dopóki mnie wspomnienia nie zabiją. *(wybiegła)*

(Adam usiadł przy stole, ukrył twarz w dłoniach. Za oknem — z oddalenia, coraz bliżej — głos trąbki kawaleryjskiej i stukot kopyt końskich przejeż-

dżającego ulicą oddziału. Zaokienne głosy oddalają się — wchodzi Tomasz Zan. Chwila milczenia.)*

TOMASZ: Spotkałem Marylę.

(Adam, nie zmieniając pozycji, kiwnął głową)

TOMASZ: ...biegła zapłakana. „Panie Tomaszku, już wszystko skończone... Już teraz wszystko skończone".

ADAM *(nie zmieniając pozycji):* Skończone.

TOMASZ: Jeszcze jedna kłótnia w sam raz w romansach potrzebna.

ADAM *(j.w.):* Zostaw.

(Tomasz zdejmuje płaszcz, rzuca na łóżko, siada na krawędzi)

Co nowego?

TOMASZ: Bestużew odjechał w kierunku Warszawy.

ADAM: Dałeś mu list do Pietraszkiewicza?

TOMASZ: Tak... Jutro ktoś wyrusza do Królewca. Dobrnie i do Getyngi, aby zobaczyć się z Malewskim:

ADAM: Dziś miało być spotkanie z oficerami Korpusu Litewskiego.

TOMASZ: Nie ruszam tej sprawy. Czekamy na Rukiewicza. Dotąd go nie ma.

ADAM: Aresztowany.

TOMASZ *(zrywa się — pauza — siada):* No, cóż... Choćby i krwią zapłakał — nic się nie pomoże.

ADAM: Trzeba ich o tym zawiadomić.

TOMASZ *(wstaje):* Pójdę tam. *(podchodzi do okna)* Trochę później.

ADAM: Dziś rano zabrali Chodźkę, Sobolewskiego, Suzina, Domejkę.

TOMASZ: To wiem. *(pauza — odwraca się od okna)* O, dziś mną targnął niepokój i zajrzało w oczy zwątpienie. Zęby zacisnąłem do bólu.

ADAM: Co się stało?

TOMASZ: Co się stało? *(pauza)* Właściwie nic. *(pauza)* Nic takiego, co mogłoby mnie zaskoczyć. A jednak... *(pauza)* Byłem przed bramą Bazylianów.

ADAM: Tak.

TOMASZ: Stoją tam ludzie. Tłum ludzi. Smutni, zapłakani, niespokojni o los uwięzionych studentów.

ADAM: Tak.

TOMASZ: Każda wiadomość, pozór wiadomości, który przecieknie przez mury, natychmiast urasta jak lawina, zmienia sens, kształt, ogromnieje, zwala się na tłum jak uderzenie, jak cios.

ADAM: Tak.

TOMASZ: Adamie! Słyszałem wiele głosów przeciwko nam obróconych. Pięści podniesione, przekleństwa i groźby.

(Adam milczy)

TOMASZ: ...żeśmy w umysłach zapalali zwodnicze ognie... żeśmy młodych z drogi spokojności i umiłowania porządku publicznego sprowadzili do bunów, na zgubę, na stracenie. *(milczenie)* Gdzież jest rząd Filaretów? — krzyczeli — Nie ma ich, gdy zagraża niebezpieczeństwo utraty wolności i życia!

ADAM *(poruszył się niespokojnie):* Tak. Cóż dalej?

TOMASZ: Przecie wiem... przecie widziałem, słuchałem, patrzyłem... przecie nie wszyscy... przecie inni stali z zaciśniętymi pięściami i milczeli...

ADAM: Do nich należy dzień jutrzejszy.

TOMASZ: Wiem, wiem... a mimo to... mimo to czuję się jak ugodzony w serce. Jakiś mur wyrósł mi przed oczami, wszystko zasłania. Nie wiem, co jest poza tym murem. Nie widzę, nie widzę właśnie dnia jutrzejszego.

ADAM: Jesteś bardzo zmęczony.

TOMASZ: Czyż to możliwe, czy możliwe jest, aby działalność nasza taki wśród rodaków obudziła gniew? Może nienawiść? Spojrzałem tym ludziom w oczy i wszystko się we mnie zachwiało. Wszystko się nagle urywa, kończy...

ADAM: A to się kończy tylko pierwsza część dramatu. Musimy mieć rozum i siłę na ciąg dalszy. *(wstaje, podchodzi do Tomasza)*

TOMASZ: Szukam rady. Rady szukam.

ADAM: Jesteś bardzo zmęczony. Niełatwe mieliśmy ostatnie dni, ostatnie miesiące... *(zaśmiał się)* ostatnie lata. Niełatwe było życie, ale powiem ci, ja bym go nie zamienił na inne.

TOMASZ: Ani ja... *(gorąco)* O, nie zamieniłbym, nie!

ADAM: Co postanowiłeś?

TOMASZ: Obawiam się, Adamie, że ten cały proces... *(milknie na chwilę)* Tam, na zeznaniach prawie wszyscy wskazują na mnie jako na prezydenta stowarzyszenia. To jest dobrze. Ale źle jest, że plączą się w szczegółach. Te właśnie szczegóły mogą zaciążyć nad procesem, wyolbrzymić całą sprawę, podciągnąć ją pod groźniejsze paragrafa. Tego się boję.

ADAM: Więc?

TOMASZ: Nie będę czekał na aresztowanie. Pójdę tam i całą winę wezmę na siebie. Przyznam się do wszystkiego, co byłoby groźne dla innych.

ADAM: Po cóż to?

TOMASZ: Bo cena mojej wolności i mojego życia nie jest wysoka, jeśli można za nią uzyskać wolność i życie Rukiewicza, Czeczota, Sobolewskiego i innych. Trzeba wszystko uczynić, aby ich uratować.

ADAM: Winkelrid zgarnął wszystkie ciosy na swoją pierś i ocalił ojczyznę. Ale ty w ten sposób nic nie uratujesz. Nic! Komu potrzebne jest twoje poświęcenie? Nie tym, którzy, zapomniawszy o uczuciach obywatelskich i patriotycznych, pięści podnoszą i złorzeczą tobie, mnie, nam wszystkim, całej młodości górnej i chmurnej! Komu potrzebna twoja ofiara? Nie tym, co zacisnąwszy pięści, stoją i milczą! Uwięzionym? Nie, Tomaszu, nic nie ocalisz... Nie o szczegóły chodzi tam, na komisjach śledczych. O zniszczenie chodzi! O zniszczenie żywej krwi narodu. O spętanie myśli wolnej! Nic nie uratujesz, nic nie ocalisz w ten sposób.

TOMASZ: Co czynić, Adamie, co czynić? Przecie nie można stać na uboczu, kiedy nurt główny za murami więzienia płynie.

ADAM: Już dawno wylał poza mury wszystkich więzień. Już płynie przez całą ziemię. Nie tam szukasz nurtu głównego, gdzie go naprawdę znaleźć można.

TOMASZ: Kiedy mówisz, człowiek się odrywa i płynie drogą twojego marzenia, a potem nie może trafić do własnego domu, do własnego serca.

ADAM: Tomaszu, Tomaszu... Pamiętasz, jak to jest u Homera? „Każdemu niewolnikowi bogowie odbierają połowę duszy". O tę drugą połowę duszy

zaczynają upominać się ludzie na całym świecie. Musimy ją wydrzeć pazurami bogom, a choćby carom i diabłom samym!

TOMASZ: I oto jesteśmy znowu przed bramą Bazylianów.

ADAM: Widzisz? Podnoszą się pięści przeciwko tobie, padają przekleństwa. Ci nieszczęśliwcy nie wiedzą jeszcze, że są dość silni, aby całą swoją duszę udźwignąć... Ileż pracy przed nami.

TOMASZ: Teraz wyraźniej widzę i tych, którzy milczą.

ADAM: Będziemy ich spotykali coraz częściej na wszystkich drogach świata. Ani dla ciebie, ani dla mnie, ani dla żadnego z nas — życie nie kończy się po ostatnim słowie wyroku...

(chwila milczenia, po czym Tomasz recytuje tak, jakby mówił do siebie)

„Będziemy idących witać
I powracających pytać,
Lękliwym rozpędzać trwogę,
Błędnym pokazywać drogę...

Nim dojdzie siwizny dziecię,
Nim starego dzwon powoła,
Jeszcze ich spotka na świecie
Niejedna chwila wesoła..."

podniósł się, uścisnął Adama, bierze ze stołu paczkę) Zaniosę te twoje papiery do brata. *(waży paczkę w ręku — jest lżejsza, niż powinna być — rozwiązuje sznurek)* Adamie! Ktoś zabrał twoje wiersze, a zostawił ciepłą bieliznę!

(oglądają zawartość paczki)

ADAM: Jest to na pewno osoba o wielkim smaku literackim i niepospolitej subtelności. Oto pierwsze honorarium, jakie mi przyniosła muza poetycka!

TOMASZ: Nie ma się czym chwalić. Omyłka. Ktoś tu był, czekał, zamienił paczki, zobaczy, wróci i cała rzecz się wyjaśni.

ADAM: Zamknij drzwi, nie wpuszczaj!

TOMASZ *(przekręca klucz w zamku)*: Nie wejdzie. *(za oknem zaturkotał pojazd, podjechał i zatrzymał się. Tomasz biegnie do okna)*. No... chyba nie on się pomylił.

ADAM: Kto?

TOMASZ: Jego żandarmska mość kapitan Krukowskij... i jeszcze ktoś, czekaj... *(przypatruje się)* Tak, to sam inspektor Depert, osobiście... Pokazuje palcem w nasze okno. *(do Adama)* Nie sądzę, Adamie, aby przyjechali zaprosić nas na gody weselne.

ADAM: I ja tak myślę. Jest to zapewne ta chwila, w której powinienem zacytować Helwecjusza...

TOMASZ: Próbuj...

ADAM: „Mocniejszy jestem — cięższą podajcie mi zbroję". *(pauza)* No, komu w drogę... *(wyciąga z kąta worek podróżny)*

TOMASZ *(recytuje ze smutkiem, ale i z lekką fanfaronadą)*

„Jako przystało, wystąpimy godnie.
Każ wynieść na dwór książęce sztandary,
Zapalić w zamku ognie i pochodnie.
Gdzie są trębacze? Niechaj o północy
Zjadą na miasto i stanąwszy w rynku
Na cztery wiatry trąbią z całej mocy,
A póty będą trąbić bez spoczynku,
Póki się wszystko rycerstwo rozbudzi,
Niech każdy piersi zbroją ubezpiecza,
Nasadzi groty i pociągnie miecza.
Zgotować żywność dla koni i ludzi..."

(Adam wrzuca do worka różne drobiazgi, trzyma w ręku książkę, którą przyniosła Maryla)

ADAM *(odczytuje kartę tytułową):* Byron — „Childe Harold's Pilgrimage" *(pauza)* „Bądź silny — Bądź wielki — Maryla — tysiąc osiemset dwadzieścia trzy"... *(wrzuca książkę do worka)*

TOMASZ *(sięgnął ręką pod łóżko i wydobył paczkę z rękopisami)* Adamie! Nikt nie zabrał twoich rękopisów. Nie było pomyłki.

(Adam trzyma w ręku paczkę z ciepłą bielizną)

ADAM: Tym bardziej nie mogę tej osobie odmówić wielkiego smaku literackiego i niepospolitej subtelności uczuć. *(znajduje przyczepioną kartkę)* O, jest! Słuchaj. *(Odczytuje)* „Dbaj o siebie, pamiętaj, żeś skłonny do fluksji i katarów — Karolina..." *(patrzy na Tomasza — pauza)* Na razie składam to wszystko do jednego worka. *(wkłada bieliznę do worka)* Będzie czas, aby ziarnko od ziarnka oddzielić.

TOMASZ *(wrzucił paczkę z rękopisami pod łóżko):* O, będzie... *(pukanie do drzwi)*

ADAM *(podchodzi do Tomasza):* Część pierwsza dramatu skończona *(pauza)* Trzeba otworzyć drzwi — niech się zaczyna część druga.

TOMASZ *(nie ruszając się):* Niech się zaczyna. *(Adam powoli idzie ku drzwiom — stoi tyłem do widowni — pauza — pukanie po raz drugi)*

Warszawa, maj — październik, 1954

Aleksander Maliszewski

Dni wczorajsze Staropolskiego Okręgu

I

pokoju gwałtownie pociemniało. oczne za szybą ściany Pałacu Pry- owskiego są białawej barwy, stano- zwodnicze tło. Ale czarne prostoką- kien zdradzają żałosną prawdę. Już prawie nie widać za ruchliwą prze- ą zadymki. Poryty jeszcze, pełen ro- v i nasypów podjazd szybko okry- śniegowa kasza. Kałuże tracą mato- połysk, gęstnieją w oczach.

- Prześliczna wiosna. Za cztery dni lkanoc! — inżynier zapalił światło zyjrzał mi się z dyskretnym poli- aniem. — Nie bardzo łatwo przyj- panu dostać się na miejsce. Czy nie ej poczekać te kilka tygodni, aż my zymy całą ekspedycją, i zabrać się em?

- Chyba trzeba będzie. To w tamte ny naprawdę nie jeździ żaden auto- ? Słyszałem, że podobno jest jakiś.

- Niestety. Stąd, z Warszawy, dojeż- my do Ostrowca. Wie pan — prze- anie w Skarżysku na pociąg do domierza? W Ostrowcu korzystamy przejmości jednej z tamtejszych fa- k, która nam daje nocleg w świetli- a nazajutrz rano podrzuca własną arówką aż na miejsce. W tej chwi- udno liczyć na te udogodnienia, więc ba by *per pedes apostolorum*... Tam zie chyba ze dwanaście kilometrów. yobrażam sobie, jak okazała war- a białego, wapiennego błocka okry- w tej chwili szosy Kielecczyzny. sztą zobaczę je wkrótce i pod ko- i, i na szybach autobusu, który mnie iezie z Sędziszowa do Szczekocin, e pisuję swoje elaboraty.

Zwyciężył los — morderca marzeń". eba odłożyć do sposobniejszej pory wizytę w miejscu, w którym cztery tysiące lat temu znajdowała się największa i w najbardziej nowoczesny sposób urządzona kopalnia Europy.

Założył ją tajemniczy lud „kultury pucharów lejkowatych."

Przed dwoma laty nieoczekiwanie zawarłem z nim pośrednią, rzecz jasna, znajomość. Było to w okolicach Hrubieszowa, na wysokim nadbużańskim urwisku. W pogodny dzień wzrok swobodnie ogarniał ogromną połać kraju po obu stronach rzeki krętej i wąskiej, płynącej między dwoma zielonymi wałami krzewów. O jakieś półtora kilometra, daleko w dole, widniało miejsce z dawien dawna zwane przez tutejszy lud Królewskim Kątem. Tędy, podobno, w roku 1018 miał się przeprawiać przez Bug Bolesław Chrobry.

Jamy wykopów były obszerne i głębokie. Wywalona z nich ziemia grubym, żółtym płaszczem okrywała zbocze. Żałośnie sterczały zasypane do połowy akacjowe drzewka. Jasne, lessowe ściany dołów pstrzyła istna mozaika, składająca się z setek tysięcy okrągławych lub owalnych plamek o najrozmaitszych odcieniach brązu. W tych stronach występuje już typowa fauna stepowa — pokolenia susłów, sorków i innych gryzoni niezmordowanie drążyły czcigodną „warstwę kulturową"

Archeologowie nasi spodziewali się wykryć w niej szczątki umocnień z doby wczesnego średniowiecza. Natknęli się jednak na niespodziankę, na ślady osiedla z młodszej epoki kamiennej, założonego i zamieszkałego mniej więcej w tych samych czasach, w których, jak chce Biblia, praojciec Abraham wywędrował z miasta Ur.

Wydobyto stąd naczynia. Niewielkie,

zgrabne, o dziwnych, bardzo wydłużonych, rozszerzających się ku górze gardiach. Od ich charakterystycznego wyglądu pochodzi nazwa „kultury pucharów lejkowatych". Inne garnki miały krawędzie i uchwyty subtelnie wyrobione na kształt oglądanej od frontu głowy długorogiego barana.

Oryginalne zwyczaje miewali ci „pucharowcy". Trudnili się nie tylko rolnictwem, lecz także i pasterstwem. W odróżnieniu od innych współczesnych sobie plemion potrafili się osiedlać i na gruntach mniej żyznych. Less i czarnoziem niekoniecznie były im do szczęścia potrzebne. Tutejsza osada zalicza się do wysuniętych najdalej na wschód. Gdzieniegdzie, szczególnie na Pomorzu i Kujawach, do dzisiaj przetrwały po nich olbrzymie, niezwykłym nakładem sił i środków zbudowane grobowce.

Miewały, w planie poziomym, kształt trójkątnego nasypu, długiego na osiemdziesiąt, sto, nawet sto pięćdziesiąt metrów, szerokiego u podstawy na dziesięć i wysokiego na metr. Pod taką gigantyczną, nieprzerwanym szeregiem wielkich głazów obstawioną mogiłą spoczywały zwłoki pojedynczego człowieka.

Nie wszystkim „pucharowcom" sypano aż tak wspaniałe nagrobki. Widocznie już i wtedy — cztery tysiące lat temu — zasada równości między ludźmi zaliczała się do pięknych wspomnień.

Urodzajne gleby Lubelszczyzny kryją wiele pamiątek z epoki neolitu — less szczególnie dobrze nadaje się do uprawy motyką. Na pagórkach odległych jeden od drugiego o paręset metrów lub jeszcze mniej sąsiadowały osiedla całkiem odmiennych „kultur". Dość znacznie różnili się między sobą wszyscy ci „pucharowcy", „wstęgowcy", wyrabiacze „amfor kulistych" oraz inni. Jedno tylko — wyobrażenia religijne były wszędzie bardzo podobne. Z materialnych pozostałości da się wyraźnie odczytać paniczny, obłędny strach przed powrotem zmarłych, chęć zabezpieczenia się przed nimi za wszelką cenę i jednocześnie ugłaskania, ułagodzenia ich.

Oto, co nasi lubelscy badacze znaleźli w jednym z neolitycznych grobów w powiecie puławskim. „Główny" kościotrup leży na wznak. Symetrycznie po obu jego bokach znajdują się szczątki dwu żab. Po jednej stronie, wzdłuż zwłok, jakby czuwając nad nimi, trwają w postawie siedzącej trzy szkielety ludzkie — kobiety, starca i dziecka. Między kośćmi wiekowego mężczyzny tkwi krzemienne ostrze, jakich wtedy normalnie używano do uboju bydła.

W innych mogiłach odkopano zwłoki pokaleczone, zmasakrowane w sposób okrutnie fantastyczny — i obstawione wokół urnami, zawierającymi bogate dary.

Zrozumiałe zainteresowanie budziły w nas zawsze tajemnicze kulty starożytnego Wschodu, kapłańskie praktyki ludów Środkowej Ameryki, Afryki i Oceanii. Warto więc może wspomnieć, że takiego samego rodzaju egzotykę łatwo odnaleźć w dolinach Wisły i Wieprza, a także i gdzie indziej, po całym naszym spokojnym, równinnym kraju.

Wyobraźnia każe się w tych „pucharowcach" domyślać plemienia, które żyło pod nieubłaganym terrorem przyrody, bytowało całkowicie na jej łasce i nie łasce, środki utrzymania zdobywało w sposób najbardziej pierwotny i prymitywny, a cały swój — jeśli wolno użyć tego wyrażenia — wysiłek intelektualny wkładało w zabiegi magiczne, mające zjednać i przychylnie usposobić tajemne moce, które zsyłają nieurodzaj, choroby, klęski i śmierć. Niekontrolowana wyobraźnia zawodzi jednak bardzo często, może nawet z reguły.

Północna grupa „pucharowców" zapoczątkowała rozległy handel bałtyckim bursztynem. Proceder ten miał się póź-

j rozwijać przez tysiąclecia. Rozgałęny i powikłany „szlak bursztynowy" eciął nasze ziemie od Pomorza po rpaty. Kupieckimi drogami, które się ęźlały w okolicy dzisiejszego Gdań-, jantar — łacińskie *genitum terrae* wożony był na dalekie południe, w dziemnomorskie kraje, gdzie uświetł skarbce wielmożów Babilonu, Karliny i Rzymu.

Ludzie, którzy pierwsi wpadli na posł, że wyrzucane przez Bałtyk żółte rłki można wyzyskiwać jeszcze inaj — nie tylko na paciorki dla niest plemienia tudzież na kadzidło dla stw — ludzie ci nie byli chyba komtnymi barbarzyńcami. W każdym ie trudno ich posądzać o gospodarczą echniczną bezradność. Zwłaszcza że rafili sypać swoim wodzom mogiły kubaturze tysiąca metrów sześciench ziemi i piasku oraz — przed wyezieniem wozu — gromadzić w jedn miejscu setki tonowych głazów.

A że jednocześnie ich światopogląd howało okrucieństwo i dzikość? gnijmy po przekonywającą analo- I my w stuleciu XX widywaliśmy ich, co sprawnie władając najbarej nowoczesną techniką, wyznawali zofię, o której nawet wspominać niejemnie. Nie jest to wcale sztuczne tawienie. Przecież sądy i wyobrażejednych i drugich — tych współsnych Abrahamowi i owych uczw pewnego Adolfa — zaliczały się prostu do czasowo niezmiernie rozłej kategorii myślenia przednaukogo, to jest takiego, w którym źródłem dzy może być wszystko: obserwacja, wiadczenie, tradycja, mity, sny, óżby, proroctwa, mistyczne widzenia, eczucia, intuicja tudzież natchnienie żów wybranych...

Grupa „pucharowców" zamieszkała dziej na południu też dokonała dzieklasy naprawdę wielkiej. Uprawiała ozwinęła na naszych ziemiach górnictwo, od jednego zamachu ustanawiając ówczesny rekord kontynentu.

Imponujące ślady tej działalności przetrwały do dzisiaj w dolinie rzeki Kamiennej. Do nich właśnie chciałem koniecznie dotrzeć jeszcze w kwietniu 1954 roku, ale dotkliwe luki w tamtejszym systemie komunikacyjnym jak również przeciwności aury skłoniły mnie do zaniechania zamiaru. Wypadło ograniczyć się do wizyty w Pałacu Prymasowskim w Warszawie oraz do rozmowy z inżynierem-architektem Tadeuszem Żurowskim.

Z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki zajmuje się on tzw. ratownictwem zabytków, które w pewnych wypadkach, jak np. w Wolinie, przetwarza się w systematyczne i rozległe badania, prowadzone nawet przy pomocy nurków i podwodnego „kesonu". W zakres jego zainteresowań wchodzi też cały wspomniany przed chwilą kompleks terenowy w dolinie Kamiennej, od nazwy dwu tamtejszych wsi nazywany zazwyczaj: Krzemionki Opatowskie lub Magoń. Jeszcze do niedawna uważało się, że znajdują się tam szczątki najstarszych kopalń w Polsce. Odkrycia ostatnich lat spowodowały jednak rewizję poglądów. W okolicach Ożarowa, Radomia i Zawichostu ujawnione zostały szyby znacznie starsze, pamiętające paleolit. Licząc okrągło można im śmiało przysądzić jakieś sześć tysięcy lat wieku.

Wszędzie tam wydobywano z ziemi główny w owych odległych czasach surowiec przemysłowy — krzemień.

Koło Krzemionek złoża jego są nie tylko bardzo bogate, lecz także odznaczają się oryginalną cechą, nęcącą wzrok.

Podziemny pokład ma kształt zbliżony do elipsy długiej na dwadzieścia, szerokiej na jeden kilometr. Powierzchnię gruntu, porytą tysiącami lejów — zasypanych neolitycznych szybów —

zajmują dziś pola wsi Jelenia Góra, Krzemionki, Magoń, Korycizna, Stoki Małe, Stoki Stare, Borownia, Ruda Kościelna i innych. Jeszcze w 1922 roku zaczął tam badania profesor Samsonowicz. Po ostatniej wojnie cały obszar uznany został za Państwowy Rezerwat Archeologiczny i każdy jego szczegół podlega ochronie.

Elipsoidalny pokład podziemny zawiera krzemień bardzo oryginalny — szary, lecz pręgowany ciemniejszymi pasami o rozmaitych odcieniach. Wyrobiona zeń siekierka była może niezbyt cenna jako narzędzie pracy, ponieważ materiał jest dość miękki. Cieszyła jednak oczy ludzkie pięknem swego wyglądu, stanowiła pewnie przedmiot zbytku, była powszechnie pożądana jako dowód zamożności, znaczenia, a może i symbol władzy. W całym dorzeczu Odry i Wisły, w rozmaitych warstwach neolitycznych odnajdują badacze toporki sporządzone z pasiastego krzemienia. Prastare zagłębie górnicze, połączone z działającymi na miejscu punktami obróbki wydobytego surowca a nawet produkcji gotowych fabrykantów, spowodowało rozwój dalekosiężnego handlu, który objął wszystkie regiony dzisiejszej Polski i niektóre kraje przyległe.

Dotychczas bardzo niewiele tu zbadano. Ileż niespodzianek i tajemnic kryją zasypane dziś szyby, podziemne komory oraz długie, rozgałęzione i pogmatwane chodniki. Neolityczny górnik pracował w nich leżąc na grzbiecie. Narzędziem z rogu jeleniego wyłamywał ze stropu buły pasiastego kamienia, ciągnące się poziomymi warstwami. Dopływ powietrza niezbędnego do oddychania zapewniały mu wietrzniki, przebite wprost do szybu.

W październiku 1953 roku nieoczekiwanie odkryto zupełnie nieznaną komorę, która aż dotąd trwała w takim stanie, w jakim ją porzucono cztery tysiące lat temu po wyeksploatowaniu surowca. Po bokach piętrzył się gruz skalny, w innym miejscu widniało palenisko. Odchodząc, pradawni górnicy „zadusili" ogień kamieniami. Na wprost wejścia, na ścianie, oraz na jednym z odłamów skalnych zachowały się rysunki węglem, mające pewnie jakieś znaczenie kultowe, magiczne.

Inżynier Żurowski otarł się tu kiedyś o bardzo rzadkie znalezisko. Właściwie to nawet miał je w ręku, oglądał, zabezpieczył, polecił przechować i gorzko opłakał. Był to tłuk drewniany, cngi służący pewnie do pobijania rogowych ostrzy. Drewniane narzędzie z epoki neolitu, niezła zdobycz!

— Bałem się zostawiać na miejscu, w ciemnym chodniku. A nuż ktoś rozdepcze przez nieuwagę. Było całe pokryte białą pleśnią. Owinąłem starannie mokrymi szmatami, dałem dozorcy do schowania i poszedłem do roboty. Wracam wieczorem i pytam, gdzie to jest. „A o tutaj" — mówi. Wyobraża pan sobie, on to bardzo troskliwie położył na gorącym piecu. Skoczyłem, rozwijam szmaty — a tam garsteczka miękkich trocin!

Trudno, przepadło przez nieświadomość człowieka, a nie wskutek złej woli. Pomocniczy personel wszystkich ekspedycji przeszkala się systematycznie, zmniejszając do minimum możliwość błędów i omyłek. Miejmy nadzieję, że wielokilometrowe podziemne chodniki kryją nie takie jeszcze dziwy, jak ów nieszczęsny tłuk.

Jeśli dane mi będzie zobaczyć je, stanie się to już po napisaniu tego reportażu. Na razie bowiem zawiodło mnie marzenie o natychmiastowym przeniknięciu w bezdrożną głąb kieleckiego matecznika. Pocieszam się myślą, że nie tylko mnie jednego.

W tym samym mniej więcej czasie, kiedy rozmawiałem z inżynierem Żurowskim, to znaczy przed wiosennymi feriami 1954 roku, pewien pracownik

Wydziału Oświaty z Kielc zapragnął dotrzeć do jednej ze szkół w powiecie buskim. W okolice Solca dostał się autobusem i próbował nająć furmankę.

— Co, aż tam? — odrzekł nagabywany gospodarz. — Niech pan inspektor przyjedzie za dwa miesiące. Teraz to szkoda konia mordować.

Szkoły funkcjonują obecnie i w takich miejscowościach, do których dojechać można tylko latem.

Ostatecznie nie warto zanadto biadać nad nieudaną wyprawą do Krzemionek Opatowskich. Wiadomości o nich są koniecznie potrzebne, dowodzą nam przecie, jak stare, jak czcigodne tradycje posiada w naszym kraju górnictwo i przemysł. Ale archeolog, który interesuje się tymi gałęziami dawnej działalności ludzkiej, znajdzie pole do pracy nie tylko nad Kamienną, lecz także w wielu innych punktach województwa.

Wiadomo powszechnie, że nauka zwana archeologią dzieli się na rozmaite odmiany. Istnieje np. archeologia czwartorzędu, badająca najstarsze, setki tysięcy lat liczące wytwory ręki człowieka. Jest archeologia śródziemnomorska, wczesnośredniowieczna. Ale dla naszych krajowych potrzeb należy co rychlej stworzyć jeszcze jedną jej dyscyplinę: archeologię nowożytną.

Ziemia bowiem musi nam opowiedzieć o przebiegu pewnych historycznych procesów, które odbywały się całkiem niedawno, wywierały doniosły wpływ na życie narodu, a wskutek swoistego wypaczenia, spłycenia zainteresowań mniej mu są znane od tajemnic starożytnej Asyrii.

II

Wobec istnej manii podróżowania, jaka ogarnęła po wojnie nasz nieruchliwy dawniej naród, można się spodziewać, że niewielu jest chyba takich, którzy nigdy nie przemierzali trasy Kraków — Warszawa. W danym wypadku chodzi nawet o bardzo krótki jej odcinek.

Kiedy wiozący was pociąg ruszy ze stacyjki o romantycznej nazwie Słowik, a podróżni, którzy za kilka minut zamierzają wysiąść w Kielcach, przepychać się zaczną bliżej ku drzwiom wagonu, rzućcie okiem na krajobraz. Po prawej stronie, tuż za oknami widać będzie najpierw strome i suche zbocze góry, gęsto porosłej sosnami. W porze jesiennej lekkie, poziome smugi żółciejących gałęzi buków jeszcze bardziej wzbogacają jej koloryt. Za chwilę pociąg wtoczy się na płaskie dno bardzo obszernej doliny. Z lewa towarzyszy torom szosa warszawska. Łuk betonowego mostku nad wąskim korytem Bobrzy.

Krawędzie wysokich, lasem pokrytych wzgórz odbiegły daleko, zamykając widnokrąg po obu stronach. Można tu obserwować wszystkie odcienie barw, jakie w zależności od wieku tudzież oddalenia przybierać potrafi sośnina. Więc bielą nasiąkłą zieleń młodniaków i granatowy niemal ton odległych połaci starodrzewia.

Pasmo dziwnych drzew uwieńcza skraj horyzontu po prawej ręce. Bardzo wysokie, sterczą nad lasem jakby nad łąką. O całe kilometry widać ich proste pnie, przypłaszczone szczyty i niebo przeświturające między rzadkimi gałęziami. Wieje od nich posępny urok starości przyrody. — To jodły, najdalsze zachodnie forpoczty Puszczy Świętokrzyskiej.

Jeszcze minuta i wprost przed sobą ujrzycie motyw krajobrazu jakby umyślnie po to skomponowany, by zamknąć widok doliny efektowną klamrą. Będzie to wyniosła góra, gdzie nad ciemnymi koronami sosen czerwienieje dach barokowego kościółka.

Można zazdrościć Kielcom tak pięknych terenów podmiejskich. Wolno marzyć o chwili, kiedy walory ich wyzy-

skane zostaną dla dobra mieszkańców miasta i pobliskich osiedli. Łatwo popaść w rozgoryczenie rozmyślając nad tym, że wszystkie te zbocza i szczyty trwają sobie od stworzenia świata, nie przynosząc ludziom specjalnego pożytku. Łatwo — bo przepadła sama nawet pamięć o tym, iż wcale nie tak dawno temu stanowiły one jedno wielkie „zagłębie".

Barokowa świątynia na Karczówce nie była zwyczajnym wiejskim kościołem parafialnym. W XVII stuleciu wybudowano go dla ludności górniczej, od której wywodzą się dzisiejsi mieszkańcy okolicznych siół.

Kto by się wybrał na wędrówkę po dopiero co opisanych wyżynach, ten bez trudu natrafi w lesie na charakterystyczne zagłębienia o kształcie lejków. Są to pozostałości po szybach górniczych, drążonych ongi w skale. Wydobywano z niej ołów, pracowicie poszukując jego żył. Legenda głosi, że na łysym dziś zupełnie wzgórzu Machnowskim znaleziono przed wiekami trzy bryły ołowiu tak wielkie, że z jednej zrobiona została figura do kościoła na Karczówce, z innych — dla katedry kieleckiej i jeszcze dla jakiejś kolegiaty w województwie.

Cofnijmy się znowu na dno owej płaskiej doliny, którą przed chwilą przejechał nasz pociąg, mijając niewielkie osiedle położone po lewej stronie toru. Nie sprawia ono zbyt imponującego wrażenia. Raczej odwrotnie. Domki tu małe, jedne zupełnie podobne do chat wiejskich, pozbawionych „obejścia", inne żywo przypominają wygląd jakiegoś bardzo zapadłego przedmieścia. Całkiem tak, jakby w tym miejscu spotkały się i wymieszały dwa wyraźnie odrębne, ale wcale nie zanadto świetne porządki budownictwa. Niewtajemniczonemu trudno odgadnąć, że w tej niepowabnej mieścinie — o tam, nieco dalej, za szosą — znajdują się ślady najpiękniejszego może w tej połaci kraju... założenia urbanistycznego.

Od szosy krakowsko-warszawskiej odchodzi tu pod prostym kątem inna, stanowiąca początek drogi do Włoszczowej. Pierwsze paręset metrów bocznica ta biegnie prosto jak strzelił. Ocieniają ją wielkie kasztany, za nimi ciągną się szerokie, ziemne deptaki dla pieszych. Po obu stronach są niskie, parterowe domki w ogródkach. Od razu widać, że nie od jednego zamachu je zbudowano, aczkolwiek pokrewieństwo między nimi jest wyraźne i zbyt wielkiej różnicy wieku być nie może. Cała aleja celuje dokładnie na sam środek szerokiej, ażurowej bramy, za którą widnieje jakiś stary, niewysoki, poprzeczny budynek.

Podobiznę jego, a raczej jego pierwowzoru stojącego dokładnie na tym samym miejscu, oglądałem dzisiaj rano w Kielcach. Była odlana z żeliwa i stanowiła centrum okrągłej plakiety, czegoś w rodzaju dużego medalu pamiątkowego. Zza dachu budowli, niczym na obrazach mistrzów Renesansu, wyłaniały się fragmenty krajobrazu, czyli tych właśnie, przed chwilą opisanych wzgórz podkieleckich. Napis, półkolem biegnący u góry, głosi: „I kruszcom Polski zajaśniało słońce". A niżej: „Huta Alexandra w Białogonach, 1817".

Liczba mnoga w nazwie miejscowości stąd się wzięła, że kiedy w początkach ubiegłego stulecia Stanisław Staszic zakładał tu fabrykę, nastąpiło administracyjne połączenie dwu sąsiadujących ze sobą wiosek: Białogonu i Wąsoszy. Potem jedno z osiedli całkowicie wchłonęło drugie i dzisiaj jest znowu liczba pojedyncza: Białogon.

Staszic założył tę hutę, ale nie myślał o zysku dla siebie. Zakład powstał od razu jako własność państwowa. Okoliczność ta odbiła się wyraźnie na samej istocie planu i wykonania. Wielki budowniczy zatroszczył się o ludzi, którzy

tu mieli pracować. Używając terminologii dzisiejszej — pomyślał o społecznych konsekwencjach powstania dużego warsztatu produkcyjnego. Od placyku przed bramą promienisto i symetrycznie odchodzą cztery prosto wytyczone ulice osiedla, które miały się między sobą łączyć przecznicami. Dzisiaj tylko dwie z nich, stanowiące odcinki szosy na Włoszczową, posiadają rangę prawdziwych arterii komunikacyjnych. Inne nie rozwinęły się, pozostały niebrukowanymi zaułkami, ale samym swoim istnieniem świadczą o dawnym zamyśle.

Wzdłuż ulic stanęły parterowe, dwurodzinne domki dla robotników. Przed każdym niewielki ogródek. Za staszicowskich czasów poszczególna familia otrzymywała ponadto trzy morgi pola pod uprawę. Była również szkoła.

Samej fabryki nie dostrzeże się ani z pociągu, ani z szosy. W dniu 1 września 1939 roku lotnik niemiecki nie zauważył jej również z powietrza. Spikował i wsadził serię bomb w położoną o dwieście metrów dalej garbarnię, która była mała, ale posiadała komin.

Niezbyt wielki teren zajmowany przez hutę obrastają wokół stare dęby, brzozy i olchy.

Główny gmach przebudowany został, a raczej wybudowany całkiem na nowo w roku 1950. Istnieją i inne hale równie świeżej daty. Ale boczne, Staszica pamiętające pawilony są nadal czynne. Gdzieniegdzie zachowało się jeszcze klasycystyczne obramienie drzwi, okna są duże, okrągło zasklepione. Z samego rozplanowania budowli, z ich proporcji, z gospodarki powierzchnią użytkową odczytać się wciąż daje cenna wiedza o umyśle i charakterze twórcy. Te rzeczy budował człowiek głęboko kulturalny, humanista, który wysoce cenił przemysł, ale najdalszy był od zasady produkcji dla produkcji lub samego tylko zysku.

Tam, obok bramy, od stu przeszło lat stoi pod płotem i rdzewieje żelazny postument ozdobiony płaskorzeźbą. Odlano go w tej fabryce wkrótce po zgonie Stanisława Staszica. Podobno w niedługim czasie plan postawienia mu pomnika w Białogonie zostanie zrealizowany. Pora doprawdy. W roku 1955 przypada dwusetna rocznica urodzin wielkiego Polaka.

W samej głębi obszernego warsztatu mechanicznego, doskonale widoczna przez szeroko otwarte drzwi, stoi maszyna nieoglądanego kształtu. Jest to duże, ażurowe, licznymi otworami przeświecające koło żelazne. Od sąsiedniego, także dziwnie wyglądającego warsztatu podszedł robotnik stary, z lekka przygarbiony. Na nosie miał okulary w metalowej oprawie. Chwilę wiercił coś przy transmisjach, nie było specjalnego szumu ani hałasu i nie spostrzegłem nawet, kiedy koło ruszyło.

Majster przystanął obok i przyglądał się w milczeniu. Zamiast sakramentalnego kombinezonu miał na sobie zwykłe ubranie, wyszmelcowane i świecące, ale bardzo schludne. Daszek czapki, narciarki, wyglądał jak spuchnięty i pośrodku lekko się strzępił, ukazując wewnętrzną warstwę tektury. Na białych jak mleko wąsach człowieka widniały dwie ciemne plamy — pewnie właściciel staropolskim obyczajem lubi je podkręcać.

— Ładna maszyna, mocna maszyna — odezwał się nagle. Zdjął okulary i patrzył na mnie z uwagą i życzliwie. — Proszę pomyśleć... tysiąc osiemset siedemnasty rok! To jest tokarka czołowa. Może pan na niej umocować płytę metalu do czterech metrów średnicy, naprzeciwko, o tu, dać nóż i toczyć jak tylko potrzeba. Lubię przy niej robić. I przy tamtych dwóch. One mają też tyle samo lat.

— Pan dawno pewnie pracuje w Białogonie? Podczas drugiej wojny też pan był tutaj?

— Oho! I podczas drugiej, i podczas trzeciej.

— Jak to — trzeciej?

— Bo podczas pierwszej, japońskiej, jeszcze mnie tu nie było.

Adam Kuziemski liczy sobie obecnie lat siedemdziesiąt pięć. Jako piętnastoletni chłopak zaczął pracować w warsztatach metalurgicznych w Warszawie, przy ulicy Złotej. Od tego czasu nie schodzi z roboty.

— W wojsku też byłem przy warsztatach, aż w Azji, jeszcze japońską wojną — mówi dalej. W głosie jego doskonale znać było akcent rodowitego warszawiaka. Ani na chwilę nie odwracał swych niewyblakłych jeszcze, dobrych i szczerych oczu. — Ale na front mnie nie zawołali. Widzi pan, czas był wtedy rewolucyjny. Ja byłem zapisany w Warszawie, a warszawskich robotników do armii, na pozycję, nie brali.

W śmiechu starca brzmiała szczera uciecha, którą wywołało wspomnienie utrapień, jakich przysparzał carowi „niebłagonadiożnyj" przywiślański element robotniczy.

— Nie, dziękuję. Od pięciu lat nie palę. A wódki, proszę wziąć pod uwagę, nie piłem nigdy.

Stare dzieje pamięta Adam Kuziemski. Kiedyśmy gawędzili, przyszło mi raptem do głowy, że Babura z P a m i ą t k i z C e l u l o z y musiał być chyba do niego podobny, tylko pewnie nieco młodszy i tęższy.

Robotnicy w Białogonie potrafią jednak opowiadać i o takich czasach, których już nikt z żyjących nie oglądał. O przekuwaniu kos w roku 1863, o ładunku broni zatopionym nocą w stawie, ot — za tamtym płotem. Zrobione to zostało sprawnie i szybko, zaraz jak tylko agent władz narodowych ostrzegł o zamierzonej rewizji. Kozacy, którzy przygalopowali o świcie, niczego już nie znaleźli. Można dowiedzieć się i o tym, że wojska Mikołaja I, które w roku 1849 maszerowały na Węgry, szły przez Kielce i w ogóle tu obok.

W roku 1826 przybył do Białogonu z Warszawy, od Evansa, kowal Wacław Opel. Później stanął przy tutejszym warsztacie jego syn, Wojciech. Jeszcze później — wnuk, Stanisław. Prawnuka, Kazimierza, mam w tej chwili przed sobą i od niego właśnie dowiaduję się o tradycjach huty i jej załogi.

— Czy ma pan w hucie kolegów, którzy także pracują w Białogonie dziedzicznie?

— Nie. Załoga się zmieniała. Za dawnych czasów tu się często zgłaszali chłopi z wiosek. Praca w fabryce zwalniała od wojska, a wie pan przecie, że wtedy służyło się dwadzieścia pięć lat...

Jadąc do Białogonu wiedziałem, że trzeba będzie odszukać tego człowieka i pogawędzić z nim. Ale wyobrażałem go sobie całkiem inaczej. Kazimierz Opel jest niewielki i szczupły, twarz ma kościstą, ściągłą i bladą. Ubrany w czarną kurtkę, zielone bryczesy i długie buty przypomina raczej zawodowego kawalerzystę, dżokeja niż robotnika.

— A jak było z tymi papierami, co to je pan uratował?

— Jak? Zwyczajnie. I nie tylko ja jeden to robiłem. Na strychu nad głównym budynkiem był ich cały skład aż do wojny. Niemcy, jak tylko przyszli, zaczęli je wywalać na podwórze i palić. A potem, w 1945 roku, jeszcze lepiej. Im na tym zależało — ciągle przecie mówią, że co tylko my z techniki umiemy, to od nich. A tymczasem, jak się okazuje, jest inaczej. No to myśmy po prostu brali, co się dało, i chowali u siebie po mieszkaniach. Wszystkiego nie można było wziąć, w domu i tak ciasno, to się wybierało.

— Według czego?

— Widzi pan, ja to wiem, że od roku 1867 wszystkie pisma już były po rosyjsku. Myślałem sobie, że jeżeli te młodsze zginą, to mniejsza strata — mo-

że gdzie indziej jest zapisane albo ludzie lepiej pamiętają. To się brało te najstarsze, co były po polsku i po niemiecku. Teraz je pan doktor Pazdur do Kielc zabiera. I wie pan, co ja w tych papierach dla siebie znalazłem? Dokument o tym, jak mój pradziadek do Białogonu z Warszawy przyjechał, sto dwadzieścia osiem lat temu.

Owe niemieckie archiwalia posiadają dość ciekawy rodowód. Zakładając fabrykę sprowadził Staszic ekipę angielskich fachowców. Porozumiewano się z nimi w języku Heinego. Jest zresztą w Białogonie inna jeszcze pamiątka po tych Brytyjczykach. Można ją obejrzeć w bocznym, starym budynku. Podłogę jego przecina obwiedziony żelazną balustradą kanał, obsługujący turbinę, a podobny trochę do bystrej rzeczki o gładko wycembrowanych brzegach. Metalowa tablica umieszczona na ścianie głosi:

„John Founs Pace, inżynier Anglik, zginął na stanowisku w roku 1831, urządzając Zakłady Mechaniczne w Białogonie".

Inżynier Józef Skibiński, który w roku 1899 uczcił tą tablicą pamięć cudzoziemskiego kolegi, pomylił się w dacie. Tragiczny wypadek zdarzył się latem 1830 roku.

Zapowiedziane wtedy zostało, że przyjedzie z Warszawy wiceminister Łubieński, który komisyjnie sprawdzi urządzenia. W przeddzień tej wizyty inżynier Pace poszedł sobie wieczorem do warsztatów i puścił w ruch mechanizm. Coś go widocznie nie zadowoliło i chciał dokręcić jakąś śrubkę. Zapomniał, że jest w „cywilnym", wyjściowym garniturze. Koło transmisyjne chwyciło go za połę surduta...

Wielką wartość dla nauki posiadają papiery, które z własnej inicjatywy, z poczucia patriotycznego obowiązku ocalili tutejsi robotnicy. Nikt tych fascykułów dotąd nie wertował, nie zgłębiał ich treści. A jednak nie one tylko stanowią źródło wiedzy o przeszłości tego dziwnego miejsca.

Huta-zabytek! Pomyślana została ongi jako jedna z dźwigni powszechnego krajowego dobrobytu. Pamięta czasy sławnej „rewolucji przemysłowej". Do jej niskich, parterowych murów, do powykrzywianych ze starości dachów przywarło coś z kulturalnej atmosfery epoki, która poprzedziła i moralnie wyprzedziła rabunkowe, żarłoczne „pionierstwo" łódzkich, żyrardowskich i wszelkich innych „rycerzy przemysłu". Niewielki obszar zajmuje, a jednak nie brak miejsca, gdzie sobie można przystanąć, pogawędzić, nikomu nie zawadzając. Jakoś postronny nawet człowiek nie czuje się tu intruzem, który przeszkadza. Budowniczy brał pewnie pod uwagę obecność nie tylko tych, co bezpośrednio obsługują warsztaty. I co krok niemal pamiątki starej, prymitywnej, ale solidnej industrii.

W hali ciemnej, o nierównym, pofałdowanym klepisku, sterczy wielki dźwig drewniany, bardzo przypominający szubienicę, na której z powodzeniem mógłby się powiesić Homerowy Cyklop, Polifem. Grube i czarne bele na pewno utrzymałyby jego ciężar. — Ręczną korbą skraca robotnik zawiły system łańcuchów. Górne ramię dźwigu pomału zmienia położenie — po chwili można już podnieść i przesunąć ciężki wierzch formy, która służy do odlewania kopuł do pieców, w jakich na zapadłej prowincji wypala się wapno.

Tam znów, pod płotem, za którym rosną wysokie olchy i połyskuje woda stawu, porządnie złożona kupa potężnych, ociosanych tramów. Są to krokwie i legary, zdjęte z przerabianego gmachu. Drewno w nich tak zdrowe, że nadaje się jeszcze nie tylko na opał. Kłody długie na jakichś dwadzieścia metrów. Niektóre są podobno jodłowe. U zakończeń wyrobionych na „jaskół-

czy ogon" tkwią gwoździe. Ich pokarbowane na krawędziach łebki wyglądem przypominają otwarte parasolki. Ręczna robota!

Tuż obok leży fragment jakiejś dawno chyba zdemontowanej maszynerii. Żelazna rama z nagwintowanym sworzniem. Jest i niewielkie, zębate kółko.

Brygadzista Bogdan Koziński pochyla się i delikatnie wodzi dłonią po krawędzi.

— O, jakie to ząbki i gwinty! Ładnie odrobione, może nie? To jest na pewno z Sielpi...

Zakłady metalurgiczne w owej Sielpi, która także leży w kieleckim województwie, tylko bardziej na północ, założono również w pierwszej połowie XIX stulecia.

Obok zachodniej ściany skrajnego gmachu znać jeszcze w ziemi dwa łagodne zagłębienia. Dawniej mieściły się tu koła wodne, obsługujące całą maszynerię. Turbina bowiem funkcjonuje dopiero od roku 1908. Kanał, na którego mostku dwie pompy przechodzą w tej chwili próbę, wyparskując spienione fontanny wody, też jest nowy. Tamten starszy ciągnął się jakoś inaczej, już dokładnie nie wiadomo jak.

Z tymi zapomnianymi kanałami to całe zagadnienie. Okazuje się, że istnieją także jakieś podziemne i to wcale liczne. Wystarczyło tylko zapytać o nie robotników. Natychmiast jeden z nich przestał łupać drewno i zaczął opowiadać, jak to w roku 1914 w takim właśnie chodniku ukryto przed Austriakami wszystkie pasy transmisyjne. Wyszedł nawet na podwórze i pokazywał kierunek. Po chwili zbliżył się drugi, zapytał, o co chodzi, i dorzucił garść wiadomości o innych jeszcze zasypanych przejściach. Z informacji wynikało, że jest ich tu chyba cała sieć.

Niedawno temu postanowiono założyć w fabryce łaźnię dla personelu. Trzeba więc było wykopać studnię, obsługiwaną przez motorek elektryczny. Zamiar oblókł się w ciało. Nadprogramowych skutków przedsięwzięcia nie przewidywał nikt. Zresztą i dzisiaj ich nie znamy, posiadając dopiero początkowe, słabe jeszcze zapowiedzi niespodzianki.

Bogdan Koziński odsunął drewnianą pokrywę studni, której zrąb znajduje się niemal na równi z powierzchnią ziemi. Okrągłe lustro wody odbiło blask pogodnego nieba.

— Jak to głęboko mogło być?

— Dwa, może trzy metry — powiada ktoś niepewnie.

— Raz, dwa... — Koziński zabiera się do rzeczy systematycznie. Po prostu zaczyna liczyć kręgi.

— Wody jest ze sześćdziesiąt centymetrów. To znaczy, że to było na głębokości całych czterech metrów.

— Był pan przy tym? Widział?

Zamiast odpowiedzi brygadzista bierze do ręki drzazgę i zaczyna kreślić na glinie geometryczne figury. Najpierw rysuje coś, co żywo przypomina przekrój dziecinnego klocka, takiego mianowicie, który służy za sklepienie „bramy": kwadrat podcięty od dołu półkolistym wyżłobieniem. Potem oglądamy zwyczajne, wydłużone prostokąty.

— To pierwsze to był pewnie dren — powiada, ukończywszy swą czynność. — Jakeśmy tam doszli, we środku drenu płynęła jeszcze woda. Po przebiciu aż trysnęło.

— Dąb?

— Nie, miękkie drzewo. Długie to było, a światła miało dwadzieścia centymetrów. Dąb był potem. O, takie grube i czarne belki. Ociosane. I deski.

Miejsce, na którym wznosi się huta, jest nieco wyniesione ponad tereny bezpośrednio przylegające. Stanowi coś w rodzaju bardzo przypłaszczonego pagórka. Stare gmachy są wyraźnie zagłębione w ziemię, schodzi się do nich w dół. Widocznie niezabudowana powierz-

chnia podniosła się w przeciągu tych stu kilkudziesięciu lat, narosły nowe złoża gruntu. Ale cztery metry to jest grubo poniżej staszicowskiego poziomu! A tam właśnie znaleziono drewnianą rurę kanalizacyjną oraz pokład z dębowego drewna, który, sądząc z opisów, uznać można za podstawę, fundament pod jakieś urządzenie. Nie wiadomo oczywiście, czy wspomniane przedmioty są najniższą warstwą kulturową i może pod spodem jeszcze coś się znajdzie.

— Więc to tutaj będzie się kopać? — zwracam się do naukowca, z którym dziś rano przyjechałem do Białogonu.

— Tak i to jak najszybciej. Termin rozpoczęcia zależy od tego, jak sobie archeologowie rozplanują zajęcia na ten sezon. Oni się do tej roboty nawet palą.

— Spodziewa się pan czegoś ciekawego?

— Poniekąd — uśmiechnął się powściągliwie. — Nie jest wykluczone, że w tym miejscu natrafimy na ślady najstarszego w Polsce hutnictwa metali kolorowych.

— Tu? Na czym właściwie opiera pan swój domysł?

— Na tym, że niezbyt dawno temu odnalazłem dokument z samych początków XVII stulecia, z którego wynikało, że tutaj czynny był pięciopiecowy zakład metalurgiczny. Pięciopiecowy! Inne ówczesne, o których posiadamy wiadomości, np. śląskie, liczyły po dwa, najwyżej po trzy piece. Wolno więc się domyślać, że tak niezwykle wielki zakład nie mógł stanąć o tak sobie, ni stąd, ni zowąd na gołym miejscu. Musiał być chyba rezultatem jakiegoś technicznego doświadczenia, dłuższego rozwoju..

— A, jeśli wolno wiedzieć, gdzie to pan odnalazł ów dokument?

— W archiwum Krakowskiej Kurii Metropolitalnej.

III

Na placyku przed bramą fabryki zatrzymują się autobusy kieleckiego M. P. K. Wozu jeszcze nie ma, więc zaczynamy spacerować wygodnym deptakiem, wzdłuż głównej arterii Białogonu. Po obu stronach, w głębi ogródków, domki. Jedne pamiętają samego Staszica, inne są nieco późniejsze, bo powstawały kolejno przed rokiem 1840. Tam, nieco dalej, zachowała się do dzisiaj chałupka z dwoma drewnianymi kominami.

Z przecznic dmucha dokuczliwy wiatr północny. Jakoś w tym roku wiosna nie może się rozpocząć. Aleja wielkich kasztanów czarna jest, jakby to był luty. Nawet pąki jeszcze nie nabrzmiały.

Ongi, sto dwadzieścia kilka lat temu, również i Kielce, tak dziś ubogie w zieleń, zostały pięknie „zadrzewione". Tereny podmiejskie, aż po teraźniejszy dworzec, miały się stać wielkim parkiem. Ze wspaniałości tych zachowała się, i to w stanie mocno poszczerbionym, aleja na Karczówkę, ta sama, w której pewnej nocy zimowej schwytany został ks. Ściegienny.

Gwiaździste założenie urbanistyczne, którego wyraźne ślady podziwiać możemy w Białogonie, przewidziane było i dla Kielc. Punktem centralnym miały się stać zaniedbane obecnie i mało ciekawe okolice ulicy św. Leonarda.

Informacji tych udziela mi kroczący obok dr Jan Pazdur. Kilka godzin temu oderwałem go od pisania i namówiłem na wyprawę, wiedząc, że lepszego przewodnika nigdzie nie znajdę. Jest to człowiek w sile wieku, a nawet — jak na uczonego — całkiem jeszcze młody. Sądząc z pozorów można by go wziąć nie za historyka, tylko np. za inżyniera. Mundur oficera marynarki też by pewnie dobrze na nim leżał. Dość wysoki, prosto się trzymający,

spokojny i bardzo opanowany, w swoim nieprzemakalnym płaszczu i „cyklistówce" przypomina tzw. „rasowego" sportowca z przedwojennych ilustracji. Widocznie nie wszyscy szperacze po archiwach popadają w profesjonalne dziwactwa.

— Okres okupacji także pan w Kielcach spędził?

— No, nie całkiem. Od jesieni 1939 roku aż do samego końca przebywałem w Sachsenhausen.

— Cóż pan takiego zmalował, że tak od razu?

— Figurowałem na spisach. Im chodziło o pewne moje przedwojenne odczyty. Powróciłem do Kielc w 1945 roku i z miejsca zabrałem się do tej samej roboty, którą i teraz prowadzę. Dzieje gospodarki zawsze mnie interesowały, ale w przeciągu tamtych lat podziałał dodatkowy bodziec. Wie pan, ja w lagrze pracowałem przy warsztatach.

Roześmieliśmy się. Teoria odruchów warunkowych jest widocznie o wiele bardziej skomplikowana, niż zwykle myślimy. W danym wypadku należało raczej oczekiwać zahamowania, odrazy do wszystkiego, co tylko trąci metalurgią. Stało się inaczej.

Obecnie dr Pazdur prowadzi badania naukowe, działając z ramienia Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN. Miejscem jego zamieszkania oraz bazą operacyjną są Kielce, która to okoliczność wcale nie jest bez znaczenia, a nawet wprost odwrotnie.

W dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej wytworzyła się swoista regionalizacja gospodarcza. Była oczywiście bezplanowa, spontaniczna, zależna od przyrodniczego charakteru kraju, grała jednak bardzo istotną rolę. Mogłaby odegrać większą, gdyby nie bezsilność władzy królewskiej i obszarnicza struktura państwa, które to okoliczności nie pozwoliły tym regionom zrosnąć się w logiczną, gospodarczo mocną całość.

Tak więc Wielkopolska przodowała w eksporcie zboża, Ukraina zaś, Wołyń i Podole — w dziedzinie gospdarki hodowlanej. Północny wschód obszaru państwowego dostarczał produktów leśnych. Część historycznej Małopolski wraz z województwem sieradzkim i Śląskiem rozwijały górnictwo i hutnictwo. W tym ostanim regionie szczególnie wyróżniał się Staropolski Okrąg Przemysłowy, czyli kraj położony pomiędzy Wisłą, Nidą i Pilicą.

W dawnej Polsce wszelkie rekordy zacofania biło województwo bracławskie, sandomierskie zaś reprezentowało samą czołówkę ekonomicznego postępu.

Staropolski Okrąg Przemysłowy znajduje się dzisiaj w granicach województwa kieleckiego.

Jego tradycje sięgają czasów starszej epoki kamiennej, ale zbadanie stosunkowo niedawnej nawet przeszłości wymaga współpracy archeologów. Tak bowiem dokładnie niektóre rzeczy u nas zostały zapomniane.

A zdarza się niekiedy, że problematyka w postaci rzeczy całkiem namacalnych leży na samym wierzchu.

Niedawno temu pewien wiejski gospodarz pod Chybicami postanowił ogrodzić swoje obejście. Zamiar chwalebny, ale nie będący niczym nadzwyczajnym. Na uwagę zasługuje tylko metoda jego realizacji. Zamiast starać się o przydział drogiego drewna zebrał chłop to, co dotychczas bezużytecznie poniewierało się po polach, przeszkadzając w uprawie. Wokół jego zagrody stanął murek zrobiony z bryl szlaki żelaznej. Każda z nich waży około cetnara.

W Kielecczyźnie tyle jest starego żużla, że w okresie „dwudziestolecia" Zakłady Starachowickie zaczęły go eksploatować i przetopiły dwadzieścia tysięcy ton. Wczesnośredniowieczne metody hutnicze dalekie bowiem były od doskonałości i w żużlu pozostawało do 60 procent żelaza.

My, którzyśmy szkoły średnie pokończyli przed wojną, słyszeliśmy, że na przełomie XVIII i XIX wieku dokonała się „rewolucja przemysłowa", spowodowana wynalazkiem maszyny parowej. To, co było przedtem, wyglądało w naszych oczach... — przepraszam — raczej wcale nie wyglądało, bośmy po prostu o niczym nie wiedzieli. Można było sobie najwyżej wyobrażać tysiąclecia trwający bezruch i prymityw. A tymczasem dawne epoki też znały wielkie przewroty techniczne, które zaraz wpływały na strukturę społeczną, dzieje kultury i polityki.

I w Staropolskim Okręgu, i w całym kraju nie brakuje osiedli o oryginalnej nazwie: Piekło. Tu, w Kielecczyźnie, są Piekła koło Miedzianej Góry, w okolicach Suchedniowa, Chęcin, Sielpi a także i gdzie indziej. Warto zainteresować się i zbadać, czy jakie bezludne okolice, uroczyska i nieużytki też czasem nie noszą tego miana, które stanowi jedyny już dzisiaj ślad po starodawnych ośrodkach hutniczych.

Termin, o którym tak wiele zawsze mają kaznodzieje do powiedzenia, nazwę otchłani potępienia przeniósł przekorny ludek na takie miejsca, co buchały ogniem i żarem, smoliły okolicę dymem i zaśmiecały szlaką. Wolno chyba przypuszczać, że początkowo działo się to na kpiny, na złość hutnikom.

Dwa lata temu, niedaleko na wschód od Nowej Huty, wykryto szczątki pieców, w których na samym początku naszej ery pławiono żelazo. Zgrupowane były w zwarty kompleks. Górne ich otwory widniały gęsto, co kilkadziesiąt centymetrów. W nocy nad tym terenem musiała płonąć łuna.

Piece z okolic Nowej Huty, czyli tzw. dymarki, zaliczają się do okresu techniki jamowej. Dół, podobny w przekroju do dzisiejszej retorty chemicznej o zaokrąglonym spodzie, dobrze po bokach wylepiony gliną, wypełniany bywał warstwami rudy i paliwa. Z boku robiło się otwór, którędy wtłaczano powietrze. Dokonywano tego przy pomocy ręcznego lub nożnego miecha. W sprzyjających okolicznościach, jak np. na szczycie Ślęży, gdzie też kwitło ongi hutnictwo, można było liczyć na podmuchy wiatru.

Technika jamowa stanowiła ogromny postęp w porównaniu z epoką jeszcze dawniejszą, kiedy to na prymitywnych stosach otrzymywano produkt kowalny w postaci gąbczastej masy zmieszanej z żużlem. Najsłabszą stroną tej techniki był system wtłaczania powietrza. Jakość wytopu zależy przecież od „dmuchu". Robotnik przy miechu umęczył się, nie mógł pracować równomiernie, a co się tyczy wiatru — i dziś jeszcze nie potrafimy namówić przyrody, by wiało akurat w tym kierunku i wtedy, kiedy potrzeba.

Z czasem człowiek zmechanizował dymarkę. Postawił koło wodne, które obsługiwało miechy. Dzięki temu mógł budować większe piece i zapewnić sobie wysokoprocentowy wytop.

Pod koniec XIII stulecia funkcjonował w iłżeckim zakład posiadający aż trzy koła wodne. Jedno przeznaczone było dla dymarki, drugie uruchomiało młot, a trzecie — miech rozgrzewający ognisko kowalskie. Był to już zatem warsztat rozwinięty, mocno zaawansowany.

W Westfalii zmechanizowane dymarki działały w wieku XII. Z zestawienia dat wynikać się zdaje wniosek sprzyjający starym i niedobrym teoriom, że postęp gospodarczy na naszych ziemiach zapoczątkowała kolonizacja niemiecka.

Badacze czescy stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że w Bańskiej Bystrzycy zmechanizowana dymarka istniała jeszcze wcześniej, w stuleciu XI. Gdzie dokonano wynalazku, kto się od kogo nauczył? Problem stoi otworem — ziemie czeskie, słowackie i polskie od

niepamiętnych czasów pozostawały we wzajemnych stosunkach i obopólnym oddziaływaniu. Trzeba badać i szukać. Dzisiejszy stan wiedzy jedno na pewno osiągnął: unicestwił wszelkie sądy powzięte *a priori* i rozdmuchiwane przez szowinizm.

Udoskonalona dymarka musiała potężnie oddziaływać na całokształt życia w kraju. Cóż dopiero, kiedy na przełomie XV i XVI wieku ustąpiła ona miejsca tak zwanej kuźnicy, czyli zakładowi, który jednoczył wszystkie hutnicze, walcownicze i warsztatowe procesy technologiczne! Taka fabryka od razu stanęła w sprzeczności z dawnymi, średniowiecznymi metodami organizacji wytwórczości. Mogła się przecież rozwijać tylko tam, gdzie istniały warunki naturalne, to znaczy rudy, woda i las na opał, a nie tam, gdzie to przewidywał przywilej feudała. Zmuszała ponadto do wolnego najmu sił roboczych, od których wymagało się mniejszych kwalifikacji niż od majstra cechowego. O swobodę prowadzenia zakładów ubiegali się ci, co posiadali kapitał. Jakoż zaraz zaczęli oni uzyskiwać koncesje od właścicieli obszarów rudonośnych, magnatów duchownych i świeckich, którzy w roku 1576 wymogli na Stefanie I zrzeczenie się królewskiego prawa do wnętrza ziemi.

Przedsiębiorca, który nie posiada gruntu, nie może uposażać nim pracowników i nie wymaga od nich żadnych powinności pańszczyźnianych. Załogę kuźnicy rekrutuje na zasadach najmu, spośród ludności nic przeważnie na własność nie mającej, ale wolnej, nie przykutej do roli, nie podlegającej zwierzchnictwu dziedzica.

Zaczyna u nas kiełkować kapitalizm, forma naówczas bardzo postępowa. Już w przeciągu XVI wieku w Staropolskim Okręgu powstaje około pięćdziesięciu osiedli zamieszkałych przez swobodnych robotników, proletariuszy.

Dziedzina historii uprawiana przez dr Pazdura — któremu zawdzięczam wszystkie te informacje — znakomicie uczy metody myślenia i badania dziejów. Nie ma w niej faktów izolowanych, samych dla siebie. To nie oznacza, oczywiście, uznania jakiegoś determinizmu. Tylko — cokolwiek się zdarzy w zakresie sił wytwórczych, stosunków społecznych albo nadbudowy, zaraz zaczyna wywierać wszechstronny, wielokierunkowy wpływ.

Kuźnice i skupione przy nich osady robotnicze znalazły się w kraju ugruntowanej, rozwiniętej i okrzepłej pańszczyzny. Powinności ówczesnego chłopa w Staropolskim Okręgu były wręcz olbrzymie. Wieśniak posiadający gospodarstwo musiał latem odrobić osiem dniówek sprzężajnych tygodniowo, w zimie sześć. Jeżeli zdarzyło się uroczyste święto, stratę poniesioną przez dziedzica należało obowiązkowo powetować w niedzielę darmowym transportem. Po obliczeniu wszystkiego okaże się, że chłop musiał co dzień wysłać do dworu jeden zaprząg wraz z człowiekiem oczywiście.

Drugi zaprząg musiał bez przerwy pracować dla nastarczenia reszcie obciążeń. Pomimo to gospodarka była opłacalna, przeszło czterdzieści procent ludności wiejskiej cieszyło się nawet pewnym dobrobytem. Zdarzały się gospodarstwa chłopskie na skalę folwarczną.

Zagadkę tę wyjaśnia przede wszystkim fakt istnienia i funkcjonowania kuźnic. Najważniejsze, ściśle przetwórcze funkcje spełniali w nich wolni robotnicy. Natomiast do transportu, przygotowywania opału, wydobywania rudy, pompowania wody powoływany bywał z reguły chłop, który robił to wszystko czasem w ramach obowiązków pańszczyźnianych, często jednak za zapłatą, jako najemnik. Każda kuźnica zatrudniała pewną ilość stałych robotników

oraz trzy razy więcej chłopów. Z generalnego podsumowania wynika, że około jednej trzeciej kapitału obrotowego tych fabryk przenikało na wieś.

Taki stan rzeczy nie martwił zbytnio dworów, które obficie korzystały ze stosunkowej zamożności chłopa. „Goły rozboju się nie boi", ale i łupieżca nie będzie miał z niego zbytniej pociechy.

Inna za to okoliczność niepokoiła szlachtę bardzo. Hutnicze osiedla nie mieściły się w strukturze feudalnej. Ich mieszkańcy nie podlegali władzy i sądownictwu dziedziców, nie byli „osiadli". Gorzej jeszcze — dawali fatalny przykład chłopu. Kontakt z ludnością wolną wyrywał go z poddańczego zastoju, uczył myśleć.

Konflikt dojrzewał. Pomimo to aż do połowy XVII stulecia Staropolski Okrąg przodował, poziomem swego uprzemysłowienia zdecydowanie górując nad Śląskiem.

Porzućmy na chwilę wspominki o dawnych dziejach i powróćmy do współczesności. Ów Okrąg to przecież dzisiejsza Kielecczyzna, kraj całkiem już wyjątkowo zacofany. Ważniejsze linie kolejowe można tu bez trudu policzyć na palcach jednej ręki. Od magistrali Kraków — Warszawa odbiega w kierunku wschodnim jedna bocznica na Sandomierz i drugą, dwa lata temu dopiero oddana do użytku, na Busko. Wszędzie indziej ku Wiśle rozciąga się jedno wielkie, straszne, wszelki postęp hamujące bezdroże. W zachodniej połaci województwa wcale nie jest lepiej. Od Wolbromia aż po Koniecpol można sobie przejechać z osiemdziesiąt kilometrów w linii prostej, nigdzie nie przekraczając toru kolejowego.

A krajobraz Śląska pamiętacie? No, nie istnieją powody do zbytnich zachwytów nad bezplanową koncentracją przemysłu, dokonaną w epoce rabunkowego kapitalizmu, ale przecież to jest teren uzbrojony. Nie brakuje tu kolei, szos a nawet dalekobieżnych tramwajów. Wolno przypuszczać, że przedstawiciel Wydziału Oświaty Rady Narodowej w Stalinogrodzie dostanie się do każdej szkoły w województwie, kiedy tylko zechce. Nie będzie musiał czekać, aż nastanie sucha pora roku. To samo w opolskim i wrocławskim.

A mizernych trzysta lat temu region Klerykowa tudzież Pyrzogłowów zdecydowanie górował nad Śląskiem.

Co spowodowało tak smutną, szybką i gruntowną metamorfozę? Wytłumaczenie zjawiska mieści się bez reszty w tradycyjnej nazwie dawnego państwa polskiego: Rzeczpospolita szlachecka. Panujące w niej prawo magnata i posesjonata umocniło się ostatecznie w tych samych czasach, kiedy na bezludnych a leśnych obszarach wyrastały kuźnice. Jakże miał się ostać reprezentowany przez nie młody porządek kapitalistyczny, kiedy sam koronowany monarcha uległ, po niewoli oddał smętne resztki władzy, jakby na pośmiewisko zachowując z wszelkiej treści wyprany tytuł: „My, z Bożej łaski..."!

„Niechaj każdy szlachcic w swojej włości *absolutus dominus* będzie" — gardłował po kraju Diabeł Stadnicki. Kuźnice i zgrupowane wokół nich osiedla wolnych robotników leżały przeważnie na obszarach magnackich dominiów. Powracająca fala wzmocnionego po unii z Litwą a zdegenerowanego już feudalizmu zalała wszystko. Utonęły w niej nie tylko nowe, lepsze formy gospodarowania, ale sama nawet przyszłość państwa. Niezbyt wiele upłynęło czasu, a mieszkańcy swobodnych dawniej osad zrównani zostali z chałupnikami ze wsi rolniczych. Stali się „osiadli". Znaczy to, że nie mogli już przenosić się, gdzie wola, i musieli odrabiać pańszczyznę, chociażby w wymiarze jednego dnia na tydzień. Chłopi nadal obsługiwali fabryki, czynili to

jednak bez osobnej zapłaty, spełniając poddańczy obowiązek. Wieśniakom z włości biskupa krakowskiego, którzy dostarczali opału do suchedniowskich i samsonowskich kuźnic, przybyło w ten sposób dwadzieścia trzy tysiące pięćset dniówek rocznie — do odpracowania za darmo. Skończyły się zarobki — ogromnie wzrosły obciążenia. W drugiej połowie XVII stulecia dla wsi Staropolskiego Okręgu nastał czas nędzy.

Prywatni przedsiębiorcy, kuźniacy, musieli się pożegnać ze swoim dziełem. Właściciele gruntów przestali odnawiać koncesje albo wykupywali je. To były jeszcze najbardziej delikatne metody. Znane są jednak i wypadki brutalnego wypędzania.

Magnaci dalej prowadzili fabryki, ale już jako gałąź gospodarki folwarcznej. Nie myśleli ich zamykać i likwidować, bo przecież nikt przytomny nie zarzyna kury niosącej złote jaja. Wspomniane już suchedniowskie i samsonowskie zakłady przynosiły biskupom krakowskim ponad sto dwadzieścia trzy tysiące złotych czystego dochodu rocznie. Stare systemy monetarne poszły w zapomnienie i najbardziej astronomiczna liczba nie wywiera dziś wrażenia. Lepiej więc będzie powiedzieć, że wymieniona suma wystarczyłaby na utrzymanie tysiąca rodzin chłopskich w przeciągu roku.

Nie było obojętne, w czyim ręku, feudałów czy kapitalistów, skupiały się naówczas bogactwa. Obszarnik je po prostu przejadał, nie inwestował, nie rozwijał dalej wytwórczości. Złotodajne fabryki utrzymywał, ale jak tylko przytrafiły się trudności, trzeba było łożyć pieniądze i ryzykować — cofał się, bał się nakładów, pozwalał przedsiębiorstwom marnieć. Jedyne, co po nim pozytywnego czasem pozostało, to rzeczy takie, jak ten widoczny i od strony Białogonu kielecki zamek biskupi, świetne dzieło sztuki architektonicznej, zdobne znakomitymi tworami malarstwa i rzeźby. Tak, ale kraje, które nie padły ofiarą feudalnej regresji, szczycą się zabytkami nie mniej wspaniałymi, a oprócz tego wcześnie zdołały rozwinąć wytwórczość, posunąć naprzód ustrój społeczny i ucywilizować się gruntownie.

„Potop" wojenny, który w połowie XVII wieku zalał kraj, nie tylko nie oszczędził Staropolskiego Okręgu, ale nawet zrujnował go dotkliwie. Karol Gustaw, który spierał się z polskimi monarchami o pięknie brzmiący tytuł „dziedzicznego króla Szwedów, Gotów i Wandalów", niszczył co prawda tylko przemysł wojenny, innych fabryk nie ruszał. Nie miał powodów — magnaci przeszli przecież na jego stronę. Za to Węgrzy Rakoczego wszystko równali z ziemią. Upusty „potopu" otwarły się jednak nie z powodu takich czy innych tytułów, ambicji i osobistych uraz. Kraj uległ najazdowi, ponieważ poprzednio ci sami, którzy przepędzali precz kuźniaków i zmuszali robotników do pańszczyzny, zniszczyli jego siłę obronną i uczynili go łatwym łupem dla rabunkowej potęgi szwedzkiej.

W sto przeszło lat później magnaci polscy ze wzmożonym zapałem zabrali się do działania na tzw. „niwie" przemysłu. Nie wszyscy traktowali tę sprawę jednakowo. Nie brakowało takich, którym zakładanie „manufaktur" wydawało się efektownym „uzupełnieniem francuskiego modelu dworaka przedrewolucyjnego w Polsce, któremu oprócz języka, peruki, fraka, pończoch i lekkich obyczajów potrzebne były jeszcze do kompletu wytwórnie karet, fajansów itp." Inni wszelako zabierali się do rzeczy gruntownie.

Najwspanialszym jednakże dziełem, zrodzonym z ducha Oświecenia jest to wszystko, co zbudował Stanisław Staszic.

Huta w Białogonie stanęła, jak wiemy, na tym samym miejscu, gdzie dawniej

wznosiły się fabryki należące do biskupa krakowskiego i — w pewnym sensie — kontynuowała ich tradycję, miała bowiem przerabiać miedź. Umiejętności techniczne były jednak wtedy zbyt mizerne, by się uporać z trudnościami, jakie stwarzała rudonośna Miedziana Góra, położona na północ od Kielc.

Jest tam obok niej zapadlisko po starej sztolni, długie na całych siedemset pięćdziesiąt metrów. Można je podziwiać — podobnie jak i wielkie hałdy usypane przez dawnych górników — ale nikt do dzisiejszego dnia nie wie, co to była za sztolnia, kto i kiedy ją wyrył. Trójpokładowa kopalnia za dni Staszica dawała mało surowca. W głębi góry raz po raz natykano się na zapuszczone, z niewiadomych czasów pochodzące chodniki. Praca była trudna, niebezpieczna i mało wydajna. Maszyna parowa, która miała obsługiwać pompy odwadniające, ustawiona została w roku 1823 właśnie nad takim nieznanym podkopem i zapadła się.

Huta w Białogonie zaczęła więc przerabiać rudy ołowiu. Metal ten posiada u nas także czcigodne tradycje. W XIV stuleciu zakon cystersów przeprowadzał generalny remont swoich kościołów, dachy ich kryjąc ołowianą blachą, która na pewno pochodziła z krajowej produkcji.

Ostatecznie minister Lubecki przekształcił Białogon na warsztaty mechaniczne, odlewnię i walcownię żelaza. Zakład postawiony na najlepszym podówczas poziomie technicznym produkował maszyny parowe, kotły, wały, koła transmisyjne, walce. Wypuszczał też w świat kompletne wyposażenia dla hut, cukrowni, gorzelni, papierni oraz fabryk włókienniczych. Tu, w Białogonie, „meblował" się Geyer z Łodzi, a także Żyrardów, Starachowice i Ostrowiec. Działało czterdzieści mechanicznych obrabiarek, z których trzy do dni naszych nie zeszły z pola. Tokarka czołowa, ulubiona maszyna majstra Kuziemskiego, tak wygląda, jakby wcale jeszcze nie wybierała się na emeryturę.

W odlewni powstawały części maszyn i koła zamachowe, dzwony kościelne, galanteria żelazna, pomniki — w tej liczbie popiersie Staszica, Lubeckiego, generała Zajączka.

Aż do połowy XIX stulecia Białogon pracował na wielkim gazie i ciągle zaliczał się do przemysłowej czołówki. Zdegradowało go zbyt uporczywe trzymanie się starej techniki. Za paliwo ciągle służył węgiel drzewny. Tymczasem inne kraje, za przykładem Anglii, która wcześnie wyeksploatowała u siebie lasy, przechodziły na stosowanie węgla kamiennego i koksu. Pierwszy na ziemiach polskich nowoczesny piec stanął w Gliwicach w wieku XVIII.

Raz jeszcze przeżytki feudalizmu, dochowujące ojczyźnie naszej fatalnej, zaiste, wierności, miały bardzo niedobrze wpłynąć na dzieje polskiego przemysłu. Sto lat temu, akurat podobnie jak w wieku XVI i XVII, prace ściśle fabryczne spełniał wolny robotnik, wszystko zaś inne, a więc przygotowanie opału, transport itp. *antiquo more* załatwiał pańszczyźniany chłop. Nawet zacofana Austria zdążyła już znieść u siebie poddaństwo — nasi statyści ziemiańskiego pochodzenia wciąż nazywali uwłaszczenie „potwornym płodem w boleściach i mękach społeczeństwa na jaw się wynurzającym". Czynili to jeszcze w czasach, które nieźle zapewne pamiętał nestor sceny polskiej, Ludwik Solski.

Modernizacja fabryk nie opłacała się, skoro darmowa praca pańszczyźnianego chłopa zapewniała archaicznym nawet wytwórniom wysokie zyski.

Wielki przewrót lat sześćdziesiątych — rewolta chłopska 1861 roku i Powstanie Styczniowe — za jednym zamachem wyrwał spod nóg fabrykantów ten aż nazbyt zmurszały grunt. Pierwszym, ciężkim, ale nieuniknionym na-

stępstwem były wstrząs i kryzys. Potem nastąpiła nareszcie modernizacja, ułatwiona przez budowę kolei, które udostępniły hutom tutejszym węgiel Zagłębia. Linia z Dąbrowy do Dęblina, wiodąca przez Tunel i Kielce, powstała w roku 1885.

W roku 1898 rząd carski sprzedał Białogon w prywatne ręce. W roku 1945 stare obrabiarki staszicowskie powróciły do funkcji, którą im przeznaczył ich nabywca.

IV

Spacerujemy już ładny kawał czasu, zdążyliśmy omówić wiele spraw dotyczących starego przemysłu, autobusu zaś jak nie było, tak nie ma. Pod kasztanami, w miejscach osłonecznionych i zasłoniętych od wiatru, zaczynają się gromadzić ludzie z walizkami i pakunkami. Dowiadujemy się od nich, że to nie autobus się spóźnia, tylko myśmy przyszli w parę minut po punktualnym odjeździe poprzedniego. Trzeba jeszcze trochę poczekać.

Znowu więc kroczymy w kierunku ażurowej bramy fabrycznej.

— No i niech pan powie — przerywa milczenie dr Pazdur — Jak nas uczyli? Wspominałem już, że historia gospodarki zawsze mnie interesowała, lubiłem się też włóczyć. Ile razy przed wojną bywałem tu w tym Białogonie i nawet mi do głowy nie przyszło... Co mnie, historyka, mogła obchodzić jakaś tam fabryka!

A tymczasem na strychu jej głównego budynku leżało pokryte kurzem, przez nikogo nie badane archiwum. Gdyby nie patriotyzm i odważna inicjatywa robotników, nie ocalałoby nic z zawartej w nim wiedzy.

— A w czym się pan doktoryzował?

— Historia polityczna. Sejmy z 1661 i 1662 roku, wie pan, te pierwsze po „potopie". Bardzo ciekawa rzecz, ale zawsze nie to... Nie było okazji do gruntownego poświęcenia się temu, co teraz robię.

Nie mam zamiaru lekceważyć uczonych, którzy dawniej zajmowali się gospodarczym podglebiem dziejów. Bez ich pracy historiografia polska wyglądałaby o wiele mizerniej, zubożyłaby się o dzieła tak cenne, jak chociażby pomnikowe Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta Tadeusza Korzona oraz inne. Faktem jest jednak, że grono tych specjalistów nigdy nie było zanadto liczne, a możliwości pracy miewało mniej niż skromne. Korzon nie mógł całego swego czasu poświęcić dochodzeniom naukowym, bo musiał przecież z czegoś żyć. Udzielał więc lekcji panienkom z dobrych domów. I to także nie może podlegać wątpieniu, że w historycznej świadomości narodu wytworzyło się szczególne zwężenie i spłycenie pojęć. Gotowi byliśmy wdawać się w najbardziej szczegółowe i subtelne rozważania na temat tej czy innej epoki naszej przeszłości. Braliśmy przy tym pod uwagę wszelkie fakty z zakresu dyplomacji, polityki, kultury duchowej, ustroju społecznego. Niektórzy nie pomijali nawet rzeczy tak trudno sprawdzalnych, jak tzw. misje dziejowe oraz bezpośrednie interwencje Opatrzności. Jedno tylko ciągle wykazywało tendencje do kompletnego znikania z pola widzenia: stan sił wytwórczych.

Jak tylko kto wspomni o Złotym Wieku Zygmuntowskim, zaraz przychodzi nam na myśl wspaniały rozkwit kultury narodowej w dobie Odrodzenia. Ogólnikowo przynajmniej wiemy o takich rzeczach, jak wysoki poziom myśli politycznej i strategicznej w Polsce ówczesnej, żywy ruch umysłowy i społeczny, rozwój architektury, malarstwa, rzeźby, literatury, ruchliwość handlu. Słyszeliśmy nawet o budowie kunsztownego mostu na Wiśle pod Warszawą albo też o pokryciu gmachów wawel-

skich miedzianą blachą. Tylko nie przychodziło nam jakoś na myśl zapytać, skąd się wziął metal potrzebny na okucia mostowe, na ową blachę, na zbroję działa dla świetnych wojsk hetmana Tarnowskiego, na handel ze wschodem zachodem. Gdzieś tam bardzo głęboko, „pod falami historii" zaległo i znikło samo nawet wspomnienie o bujnym rozkwicie kuźnic w Staropolskim Okręgu Przemysłowym. A przecież kiełkowanie nowych, doskonalszych form, ich zwycięska początkowo walka ze starym jak nic może innego świadczy, że zjawisko dziejowe zwane Odrodzeniem nie było żadnym importem przywiezionym z zagranicznych wojażów, tylko procesem najrdzenniej rodzimym, własnym, gruntownie na ziemi polskiej zakotwiczonym z niej samej wyrosłym.

Okazuje się, że Karol Gustaw w stuleciu XVII niszczył u nas przemysł wojenny. Czy wyobrażaliśmy sobie, że Polska w czasach T r y l o g i i to nie tylko magnat na zamku, ksiądz na plebanii i szlachcic we dworze — nie tylko jeszcze chłop na wsi i kupiec w mieście — ale także przemysł? I to wyspecjalizowany, cywilny i wojenny? A skoro przemysł — to także robotnicy i przedsiębiorcy.

Po cóż zresztą mamy się oddalać od tematu gołym okiem widocznego? Jeszcze archeologowie nie rozkopali Biało-gonu, nie wiemy, co tu trzysta kilkadziesiąt lat temu posiadał książę biskup krakowski. Patrzmy na okazałe gmachy Staszicowskie, które nie są przecież zrobione ze szkła, tylko z masywnej cegły wskutek tego bardzo łatwo zauważyć ich istnienie.

Niedawno temu przeglądałem pewne klasyczne dzieło polskiej historiografii, odnoszące się do epoki Oświecenia. Egzemplarz, który miałem w ręku, pochodził z nowego wydania, z roku 1949. W przypisach figurowała dość obszerna wzmianka o Staszicu i jego działalności. „Był jednym z gorliwszych propagatorów — napisano tam — politycznych i społecznych reform w kierunku podźwignięcia oświaty, tolerancji religijnej, zmian w prawodawstwie, podniesienia życia gospodarczego i radykalnych posunięć w socjalnym położeniu chłopów, mieszczan i Żydów... Oprócz działalności naukowej poświęcił się pracy filantropijnej pojętej w duchu Oświecenia: fundował szkoły elementarne dla dzieci włościańskich, przeznaczał sumy na stypendia dla bardziej uzdolnionych a ubogich, a przede wszystkim stworzył w zakupionym przez siebie kluczu hrubieszowskim (sam Staszic był mieszczańskiego pochodzenia) Towarzystwo Rolnicze. Uwolniwszy od pańszczyzny chłopów zorganizował ich w rodzaj samorządu chłopskiego na zasadzie samowystarczalności gospodarczej i autonomii ustrojowej". Ani słowa o tym, że Staszic nie tylko propagował, ale sam bezpośrednio zakładał najbardziej nowoczesne fabryki będące własnością państwa, że wybudował nie tylko Biołogon, lecz także Starachowice i inne warsztaty. Zupełnie jakby sprawy przemysłu nie wchodziły w zakres zainteresowań historii.

Od kilku już lat archeologowie i dziejopisarze opowiadają nam coraz więcej ciekawych rzeczy o pradawnych polskich industriach. Czasami nawet nie poprzestają na samych tylko słownych relacjach, lecz podsuwają pod oczy rozmaite przedmioty wygrzebane z jam i odkrywek. Ilekroć trafi się tam sztylet, miecz albo motyka czy radło — zaczyna łatwo pracować wyobraźnia. Całkiem tak, jakby znajdowała się na gładkim, dobrze przetartym a nawet zaopatrzonym we wszelki komfort torze. Kmieć i wojownik — jacyż to dobrzy znajomi! Zawieraliśmy przyjaźń i z postaciami ze S t a r e j b a ś n i, i z tymi, których wcześniej obdarzyli życiem romantycy, i z ludźmi Sienkiewi-

cza, i tak dalej, i tak dalej aż do dni naszych.

Ilekroć wykopane gdzieś zostaną szczątki osiedla mieszkalnego czy obronnego, jakieś ulice wymoszczone dranicami albo resztki wałów, tylekroć ewentualny reporter ma gotowy schemat obrazowania:

Odziani w len chłopi zamaszyście waląc siekierami rąbią las, dozorca pokrzykuje na nich gniewnie. Ociekające żywicą pnie przywleczone zostały na miejsce. Teraz gromada zabiera się do układania wału. Plastyczne malowidło gotowe. Czasami tylko zjadliwy fachowiec powie, rzuciwszy na nie okiem, że pewne szczegóły zostały nieco uproszczone. To tylko dzisiejszym stalowym toporem nawet niedźwiedź mógłby obracać. Wczesnośredniowieczna siekierka miała ostrze krótkie i sporządzona była ze słabego metalu. Ten, kto kładł nią lasy, musiał liczyć nie tyle na siłę ramion, ile na umiejętność posługiwania się narzędziem. I z tymi wałami to też nie taka prosta sprawa. Zaprojektowany ich obwód dzielono na równe odcinki, przy których jednocześnie, pod wspólnym kierownictwem, pracowały poszczególne zespoły robocze. W ogóle ci dawni ludzie o wiele częściej i skuteczniej myśleli, niż się to nam zazwyczaj wydaje.

Ale niech tam! W każdym razie nie jestem bezradny wobec dopiero co wspomnianych wykopalisk, a nawet muszę uważać, by przy opisywaniu ich nie popaść czasem w śmiertelny grzech naśladownictwa.

Lecz oto znalazłem się wobec dymarek w Igołomi, pieców garncarskich w Tropiszowie albo pokazano mi kawałek glinianej kopułki, dobrze ongi wypalonej a przedtem podziurkowanej patyczkiem. Chciałbym sobie wyobrazić, jak wyglądała praca przy tych warsztatach, z których buchał płomień i żar. Jak mogli być ubrani ci prarobotnicy? W lniane płótno, które się nie zatli? W skóry? Ale chyba w bezwłose, wygarbowane... Imaginacja czyni krok naprzód, trwożliwie ogląda się na boki — znikąd pomocy. Trudna samotność na dziewiczym terenie.

— Czy jest w naszej literaturze jakaś powieść osnuta na tle dawnych przemysłów? — pytam towarzysza.

— Nie, chyba nie ma — odpowiada uśmiechając się złośliwie.

— Co pana doktora tak cieszy?

— Za dużo by się trzeba uczyć...

Może. Ale za to wziąć na literacki warsztat temat jakiejś kuźnicy ze Staropolskiego Okręgu, to chyba tyleż znaczy, co wylądować z notatnikiem na wyspie całkiem nieznanej, a zamieszkałej przez ludzi interesujących, zmyślnych i skomplikowanych, reprezentujących rozmaite złoża starej, bogatej i — naszej własnej kultury. Jakież dramatyczne powikłania losów człowieczych mogły się zdarzać w takim miejscu, wokół którego zawęzłały się sprawy wolnego proletariusza, pańszczyźnianego chłopa, przedsiębiorcy i feudalnego dworu! Próbowano spojrzeć na Zemstę oczyma majstra, który wznosił mur graniczny. O ileż bardziej interesująca byłaby ocena czasów Potopu dokonana z punktu widzenia takich, co dokładnie wiedzieli, skąd się brały kartauny i muszkiety dla rot Stefana Czarnieckiego.

Nie należy się obawiać, że w tej powieści *in spe* opisy procesu produkcyjnego wzięłyby prym przed losami bohaterów. Daleki był on wprawdzie — ten proces — od prymitywu, ale bądź co bądź dawne czasy i wątpliwe, czy autor dałby się zbytnio porwać zagadnieniu, jaki system kucia strzemion jest najlepszy. No i ostatecznie widok dzisiejszej stalowni o wiele silniej przytłacza wyobraźnię, niżby to mógł uczynić wygląd takiej fabryki, co — być może —

wyprodukowała szablę, którą pan Deyma pana Ubysza usiekł.

W ostatnim zdaniu nie było dowolności ani przesady. I dziś jeszcze, w roku 1954, można przekonać się na własne oczy, jak funkcjonował warsztat, o którym przed chwilą była mowa. Chcąc to osiągnąć, trzeba wybrać się na północ kieleckiego województwa, znowu w okrutne bezdroże, między piaski i wątłe laski powiatu koneckiego. Znajduje się tam wieś Czysta, położona nad potoczkiem o wodzie koloru rdzy.

Idzie się do tego sioła od strony odległej o parę kilometrów podrzędnej szosy. Niedaleko od pierwszych zabudowań droga wcina się w zbocze i jest od jego strony pięknie wygrodzona murkiem z brył żelaznego żużla. Za strugą widnieją zarosłe już hałdy. Jest i wyniosłość, na której sterczał ongi piec hutniczy.

Zaraz na początku wsi, po lewej stronie od drogi stoi niezbyt wielki budynek, wyglądem zewnętrznym do złudzenia przypominający zwykłą chłopską stodołę. Napis nad wejściem głosi: „Spółdzielnia Pracy. Wytwórnia części płużnych w Czystej, powiat Końskie, Zakład nr 3. STARA KUŹNICA".

Stara jest na pewno. Części drewniane mogą być, co prawda, nieco świeższej daty, ale ciemne od wieku żelazivo z powodzeniem może pamiętać Czarnieckiego, który przecież był z Kielecczyzny rodem. Maszyneria zaś działa na zasadzie obowiązującej w XVII stuleciu.

Tego dnia, kiedy zwiedzaliśmy wytwórnię, przeprowadzany był drobny remont i praca została chwilowo wstrzymana. Stary majster nie kazał się jednak długo prosić i zaraz dał znak pomocnikom, którymi są jego dwaj rodzeni synowie. Za ścianą budynku zaszumiała, załopotała po kole woda. Skrzypnął wał i raptem wystająca z drewnianej ramy potężna belka, zakończona młotem, szarpnęła się do góry ruchem gwałtownym a krótkim i natychmiast opadła. Z ogłuszającym łoskotem młot prasnął w kowadło i odskoczył. Znowu cios, znowu urwany podrzut i jeszcze, i jeszcze, coraz szybciej, aż nastał jednostajny, miarowy rytm uderzeń. W tym zajadłym miotaniu się nie było ani śladu tej płynności, do jakiej przyzwyczaiły oko ludzkie nowoczesne maszynerie.

Majster machnął ręką i krzyknął coś, czego ze względu na straszliwy hałas nie zrozumiałem. Młot znieruchomiał równie nagle, jak przedtem ruszył.

Dobrych kilka minut cisza nie mogła utorować sobie drogi poprzez uparte dzwonienie w uszach.

Urządzenie kuźnicy jest wcale proste. Od koła wodnego odchodzi i przenika do wnętrza budynku poziomy wał drewniany, opasany mocnym pierścieniem żelaznym, jak gdyby obrożą, zaopatrzoną w grube występy zaczepu. Do nich właśnie pod kątem prostym jest doprowadzona belka, której drugi koniec to drewniany, lecz dobrze okuty młot, wzniesiony nad kowadłem. Belka osadzona jest w ramie na poprzecznej osi żelaznej tak, że oba jej odcinki mogą się poruszać w górę i w dół. Z chwilą kiedy wał wraz z pierścieniem zacznie się obracać i pierwszy zaczep naciśnie na belkę, przeciwległe jej zakończenie na zasadzie dźwigni uniesie się do góry. W następnym momencie zaczep się ześliźnie — młot spada na kowadło i od razu podskakuje, bo już nacisnął kolejny występ obroży itd. itd.

Wewnątrz budynku znajduje się jeszcze drugie koło. Wodę w ilości wcale nie nadmiernej doprowadza doń koryto, ustawione na wysokich podpórkach. Ścieka ona z koła wprost na pochyłe klepisko i przez szparę pod ścianą uchodzi na zewnątrz. Wątłe to urządzenie potrzebne jest do obsługiwania dwu miechów, które dmuchają w piec, gdzie

rozgrzewa się żelazo. W samym kącie zobaczyć jeszcze można komórkę na metal zaopatrzoną w taką kłódkę, jakby we środku przechowywano co najmniej skarby króla Ćwieczka. To już wszystko.

— Oho — rozprawiał głośno majster otoczony historykami, uczestnikami wycieczki — jeszcze nie brakuje takich, co wolą moje odkładnice od fabrycznych!

Oceniłem go na oko na lat z górą pięćdziesiąt, myląc się o dwadzieścia przeszło. Prawie osiemdziesiątka w żaden sposób nie wyzierała z czerstwej, opalonej na brązowo twarzy i błyszczących oczu. Był wyraźnie rad z wrażenia, jakie wywarła na gościach jego oryginalna maszyna.

— Jak się pan nazywa? — zapytałem, kiedy żegnając się ściskał mi krzepko dłoń.

— Adam Niewęgłowski.

— Proszę zwrócić uwagę — mówił mi w drodze powrotnej jeden z naukowców — Niewęgłowski... typowo szlacheckie nazwisko, z tych „dobrych". Ktoś z jego przodków musiał coś gdzieś grubo przeskrobać i uchodząc przed sprawiedliwością schronił się w Kieleckie, pod rękę biskupa, który ludzi potrzebował i zbiegów nie wydawał. To się nagminnie zdarzało. Potem rządy carskie wszystkich ich potomków, którzy się ze szlachectwa wylegitymować nie mogli, przypisały do stanu poddańczego.

Obecnie Stara Kuźnica ma zmienić miejsce pobytu. Przeniesiona zostanie do miejscowości Maleniec, także w kieleckim województwie, i na nowo zmontowana przy tamtejszej fabryce, która ustawowo uznana została za zabytek kultury narodowej i nie będzie modernizowana.

Zakład maleniecki mieści się w dużym i dość niskim budynku drewnianym, nad obszernym stawem. Gmaszysko na pierwszy rzut oka przypomina młyn wodny. Chwila uważnej obserwacji zniweczy jednak to wrażenie — wielkie, tęgo wiekiem sfatygowane koła mieszczą się po obu stronach, przy dłuższych ścianach.

Zaraz w pierwszej hali — w ogóle istnieją tylko dwie — zobaczyć można centralną i najciekawszą część urządzenia. Są to potężne walce, obracane siłą wody. W wąziutką szparę między nimi nie może się zmieścić gruba, do białości niemal rozpalona sztaba żelaza, wyjętego z pieca. Aby jej utorować drogę, o sekundę wcześniej wpuszcza się między dośrodkowo wirujące wały zwykły, dość płaski klin sosnowy. Drewno wyskakuje po drugiej stronie, jakby uciekając przed sunącą tuż za nim rubinową, jadowicie rozżarzoną krawędzią. — Chwyt kleszczy i spłaszczona płyta wędruje z powrotem na tamtą stronę. Po paru obrotach nie potrzeba już klina. Jeszcze chwila i odciągną na bok szeroki arkusz cienkiej blachy.

W drugiej hali klekocące warsztaciki, obsługiwane przez wspólny wał transmisyjny, przetworzą ją na łopaty i żabki do butów. Oprócz tego fabrykuje się tu również gwoździe.

Fabryka w Maleńcu, odległym od kolei o kilkanaście kilometrów, założona została w roku 1837 i dochowuje wierności tradycyjnym systemom wytwarzania. Jest to jedna z tych, które aż do roku 1945 używały węgla drzewnego. — Gdzieś tu przy niej przytuli się już na stałe hałaśliwy młot majstra Adama. Turyści będą mogli za jednym zamachem obejrzeć zabytki techniki pochodzące z dwu różnych stuleci.

Chciałbym na zakończenie wspomnieć o jeszcze jednej pamiątce, takiej, która wywiera całkiem niezapomniane wrażenie. Szukając jej nie utrudzicie się zbytnio. Leży bowiem tuż przy wygodnej szosie, z Kielc do Końskich, tam,

dzie przecina ją koryto niewielkiej zeczki Bobrzy, dopływu Nidy.

Kiedy pierwszy raz zwiedzałem to iejsce, przewodnik — tenże sam dr azdur — nie dowiózł nas do samego ostku, tylko kazał wysiąść o kilkaset etrów przed nim. Wzięliśmy się na rawo, minęli jakieś parterowe budyn- o sielskim wyglądzie, lecz mieszcząe także i warsztaty, i poszli silnie pohylonym upłazem. Rosły tu rzędy drzevek owocowych, w zroszonej trawie piło się od ślimaków. Rzeźwa, luba ura poranna tak dodatnio oddziałała a jednego z towarzyszy, najmłodszego hyba wiekiem profesora wszechnicy oznańskiej, że ruszył biegiem, skacząc rzez nierówności terenu. Przewodnik rzyknął za nim ostrzegawczo. Uczony printer szarpnął nagle tułowiem — i ez nart wyciął piękną poprzeczną krianię, zatrzymał się jak wryty. — bocze góry urywało się, spadało w dół rostopadłym, kilkumetrowym uskoiem. Pod stopami kłębiła się, szumiała a wietrze syta zieleń koron drzewnych.

Jakąś ścieżynką zeszliśmy na brzeg ętnej, żółtawej Bobrzy. Płynęła wśród tnego lasku, bystro, korytem rozwidnym, zacieniona i rozkosznie chłoda. W pewnym miejscu wcinały się w olinę dwie porosłe olchami ostrogi emne, wyraźne szczątki niedokończoej tamy.

Lewy brzeg parowu został ongi piowo skopany i obmurowany mocną ianą z kamienia polnego (to z niej łaśnie omal przed chwilą nie zleciał ıany nam dziejopis). Szarym, kilkuerowej wysokości pasem ciągnie się ıa na długiej przestrzeni w dół rzeki kończy stromą pochylnią. Górną krędzią tego muru, ujęta w specjalne ryta, miała biec woda, a tu, pod pohylnią, przewidziano miejsce dla olrzymiego koła.

W roku 1598, za króla Zygmunta III, anął tu nad Bobrzą wielki piec hutniczy i zakład, który odlewał działa, kotły i kule. W dwa przeszło wieki później, za czasów Królestwa Kongresowego, Stanisław Staszic usiłował nawiązać do tych tradycji. Chciał postawić tam na górze aż cztery wielkie piece. Zamierzał zbudować tamę, spiętrzyć wody rzeki o całych dwadzieścia metrów, stworzyć w jej dolinie jezioro sztuczne i uzyskać potężne źródło energii. Liczne transmisje miały ją przenosić aż na sam szczyt wysokiego zbocza, gdzie obecnie znajdują się wspomniane już budynki gwoździarni.

„Staszicowski Dnieprostroj" nigdy nie został ukończony, a szczątki powyżej opisane stanowią dziś jedyną po nim pamiątkę. Wielkiego budowniczego zawiedli pomocnicy, którzy źle obliczyli okoliczne zapasy rudy. Praca stała się nieopłacalna i zaniechano jej. — *Ut desint vires tamen est laudanda voluntcs.*

Tam, gdzie dolinę rzeki przecina szosa, wznosi się — ciągle na lewym brzegu — iście cyklopia, na kilkadziesiąt metrów wysoka ściana. Lico jej pochyłe, półkoliste, niczym olbrzymi bastion obronny. I to także jest dziełem księdza Staszica. Tak silnie kazał on obmurować i wzmocnić narożne zbocze góry, która dźwigać miała ciężar fabryk.

U stóp tego, niepotrzebnego, niestety, muru jest dzisiaj niewielki młyn wiejski. Kiedyśmy tam byli, stało przed nim kilka furmanek. Gospodarze, widocznie czekając na kolejkę, siedzieli sobie na belce, gwarzyli, ćmili papierosy.

Przejmujące wrażenie sprawiał ten prymityw, ten sielski zastój pleniący się jeszcze w stuleciu XX w cieniu pamiątki po świetnych zamysłach cywilizacyjnych wieku poprzedniego. Pokolenia przeminęły patrząc na tę ścianę, nie rozumiejąc pewnie jej dawnego przeznaczenia i sensu, nie pamiętając

nazwiska budowniczego. Pokolenia przeminęły grzęznąc coraz to bardziej w gospodarczej i kulturalnej depresji.

Szosą, która przecina Bobrzę, jeżdżą obecnie już nie same tylko wiejskie wozy czy też pasażerskie autobusy, wiozące ludzi na targ do Kielc albo do sądu na sprawę o spadek. Można tu często zobaczyć istne karawany ciężarówek. Toczą się obok starych murów transporty najbardziej nowoczesnych maszyn i materiałów. Staropolski Okrąg Przemysłowy nadal zachowuje swoją czcigodną nazwę, ale z dnia na dzień zmienia oblicze. Przecież to na jego historycznym obszarze wznoszą się Wierzbica, Ostrowiec, Starachowice, Skarżysko... Tu się znajdują kopalnie pirytów. Stąd pochodzą marmury, które zdobią dumne domy Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej.

Okazuje się jednak, że nasz zdecydowany zwrot ku procederom, lekceważonym za mociumpańskich czasów, nie może polegać na samym tylko zapale do najlepszych współczesnych maszyn i techniki. Staje się oczywiste, że budując nowe i wspaniałe, trzeba jeszcze dokonać innej pracy. Przeszukać, przekopać, zbadać w tej samej dziedzinie stare i najstarsze, otworzyć umysły i serca dla wszystkiego, co niesłusznie było wzgardzone i zapomniane, wypchnięte poza burtę narodowej świadomości.

Sprawy dawnych kuźnic i hut na pewno mieszczą w sobie więcej humanistycznych, ludzkich treści niż te — błyszczące haftami dyplomatycznych fraków — do których byliśmy skłonni zacieśniać znaczenie szerokiego słowa — historia.

Paweł Jasienica

JAN PARANDOWSKI

Moja praca nad Petrarką

Kiedy w lutym roku 1945 nie miałem już żadnej wątpliwości, że w moim mieszkaniu warszawskim nie zostało nic oprócz popiołów, które wiatr rozmiecie po Filtrowej, na wsi lubelskiej, rozpamiętując swoje straty, rozmyślałem o przyszłości. Nie była ona związana z żadnym domem, z żadnymi sprzętami, nie ukrywała się w zeszytach i papierach — miała iść drogą, jaką jej wyznaczą te trzy palce prawej ręki, w których nauczyłem się trzymać pióro. Na razie nie miałem własnego pióra, lecz ten niedostatek nigdy jeszcze nie odstraszył żadnego pisarza. Myślałem jedynie o samej pracy, nie troszcząc się o narzędzia. Byłem pewny, że będę ją odtąd wykonywał inaczej niż dawniej.

Oto bowiem opuściły mnie na zawsze książki, które zbierałem od wczesnej młodości w takim układzie, że miałem prawo liczyć na ich pomoc w każdej pracy. Nie będzie więc odtąd tysięcy tomów w moim gabinecie i w przyległym pokoju, osnutym rzędami półek, moja pracownia będzie tam, gdzie znajdzie się stół, na nim zeszyt kupiony w sklepiku, byle jakie pióro lub ołówek. I głowa wolna od dat, faktów, imion, oprócz tych, które sama wymyśli. Miałem niezłomne postanowienie nie zaprzątać wyobraźni żadną postacią, która ciągnie za sobą bagaż źródeł, żadnym czasem, który domaga się ostrożności i szacunku dla swojej chronologii. I znajdowałem w tym wielką ulgę.

Lecz wkrótce zaszły zmiany. Zostałem profesorem uniwersytetu, otrzymałem katedrę literatury porównawczej, taką samą, jaką kiedyś zajmował Jan Kasprowicz. Mój horyzont znów zasnuł się książkami i notatkami. Pierwszy swój kurs poświęciłem humanizmowi. Nie widziałem tematu bardziej stosownego ani bardziej pilnego nad ten, co z padołu klęsk, ohydy i zbrodni prowadził ku światłu, ku ludziom, którzy myślą i słowem budowali nowego człowieka, walczyli o jego szlachectwo, wszczepiali i krzewili miłość do wszystkiego, co ludzkie. I moje płuca łaknęły tych czystych regionów, i tak samo łaknęli ich moi słuchacze. Mogłem się o tym przekonać na pierwszym wykładzie, gdy z etymologii i historii wyprowadzałem definicję humanizmu. Niektóre słowa, choć wolne od patosu i ściśle udokumentowane, brzmiały jak urywek z jakiejś zapomnianej ewangelii ludzkości.

W biednym brulionie o lichej tekturowej okładce i żółtawym papierze pisałem swoje wykłady, czasem obszerniej, czasem tylko w krótkiej dyspozycji, a marginesy obrastały później nowymi szczegółami, cytatami. Pierwszą postacią, która wyłoniła się ze wstępnych rozważań, był Petrarka. W owym brulionie, pod datą 10 października 1945, tak brzmi początek mojego wykładu: „W klasztorze św. Apolinarego we Florencji jest obraz, na którym Andrea del Castagno przedstawił młodego mężczyznę. W twarzy o rysach szlachetnych szczególnie zwracają uwagę nieskazitelne łuki brwi, łagodne spojrzenie i subtelne usta. Odziany w długą, surową szatę, przypominającą habit, w lewej ręce trzyma książkę, prawą dłonią czyni gest, jakby wyliczał argumenty w dyskusji. Podpis mówi: Francesco Petrarca."

Ten opis podałem z pamięci, tak jak w niej przetrwał w ciągu lat dziewiętnastu od owego również październikowego dnia, kiedym go oglądał we Florencji, pachnącej winobraniem.

Lecz moje pierwsze spotkanie z Petrarką sięgało znacznie dawniejszych czasów i odbyło się również pod włoskim niebem. Podczas mojej pierwszej podróży po Włoszech — miałem wtedy lat osiemnaście — zauważyłem, że młodzi ludzie noszą w kieszonce od marynarki, zamiast chusteczki, śliczny tomik, oprawny w safian ze złoconymi brzegami. Zaraz sobie taki kupiłem. Były to sonety Petrarki. Zaglądałem do nich w każdej pustej chwili — w poczekalni hotelowej, na dworcu, w tramwaju. Jak na rogach ulic florenckich są tablice marmurowe z tercynami B o s k i e j k o m e d i i, tak w mojej pamięci różne place i ulice Mediolanu czy Bolonii odzywają się wierszami Petrarki, które w tych stronach czytałem. Z ręki snobów dostałem garść poezji, z którą się nie rozstawałem przez parę miesięcy. Naprawdę nie rozstałem się z nią nigdy. Z wiernością właściwą młodym latom pamięć przechowała całe strofy, które w porze wykładów wracały do mnie wcześniej, zanim znalazłem je w sfatygowanym przez czas i zaniedbanie egzemplarzu wydania Leopardiego, pożyczonym z biblioteki uniwersyteckiej.

Minęło osiem lat. Pewnego dnia, porządkując swoje kajety i dziwiąc się ich wielkiej liczbie, wziąłem do ręki potargany brulion moich wykładów o humanizmie. Nawiedziły mnie gorzkie myśli: „A więc znów po dawnemu — mówiłem sobie — prowadzisz swoje gospodarstwo niedbale i lekkomyślnie. Tak samo ongi zostawiałeś latami po szafach i szufladach materiały, notatki, szkice prac, których nie ukończyłeś, aż cię ogień od nich uwolnił.“ Po tej przemowie nazajutrz podpisałem umowę na książkę o Petrarce, gdyż nic tak nie wyprowadza z wahań i wątpliwości jak zawarta umowa. To jest nasza pisarska wersja: *alea iacta est.*

Początek płynął lekko jak w poranek wiosenny pod łacińskim żaglem. Wziąłem nowy brulion, na pierwszej stronie wypisałem datę: 14 lutego 1953 i tytuł: Petrarka czyli brzask humanizmu. Posługując się swymi wykładami i bogatszymi nieraz od nich marginesami, pisałem jednym tchem, w dwa dni pierwszy rozdział był gotowy. Rozdział? Nie będzie żadnych rozdziałów! Będzie, jak u Balzaka, jednolita, ciągła opowieść, choćby na dwieście stron. Nie wytrwałem w tym zamiarze. Po kilku tygodniach całość zaczęła się dzielić na części, było ich najpierw tyle co Muz — liczba szczęśliwa — później zaczęły się kłonić ku liczbie miesięcy, lecz i to nie wystarcza, skoro mi właśnie świta rozdział trzynasty.

Ta zmiana zaszła prawie jednocześnie z drugą, znacznie ważniejszą. Oto coraz mniej polegałem na swoim brulionie i na swojej pamięci i ani się spostrzegłem, jak na moim stole spiętrzyły się grube tomy listów Petrarki w różnych wydaniach, a wychodząc na pierwszy spacer wiosenny wsunąłem do kieszeni sonety, które odtąd towarzyszyły mi wśród kwitnących bzów i kasztanów budząc we wspomnieniach tę daleką wiosnę włoską, kiedy je po raz pierwszy czytałem i tę wilgotną chłodną jesień lubelską, tak jeszcze niedawną, kiedy szukałem w nich materiału do wykładów. Nikt by już teraz nie poznał mojego warsztatu, który w lutym zapowiadał się tak beztrosko: po lewej ręce brulion wykładów, po prawej zeszyt i pióro biegnące szybko. Lecz oto zjawiła się teczka z napisem: P e t r a r k a, stara teczka po mi-

nionym papierze listowym „Akropolis" i pęczniała z każdym dniem od kartek i świstków, starych kopert i kwitów, gdzie na odwrocie mnożyły się notatki, notatki, notatki...

Wciąż ich odtąd przybywa. Zawierają nowe szczegóły, sprawdzone i uporządkowane daty, urywki wyznań Petrarki, sylwety osób z jego czasów i otoczenia, charakterystyki jego dzieł, itineraria jego niezliczonych podróży. Przed chwilą właśnie dorzuciłem do niej kartkę, która tak wygląda: 25.I. w Weronie. — 13.III w Parmie. — Później może w Ferrarze. — 25.III. w drodze, może powrotnej z Ferrary, gdzieś nad Padem. — 6.IV w Weronie. — 10.IV w Parmie. — 19.V w Parmie, wrzesień w Carpi, później w Padwie. Jak widać gonię tu za Petrarką, który w tych miesiącach, o czym świadczą listy, nie zsiadał z konia i uwijał się nieustannie po różnych miastach, nigdzie nie mogąc dłużej usiedzieć. Był to rok 1348, rok straszliwej zarazy, która kosiła ludzi w całej Europie. Zabrała ona i Laurę, Petrarka dowiedział się o tym w Weronie i zapisał swoją boleść w kodeksie Wirgiliusza, któremu powierzał niejedną zgryzotę.

Znałem ten rękopis z naukowych opracowań, znałem i miałem wynotowane ważniejsze zapiski Petrarki, odczytane przez nieocenionego Pierre de Nolhac, lecz nie zaznałem spokoju, póki dzięki uprzejmości Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu nie znalazło się u mnie fototypiczne wydanie kodeksu, prawdziwie zdumiewające osiągnięcie techniki reprodukcyjnej. Jest to tak wierne powtórzenie oryginału w jego rozmiarach, wadze, materiale piśmiennym — pergamin — w barwach miniatury tytułowej, inicjałów, różnych rodzajów atramentu, załamań kart, plam, wszelkich śladów rąk, które kodeks wertowały, że ma się wrażenie, jakby się obcowało z autentycznym zabytkiem, spoczywającym w mediolańskiej Ambrosianie.

Od dnia, w którym do mnie ów kodeks zawitał, czuję u siebie bardziej niż kiedykolwiek obecność Petrarki. Wysnuwał się on dotąd ze słów, własnych i cudzych, tu zaś trwa w niezliczonych momentach, które można pochwycić wzrokiem i dotknąć. Ileż to razy otwierałem tę lub inną kartę i ze szkłem powiększającym wędrowałem wśród gęstwiny notatek, rzucanych na marginesie jego drobnym pismem! Prawdziwą relikwią jest pierwsza karta, gdzie Petrarka wpisał daty śmierci wszystkich swoich bliskich, wśród nich jedną z fałszywej pogłoski o śmierci Filipa de Vitry, który niebawem został kardynałem i żył jeszcze długie lata ciesząc się przyjaźnią Petrarki.

Na odwrocie tej karty jest owa słynna zapiska o pierwszym spotkaniu i o śmierci Laury, a niżej słowa z mszy na dzień nawrócenia św. Pawła, opiewające uchwałę Wergilego. Nic zresztą nie jest tu obojętne, nawet kreska, wyróżniająca jakieś słowo Wergilego lub jego komentatora, zatrzymuje uwagę, bo odsłania nam moment zadumy Petrarki. W tym obcowaniu z autografami Petrarki (mam również u siebie fotokopię rękopisu sonetów) spodziewałem się znaleźć pomoc przy badaniu pewnego palimpsestu znajdującego się w zbiorach Muzeum Czartoryskich w Krakowie, a który podobno był własnością Petrarki. Jest tam wiele notatek na marginesach i po zbadaniu palimpsestu promieniami (nigdy nie wiem: infra czy ultra) czerwonymi będzie można stwierdzić, czego bym sobie bardzo życzył, że ów zabytek jest zabłąkaną do Polski Petrarkowską relikwią.

W ten sposób mój warsztat zmienił się tak bardzo, że stał się nieprze-

nośny i dziś już nie mogę pisać swej książki poza domem. Przekonałem się o tym w lecie. Jadąc do Oliwy roiłem, że wrócę, jeśli nie z ukończoną książką, to z kilku gotowymi rozdziałami. Jakże się gorzko zawiodłem! Naprędce pakowane książki i zeszyty wyjawiły nazajutrz rażące braki, które starałem się najpierw „przeskoczyć", potem, jak to mówią aktorzy, „markować" pewne partie z myślą, że je wykończę w domu, ale nie umiem tak pracować. Każde zdanie zależy u mnie od poprzedniego, a w ich układzie nic nie może być powierzone przypadkowi, inaczej nie tylko ta lub owa stronica „rozsypuje się" i trzeba ją później przerobić, lecz i cały rozdział nie może osiągnąć swej kompozycji. Po kilku dniach bezpłodnej irytacji dałem spokój i zabrałem się do innej roboty.

Wśród takich kłopotów coraz bardziej oddalałem się i od owej daty z lutego ubiegłego roku, kiedy zacząłem swoją rzecz pisać, i od czerwcowej daty, jaką pierwotnie oznaczyłem jej ukończenie, minął wreszcie i ów listopad, kiedy to już niezawodnie rękopis miał spocząć na stole wydawniczym. Powtarza się mój niezmienny obyczaj, że nie potrafię uporać się z książką prędzej niż do roku. Tak jak jest dzisiaj, czuję, że gdybym sobie mógł na to pozwolić, zacząłbym planować dalsze poszukiwania, a nawet podróże, by raz jeszcze odwiedzić miejsca, będące niegdyś świadkami życia Petrarki.

Powie mi ktoś, że to przesada, być może, lecz takie już mam usposobienie, że im bardziej zżyję się z jakąś postacią, tym bardziej jestem niesyty wszystkich jej dni i prac. Z trudem, a nawet z przykrością decyduję się na uzupełnienie własnym domysłem tej czy innej przerwy w autentycznych relacjach i dopóki jest nadzieja, staram się pochwycić bodaj przelotną wskazówkę. Myślę, że tak się zawsze powinno postępować i mam głęboką niechęć do autorów, którzy, lekceważąc źródła i daty, harcują po życiu godnym szacunku na kucyku swej domorosłej fantazji. Tak samo stronię od uczonych, którzy hipotezami wiążą rozerwane nici nie uprzedzając o tym czytelnika. Ileż stąd błędów dziedziczy się przez pokolenia! Z Petrarką zdarzało się to częściej niż z innymi, istnieją jego biografie, którym tylko brak werwy i talentu narracyjnego, żeby je można było zaliczyć do *vies romancées*. Unikałem ich jak trądu, w ogóle unikałem gotowych opracowań, poszukując tylko bezpośrednich świadectw, jego pism i dokumentów z jego epoki. I właśnie są w drodze nowe materiały. Zawdzięczam je uprzejmości panny Aldy Croce, córki znakomitego filozofa, która sama ofiarowała się z pomocą w przysporzeniu mi nowych lub trudno dostępnych źródeł.

Niejednemu z czytelników może się nasunąć pytanie: czy jest tu różnica i jaka między pracą uczonego a pisarza? Gołym okiem, jeśli się tak można wyrazić, widzi się tę różnicę w samym wyglądzie książki, pozbawionej przypisów i bibliografii. Lecz nie każdy uczony szuka chwały i oparcia w tych niepowabnych ornamentach. Inne różnice, mniej widoczne a bardziej istotne, tkwią w traktowaniu przedmiotu: tam gdzie pisarz poprzestaje na jednym zdaniu, uczony, jeśli jest sumienny, nie może się wymówić od całej stronicy. Zachodzi to przy roztrząsaniu wątpliwych dat lub okoliczności, przy rozbiorze dzieł, przy ich interpretacji. To wszystko uczony wyjawia, pisarz ukrywa, i gdzie jeden cytuje różne opinie w kwestiach spornych, zanim je rozstrzygnie własnym zdaniem, drugi podaje gotowe rozwiązanie w jednolitej, nieprzerwanej narracji. Ta właśnie, jak w każdym dziele sztuki

pisarskiej, stanowi dla pisarza główną troskę i budowa zdań, konstrukcja tronicy, kompozycja rozdziału, układ całości pochłaniają go najbardziej, od chwili gdy opanował fakty i stworzył w sobie przedstawianą postać w jej rysach znamiennych — pełną, wyraźną, zrozumiałą i żywą.

Podobnie jak tworząc postać fikcyjną pisarz dodaje niejako nową jednostkę do listy obywateli swojego kraju, tak opracowując postać historyczną stara się uczynić z niej współobywatela swojej epoki. Często epoka nie jest na nią przygotowana, może się nawet jej wyrzec lub minąć ją obojętnie. Dzieje się to zwłaszcza wtedy, kiedy postać, wybrana przez pisarza, nie ma nic do powiedzenia jego czasom, kiedy zarówno jej życie, jak poglądy, dzieła, umysłowość, charakter składają się z elementów archeologicznych, ciekawych tylko dla specjalistów. Jedynie wielka sztuka pisarska może ocalić taki zwiędły temat, przykładem S a l a m m b ô Flauberta.

Petrarka nigdy i nigdzie nie będzie intruzem. Stanowi on część nieodłączną naszej kultury, niewielu jest poetów, którzy by tak mocno i trwale wrośli w literaturę wszystkich narodów europejskich. Lecz, znany ze swoich sonetów i kancon, nie jest dziś szerzej znany z tych prac, jakimi budował nową epokę w umysłowości europejskiej. W Polsce, gdzie nie brak rozpraw i przyczynków, rozsianych w ciągu stu lat po czasopismach naukowych, a dotyczących tej lub owej kwestii specjalnej z twórczości Petrarki, nikt dotąd nie pokusił się o wizerunek człowieka, którego słusznie nazwano „pierwszym człowiekiem nowożytnym", i sądzę, że wydobywając ten wizerunek ze źródeł, które o nim mówią, i z jego własnych pism, spełniam pewien obowiązek. Chcę go zaś spełnić w ten sposób, aby tak, jak się mówiło „nasz przyjaciel Maro", można było powiedzieć: „nasz przyjaciel Petrarka".

Jan Parandowski

ROMAN ZIMAND

Brązoburca*)

V

Brązownicy — jedna z najgłośniejszych książek dwudziestolecia, oraz polemika wokół niej — jedna z największych i najciekawszych polemik literackich okresu drugiej niepodległości.

Od czego zacząć fragment poświęcony tej książce? Chciałbym ją pokazać najpełniej, tym bardziej iż obawiam się, że wielu młodych studentów polonistyki patrzy na nią z lekceważeniem i zdziwieniem: i rzeczywiście o to było wiele hałasu?

Zacznijmy tedy od historii.

W 1928 roku Boy opublikował przedmowę do Dzieł Mickiewicza, która następnie weszła do wydanego w 1929 r. zbioru essejów Ludzie żywi. Przedmowę zaatakowała sanacja i to piórami oficjalnego poety i oficjalnego estetyka: Lechonia i Elzenberga. Z sanacją w zgodnym chórze wystąpił drugi odłam skrajnej prawicy klerykalno-faszystowskiej. Boy zaczął odpowiadać. W 1929 roku na łamach „Wiadomości Literackich" ukazało się wiele essejów, które wyszły w tym samym roku pod wspólnym tytułem Brązownicy. Wówczas wystąpił jeden z najwybitniejszych mickiewiczologów i rozgromił Boya. I na tym sprawa się pozornie skończyła. Pozornie, w rzeczywistości bowiem rację ma Kott, gdy pisze, że mimo owe braki studia Boya o Mickiewiczu „...raz na zawsze zmiotły fałsz o «trzeciomajowym» Mickiewiczu. Pokazały wreszcie z całą oczywistością, o czym nie wolno zapominać, obiektywną, klasową funkcję uniwersyteckiej hagiografii". **)

Dlaczego jednak stało się tak, że w latach 30-tych pozornie zwyciężali brązownicy?

Na pierwszy rzut oka sprawa wyglądała tak: Boy napisał felieton, który narobił hałasu, trochę się pośmiano, trochę pokłócono — po czym wszyscy „wrócili do swoich baranów". Czy był to pierwszy „wyskok" Żeleńskiego? Nie. Nie pierwszy, a co najmniej piąty w niepodległej Polsce. Była przecież i walka o „święte prawo do przecinka", i utarczki o Gabblerównę i Kurkiewy, które zajmują jedną trzecią pierwszego zbioru felietonów Żeleńskiego pt. Brewerie, była wreszcie kłótnia o Antychrysta Rostworowskiego. Ludzie się oburzali, cieszyli i... zapominali. A zresztą, bądźmy szczerzy, wszystkie te awantury obchodziły co najwyżej 2 000 ludzi w kraju. I nagle... kłótnia na całą Polskę. Czemu to przypisać?

Pierwsza, automatycznie nasuwająca się odpowiedź: różnica między awanturą o Kurkiewy a sprawą Brązowników jest proporcjonalna do różnicy między zwariowanym doktorem Kurkiewiczem a Adamem Mickiewiczem. Boy napisał, że wariat Kurkiewicz wymyślił freudyzm przed Freudem — oburzyło się kilku psychiatrów; Żeleński napisał „herezje" o największym poecie narodowym — sprawa zupełnie innego kalibru. Rozumowanie bez wątpienia słuszne, warto jednak uzupełnić dwiema uwagami stanowiącymi niejako wstęp do analizy Brązowników.

Przede wszystkim trzeba pamiętać, że obiektywnie polityczna pozycja Boya w 1924 i w 1928/9 była różna. O prawo do przecinka walczył autor Słówek, znakomity tłumacz, frywolny recenzent teatralny, w życiu prywatnym przyjaciel wielu krakowskich konserwatystów.

*) Patrz numer poprzedni „Twórczości".
**) J. Kott, op. cit., str. XXVIII.

Brązowników pisał autor Dziewic konsystorskich, jednego z najgłośniejszych pamfletów antyklerykalnych w Polsce. Różnica ta uchodziła dotychczas uwagi tych, którzy bronili Brązowników, ci zaś, którzy tę książkę atakowali, pamiętali o tym bardzo dobrze. Dziewice konsystorskie stanowią istotny przełom w pozycji politycznej i społecznej Boya, od tej książki zaczął się nowy etap jego żmudnej drogi do odczytu o Mickiewiczu, wygłoszonego we Lwowie w 1940 r.

Drugą sprawą, o której trzeba pamiętać, jest to, że subiektywnie postawa Boya również ulega zmianie. O ile w latach 20—21 do 28 r. w felietonach chodzi mu przede wszystkim o sprowokowanie kłótni (sam tak określa swoją postawę), to w Brązownikach broni sprawy, broni prawdy.

Czy i o ile do obiektywnej prawdy o Mickiewiczu zbliżał się Boy?

Streśćmy sobie w punktach ową słynną przedmowę.

1. Wiedza o Mickiewiczu — powiada Boy — była od początku niemal zakłamana, co się tłumaczy tym, że w okresie niewoli poeta był przede wszystkim krzepicielem serc.

2. Wiedza ta była zakłamana, ponieważ różne partie polityczne urabiały sobie Mickiewicza na swój sposób. Głównie jednak uczyniono z poety obrońcę ładu, tradycji, „sztandar przeciw socjalistom".

3. Prawdziwa wiedza o artyście to wiedza nie tylko o jego dziele, ale i o jego życiu. Z życiorysu Mickiewicza zrobiono zaś żywot świętego. Tymczasem poeta był człowiekiem żywym, miewał kochanki, o idealistycznej filozofii niemieckiej powiedział pono kiedyś „gówno", a za młodu, będąc w Kownie nauczycielem, rąbnął kogoś lichtarzem po głowie.

4. Życie poety związane z jego twórczością układało się inaczej, niż się je na ogół przedstawia. Filomatów szybko przerósł o głowę – bo się kochał w mężatce i zaczytywał Byronem. Wyjazd do Rosji był dlań wyzwoleniem poetyckim, bo otwarły się przed nim szeroko horyzonty kulturalne i... sypialnie kilku hrabin.

5. W Powstaniu Listopadowym nie brał udziału, o czym się pisze półgębkiem. Tłumaczyć ten fakt należy przede wszystkim tym, że poeta pogrążył się w czystej sztuce, ale właśnie to powstanie jest krytycznym punktem w jego życiu. Dziady drezdeńskie to genialne poetyckie okupienie winy. Słowem, życie poety pełne jest sprzeczności, burz wewnętrznych, z których właśnie rodzi się w sposób istotnie niewytłumaczalny jego wielka sztuka. Nie jest prawdą, że Mickiewicz to ład i umiar.

6. Towianizm był w życiu Mickiewicza jakąś tragikomedią ze znachorem Towiańskim w roli głównej. Prawdziwym wyzwoleniem była dla poety rewolucja 1848 r. Ale Mickiewicz wiąże się z nią nie wdając się w rozważania na temat, jaka ma być przyszła Polska. Zresztą socjalistą w pewnym sensie był, chociaż do jego socjalizmu odnosi się sceptycznie już Hercen.

7. Z punktu widzenia artystycznego Mickiewicz, który sam jeden nadrobił wiekowe zacofanie kultury polskiej, jest geniuszem słowa polskiego. Pierwszy w naszej literaturze zaczął pisać o prawdziwej miłości; jest wielkim komediopisarzem, którego zmarnował Towiański.

W Panu Tadeuszu mało nas obchodzi centrum polskości — Soplicowo, i cnoty Zosi oraz Tadeusza, ale napisany jest ten poemat genialnie.

To wszystko powiedzane zostało na niecałych 30 stronicach maszynopisu. Można się u Boya na pewno uczyć zwięzłości. Bez względu na nasz sąd o merytorycznej wartości wymienionych tu tez (o czym za chwilę) powiedzmy sobie szczerze, że z punktu widzenia formy (jako wzór esseju) — ta przedmowa to

majstersztyk. Napisać coś ciekawego o poecie, którego wszyscy znają od dziecka, zaproponować rewizję sądów o nim, podać kilka własnych hipotetycznych rozwiązań i przy tym przez cały czas nękać swoich przeciwników zręcznymi cięciami, kpić sobie w żywe oczy z oficjalnych komentatorów dzieła poety — to jest sztuka. Ileż warte jest takie powiedzenie:

„Mówi się o dobrodziejstwach mesjanizmu jako talizmanu, który w danej epoce ocalił duszę polską i jej zdolność do życia. Jest w tym chyba sporo przesady i niewiary w żywotność narodu. Czesi, Bułgarzy przetrwali cięższe może opresje, nie będąc mesjaszem narodów". *)

A przecież to nie jest „czysty" dowcip — przecież jest on wymierzony przeciw określonej i dominującej wówczas koncepcji już nie tylko literatury, ale zgoła historii Polski.

I pomyśleć, że w tym znakomitym pod względem formalnym esseju dopatrywano się Bóg wie jakich zdrożności. Nas dziś chyba rażą — mówię tu na razie o stronie formalnej — dwa porównania: dość niesmaczne z Flersem **) i przedziwne porównanie Dziadów z Totenmesse Przybyszewskiego. Aby jednak zrozumieć prawdziwy sens owej burzy, trzeba wrócić do treści inkryminowanej przedmowy.

Ogólnie oceniano od pierwszej chwili (z wyjątkiem bodaj jednego Kridla), że Mickiewicz a my to wołanie o rewizję mickiewiczologii. Sąd ten, wysunięty jako zarzut zarówno przez sanatorów, jak i endeków, jest słusznie przez naszą krytykę przyjęty przy odmiennej zupełnie hierarchii wartościowania. Sąd ten oparty jest (jeśli chodzi o nasz stosunek do Boya) na trzech zawartych w przedmowie i w Brązownikach tezach. Po pierwsze na oskarżeniu burżuazyjnej mickiewiczologii o fałszowanie dorobku i życiorysu poety dla celów politycznie wstecznych. Po drugie na wysunięciu tezy o znaczeniu pobytu w Rosji dla rozwoju poety. I po trzecie na demaskatorskim charakterze essejów o Towiańskim.

Byłoby jednak co najmniej lekką przesadą, gdybym usiłował przekonywać, że do tych postulatów ogranicza się zawartość przedmowy czy Brązowników. W samym esseju Mickiewicz a my wysunięto znacznie więcej tez i hipotez, które pokazują, że Boy — zakamieniały rewizjonista, przyjmował, nieświadomie zapewne, wiele koncepcji zwalczanej przez siebie nauki o Mickiewiczu. Pozwolę sobie zacząć analizę całej „sprawy" od tej drugiej strony medalu.

Oto dla przykładu sprawa Filomatów. Większość reakcyjnych krytyków Żeleńskiego oburzała się niesłychanie, ponieważ Boy napisał, że byli dudkami, że horyzonty ich były dość ciasne i że nigdy nie miał przekonania do tej dziwnej młodzieży, która sama sobie prawiła morały o nauce i cnocie. *) Wszystko to

*) Boy o Mickiewiczu; Warszawa, 1949; str. 18.

**) Porównanie to jest przede wszystkim nieprawdziwe; satyra Mickiewicza — a Boy ma po stokroć rację, że Pana Tadeusza pisał wielki satyryk — nie ma nic wspólnego z wykwintnym, bardzo salonowym dowcipem Flersa, satyra Mickiewicza jest o wiele głębsza. Boya, oczywista, zapędził w to porównanie duch przekory.

*) Sprawa wymaga dwóch przypisów:

1) Merytorycznego. — Boy pisze: „despotyzm poezji przeniósł serce narodu do Wilna, gdzie młode litewskie dryblasy piły mleko, harcowały po łące i odmawiały litanie do Tomasza Zana" (Ludzie żywi, 1929, s. 173). A w Replice kobiety polskiej znajdujemy taki zwrot o Mickiewiczu z lat filomackich: „W niewinności szukał chluby, mleczkiem pijał zdrowie lubej". Nie namawiałbym nikogo do pisania pracy pt. Mleko w twórczości Boya (mógłby się tego podjąć Kubacki), ale zbieżność ta warta jest odnotowania.

2) Edytorsko-moralnego. — W edycji Boy o Mickiewiczu cały cytowany w punkcie pierwszym fragment został opuszczony. Opuszczenia nie tylko nie zaznaczono wielokropkiem czy adnotacją w erracie, ale dowolnie połączono różne zdania w jedną całość (por. str. 16—17). Wszystko albo w obronie Tomasza Zana, albo po to, by usunąć arcypoufną wiadomość, że Dziady drezdeńskie dzieją się w Wilnie. Tego rodzaju poprawianie tekstów w książce, która była wymierzona przeciw takim właśnie poprawkom, to po prostu cynizm.

pisane było pół żartem, pół serio. Ale jeśli przeczytać uważnie Boyowską koncepcję stosunku Mickiewicza do Filomatów, to okaże się...

Boy pisze mniej więcej tak: Filomaci byli dość ograniczeni, Mickiewicz już w Kownie przerósł ich o głowę, czego przyczyną był fakt, że się nieszczęśliwie kochał, że się poczuł byronowskim samotnikiem. Żółkiewski uważa, że wśród fałszywych interpretacji tego okresu życia Mickiewicza ta właśnie jest najpopularniejsza.

„Geniusz musi być dla nich (tj. dla burżuazyjnych historyków literatury — R.Z.) aspołeczny i samotny. Warunkiem ocknienia się genialności Mickiewicza musiało być zerwanie z Filomatami, którzy opętali poetę płaskim, utylitarnym społecznikostwem. W Kownie czekała go samotność, tam... dojrzał i rozkwitł. Pogłębił go, uskrzydlił osobisty dramat miłosny. Mogła się wykluć osobowość religijna." *)

Okazuje się więc, że z wyjątkiem religijnej osobowości, o której u Żeleńskiego nie ma nawet wzmianki, cała niemal Boyowska inerpretacja pokrywałaby się z interpretacją... Kleinera.

Ale nawet w tym wypadku poglądy Boya popadały częściowo w konflikt z oficjalną nauką o Mickiewiczu. Głosiła ona wprawdzie konieczność specyficznie pojmowanego „przezwyciężenia" filomatyzmu przez poetę, ale jednocześnie podkreślała dodatni wpływ, jaki miało chrześcijańskie wychowanie w w związku Filomatów.

W wychodzącym w latach 20-tych organie Chrześcijańskiego Związku Akademików (którego przybudówka w gimnazjach nosiła nazwę Towarzystwa im. A. Mickiewicza), „Nasze Drogi", bardzo często spotykamy powoływanie się na Filomatów i Mickiewicza jako na tych protoplastów Związku, którzy mieli być szczególnymi patronami jego reakcyjnej ideologii. Była to zwykła metoda. Tworzono sobie Filomatów czy Mickiewicza na obraz i podobieństwo własne, a potem do takiego własnoręcznie stworzonego Mickiewicza „nawiązywano".

Rzecz oczywista, że zupełne pominięcie przez Boya owej religijności musiało denerwować naukowych opiekunów tej faszyzującej młodzieży akademickiej.

Okazuje się więc, że aby zrozumieć przebieg i sens całej sprawy brązowniczej, trzeba sięgnąć do polityki. Nie mówiąc o polityce nie będziemy w stanie zrozumieć, skąd się na przykład w XX w. wzięła ta gorąca apologia szarlatana i mistyka Towiańskiego, jaką wywołała między innymi książka Boya.

Cała kampania o Mickiewicza toczy się w latach 1928—1930. Jest to bardzo ciekawy okres walki politycznej w kraju, okres skomplikowany przez to, że obok podstawowej walki klasy robotniczej przeciw burżuazji i jej partiom, wewnątrz obozu burżuazyjnego toczy się ostra walka między poszczególnymi ugrupowaniami.

Oceniając sytuację w kraju w latach 1928—1930, V Zjazd KPP stwierdzał w swych uchwałach, co następuje:

„Nacisk ruchu rewolucyjnego łącznie z uporczywym kryzysem gospodarczym zaostrza wewnętrzne sprzeczności i podważa podstawy dyktatury faszystowskiej (...) Kryzys gospodarczy i postępujący rozkład stabilizacji kapitalistycznej staje się podłożem tarć, przegrupowań i walk wewnętrznych w obozie faszystowskim. Tarcia te i walki odzwierciadlają niezadowolenie szerokich warstw drobnej i po części średniej burżuazji w mieście i na wsi, rujnowanych przez kryzys gospodarczy. Rząd, który w znacznej mierze wyczerpał swe rezerwy, ułatwiające mu zjednywanie za pomocą koncesji niezadowolonych grup

*) S. Żółkiewski: Spór o Mickiewicza, Wrocław, 1952; str. 52.

burżuazji, wszystkie swoje środki wkłada w realizację programu gospodarczego wielkich kapitalistów i obszarników..."

W wyniku narastania kryzysu rewolucyjnego i coraz wyraźniejszej niezdolności sanacji do rządzenia krajem, do wydobycia go z depresji gospodarczej, w łonie samej burżuazji normalnie istniejące tarcia zaczęły przybierać na sile.

„Walka Centrolewu i endecji z sanacją — czytamy w uchwałach V Zjazdu KPP — nie jest buntem drobnomieszczaństwa i średniej burżuazji przeciw hegemonii monopolistycznego kapitału, lecz walką o zmianę w układzie sił rządzących w granicach tej hegemonii i w interesach przede wszystkim tego kapitału. Jest ona wyrazem wysiłków burżuazji zmierzających do stworzenia mocniejszego wału ochronnego przeciw wzbierającemu potokowi rewolucji".

Tak oto esseje mickiewiczowskie Żeleńskiego ukazały się w warunkach wyjątkowego nasilenia walki klasowej zarówno między klasami antagonistycznymi społeczeństwa burżuazyjnego, jak i wewnątrz klas rządzących. Oceniając znaczenie przedmowy oraz Brązowników pamiętać musimy, że postać poety była w tej walce politycznej, prowadzonej przez burżuazję polską i jej poszczególne odłamy, ważkim atutem politycznym. Mickiewicz fałszowany przez burżuazyjnych interpretatorów, Mickiewicz, przeciw któremu wystąpił Żeleński, Mickiewicz „brązowy", nie był po prostu poetą. Był, zależnie od uzdolnień i przekonań politycznych interpretatorów i publicystów, już to Mickiewiczem - protoplastą Piłsudskiego, już to Mickiewiczem-wieszczem arcychrześcijańskim endecji, już to nacjonal-socjalistą z broszurek PPS-owskich polityków.

W okresie narastającego kryzysu politycznego, gdy pomiędzy poszczególnymi partiami burżuazji szła walka o metody rządzenia masami ludowymi, taki „swój" Mickiewicz miał wyznaczoną pozycję.

Mickiewicz zawsze odgrywał wyjątkową rolę w życiu narodu polskiego. Był on nie tylko genialnym poetą i jako taki wyrazicielem dążeń i marzeń narodu, był on za życia jeszcze politycznym jego przywódcą o ogromnym autorytecie moralnym. Krytykowany, czy to przez demokratów (za Księgi pielgrzymstwa i w okresie towiańszczyzny), czy przez Zygmunta Krasińskiego w latach Wiosny Ludów za komunizm, nigdy nie przestał być dla milionów Polaków wieszczem w pełnym tego słowa znaczeniu. Z tą jego pozycją zawsze (jeszcze za życia poety) musieli się liczyć ideolodzy klas posiadających.

Mickiewicz był rewolucjonistą, geniuszem poetyckim tej Polski, która była rewolucyjną częścią Europy. Wobec ideologów-rewolucjonistów klasy rządzące zawsze stosują dwie metody: przemilczenia i fałszowania.

Przemilczeć Mickiewicza nie można było, nie darmo był krwią i sercem całego narodu. Zastosowano metodę drugą — zafałszowanie.*)

Przyniosło to zresztą poważną korzyść: miało się „swego" Mickiewicza na „swój" polityczny użytek.

I oto niczym Piłat w Credo wpada przedmowa do dzieł Mickiewicza, pisana przez człowieka cieszącego się ogromną w kraju, szczególnie wśród inteligencji, popularnością, przedmowa, która zwraca się wprost do tych polityków i do ich uczonych:

„Wezwać naszych społeczników, polityków, moralistów, bakałarzy, aby — tak samo jak bolszewicy zwracają nam

*) Ściśle rzecz biorąc była to metoda „kombinowana": fałszerstwo z domieszką przemilczania. Ten drugi chwyt stosowano wobec Mickiewicza z „Trybuny Ludów" czy Mickiewicza-wolterianina.

nasze skarby sztuki — zwrócili, bodaj na jakiś czas, Mickiewicza literaturze.

Zburzyć wszystkie pomniki Mickiewicza, odlać z nich wielką armatę i nabić w nią pewną ilość jego komentatorów".*)

Tych słów, jak i całej przedmowy, szczególnie w sytuacji politycznej, o której mowa była przed chwilą, nie można było zostawić bez odpowiedzi.

Zanim jednak zrelacjonuję przebieg i sens polemiki wokół esseju Mickiewicz a my, chciałbym zwrócić uwagę na jedną ciekawą sprawę, świadczącą o ewolucji Boya i o skomplikowanych drogach tej ewolucji.

Bez trudu można zauważyć, że Boyowskie wołanie o „wolnego" Mickiewicza zakłada, iż może istnieć jakaś czysta, tzn. apolityczna nauka o literaturze. Pozornie zatem mogłoby się wydawać, że stanowisko Boya, który o takiej „czystej" interpretacji Mickiewicza pisał jeszcze w recenzji krakowskiego przedstawienia Dziadów, nie uległo od 1919 r. zmianie. Mniemanie takie byłoby złudne.

W 1919 r. Boy mówił: mamy wolne państwo, mamy swoich polskich polityków, którzy państwem tym na pewno dobrze pokierują, sprawy polityczne w sztuce mogą nas nareszcie nie obchodzić.

Stanowisko jego wynikało zatem z wiary we własnych polskich polityków (tj. polityków burżuazyjnych), którzy przejmą na swe barki ciężary podejmowane w przeszłości przez Mickiewicza i Słowackiego.

Stanowisko Żeleńskiego w 1928 r. wynika nie z wiary, lecz z braku zaufania do tych polskich (burżuazyjnych) polityków: wołanie Boya w 1919 r. skierowane było obiektywnie przeciw prawdziwej wiedzy o Mickiewiczu, a w swoich dalszych politycznych konsekwencjach oznaczało poparcie dla burżuazyjnej Polski. Pozornie podobne stanowisko Żeleńskiego w 1928/29 r. skierowane było obiektywnie i subiektywnie przeciw oficjalnym, z nominacji ideowej klas rządzących, interpretatorom poety i w dalszych politycznych konsekwencjach przeciw mecenasom burżuazyjnej nauki. Mechanizm historii działa tu w sposób bardzo skomplikowany; jedno nie ulega wątpliwości — o ile Boy nie stracił jeszcze złudnej wiary w istnienie „czystej" nauki, to wyraźnie stracił wiele złudzeń wobec burżuazyjnych ideologów i ich nauki.

W gruncie rzeczy — w swoistej dziedzinie historii literatury — Boy przechodzi tu ową, tak znamienną dla wszystkich niemal ówczesnych polskich pisarzy-realistów, ewolucję, od wiary w to, że „nowa", tj. burżuazyjna Polska wszystkie sprawy i bolączki rozwiąże sama, do mniej lub bardziej radykalnego demaskowania tejże burżuazyjnej Polski. Droga od cytowanej uprzednio recenzji Dziadów do Brązowników i od recenzji Balladyny do recenzji Snu srebrnego Salomei — to żmudna i bardzo specyficzna droga historyka literatury od początkowych złudzeń do prawdy o Polsce, o jej literaturze, o świecie. Boy nie jest tu wyjątkiem; taką drogę, i mniej więcej w tych latach, przechodzi Tuwim, wcześniej przeszedł ją Żeromski; nie ma bodaj w literaturze polskiej dwudziestolecia prawdziwie znaczącego nazwiska, które by prawidłowości tej ewolucji nie potwierdzało.

Przedmowa Boya była przy wszystkich swych błędach „bombą". Reakcja ruszyła do boju. Jeden z pierwszych uderzył na alarm Adolf Nowaczyński. 27 stycznia w stałej swojej rubryce Ofensywy zamieścił brudny (jak zwykle) i antysemicki (jak zwykle) felietonik wymierzony przeciw Żeleńskie-

*) Boy o Mickiewiczu, op. cit., str. 4.

mu, w którym on — zawodowy paszkwilant, kalumniarz i denuncjator — załamywał ręce nad tym, że Boy „zohydza naszych wielkich i największych".*)

Rozpatrzmy zasadnicze argumenty partii burżuazyjnych, wytyczone w polemice z przedmową Boya do dzieł Mickiewicza.

Sanacja: artykuł Lechonia w „Pamiętniku Warszawskim" i artykuł H. Elzenberga w teoretyczno-kulturalnym miesięczniku sanacji, „Droga".

Artykuł Lechonia jest bardzo „grzeczny". Autor wyraża wiele szacunku dla Boya i wypisuje mniej lub bardziej poetyckie uwagi o Mickiewiczu. W jednym tylko punkcie jest wobec przedmowy Żeleńskiego nieubłagany; wie i twierdzi z całą stanowczością, że Mickiewicza nikt nie zakłamuje.**) Tylko tyle.

Skąd jednak ta pewność? Aby odpowiedzieć na to pytanie, sięgnijmy do napisanej przez Lechonia w rok później przedmowy do Dzieł Słowackiego, które ukazały się w tej samej edycji, co poprzedzone atakowanym wstępem Boya Dzieła Mickiewicza. Tego rodzaju konfrontacja pozwoli nam na ujawnienie politycznego charakteru stosunku Lechonia do wielkiej poezji narodowej.

O ile wstęp Żeleńskiego jest programowo wymierzony przeciw fałszerstwom dokonanym przez burżuazyjnych ideologów na Mickiewiczu, o tyle przedmowa Lechonia programowo utrwala sanacyjną legendę Słowackiego. Jest więc Słowacki dla Lechonia przede wszystkim poetą antydemokratycznym.

„Zaiste — pisze on — ideał równości, o który wołali demokratyczni krzykacze, był Słowackiemu obcy".***)

Tak ogólnikowe twierdzenie jest po prostu fałszerstwem. Wprawdzie w spuściźnie poetyckiej Słowackiego nie brak ironii zaadresowanej do ówczesnych polskich demokratów (przede wszystkim do sporów w łonie TDP), ale prawda wymaga nadto stwierdzenia, z jakich pozycji dokonywała się ta krytyka. Lechoń woli o tym milczeć. My zaś wiemy, że w miarę rozwoju ideowego poety była to coraz bardziej krytyka „z lewa".

Słowacki Lechonia jest nie tylko „arystokratą". Jest on również religiantem, czego nie zapomniała później podkreślić i pochwalić usłużnie krytyka.*)

Wreszcie Słowacki sprokurowany przez Lechonia jest nieomal wprost piłsudczykiem. Ton przedmowy Lechonia, świadomy i fałszowany dobór cytatów (a wiadomo, że przy pomocy odpowiednio „zorganizowanych" cytatów można udowodnić, co się chce) — wszystko razem ma na celu stworzenie takiego obrazu poety, który niewiele różniłby się od wzorca osobowego działacza BBWR.

Pewność Lechonia, iż nikt w Polsce nie fałszuje Mickiewicza, opierała się przede wszystkim na tym, że Mickiewicz, którego on uznawał, był to właśnie Mickiewicz zafałszowany, okrojony do potrzeb sanacyjnej propagandy. W samej recenzji przedmowy Boya Lechoń posługuje się następującą paralelą:

„...w roku, zdaje się, 1910 Piłsudski, będąc w Abazzi stawiał pasjansa, czy będzie naczelnym wodzem. Jeżeli ta scena wydaje się prorocza i wzniosła, to zgódźmy się, że i Mickiewicz na czele legionu nie był komiczny".**)

Porównanie to jest znakomitą ilustracją klimatu moralnego, w którym dokonywała się nagonka na Boya — autora Brązowników.

*) A. Nowaczyński: Tragedia Boya, „Myśl Narodowa", 1929, nr 4; str. 63. Żywi ludzie jeszcze się wówczas nie ukazali, ale Boyowska przedmowa drukowana była w „Wiadomościach Literackich" w 1928 r.
**) J. Lechoń: Adam Mickiewicz... „Pamiętnik Warszawski", 1929, nr 1; str. 247.
***) J. Lechoń: Słowacki. „Wiadomości Literackie", 1930; nr 12.

*) Por. L. H. M.: Juliusz Słowacki, „Pamiętnik Warszawski", 1930; nr 3.
**) J. Lechoń: Adam Mickiewicz. „Pamiętnik Warszawski", 1929; nr 1; str. 245—6.

Abstrahując od takiego „drobiazgu", jak to, że Boy bardzo mocno podkreślał, ż właśnie okres legionu włoskiego, okres Wiosny Ludów, wyzwolił na nowo wielkość Mickiewicza *), zważcie, jak subtelnej operacji dokonuje w tym cytacie Lechoń.

W jego „argumentacji" zostaje przeprowadzona linia równoległa między Mickiewiczem-rewolucjonistą, Mickiewiczem walczącym „o wolność waszą i naszą", a Piłsudskim, który już w tych latach współpracując z wywiadem austriackim przygotowywał zbrojne oddziały, mające stanowić zalążek aparatu ucisku przyszłej „autonomicznej" Polski w ramach monarchii austro-węgierskiej. W ten to sposób Lechoń za jednym zamachem zbiera potrójny zysk: wywyższa Piłsudskiego, fałszuje Mickiewicza i — pośrednio — oskarża Boya o nielojalny stosunek do „Komendanta".

Oto cała prawda: Mickiewicz i Słowacki mają w ramach nadbudowy burżuazyjnej Polski spełnić określoną funkcję klasowo-wychowawczą — kto jak Żeleński dowodzi, że ta funkcja oparta jest na fałszach, zatajeniach i przeinaczeniu, ten z natury rzeczy musi być przez ideologów tejże nadbudowy potraktowany jako wróg.

Z podobnych pozycji wystąpił przeciw Boyowi H. Elzenberg na łamach teoretycznego pisma sanacji, „Droga".

„Boy — pisze H. Elzenberg — poza sprawą grzechów poety, dotknął przecież i najważniejszego pytania o nasz do poety stosunek, a wraz z nim jeszcze większego (...), jaki winien być nasz stosunek do wielkich twórców w ogóle". **)

„Każdy raz poznany ideał — formułuje Elzenberg swój w tej materii pogląd — jest prawidłem postępowania: nie mniejszą jednak siłę nakazu ma każda wielkość konkretna, odczytana z żywych dążeń i czynów. Każda jest wzorem, który nie może, ale winien być naśladowany... *)

Wzruszysz ramionami, czytelniku, i powiesz, że to nic nie znaczy, że to jest osiemnasta woda po kisielu Kantowskiej etyki. Te mętne sądy mają jednak swoje znaczenie. Pamiętaj, że wówczas (w 1929 r.) była w Polsce jedna „wielkość" z żywymi dążeniami i czynami — „moralny dyktator" (jak pisał Daszyński), Piłsudski.

Klucz do zrozumienia pozycji Elzenberga tkwi nie w immanentnej analizie jego mętnych sądów o Mickiewiczu i wielkości, ale w ówczesnej atmosferze politycznej, w atmosferze narastającego faszyzmu z jego kultem imperatywu wodza. Ta sama „Droga" pisała przecież (już nie w związku z Boyem, a „w ogóle"), że wielbiciele parlamentaryzmu nie znają „psychologii gromady" (Polacy już dla rodzimych faszystów byli nie narodem, lecz gromadą), że nie sejm może uspokoić umysły i zaprowadzić porządek. Tego „...może dokonać tylko jeden człowiek, stojący ponad partiami i cieszący się bezspornym autorytetem. **)

Mając na uwadze tę kluczową sprawę, możemy zrozumieć istotny sens ataku sanacji na Boyowską przedmowę. W artykule Elzenberga aż dziw jak mało mówi się o Mickiewiczu. Cała filipika skupia się wokół jednego problemu: Boy nie chce uznać „wielkości". Mówiąc wprost językiem politycznym — Boy utrudnia nam ugruntowanie naszej wielkości, wielkości Piłsudskiego.

Pisał o tym niemal wprost profesor Adamczewski:

„Nie pyta (Boy — R.Z.)... jaka to aura sprzyja zdrowemu wzrostowi społe-

*) Por. Boy o Mickiewiczu, op. cit.; str. 22—23.
**) H. Elzenberg: Wielkość i my. „Droga", 1929; nr 6; str. 573.

*) Tamże, str. 574.
**) S. Paciorkowski: Dookoła wymiaru sprawiedliwości, „Droga", 1929 r.; nr 4; str. 414.

czeństw; aura prawdy czy może aura „kłamstwa“ — „legendy“.*)

Zacny profesor-metafizyk przezornie ujmuje słowo kłamstwo w cudzysłów, co ma zapewne oznaczać, że nauka i tak nie może orzekać, co jest prawdą, a co kłamstwem. Ale nawet z tym znakomitym naukowym cudzysłowem wyłazi z tego zdania cała reakcyjność i zakłamanie przeciwników Żeleńskiego.

Proszę mi wybaczyć, że relacjonując tę polemikę nie piszę o sprawach poezji, piękna itp. Dzieje się tak dlatego, że cała kampania wokół Brązowników nie zajmuje się tymi sprawami. Jest to przede wszystkim kampania polityczna na terenie historii literatury. Przedmowa Żeleńskiego była wymierzona przeciw reakcyjnej burżuazji i cały obóz faszyzmu polskiego ruszył do ataku.

W Boyowskim felietonie Brązownicy otwierającym książkę i dającym jej tytuł, czytelnik znajdzie dość bogaty wybór wypowiedzi na ten temat, pochodzących z różnych stron: i od katolika Miłaszewskiego, i z faszystowskiej gadzinówki „Głos Narodu“, która wprost pisze, że Żeleńskiego trzeba „wyrżnąć w pysk“. Nie będę tych cytatów powtarzał, podam jeszcze tylko jeden przez Żeleńskiego nie notowany.

Faszystowski szmatławiec, „Gazeta Narodowa“, piórem swego redaktora naczelnego, J. Kozickiego, również domaga się po prostu zbicia Żeleńskiego i „przy okazji“ załatwia jeszcze jedną sprawę:

„Najlepiej jest zignorować go zupełnie (tzn. najpierw pobić, a potem zignorować—R. Z.), jego tłumaczeń nie czytać (...), uczyć się tymczasem francuskiego języka, a to w tym celu, aby (...) nie zapoznawać się z treścią makulatury francuskiej, tłumaczonej przez Boya“.**)

*) J. Adamczewski: Boy-Żeleński Ludzie żywi, „Pamiętnik Warszawski“, 1929, nr 3; str. 177.

**) J. Kozicki: Boy o Mickiewiczu, „Gazeta Narodowa“, 1929; nr 9.

Ale nie chodzi tu o jeszcze jeden dowód barbarzyństwa. Znamienne jest, że piśmidło, które wzywa do rękoczynów, reprezentuje już wówczas koncepcje późniejszego OZON-u, tj. porozumienia wszystkich ugrupowań faszystowskich od sanacji do endecji i OWP, oraz dogadania się z „uczciwymi“ PPS-owcami, tj. Daszyńskim i Moraczewskim.*)

Znamienne, że właśnie ta mała gazetka z szeroką platformą nazywa Tuwima „wszą tyfusową“ i wzywa do pobicia Boya, znamienne, ponieważ pokazuje, skąd szła zagłada kultury polskiej i przeciw komu trzeba było walczyć chcąc tę kulturę uratować.

Zaatakowany ze wszystkich stron Żeleński rozpoczął obronę, a raczej, jak dobry strateg, kontratak. Z tego kontrataku powstali Brązownicy.

Czy Boy rozumiał polityczny sens całej sprawy? Owszem. Przynajmniej o tyle, o ile mógł ją rozumieć programowo „bezpartyjny“ inteligent. Przecież w przedmowie pisał, że chodzi o politycznie zakłamanego Mickiewicza. We wspomnianym przed chwilą felietonie Brązownicy pisze wręcz:

„Wszystko to — to powrót do epoki już nie brązowej, ale krzemiennej. Bo pozwolę sobie zwrócić uwagę zwolenników „brązu“ na ujemne skutki tego metalu w dziedzinie literackiej. Odpadkami tego brązu nabijają pałki pałkarze, na tym brązie ostrzy swoją zatrutą broń świętoszek... I kiedy się patrzy na te orgie głupoty i nikczemności rozpętane w imię pietyzmu, wolałoby się doprawdy mniej „pietyzmu“, a więcej prostej uczciwości...

...Oryginalny w istocie jest ten cały mickiewiczowski najazd (...) w tym brązowym polonezie łączą się fantazyjnie pary: pan Lechoń z panem Lorentowiczem (...) senator Posner z panią Heleną Rommer... Coś w tej harmonii jest

*) J. Kozicki: Rok 1929 niech będzie rokiem zapomnienia, „Gazeta Narodowa“, 1929; nr 1.

nie w porządku, trzeba nam będzie jeszcze wrócić do tego przedmiotu".*)

Ale rozumiejąc w pewnym stopniu polityczną pozycję swoich przeciwników Boy w małym bardzo stopniu rozumie swoje własne miejsce w tym sporze. Wskazywałem na to, że Żeleńskiemu chodzi o „czystą" wiedzę o poecie, tj. o taką, która nie będzie miała nic wspólnego ze społeczną pozycją badacza. Naiwna wiara w istnienie takiej wiedzy jest cechą charakterystyczną wielu postępowych inteligentów lat międzywojennych. Jest coś tragicznego w tej walce prowadzonej przeciw faszystowskiej nauce w imię nauki apolitycznej. Ale jest jednocześnie pęknięcie w postawie badacza, które będzie się mściło na rezultatach jego pracy.

Przejdźmy zatem do samych Brązowników. Omawia ta książka głównie trzy sprawy. Fałszowanie, ukrywanie i niszczenie dokumentów przez mickiewiczologów, a przede wszystkim przez Władysława Mickiewicza, sprawę Xawery Deybel i sprawę Towiańskiego.

Zastanówmy się kolejno nad tymi problemami.

Ukrywanie i niszczenie dokumentów. Sprawa miała rezczywiście posmak skandalu, ale skandalu kompromitującego wybitnych uczonych.

Przypomnijmy sobie choćby taki drobiazg. Pod koniec XIX wieku w „Bluszczu" ukazały się fragmenty pamiętnika Zofii Komierowskiej. Otóż niektóre partie tego pamiętnika, zawierające materiały kompromitujące Towiańskiego, zostały przez redakcję „Bluszczu" opuszczone. Kallenbach uznał na tej podstawie, że skoro redakcja je opuściła, to musiały to być widocznie ustępy mało wiarygodne.

„Nie wchodzę w krytykę ustępu pamiętnika (...) — pisze na marginesie tego Boy — ale jak wam się podoba ta metoda naukowa? Opuszczenie ustępu przez redakcję „Bluszczu" — osławionego już w owym czasie dla swojej pruderii (patrz listy Żmichowskiej) — wystarczy uczonemu profesorowi do unicestwienia zeznań bezpośredniego świadka. O metodo!"*)

Wydaje się, że doraźne znaczenie wydobycia tej sprawy przez Boya było znacznie większe od jej znaczenia, że tak powiem, historycznego. (Nie jest to pomniejszenie wagi problemu. W historii nauki często tak bywa, że jakiś spór, posiadający w danej epoce bardzo duże znaczenie, z upływem czasu blednie.) Nie będę się tu zastanawiał nad tym, czy we wszystkich punktach tej sprawy miał Boy rację absolutną, czy się gdzieś nie „potknął". Wydaje się, że nie jest to istotne. Istotne natomiast jest, iż udowodnił np. w związku z pamiętnikami Szymanowskiej i Komierowskiej, że mickiewiczolodzy fałszowali i ukrywali dokumenty dotyczące poety, że czynili to w sposób tendencyjny.

Na czym polegało doraźne znaczenie tego faktu?

Przede wszystkim chyba na tym, że w sposób jaskrawy uświadomił Boy społeczeństwu, iż jest w tej materii oszukiwane. Wskutek tego uległo zachwianiu również zaufanie do tych ideologicznych interpretacji, których dziełem był „trzeciomajowy Mickiewicz". Niewątpliwie więc ta część mickiewiczowskiej kampanii Boya miała charakter postępowy; było to coś w rodzaju skandalu naukowego jako czynnika ewolucji społecznej, jakby powiedział Nałkowski. Normalną bowiem koleją rzeczy czytelnik, który dotychczas wierzył święcie Szpotańskiemu czy Kallenbachowi, zaczynał się zastanawiać nad wartością tego, co mu o Mickiewiczu mówiono. Żeleński zresztą trafnie łączył owe praktyki z dokumentami — z pozycją ówczesnej burżuazyjnej hagiografii.

*) Boy o Mickiewiczu, op. cit.; str. 47—48.

*) Tamże; str. 81.

„Jeżeli bowiem idzie o zachowanie »posągu« z brązu, w takim razie i tę cenzurę powinno się uznać za zbawienną i pożądaną. Niszczenie dokumentów byłoby naturalną konsekwencją tego stanowiska. Łączenie natomiast tego „brązownictwa", jak je nazwałem, z prawami krytyczno-literackich badań zawsze wyda coś bardzo niepełnego, coś zakłamanego, fałszywego. Albo — albo. Nauka, której się odmawia prawa do „mikroskopu", nie może być nauką; nauka, której z góry chce się narzucić uświęcone konkluzje, też nie może być nauką".*)

Niemniej trzeba powiedzieć, że od tej strony atak Boya nie sięgał zbyt głęboko. Możemy sobie przecież wyobrazić, że wszystkie dokumenty biograficznie dotyczące Mickiewicza opublikowano... I co wtedy? Czy od tego burżuazyjna mickiewiczologia stałaby się prawdziwsza? Chyba w minimalnym stopniu. Jeśli założyć, że w Cahiers Balzaciens, na które powołuje się Żeleński, opublikowano wszystkie dostępne balzakiana, to burżuazyjna interpretacja Balzaka nie stała się przez to prawdziwsza.**)

Atakując tę stronę (a że celnie — to musiał przyznać profesor Pigoń) Boy zahaczał zatem nie tyle o zasadnicze dla krytykowanej przez siebie metody sprawy, ile o wyjątkową zupełnie pruderię i, powiedzmy, naiwność burżuazyjnej polonistyki.

Pozycję Boya osłabił w pewnej mierze również fakt, że całą sprawę tajenia i przemilczania papierów dotyczących poety związał ze sprawą Xawery, tj. z jedną ze słabszych stron książki.

Cała ta partia Brązowników powstała i była dość konsekwentnie utrzymana w duchu wymogów metody biografistycznej. O jej zasadniczych błędach była już mowa w związku z esejami Boya o Narcyzie. Nie powracając zatem do sprawy natury metodologicznej postaram się na przykładzie Xawery wykazać, jakie skutki polityczne w sporze z reakcyjną polonistyką pociągał za sobą biografizm.

Jednocześnie jednak zastrzegam się, że krytykując Boya za sprawę Xawery nie uważam bynajmniej, iż należy ją w ogóle z życiorysu poety wykreślić. W tym wszystkim, co Żeleński o Xawerze pisał, było aż nadto błędów, ale pod jednym względem miał on rację — nie można mówić o przyczynach wpływu „mistrza" na poetę, nie wspominając o owej „xiężniczce izraelskiej". Ostatecznie wpływy ideowe chadzają różnymi drogami. Różnica między nami a Boyem będzie polegała nie na tym, iż my powinniśmy zaprzeczać istnieniu i wpływom panny Deybel na poetę, lecz na tym, że wbrew wyznaczeniu jej przez Boya dominującego miejsca w życiu Mickiewicza-towiańczyka, najpierw powinniśmy szukać głównej, tj. ideologicznej przyczyny załamania się poety, a dopiero potem zająć się wtórnymi elementami tego procesu. Jednym z takich wtórnych elementów była Xawera Deybel, osoba, która — o paradoksie historii! — do literatury polskiej weszła nie dzięki Mickiewiczowi, lecz dzięki dwum złośliwym wierszom Słowackiego.

W oświetleniu Żeleńskiego sprawa Xawery urosła do rozmiarów niemal kosmicznych. Chcąc udowodnić, że tradycyjna mickiewiczologia fałszowała świadomie obraz poety, Żeleński wydobył na jaw sprawę pamiętnika Zofii Szymanowskiej, szwagierki Mickiewicza. W sposób przekonywający udało mu się pokazać, jakimi metodami, do szantażu moralnego włącznie, posługiwali się brązownicy, jak zatęchła była atmosfera zakrystiańskiego kultu poe-

*) Boy o Mickiewiczu, op. cit.; str. 63.

**) „Jeśli rozważyć postawę burżuazji wobec największego swego realisty, Balzaka, to okaże się, że wrogość jej rosła z pokolenia na pokolenie" — pisze w „Nowej Kulturze" (1954 r., nr 19) krytyk francuski, André Wurmser.

ty. Jest to cenny bardzo dorobek postępowej mickiewiczologii.

Ale jednocześnie w imię wymogów biografizmu Boy zaczął przypisywać Xawerze rolę, której w ewolucji ideowej poety nie mogła odgrywać. Wbrew wszelkim wypowiadanym przez siebie słusznym postulatom, aby pokazać pasowanie się Mickiewicza z samym sobą, aby ukazać jego niespokojną, wiecznie poszukującą ideału osobowość, Boy — wysuwając sprawę Xawery na plan pierwszy — spłycił niesłychanie problem. Partie książki poświęcone Xawerze — *nota bene* znakomicie napisane — miast ideowej tragedii geniusza dają nam salonową komedię o ponurym mężu i „fatalnej" kochance. Czy te partie Brązowników mają jakąś wartość poznawczą? Chyba minimalną, a już na pewno stojącą w ogromnej dysproporcji do ogromu rzeczywistych zadań rewizji wiedzy o Mickiewiczu.

Nie wystarczy jednak w danym wypadku ograniczyć się do stwierdzenia naukowej przydatności lub nieprzydatności Boyowskich rozważań o Xawerze. Ostatecznie, z punktu widzenia nauki w rozumieniu pozytywistycznym, tj. nauki głoszącej kult idealistycznie rozumianego „faktu", można by bronić Boya, twierdząc, iż jego enuncjacje na temat panny Deybel wzbogaciły wiedzę o Mickiewiczu o kilka nowych faktów. Ale w całej tej brązowniczej kampanii chodziło przede wszystkim o sprawy czysto polityczne, o to, czy i w jakim stopniu uda się Żeleńskiemu dowieść fałszywości założeń i metod uniwersyteckiej polonistyki. I w tym właśnie czysto politycznym sensie Boy dał się „nabrać" na Xawerę.

Po opublikowaniu przedmowy do Dzieł Mickiewicza nie było jeszcze jasne, w jakim kierunku pójdzie dalsza ofensywa Boya. Otóż dla jego przeciwników, dla ludzi broniących „brązowego" Mickiewicza najniedogodniejszą rzeczą byłoby, gdyby Żeleński ostrze swego rewizjonizmu zwrócił w stronę spraw natury ideologicznej, tak jak to w pewnej mierze uczynił pisząc o Towiańskim. I tu dotykamy sprawy ważnej — obiektywnej funkcji biografizmu. Bo myśląc przede wszystkim o odkłamaniu biografii poety (co samo przez się było również potrzebne), i to odkłamaniu jego biografii erotycznej (co nie było zadaniem pierwszej wagi), ułatwił swoim przeciwnikom obronę. Patrzcie — mówili oni — ten cały Żeleński posądza nas o Bóg wie co, a sam zajmuje się takimi głupstwami, jak to, czy jakaś panna Deybel miała z Mickiewiczem dziecko, czy nie.

Żeleński wprawdzie pisał nie tylko o tym, ale jego wrogowie uchwycili się tej sprawy, ponieważ pozwoliło im to przy okazji pokryć milczeniem kwestie znacznie ważniejsze, a przez Boya również podniesione. Dla publicystów „Drogi" czy „Myśli Narodowej" było oczywiste, że im bardziej Boy zabrnie do alkowy, tym mniej będzie pisał o związkach poety z pokoleniem rewolucjonistów 1848 roku. Biografizm odgrywał w tej kampanii rolę przysłowiowej dywersji ideologicznej, z tym, że — o ironio losu! — rozbrajał on nie kogo innego, lecz samego Boya, osłabiał jego pozycję w walce ze wsteczną, służącą burżuazji nauką.

Oczywista nie wszyscy przeciwnicy Boya i nie zawsze świadomie „popychali" go w tym kierunku. Oburzenie na Żeleńskiego miało swe źródło w wyjątkowej bigoterii znacznego odłamu nauki i publicystyki polskiej. Faktem jest jednak, że hałas wokół Xawery pozwalał tym naukowcom i publicystom topić sprawę w Brązownikach najważniejszą, sprawę „mistrza Andrzeja".

Sprawa „mistrza Andrzeja" jest bardzo znamienna dla naukowego i politycznego upadku burżuazyjnej myśli

naukowej w Polsce okresu imperializmu.

Mistyk i reakcjonista, szarlatan i nieuk, któremu na kilka lat udało się opanować umysły dwóch naszych największych poetów, pasowany został na wychowawcę narodu. Nauka burżuazyjna z zapałem godnym lepszej sprawy głosiła chwałę Towiańskiego; wbrew wszelkim oczywistym faktom rozpisywano się o rzekomym dobroczynnym wpływie „mistrza" na Słowackiego i Mickiewicza, w XX wieku kazano młodzieży polskiej szukać natchnienia w bezsensownej pisaninie sprytnego znachora.

Rzecz przy tym charakterystyczna: o ile w latach 40-tych ubiegłego wieku jest Towiański wprost atakowany przez burżuazyjnych demokratów polskich, o ile jeszcze liberał i racjonalista Chmielewski odnosi się do niego z dużą rezerwą, o tyle w XX wieku oficjalna krytyka Towiańskiego — jeśli w ogóle się pojawia — jest krytyką prowadzoną z pozycji prawowiernego katolicyzmu. Krytyczny stosunek Kallenbacha do nauki „mistrza" wyraża się na przykład w oburzeniu z powodu tego, że „nie wspomni (Towiański — R.Z.) w liście do Rotszylda ani słówkiem o Jezusie Chrystusie". *)

Poza tego rodzaju krytyką — w stosunku do „mistrza Andrzeja" — dominował ton wiernopoddańczy. Wybitny mickiewiczolog pisał o kole paryskim: "...na tym zagonie pracy jednego pokolenia wyhodowano wartości naprawdę rzetelne, godne zanotowania w bilansie zysków kulturalnych Polski". **)

Jeśli zauważymy przy tym, że w artykule podkreślony jest elitarny charakter i żołnierski rygor panujące w kole — to można powiedzieć, że jesteśmy w domu.

„Renesans" towianizmu jest bowiem jedynym z przykładów owego współżycia ideologii feudalnej z faszystowską, o którym pisałem w rozdziale pierwszym.

Stosunek oficjalnej polonistyki do towianizmu jest jednym z klasycznych przykładów tego procesu, w którym mistyczna, nawołująca do doskonalenia wewnętrznego, odwołująca się m. in. do pomocy cara, ubrana w szatki średniowiecznej sekty ideologia — zaprzęgnięta została w charakterze siły pociągowej do pstrej budy „nowoczesnych" intuicjonizmów itp. Boy słusznie zwraca uwagę na to, że Młoda Polska podbiła w górę akcje towiańczyków; był to przecież okres, w którym uwstecznienie pozycji społecznej i ideowej burżuazji nabiera rumieńców nie tyle świeżych, co agonalnych, ale zawsze rumieńców.

W tej sytuacji esseje Żeleńskiego, w których atmosfera „koła" nazwana została wyjątkowo trafnie „ponurą dostojewszczyzną", a sam „mistrz" — „znachorem", były przysłowiowym prądem świeżego powietrza.

W stosunku do Towiańskiego zabłysnął najlepszy Boy, Boy-racjonalista, znakomity pisarz pełen twórczego sceptycyzmu. W gruncie rzeczy i tu mamy, może tylko nieco zmienioną, metodę zdrowego rozsądku.

Zdemaskowanie Towiańskiego i towiańszczyzny dokonane zostało przez ukazanie rzeczywistego wpływu na Mickiewicza i Goszczyńskiego, przez zilustrowanie atmosfery panującej w „kole" i wreszcie przez dyskredytację postaci samego „mistrza". Jest wreszcie zasługą niewątpliwą Żeleńskiego, że „uspołecznił" dokumenty dotyczące spraw „koła". Tu nie o to chodzi, czy wszystkie te papiery były znane przed ukazaniem się Brązowników, czy też nie. Faktem jest, że jeśli nawet wszystkie były znane, to nie więcej niż

*) J. Kallenbach: Adam Mickiewicz, wyd. IV, Lwów, 1926; t. II; str. 377.
**) S. Pigoń: Program moralny towianizmu, „Nasze Drogi", 1926; zesz. III; str. 98.

stu osobom, które należały z różnych względów do spisku milczenia.

Nie chciałbym nikogo nużyć łatwo dostępnymi cytatami; sądzę, że dla każdego jest oczywiste, że takie esseje, jak Sprawa Karoliny — sprawa boża czy Advocatus diaboli poczyniły poważne wyłomy w micie o Towiańskim.

W kampanii, jaką Boy prowadził przeciw kultowi Towiańskiego, jeden element był szczególnie ważny i bijący w sedno sprawy. Antagoniści Boya zastosowali wobec tych wypowiedzi w Brązownikach metodę przemilczania — widocznie sprawa była zbyt „boląca", zbyt oczywista i jednocześnie dla nich nieprzyjemna. Oficjalna polonistyka usilnie podkreślała, że okres towianizmu i mistyki był okresem największego rozkwitu twórczości Mickiewicza i Słowackiego. Słusznie pisze przy tym Żeleński, że „...jako datę przełomu można by przyjąć epokę «Młodej Polski» (...) Przybyszewski i jego bezkrytyczny nieraz kult mistycyzmu, profesor Wincenty Lutosławski, którego osobistość i akcja są poniekąd nawiązaniem do towiańszczyzny, itd. Ta epoka poddała nauce o Towiańskim nowy ton, wedle którego zaczęto grać we wszystkie dudki. Trąci to wręcz rodzajem kanonizacji (...)"*)

Wbrew tedy dominującym tendencjom w nauce uniwersyteckiej Boy podejmuje proces dekanonizacji „mistrza". Wbrew tymże poglądom dowodzi w sposób przekonywający, że lata 1842—48 — to okres upadku największych polskich poetów, których Towiański zdołał oplątać misterną siecią płaskich intryg, których geniusz udało mu się dzięki sprzyjającym okolicznościom spaczyć, skierować na tory mistycznych dywagacji, wywołujących uśmiech zażenowania na ustach każdego normalnego człowieka. Znakomity z tego punktu widzenia jest essej Sprawa Karoliny — sprawa boża. Cytując w nim obszernie wspomnienia i listy towiańczyków, dające ponury obraz atmosfery w „kole", Boy pisze w zakończeniu:

„...tragiczna farsa paryskiego „koła", gdzie ludzie żyjący bez promyka słońca, nieraz w ostatecznej nędzy, jak stary Goszczyński, utopiwszy w towianizmie wszystko: siły, talent, zdolność do życia, szamocą się bezradnie, gryzą, szarpią, niezdolni już ani żyć w tym zaklętym kręgu, ani też się z niego wyrwać. Skoro wciąż „reklamuje się" towianizm niepospolitymi ludźmi, którzy doń przystąpili, pragnąłem ukazać, jak ci ludzie w nim się czuli i do jakiego ich stanu doprowadził." *)

Ta demaskatorska praca Boya wnosiła w ówczesną zatęchłą atmosferę polonistycznej kruchty wiew świeżego powietrza. Ilu ludziom, którym kazano bić pokłony przed nowoupieczonym świętym narodu polskiego, robiło się lżej na duszy po przeczytaniu szkiców Boya. Ilu z nich zastanowiło się nad całą sprawą Mickiewicz-Towiański, mając w pamięci inne słowa Boya:

„Listy sprzed 1848, a po 1848 r. (chodzi o listy Mickiewicza — R.Z.). Tamto epoka beznadziejna, najciemniejsza dla sprawy polskiej. Nikt o nas słuchać nie chce. Tu przypada pogrążenie się Mickiewicza w towianizmie, szamotanie się w sprawach „koła". Wybucha rewolucja. Z każdym ruchem rzecz polska staje się czymś realnym: znów Mickiewiczowi wyrastają skrzydła u ramion, mistrz Towiański i jego mistyka bezczynu schodzą na dalszy plan." **)

Być może miałby ktoś wiele zarzutów pod adresem nawet tych partii książki. Np. że Boy w minimalnym stopniu uwzględnia tło społeczno-polityczne to-

*) Boy o Mickiewiczu, op. cit.; str. 171—172.

*) Tamże; str. 150.
**) Tamże; str. 22.

wianizmu. Oczywiście chodziłoby nie o każde „tło". Profesor Kallenbach napisał o tym „tle" całą rozprawkę, która zawiera bez porównania mniej prawdy niż szkice Żeleńskiego. Chodziłoby więc o takie nakreślenie podłoża towianizmu, które by ukazało jego klasowo-polityczną genezę i funkcję. Tego u Boya rzeczywiście nie ma.

Można mieć pretensje o brak głębszej analizy filozoficznej nauki Towiańskiego. Boy takiej analizy nie mógłby dać. Ale nie jestem pewien, czy była ona potrzebna w książce tego typu.

Inna sprawa, że w swym procesie demaskowania Towiańskiego Boy wielu rzeczy sam nie rozumie. Ale to nie dowód, aby nań psioczyć (piszę to na wszelki wypadek pod adresem różnych nadgorliwców); proszę, napiszcie taki prawdziwie rzetelny szkic o Towiańskim.

I bądźcie zadowoleni z tego, że nie wszystko zostało zrobione przed wami.

Jednego tylko nie uda wam się zrobić po raz pierwszy: pokazać w odniesieniu do Towiańskiego — że król jest nagi. Bo to zrobił już Żeleński i to jest jego wielka wobec nauki polskiej zasługa.

Właśnie ukazanie drugiej, ukrywanej strony medalu wybitego przez reakcyjną polonistykę na cześć „mistrza" stanowiło — obok ataku na zafałszowanego przez reakcyjnych polityków poetę — przyczynę, dla której Boyowi nie mogli „wybaczyć" książki o brązownikach.

Pozycji bibliograficznych, związanych z tą książką, jest kilkadziesiąt. Prasa reakcyjna poświęciła książce Boya zaszczytnie wiele miejsca; przy czym cała kampania nosiła charakter przynajmniej w części organizowany.

Kiedy na łamach „Kuriera Warszawskiego" i „ABC" reakcyjny historyk, Szpotański, rozpoczął „walną" z Boyem rozprawę, to kompani z „Gazety Warszawskiej" sygnalizowali swoim czytelnikom „klęskę" Boya.

Ciemnogród na prowincji również dawał znać o sobie. „Dziennik Wileński", organ Stronnictwa Narodowego, które broniło „praw należnych Kościołowi Katolickiemu w państwie i zasad katolickich w życiu publicznym", aż w dwu odcinkach powierzył docentowi S. Cywińskiemu rozgromienie Boya.*) Artykuł Cywińskiego, będący streszczeniem broszury profesora Pigonia, o której za chwilę, ciekawy jest z jednego powodu.

Wspominałem, że na ocenę książki wpływ miał między innymi fakt, że autor jej był już autorem Dziewic konsystorskich. I rzeczywiście. Tenże sam docent Cywiński rok przed „rozgromieniem" Żeleńskiego z okazji Brązowników opublikował w tymże „Dzienniku Wileńskim", pod pseudonimem Ortodoxus, serię artykułów pt. Dekadencja Boya.

„Objawy dekadencji" Cywiński upatruje przede wszystkim w negatywnym stosunku Boya do katolicyzmu, no i właśnie w kampanii o cywilne ustawodawstwo małżeńskie.

„Reasumując te nasze wywody — kończy ostatni, czwarty artykuł Cywiński — stwierdzamy, że została już wydana walka podstawom katolickim naszej polskiej kultury, a w pierwszym szeregu szermierzy antykatolickiego frontu kroczy Boy (...) Dziś — idzie on już pełną parą ku zupełnemu upadkowi". **)

Samo przez się zrozumiałe jest, że jeśli człowiek tego typu, o którym pisał Cywiński, podjął atak na uświęcone przywłaszczonym imieniem poety pozycje reakcyjnej nauki — to nie mógł liczyć na żadne z tej strony poparcie.

W całej tej nagonce najpoważniejszym argumentem była broszura profe-

*) Cywiński: Pogrom Boya, „Dziennik Wileński", 1930; nr 116 i 117 z 21. i 22.V.
**) Ortodoxus: Dekadencja Boya, „Dziennik Wileński", 1929; nr 60 z 13.III.

sora Pigonia, opublikowana początkowo w „Myśli Narodowej“ pt. O Mickiewiczu i Towiańskim tudzież o brązownikach i brązoburcy.

Henryk Markiewicz w cytowanej tu już przedmowie do Obrachunków fredrowskich powołuje się m. in. na sąd Pigonia w związku z poruszeniem przez Boya sprawy Xawery Deybel. Zacytowane przez Markiewicza zdanie jest bez wątpienia słuszne i nie pozbawione szczypty attyckiej soli. U czytelnika może jednak powstać wrażenie, że cała broszura Pigonia jest równie słuszna. Byłoby to wrażenie mylne.

Praca polemiczna Pigonia odnosi się zarówno do przedmowy, jak i do Brązowników. Jeśli chodzi o przedmowę, autor zgadza się, że jest w niej szereg rzeczy ciekawych, ale w sprawie zasadniczej wypowiada się przeciw Boyowi.

Jak wiadomo Żeleński ostro zaatakował taki wizerunek poety, w którym jest on pełen ładu, spokoju, umiaru, w którym występuje jako obrońca „tradycji“ itp. Z tym się profesor Pigoń nie zgadza i mocno podkreśla, że nawet gdy poeta dawał się ponieść namiętnościom — to zawsze zwyciężał w nim „niemilknący wewnętrzny nakaz prawości“, co się przejawiło między innymi w stosunku do Kościoła. Dlatego, zdaniem profesora Pigonia, można mówić o „świętości Mickiewicza“.*)

Obiektywnie taka polemika z Boyem oznaczała obronę tradycyjnego Mickiewicza.

Następnie profesor Pigoń przechodzi do Brązowników, stwierdzając, że treść ich skupia się wokół czterech spraw: 1) proces wytoczony W. Mickiewiczowi o niszczenie dokumentów; 2) sprawa Xawery; 3) oskarżenie Towiańskiego; 4) walka z „brązownikami“.

W tym pozornie obiektywnym podziale Brązowników zastosowany został jeden chwyt: rozdzielenie walki z „brązownikami“ i „oskarżenie“ Władysława Mickiewicza.

Boy te dwie sprawy traktował jako jedną. Częstokroć podkreśla on, że nie chodzi mu o to, co syn poety robi z papierami rodzinnymi, lecz o to, że „rodzinną“ metodę W. Mickiewicza przyjęła oficjalna mickiewiczologia, że duch poczynań był tu wspólny.

Profesor Pigoń rozdzielał te dwie sprawy, ponieważ było to dlań dogodne. W sprawie Władysława Mickiewicza powie tylko tyle, że Boy przesadza, bo syn poety spalił niewiele dokumentów, a poza tym wtedy wszyscy niszczyli papiery.*) Oddzieliwszy zaś w sposób nieuprawniony sprawę „brązowników“ tj. sprawę fałszowania postaci poety, stwierdza po prostu, że atak Boya na „brązowników“ jest demagogiczny, niesmaczny i pełen niewiedzy, ponieważ na przykład Kallenbach miał negatywny (wskazywałem, jakiego rodzaju była ta negacja — R.Z.) stosunek do Towiańskiego. **)

W pozostałych dwóch punktach Pigoń ma względną rację w sprawie Xawery i absolutnie nie ma racji broniąc zaciekle Towiańskiego. Argumenty tej apologii „mistrza Andrzeja“ są z konieczności bardzo dziwaczne i niewiele z nauką mają wspólnego. Powołuje się Pigoń na przykład na sąd arcybiskupa Felińskiego, który wyrażał się o Towiańskim z dużym uznaniem.***) Zagadką pozostanie, dlaczego krytykując jako plotki sądy o Towiańskim przytoczone przez Żeleńskiego Pigoń każe wierzyć sądom arcybiskupa. Przecież dogmat o nieomylności nie obejmuje nawet kardynałów, a co dopiero mówić o arcybiskupie.

*) S. Pigoń: O Mickiewiczu i Towiańskim, „Myśl Narodowa“, 1930; nr 15; str. 231.

*) Tamże; str. 232.
**) Tamże; nr 17; str. 264.
***) Tamże; nr 16, str. 248.

Jedynym uzasadnieniem tego zaufania może być jego dogodność. Czy jednak dogodność jest wystarczającym warunkiem naukowości dowodu?

Ciekawa jest bardzo konkluzja, jaką zamyka swoją polemikę Pigoń. Wniosek jego jest wnioskiem, do którego dochodzą wszyscy ówcześni przeciwnicy Boya. Stwierdza on mianowicie, że wystąpienia Boya mają duże znaczenie „...w dziejach tego, cośmy zwykli nazywać kultem Mickiewicza, a co jest zjawiskiem natury nie naukowej, ale społecznej. Tam odegrają one rolę znaczną, choć raczej smutną". *)

Profesor Pigoń ma zupełną rację wskazując na to, że sprawa kultu Mickiewicza posiada doniosłe znaczenie społeczne. Powstaje jednak pytanie, o jaki kult Mickiewicza tu chodzi?

Książka Żeleńskiego posiada bardzo wyraźny adres polityczny. Zwalczając reakcyjny kult zafałszowanego Mickiewicza, Boy, mimo wszystkie słabości, walczył o słuszną sprawę, walczył przeciw reakcji i zacofaniu w nauce i w polityce.

Klucz do zrozumienia całej kampanii wokół Brązowników tkwi bowiem, jak starałem się wykazać, w polityce, a nie w sporze o immanentne wartości dzieła poetyckiego.

Nim przejdę do zakończenia tej części pracy, pragnąłbym podać dwa przykłady świadczące o tym, do jakiego stopnia wspólny front sanacji i endecji przeciw Boyowi był sprawą czysto polityczną, był wywołany atakiem Żeleńskiego na polityczne pozycje reakcyjnej polonistyki.

Wymieniony tu już faszysta, Adolf Nowaczyński, opublikował w latach 30-tych paszkwil na Mickiewicza pt. Adam i Konstancja.**) Z paszkwilu tego wynika w sposób niedwuznaczny, że Mickiewicz był tchórzem i zaprzańcem narodowym, żeby wymienić lżejsze zarzuty (w szczególności Nowaczyński nie mógł wybaczyć Mickiewiczowi jego rosyjskich rewolucyjnych przyjaciół).

I co? Myślicie zapewne, że na głowę Nowaczyńskiego posypały się gromy, że profesorowe-poloniści jak jeden mąż wystąpili przeciw oszczercy? Mylicie się grubo. Nowaczyńskiemu wolno było. I nie tylko dlatego, że był faszystą, ale dlatego, że swój faszystowski stosunek do polskiej poezji romantycznej sformułował przedtem *expressis verbis* w artykule o Słowackim.

„...pora przypomnieć młodzieży w jutro idącej — pisał ten zawodowy łgarz i denuncjator — bogów z wielkiego Olimpu (...) Romantyzm odżyć musi w naszej świadomości pospólnej, o ile nie chcemy shołotnieć, splebeizować się, schamieć, wyzbyć się tego wszystkiego, co z nas robiło naród panów, bo górnie, chmurnie, z pańska myślących.

Puścizna twórcza Słowackiego może stać się (o ile ją odpowiednio przyrządzić — R.Z.) antidotum na despotyzm materialistycznej, utylitarystycznej, antyprometejskiej literatury". *)

Stwierdziwszy, o jaki romantyzm i o jakiego Słowackiego mu chodzi, Nowaczyński, jak na dobrego faszystę przystało, zagląda Słowackiemu do... metryki, łaskawie jednak wybacza mu kuzyna żydowskiego pochodzenia. A wszystko to dlatego, że „...w tym Arielu rozśpiewanym więcej było świetlanych promieni, jak w twardym, posępnym, zmarszczonym Litwinie z... „Trybuny Ludów". **)

Nareszcie jesteśmy w domu. Wolno było pisać paszkwile na Mickiewicza. Trzeba było tylko przedtem powiedzieć: panowie, w głównej sprawie fałszowa-

*) Tamże, nr 17; str. 265.
**) A. Nowaczyński: Adam i Konstancja w zbiorze Słowa, słowa, słowa..., Warszawa, 1938.

*) A. Nowaczyński: Ignis ardens. Pamflety, Warszawa, 1930; t. VI, str. 7.
**) Tamże; str. 15.

nia dorobku romantyzmu dla celów chmurnych, bo pańskich, jestem całym ercem z wami; zgódźcie się jednak, że Mickiewicz ma zbyt zaszarganą przeszłość polityczną, aby można go w ej sprawie z pożytkiem dla ogłupienia arodu wykorzystać.

A Boy nie tylko że tego nie mówił, le co gorsza, wyraźnie występował rzeciw reakcyjnej interpretacji Mickiewicza. A więc dalejże go, bezbożnika, farmazona! A zaszczuć! A ukamienować!

Jesteśmy zatem na powrót w wirze zysto politycznych spraw drugiej Rzeczypospolitej. Tu też poszukamy uzadnienia tezy, którą wysunąłem na początku tej analizy Brązowników, którym chciałbym tę relację dawnego poru o Mickiewicza zamknąć.

Pisałem, że pozornie kampania Boya akończyła się klęską. Skąd ten pozór? omniejsze przyczyny tkwiły tu w błęach i potknięciach samego Boya, np. rozgłosie, jaki w 1932 r. nadał prawie rzekomego otrucia Mickiewicza. Ale sedno sprawy tkwiło gdzie ndziej.

Mickiewiczologia, którą zaatakował Boy, czerpała swą siłę nie ze słuszności. odporę jej stanowił fakt, że wchodziła skład nadbudowy burżuazyjnej Polki. Nie można było zlikwidować reakyjnej polonistyki bez likwidacji waunków, które ją zrodziły, i klasy, któej służyła.

I dlatego jedynym historycznym sousznikiem Boya w tej jego nierównej walce była, o czym on sam w owym zasie nie miał pojęcia, rewolucja sojalistyczna. Tylko rewolucja proetariacka, likwidując klasy szukające parcia w „kontuszowym" Mickiewiczu, tworzyła warunki, w których możliwy est prawdziwy kult prawdziwego Micewicza.

Przekonał się o tym Żeleński w 1940 oku w radzieckim Lwowie. Tam zakończył zwycięsko swoją walkę z brązownikami.

Spośród mickiewiczianów Żeleńskiego pisanych przed drugą wojną światową pozostała do omówienia jedna arcyciekawa pozycja, essej Robak wojskowy i cywilny. Jest to jedna z owych pereł Boyowskiego dowcipu, przekory i zdrowego rozsądku, pozycja stojąca na pograniczu tyleż historii literatury, co typowo Boyowskiej moralistyki.

Pozwolę sobie pokrótce przypomnieć jej treść.

Czytałem — powiada Boy — Pana Tadeusza we francuskim przekładzie, prozą. To znakomita powieść, o wartkiej i bogatej narracji.

Zapatrzeni w poetycki czar tej szlacheckiej historii — pisze Żeleński — zapominamy na ogół o tym, że majątek swój Soplicowie zawdzięczają dwum faktom, temu, że Jacek zabił Stolnika i temu, że Targowica dała część dóbr Horeszkowskich właśnie Soplicom (Jackowi czy Sędziemu — to nie jest zbyt jasne).

W związku z tym wysuwa Żeleński dwie sprawy lub raczej jedną w dwu wariantach: kwestię moralnej oceny postaci Jacka i Sędziego.

Sprawa Jacka Soplicy oglądana z tego punktu widzenia przedstawia się dość niejasno: zamordował Horeszkę, w czasie napadu wojsk carskich w sposób niejasny doszedł do majątku, który idzie na wychowanie syna i Zosi oraz dla Sędziego i wreszcie ślubował pod absolucją dobra te restytuować („czyż tak się wzdragał, że aż odmową rozgrzeszenia musiał mu spowiednik zagrozić"? — pyta Boy), wobec czego postanowił ożenić syna z wnuczką Stolnika i w ten sposób załatwić dwie rzeczy na raz — pogodzić dwa rody ze sobą i... zostawić majątek w rodzinie.

Ale z Jackiem to jeszcze pół biedy. „...Nie ulega wątpliwości, że poeta roz-

grzeszył ze wszystkiego Robaka za jego ofiarę i śmierć, że w obliczu wielkich spraw politycznych, którym służył Jacek, nie żądał odeń zbyt ścisłego rachunku ze spraw prywatnych". *)

Znacznie gorzej wygląda sprawa Sędziego. Sędzia nie jest działaczem patriotycznym i po prostu wziął od Targowicy dobra po zabitym przez brata Stolniku i w oparciu o nie zbił pokaźny majątek. (Pozwolę sobie dodać, że nie tylko wziął, ale jeszcze się wykłóca o więcej, tj. o zamek). Na tym tle całe jego moralizatorstwo wygląda w sposób podejrzany i równie mało zaufania budzi w tym kontekście określenie Soplicowa jako centrum polszczyzny — „przecież to Soplicowo i jego dostatek, i gościnność wyrosły — wiemy to już z księgi VI — z podwójnie judaszowych srebrników".**)

Wreszcie — pisze Boy — warto by ustalić, jaki był stosunek poety do tych faktów. Sam Boy przypuszcza, że Mickiewicz w niewielkiej części zdawał sobie sprawę z tych „cywilnych" kwestii. Poezja i tęsknota za ojczyzną przesłoniły mu problemy. „Nigdy może nie było takiej próby siły między realnością a poezją i nigdy poezja nie wyszła z niej bardziej zwycięsko".

Jestem przekonany, że spośród 10 Polaków, 9 przeczytawszy szkic Żeleńskiego dowie się o tych sprawach po raz pierwszy, 6 zaś co najmniej sięgnie przy najbliższej okazji po Pana Tadeusza, sprawdzi i przekona się, że jeśli chodzi o stan faktyczny, Boy ma rację.***) I już to jest miarą wartości tego esseju.

Rozważania historyczno-literackie na marginesie uwag Boya zawiodłyby nas jednak zbyt daleko od tematu niniejszej pracy, w której chodzi głównie o Żeleńskiego, a nie o temat tak mało zbadany, jak Pan Tadeusz, co do którego w sprawach bardziej zasadniczych nie ma między naszymi historykami literatury zgody. Pozostawiam więc tę stronę zagadnienia na uboczu, tym bardziej iż sądzę, że przyszła monografia Pana Tadeusza potraktuje owe półżartobliwe sądy Żeleńskiego z większą uwagą niż autor Sporu o Mickiewicza, który o istnieniu Boya (wbrew swym znakomitym talentom publicystycznym) zdaje się nie wiedzieć.

Pisałem, że essej o Robaku cywilnym stoi na pograniczu moralistyki. Znaczy to, że jego główne ostrze skierowane jest przeciw określonego typu interpretacji problemów moralno-obyczajowych, które nasuwa lektura Pana Tadeusza.

Poemat Mickiewicza, traktowany w swoisty sposób jako „biblia polskości", tracił bardzo często pod piórem poszczególnych interpretatorów tkwiące w nim organicznie elementy satyry i krytycznego stosunku do szlachetczyzny. Satyrę w Panu Tadeuszu ograniczano niemal z reguły do postaci Hrabiego i Telimeny. Elementy satyryczne w rysunku Sędziego były nie tylko przemilczane, ale przedstawiany był on jako główny, niemal pozytywny bohater szlacheckiej historii narodu polskiego. Nawet profesor Pigoń, autor bardzo ciekawych i trafnych uwag o stosunku Mickiewicza do szlachetczyzny, również skłonny był widzieć Sędziego jako typ absolutnie pozytywny. *)

*) Boy o Mickiewiczu, op. cit.; str. 223.

**) Tamże; str. 227.

***) W księdze III poematu, w rozmowie będącej kapitalnym rysem psychologicznym, z uwagi na stosunek Telimeny do Tadeusza nie tylko Sędzia (na którego słowa powołuje się Boy) mówi o interesującej nas sprawie. Telimena „broniąc" Tadeusza wprost rzuca w oczy Sędziemu:

Zresztą Państwo wiecie
I dotąd jeszcze o tym wiadomo na świecie,
Że hojność państwa dla nas jest nie bez powodu.
Winni coś Soplicowie dla Horeszków rodu.

(Tej części mowy Sędzia słuchał z niepojętym Pomieszaniem, żałością i widocznym wstrętem
Jakby lękał się reszty mowy...)

*) Por. S. Pigoń: Sąd nad Polską w „Panu Tadeuszu", Kraków, 1934.

Przykładem tego rodzaju bogoojczyźnianej interpretacji Pana Tadeusza jest słynna broszura Chrzanowskiego. Z tym, iż oczywiście należy pamiętać, że to nie broszura Za co mamy kochać „Pana Tadeusza“ wyznaczała drogi rozwojowe polonistyki, lecz że była ona niejako oficjalnym wyrazem tego, co nauka uniwersytecka chciała i mogła powiedzieć młodzieży o tym największym poecie narodowym.

Jaki był sens tego rodzaju stosunku do poematu. Wydaje się, że chodziło przede wszystkim o takie przedstawienie historii Polski, w którym najwartościowsze elementy morale narodowego, klasy rządzące w okresie imperializmu przypisywały bezpodstawnie szlachcie — sprawczyni narodowego upadku. Była to tendencja właściwa poważnemu odłamowi reakcyjnej nauki polskiej, a nie wyłącznie historii literatury. Jeden z naszych, skądinąd wybitnych uczonych, twierdził, że w rozwoju historycznym Polski warstwa szlachecka brała udział najczynniejszy, a warstwa włościańska najbierniejszy i że „typ rasowy“ nowego inteligenta jest najbardziej zbliżony do szlacheckiego i zawiera najwięcej elementów rasy nordyckiej.*)

Była więc ta interpretacja Pana Tadeusza jednym z ogniw owej ideologii łączącej faszyzm polski z uświęcanymi *par force* tradycjami polskiej szlachty. A Sędzia, który wbrew prawdzie historycznej ochraniał pod popiołem święte ognie (Kallenbach), rodzonym był bratem owego słynnego Cześnika z Zemsty, z którego tężyzny miała się wywodzić mocarstwowa Polska.

Przeciw tego rodzaju widzeniu moralnej problematyki poematu wymierzony jest właśnie Robak wojskowy i cywilny, wymierzony i ciśnięty całą siłą Boyowskiego dowcipu:

„Pamiętają wszyscy ową moralizatorską rozprawę o grzeczności, jaką wygłasza Sędzia w księdze I? Jakże krwawą ironią barwią się nam owe jego perory od odsłaniających się później faktów. «Jak ów Wespazjanus, co nie wąchał pieniędzy...» Jak ta maksyma brzmi w ustach człowieka, który w cztery oczy, o swoim więcej niż nie pachnącym majątku powiada: «Dano mi dobra, wziąłem.» A cała ta rozprawa o odcieniach grzeczności, te morały, ten godny patriarchalizm, ta cenzura «dzisiejszej młodzieży», jakże to nam paskudnie brzmi w ustach tego starego pupila Targowicy.“ *)

Essej Boya jest oczywiście przejaskrawiony i to świadomie przejaskrawiony, ale nad większością oficjalnych komentatorów poematu ma Robak wojskowy i cywilny tę do dziś trwającą przewagę, że uczy myśleć samodzielnie, że każe się nad Panem Tadeuszem zastanowić.

Warto przy okazji dokonać jeszcze jednego porównania. Porównanie między Robakiem wojskowym i cywilnym a głośną i o dziesięć lat wcześniejszą książką J. N. Millera Zaraza w Grenadzie.

Przeprowadzenie tego porównania sprawia mi, szczerze mówiąc, dużą trudność, a to dlatego, że nie rozumiem podstawowych założeń programu J. N. Millera. Nie wiem, ilu rzeczy autorowi rozprawy kandydackiej wolno nie rozumieć, przypuszczam jednak, że pewna ilość takich rzeczy istnieje, a może nawet ustalona jest przepisami. Otóż proszę w tym wypadku na moim koncie odnotować kreską: nie rozumie programu artystycznego J. N. Millera.

Z tą skazą mogę więc jedynie napi-

*) Por. Odczyt profesora Czekanowskiego. „Myśl Narodowa“, 1930; nr 16; str. 251.

*) Boy o Mickiewiczu, op. cit.; str. 226.

sać to, czego domyślam się o założeniach „uniwersalizmu".

Bo sztukę, całą sztukę, dzielił wówczas Miller na dwa działy: sztuka indywidualistyczna i uniwersalistyczna. Pierwsza została przezeń wyklęta, druga była ze wszech miar zalecana jako jedyna i prawdziwa. Jakaż miała być ta nowa sztuka? Ba, tu właśnie leży pogrzebany pies. Miller prezentuje ją w następujący sposób:

„Przed oczyma naszymi rodzi się ta sztuka, która w przeciwstawieniu do indywidualistycznego rozkładu, lokalnego patriotyzmu i odosobnienia wprowadza nas w dziedzinę życia rozległego, kojarzącego rozbieżności i bezład anarchicznej swawoli sprzęgającym prawem metafizycznego porządku, życia natchnień chóralnych i twórczej współpracy wielkich bezimiennych życia żywiołów, ważącego się w kosmicznych bezkresach całokształtu świata". *)

Raz jeszcze lojalnie przyznaję, że nie wiem, co to znaczy. Przypuszczam, że mamy tu do czynienia z jednym z wielu rodzących się motylkowatych programów „rewolucji" w sztuce. Jedno można tylko z całą pewnością stwierdzić, że zarówno „wrogowie", jak „sojusznicy" nie przynoszą temu programowi żadnego zaszczytu. Do „wrogów" swego uniwersalizmu zaliczał J. N. Miller Prusa, Orzeszkową, Żeromskiego i Mickiewicza. Natomiast pełnym realizatorem programu był Kaden-Bandowski.**) Historia literatury polskiej sporządzona według recepty „uniwersalistycznej" przedstawiałaby się ponuro.

Ze wszystkich wrogów uniwersalizmu twórca programu uznał za przeciwnika najgroźniejszego romantyzm. Jemu też poświęcony jest centralny rozdział cytowanej książki, noszący dumny tytuł Na ruinach romatycznych ruin.

Romantyk — pisze on — z reguły uprawia indywidualistyczną metafizykę. „Gdy ima się epiki (jak to uczynił Mickiewicz w Panu Tadeuszu), to przedmiotową rzeczywistość przesyca do tego stopnia życiem wewnętrznym, że zatraca ona zupełnie barwę realnego istnienia. *)

Napisawszy, że w Panu Tadeuszu nie czuje się barwy realnego istnienia, autor doszedł do wniosku, iż przy pomocy tej metody można o poemacie Mickiewicza napisać jeszcze wiele rzeczy dokładnie tak samo prawdziwych. I napisał.

Napisał, że Sędzia jest łajdak, że Jacek stoi tylko o prywatę, że Podkomorzy jest bezczelny, a Jankiel od początku do końca zmyślony przez poetę. Ale nie o postacie poematu głównie chodziło Millerowi, a o poetę. To Mickiewicz w Panu Tadeuszu, jak sądzi Miller, „...zaraża i kosi dusze zatrutym tchnieniem swego dosytu, sybarytystycznych cnót partykularza litewskiego i samoomamienia optymizmu, usypiającego na laurach kopalnianych doskonałości". **)

Słowem Mickiewicz jest tym, który każe narodowi polskiemu gnić w nieróbstwie, dając mu za wzór ohydny i kuszący złudami poezji świat Pana Tadeusza.

Artykuły Millera wywołały bardzo szeroką falę oburzenia, protesty posypały się z różnych stron, wystąpił także przeciw niemu świat nauki. Warto jednak przy tym zwrócić uwagę na następujący fakt. Tezy Millera i tezy oficjalnej polonistyki różniły się pomiędzy sobą znacznie, w wielu wypadkach różnica ta była zasadnicza. I niemniej proszę się zastanowić:

Miller powiada: świat Pana Tade-

*) J. N. Miller: Zaraza w Grenadzie, Warszawa, 1926; str. 39.
**) Por. J. N. Miller: Major Pyć, „Wiadomości Literackie", 1924; nr 29.

*) J. N. Miller, op. cit.; str. 75.
**) Tamże; str. 78.

usza jest pełen ohydy; Mickiewicz w pełni aprobuje ten świat i tę ohydę. Precz z Mickiewiczem!

Oficjalna polonistyka mówiła: świat Pana Tadeusza pełen jest cnót narodowo-chrześcijańskich; Mickiewicz w pełni aprobuje ten świat i te cnoty. Niech żyje Mickiewicz!

Tak więc, mimo istotne różnice w podejściu do Pana Tadeusza, jeden błąd wspólny był obu stronom: zarówno hurrarewolucyjny ista jak i tradycjonalistyczna nauka uważali, że Mickiewicz ma w pełni afirmatywny stosunek do świata szlacheckiego, do szlacheckiej tradycji i ideologii. W świetle naszych, nawet mało zaawansowanych, badań nad Panem Tadeuszem fałszywość tej tezy jest oczywista. Ostry spór, jaki wywiązał się wokół Zarazy w Grenadzie, ma swe źródło w tym, że istnieje teoretycznie nieskończona ilość błędnych stanowisk, jakie można zająć wobec Pana Tadeusza, jak również nieskończona ilość kontrowersji, jakie mogą zaistnieć między tymi niesłusznymi stanowiskami. Z fałszu wynika wszystko — jak nas o tym poucza doświadczenie i logika formalna. Jedną z tego typu kontrwersji był właśnie atak na fałszywe pozycje Millera.

Nas jednak w tej sprawie interesuje przede wszystkim różnica między pozycją Boya i Millerem. Najważniejszą sprawą jest tu stosunek do dziedzictwa artystycznego.

Miller pisze:

„Pan Tadeusz staje się tedy dla nas symbolem tego wszystkiego, co obciąża loty, zatrzymuje w drodze, smętku, rozrzewnienia dziecięcego, poczucia obcości — gdy wyjdzie się poza obręb własnego śmietniczka". *)

U Żeleńskiego nigdy i nigdzie nie znajdziecie podobnego stosunku do klasyków. Zwróćcie bowiem uwagę, że ten zakamieniały „rewizjonista" nigdy ani przez chwilę nie zdradza hurrarewolucyjnych zapędów do zrzucenia któregokolwiek z wielkich twórców przeszłości z „okrętu współczesności". Warto podkreślić tę jego cechę, która szczególnie zbliża go do nas. Między obskuranckim tradycjonalizmem nauki burżuazyjnej a nihilistyczną pogardą niedowarzonych nowatorów Boy zajmuje pozycję wyjątkową w swym rozsądku. Będzie on rewidował utarte sądy o przeszłości, będzie walczył o sprawy słuszne lub i niesłuszne, ale zawsze z tego, co pisze, bije poczucie żywego związku z kulturą przeszłości. Rewizję nauki o Mickiewiczu czy Fredrze prowadzi Boy — uczeń Moliera i Diderota, Mickiewicza i Fredry.

I wreszcie ostatnia uwaga w tym „mickiewiczowskim" przekładańcu.

Robak wojskowy i cywilny jest pełnym zastosowaniem metody zdrowego rozsądku do analizy Pana Tadeusza. Jest więc tu i sprowadzenie metafory poetyckiej do wymiarów „normalnego" życia, jest owo silne poczucie związku sztuki z życiem, przejawiające się w ciągłym „podskórnym" pytaniu: a jak to było naprawdę? Jest wreszcie i uchwycenie spraw obyczajowych jako głównego ogniwa rozważań. Opublikowany jednym tchem, z Obrachunkami fredrowskimi, w najlepszym okresie międzywojennej twórczości, szkic o Robaku cywilnym jest właściwie pierwszym rozdziałem najlepszej książki Boya — Obrachunków fredrowskich.

Data powstania Robaka wojskowego zbiega się mniej więcej z zakończeniem przedostatniego okresu w działalności literackiej Żeleńskiego przed 1939 r. Na przełomie 1935/36 r. twórczość jego ulega istotnemu zahamowaniu (w szczególności w porównaniu z latami 1928—1935), którego przyczyny omawiam w innym miejscu. Do

*) Tamże; str. 108.

wybuchu wojny powstaje, jeśli chodzi o interesujący nas temat, kilka recenzji teatralnych, nie najlepszych zresztą, jak np. wspomniana uprzednio recenzja Marii Stuart.

Wybucha druga wojna światowa. Klęska wrześniowa stała się dla Boya, jak dla wielu literatów jego pokolenia, faktem, który ostatecznie rozwiał polityczne złudzenia, jakie żywił on wobec burżuazyjnej Polski. Ostatnie lata swego życia spędza w radzieckim Lwowie, pracuje na Uniwersytecie Lwowskim im. I. Franki, jest członkiem redakcji „Nowych Widnokręgów" — czasopisma polskiego, wydawanego przez Związek Pisarzy Radzieckich. Obszerniej znaczenie i charakter jego działalności omawiam w ostatnim rozdziale, tu chciałbym jedynie skrótowo nakreślić zakończenie drogi rozwojowej poglądów Żeleńskiego na polski romantyzm.

W okresie lwowskim powstają dwie pozycje Boya związane z interesującym nas tematem: przemówienie wygłoszone na uroczystościach mickiewiczowskich oraz artykuł Stare i nowe drogi wiedzy o Mickiewiczu; oba szkice napisane w związku z 85 rocznicą śmierci poety tworzą do pewnego stopnia całość.

Jakie procesy ewolucji ideowej Żeleńskiego sygnalizują nam te pozycje?

Wydaje się, że na pierwsze miejsce wysunąć należy sprawę rozwoju społecznych poglądów Mickiewicza, którą Żeleński w artykułach pisanych przed wojną zaznaczał nieledwie na marginesie, a którą jako sprawę główną wysuwa we wspomnianym przemówieniu. W przemówieniu tym, co jest wielce charakterystyczne, Boy w małym stopniu zajmuje się twórczością poetycką Mickiewicza (mówili o tym inni w toku uroczystości), omawia przede wszystkim, choć nie tylko, te lata jego życia, w których po napisaniu Pana Tadeusza poeta ustąpił miejsca kaznodziei i wreszcie trybunowi ludowemu.

„Uderzające jest — pisze Boy — jak myśl Mickiewicza już w owej epoce płynie podwójnym nurtem — narodowym i międzynarodowym. Coraz bardziej umacnia się w Mickiewiczu świadomość, że sprawa wolności narodu, jego prawa do życia, to nie jest jakieś odosobnione zagadnienie ani rozgrywka lokalna, ale przeciwnie, dola wszystkich ludów jest ściśle solidarna i że nie podobna jest ruszyć jej z miejsca, nie podważywszy całego porządku społecznego starej Europy, zbudowanej na przemocy i krzywdzie. I oto jak sprawa polska zawiedzie Mickiewicza do międzynarodowego socjalizmu i każe mu szukać zbliżenia z tymi, którzy w Europie reprezentują ideę socjalnego przewrotu".*)

Żeleński tak formułując prawidłowości rozwoju ideowego poety stawał w opozycji do całej niemal oficjalnej mickiewiczologii burżuazyjnej Polski, która wiarę poety przyjmowała za jeden z głównych czynników jego światopoglądu i doszukiwała się w nim najchętniej elementów religijno-mistycznych.

Ale Żeleński — i to jest szczególnie ważne — dokonuje tu kroku naprzód w swoim stosunku do dziedzictwa poety, wybierając z tego dziedzictwa cechy ideowo najbardziej wartościowe, cechy, do których, jak wiemy, przedtem niewielką przywiązywał wagę. To pozwalało mu spojrzeć na życie i działalność poety w sposób nowy i odkrywczy.

O ile w przedmowie do Dzieł Mickiewicza, Boy, słusznie podkreślając znaczenie pobytu w Rosji dla rozwoju poety, sprowadzał rzecz całą (zgodnie z założeniami biografizmu) do przeżyć osobistych poety i to przeżyć dość ogra-

*) Boy o Mickiewiczu, op. cit., str. 235.

niczonego kręgu, o tyle we Lwowie pisze on:

„Moskwa i Petersburg dają Mickiewiczowi przyjaźń Puszkina i przyjaźń najszlachetniejszej rewolucyjnej młodzieży rosyjskiej".*)

Wszystkie te nowe elementy sprawiają, że we Lwowie Boy coraz wyraźniej dostrzega polityczne znaczenie sporu o Mickiewicza.

Jego artykuł Stare i nowe drogi o Mickiewiczu jest tego procesu znamiennym świadectwem.

Warto tu podkreślić jedną szczególnie ważką sprawę.

Przy analizie Brązowników pisałem, że pozornie w kampanii wokół tej książki zwycięstwo odnieśli przeciwnicy Boya. Stało się to z dwóch przyczyn. Przede wszystkim z uwagi na to, że w warunkach faszyzacji Polski nie było miejsca na tego rodzaju zwycięskie przeprowadzenie rewizji mickiewiczologii, które doprowadziłoby do zmiany podręczników szkolnych i w ogóle całego oficjalnego kursu kultu poety. Przeciwnie, zamówienie społeczne klasy panującej szło w tym kierunku, że nawet te drogi wiedzy o Mickiewiczu, które Boy oczyścił niewątpliwie, nawet kult Towiańskiego, były nadal przez oficjalną naukę gorliwie zachwaszczane. Jako przykład może tu służyć wielka hagiograficzna praca o Towiańskim pióra S. Szpotańskiego, która ukazała się w 1938 r. Znaczenie Brązowników nie polegało wówczas i nie mogło polegać na tym, że jeden, chociażby najsamodzielniejszy człowiek tworzył nową wiedzę o Mickiewiczu; proces ten związany musiał być z obaleniem warunków, które rodziły potrzebę starej wiedzy o poecie, tj. z rewolucją społeczną i kulturalną. Znaczenie wojny z brązownikami polegało na tym, że przeciętny polski czytelnik otrzymywał dowody podrywające jego zaufanie do burżuazyjnej hagiografii, do „trzeciomajowego" Mickiewicza, że otrzymywał książkę, która, mimo błędy, uczyła go w nowy sposób myśleć o poecie.

Drugą przyczyną pozornego zwycięstwa brązowników w latach trzydziestych były błędy popełniane przez Boya w jego książce, przede wszystkim błędy biografizmu, które walkę jego z burżuazyjną polonistyką sprowadzały często na manowce.

W obu zatem wypadkach jedynym wiernym sojusznikiem i przewodnikiem Boya w tej walce — jeśli miała się ona zakończyć zwycięsko — była rewolucja proletariacka i jej ideologia — marksizm. Tylko rewolucja proletariacka mogła usunąć i usunęła, niestety już po śmierci Boya, materialne przesłanki reakcyjne kultu Mickiewicza i romantyzmu, tylko marksizm mógł pomóc Żeleńskiemu w wyzwoleniu się z błędów biografizmu, w zdobyciu konsekwentnie samodzielnej pozycji naukowej.

W radzieckim Lwowie Boy znalazł atmosferę zupełnie dla siebie nową. Właśnie tam, w ustroju socjalistycznym, znalazł poparcie dla swojej walki z reakcyjną polonistyką. Właśnie tam mógł zetknąć się swobodnie z metodą marksistowską, co pozwoliło mu w znacznej mierze uzupełnić swoje metodologiczne podejście do problemów twórczości Mickiewicza, a szerzej rzecz biorąc, do oceny romantyzmu polskiego.

Idee socjalizmu dodały sił jego pasji demaskatorskiej, natchnęły nową mocą jego oskarżenie pod adresem reakcyjnej nauki o naszym największym poecie:

„— Jakże często — pisał Boy kończąc zwycięsko swoją walkę z brązownikami — trzeba było nieraz okaleczyć tę namiętną myśl, przeinaczyć to burzliwe życie, aby je nagiąć do banalnych kultów, składanych pod pomnikiem z brązu. Jakże często imię i słowo Mickiewicza służyło za sztandar hasłom i obozom, które były mu obce lub wręcz nie-

*) Tamże; str. 233.

nawistne. Jak często wstecznictwo i sobkostwo odbywało swoje zbory pod wezwaniem Mickiewicza, którego myśl była ich zaprzeczeniem. Jakże często czyniono symbol tradycji — i to jak wątpliwych tradycji — z tego, który był wiecznym rewolucjonistą — najpierw w poezji, a potem w życiu".*)

*

Wyznaczona tu linia rozwojowa poglądów Żeleńskiego na literaturę romantyzmu polskiego przebiega w głównych zarysach zgodnie z zawartą w tej książce periodyzacją całokształtu twórczości Żeleńskiego. Odejścia od tej generalnej periodyzacji nie są jakimiś znacznymi odchyleniami o charakterze ideowym, lecz wynikają przede wszystkim stąd, że historią literatury polskiej zajmował się Żeleński w sposób bardzo specyficzny i o wiele bardziej przypadkowy, aniżeli to miało miejsce w wypadku literatury francuskiej, gdzie samo monumentalne założenie „Biblioteki Boya" dyktowało pewną systematyczność. Literaturą romantyzmu polskiego zajmuje się Żeleński przede wszystkim jako recenzent teatralny i jako esseista — wolny strzelec krytyki polskiej. Stanowisko to odpowiadało jego charakterowi twórcy, ideowo zaś pozwalało mu na zajęcie pozycji krytyka oficjalnej nauki uniwersyteckiej, który nie bez złośliwości i pozornie „z boku" zadaje „naiwne" pytania, kompromitujące naukową bezpłodność burżuazyjnej polonistyki.

Początek zainteresowań Żeleńskiego dla dalszej literatury romantycznej zbiega się mniej więcej z zapoczątkowaniem przezeń działalności literackiej. Pozycje Słówek związane bezpośrednio ze stosunkiem Boya do romantyzmu wykazują, że jest w tym stosunku wiele nieporozumień, wynikających przede wszystkim z niesamodzielnego podejścia do tematu, podejmowanego w takich satyrycznych utworach, jak List otwarty kobiety polskiej czy Replika. Ogólnie można powiedzieć, że Boy przyjmuje zakłamaną koncepcję „katolickiej" literatury romantycznej, wywodzącą się od krakowskich konserwatystów, za prawdę, trzeba jednak powiedzieć, że z tej „prawdy" kpi sobie w żywe oczy. Najciekawszym jednak elementem jego stosunku do romantyzmu w tym (a także w następnym) okresie jest krytyka „romantycznego gestu", tzn. krytyka kabotyńskiego sposobu przejmowania pewnych tradycji poezji romantycznej przez Młodą Polskę.

W okresie drugim swojej twórczości, tj. w latach 1912/13 — 1919/20, Żeleński zajmuje się romantyzmem francuskim. Zwracałem uwagę przede wszystkim na te jego wypowiedzi, które nosiły charakter uogólnień, i z których można wnioskować o stosunku Żeleńskiego do pewnych, przynajmniej podstawowych problemów specyfiki i rozwoju literatury romantycznej. Starałem się wykazać, że w tych latach świadomość krytyczna Boya jest jeszcze bardzo słabo rozwinięta; przyjmuje on na ogół bez zastrzeżeń równie utarte, co nieprawdziwe sądy burżuazyjnego literaturoznawstwa, jak na przykład ów pogląd, że romantyzm jest reakcją uczucia na klasycyzm. W przedmowach tych Boy bardzo często porównuje romantyczną pozę Chateaubrianda z pozerstwem modernistycznej literatury, co byłoby nie pozbawione słuszności, gdyby widział on jednocześnie drugi, rewolucyjny nurt literatury romantycznej. Niestety, Żeleński i w tym wypadku przyjmuje milcząco założenia idealistycznej historii literatury, traktującej romantyzm jako dość zwartą całość, wyznaczaną już to dyspozycjami „duchowymi", już to osobliwościami formy artystycznej. Żeleńskiego doprowadza to do niesłusznego wniosku, każącego uznać Przedmowę Gautiera do Panny de Ma-

*) Tamże; str. 239.

upin (dokument skądinąd arcyciekawy) za przejaw „pełnego romantyzmu". Te ogólne uwagi nie zawsze zresztą wpływają na trafność ocen poszczególnych dzieł sentymentalizmu czy romantyzmu francuskiego, co raz jeszcze potwierdza ów „empiryczny" charakter krytyki Żeleńskiego, zawsze mocniejszej w analizie poszczególnych utworów niż w uogólnieniach, do których autor, jako typowy w tym względzie empiryk, nigdy nie miał przekonania.*)

Odzyskanie przez Polskę niepodległości i utworzenie burżuazyjnego państwa polskiego znamionuje pojawienie się nowego błędu w stosunku Boya do literatury romantycznej. Jest to typowa dla większości ówczesnych pisarzy niechęć do społecznej i narodowo-wyzwoleńczej pasji polskiej poezji romantycznej, związana z burżuazyjnymi złudzeniami wobec odzyskanej niepodległości.

U Boya w tym, trzecim, okresie jego twórczości (od roku 1919/20 do powstania Dziewic konsystorskich, tj. do 1928 r.) notujemy istotną ewolucję stosunku do romantyzmu, której granice jaskrawo wyznaczają wymienione tu recenzje Dziadów i Balladyny, znamienne dla błędów w jego pozycji w pierwszych latach niepodległości, i doskonałe recenzje Snu srebrnego Salomei i Złotej Czaszki. Ewolucja ta idzie w kierunku wyzwalania się Żeleńskiego z błędnych opinii uniwersyteckiej historii literatury, w kierunku interpretacji polskiego teatru romantycznego w duchu realistycznym z silnym podkreśleniem realistycznych i antyszlacheckich tendencji dramatów Słowackiego. Wyzwalając się z fałszywych przekonań nauki burżuazyjnej, Żeleński jednocześnie zaczyna swoją walkę podjazdową z tą nauką. Od samego początku swej działalności recenzenta teatralnego walczy z kosmopolityzmem szkoły wpływologicznej, późniejsze jego wypowiedzi zawierają coraz więcej elementów drwiny z mistycznych skłonności historyków literatury.

W najbujniejszym dla przedwojennej twórczości Żeleńskiego okresie (w latach 1928 — 1935) toczy się wielka kampania z brązownikami, z tym odłamem nauki polskiej, który mniej lub bardziej świadomie przystosowywał obraz Mickiewicza do potrzeb coraz bardziej sfaszyzowanej klasy kapitalistów i obszarników. Kampanię tę zaczyna w 1928 r. przedmowa do Dzieł Mickiewicza, a kończy opublikowany w 1935 r. doskonały essej Robak wojskowy i cywilny. Kampania ta, jak starałem się wykazać, toczyła się przede wszystkim na płaszczyźnie czysto politycznej. Boy zaatakował religiancką, reakcyjną koncepcję Mickiewicza i wszyscy niemal jego oponenci (zarówno endecy, jak sanatorzy) wystąpili w obronie tego fałszywego Mickiewicza. Największym osiągnięciem Boya w tej kampanii było zdemaskowanie zatęchłej atmosfery zakrystiańskiego i pełnego zakłamania kultu poety oraz znakomity i twórczy atak na gloryfikację towianizmu. Jednocześnie cały spór wokół sprawy „brązownictwa" wykazuje, że Boy pozostawał w tym czasie pod urokiem niektórych fałszywych koncepcji nauki o literaturze, przede wszystkim pod urokiem biografizmu. Błędy popełniane przez Boya (sprawa Xawery, podjęcie w pogoni za sensacją sprawy rzekomego otrucia Mickiewicza) osłabiały jego słuszną pozycję i pozwalały przeciwnikom na „uniki" w sprawach zasadniczych i polemizowanie z Boyem na tej płaszczyźnie, która mogła go zdyskredytować, a która dlatego właśnie dla reakcyjnej nauki była najdogodniejsza. Mimo istotne błędy, walka Boya z reakcyjną mickiewiczologią należy niewątpliwie do postępowych tradycji na-

*) Por. znamienną dla tej postawy wypowiedź Boya w zakończeniu artykułu Gry słów w zbiorze Śmiech, uśmiech i groza, Warszawa, 1933.

uki i publicystyki literackiej w Polsce. Była to przecież walka, w której z jednej strony występowała sprzymierzona z faszyzmem reakcyjna nauka, a z drugiej samotny inteligent, uzbrojony jedynie w kilka podstawowych prawd, zdobytych w ciągu długiej drogi życiowej pisarza i krytyka. Prawdy te były bardzo proste, mówiły o tym, że sztuka jest odbiciem życia, że jest sprawą toczącą się między ludźmi, że nie mają z nią nic wspólnego mistyczne nabożeństwa, odbywane w imię zaświatowych potęg; mówiły o tym (choć często w sposób zawikłany i niepełny), że wielkość artysty nie polega bynajmniej na rzekomej jego świętości, że prawdziwy geniusz jest i musi być jednym z najbardziej ludzkich ludzi swojej epoki. Tym prawdom faszyzm polski przeciwstawiał bogaty asortyment argumentów od pseudonaukowych rozważań do gróźb i prób zastraszenia. Boy nie dał się zastraszyć; walczył o swoją prawdę tak, jak tylko mógł walczyć postępowy krytyk nie będący marksistą, wspaniały polemista rażący swoich przeciwników siłą dowcipu, logiki i odkrywczości myślenia.

Obiektywnie rzecz biorąc jedynym konsekwentnym sojusznikiem Boya w tej walce z reakcyjną polonistyką był obóz marksizmu i rewolucji. Należy przypuszczać, że fakt opanowania ówczesnej proletariackiej krytyki literackiej przez lewacką a niekiedy wręcz trockistowską grupę „Miesięcznika Literackiego" spowodował to, iż krytycy rewolucyjnej lewicy nie brali w tym sporze udziału. Być może, gdyby polityka KPP i związanych z nią krytyków wobec inteligencji twórczej operowała wówczas większym doświadczeniem, chociażby tym, które Partia zdobyła po uchwałach VII Kongresu Kominternu, być może, iż wówczas spór wokół Brązowników wyglądałby inaczej, a rozwój ideowy Żeleńskiego potoczyłby się nieco mniej zawikłaną drogą. Nie są to jedynie czcze przypuszczenia. Faktem przecież jest, że właśnie na uroczystościach mickiewiczowskich we Lwowie droga Boya zaczęła się coraz bardziej pokrywać z drogą rewolucji socjalistycznej w Polsce.

I to jest ta metafora życiorysu krytyka literackiego, która potwierdza, iż komunizm jest wielką prawdą XX wieku, że ci, którzy wierzą w postęp ludzkości, w postęp nauki — do tej prawdy prędzej czy później odnajdują drogę.

Roman Zimand

P. S. Do poprzedniego fragmentu mojej pracy o Boyu, drukowanego w 12/54 numerze „Twórczości", chciałbym wprowadzić kilka poprawek:

Na str. 103, szpalta druga, nazwisko korespondentki Boya powinno brzmieć Wilamowska. Na str. 109 przypis w szpalcie drugiej powinien brzmieć: „...we Francji słynna premiera Hernani jest późniejsza od daty powstania Czerwonego i czarnego, a tylko o kilka lat wcześniejsza od Ojca Goriot. Na str. 113, szpalta druga, pierwszy wiersz od góry, powinno być: „Z wpływologią walczy zarówno kpiną, jak i merytorycznie, wykazując jej bezpodstawność." Na str. 114, w przedostatnim akapicie drugiej szpalty, cytat z recenzji Boya o Złotej Czaszce powinien brzmieć: „Jeżeli — mówi on — to nie jest satyra na ten »lud, co nazywał się ludem Polaków«, to nie wiem, co nią będzie." Na str. 117, druga szpalta, przedostatnie zdanie powinno brzmieć: „Niemniej wielką zaletą metody Boya był jej humanizm, przyjęcie spraw człowieka za miernik dzieła, no i apelowanie do tegoż człowieka." Na str. 119, szpalta druga, przypis pierwszy. Ostatnie zdanie przypisu powinno brzmieć: „Wernyhora marzył o tym, że Sawa zostanie ukraińskim hetmanem, ponieważ zaś Sawa zdradził Ukrainę, ergo nie może być hetmanem." Na str. 120, szpalta pierwsza, pierwsze zdanie przedostatniego akapitu powinno brzmieć: „Tendencyjność burżuazyjnej interpretacji dramatu polegała przede wszystkim na tym, że usuwano ową sprzeczność przez pominięcie jej realistycznej strony." Na str. 121, szpalta pierwsza, ostatnie zdanie trzeciego akapitu powinno brzmieć: „Tego samego co „Robotnik" zdania o regimentarzu był Sawa — Noske hajdamaczyzny." Na str. 127, szpalta druga, przedostatni akapit powinien brzmieć: „Czym tedy streszcza się owa historiozofia? Oddajmy głos samemu Boyowi: „Krytyka literacka ma dwojakie zadanie..."

W ŚRÓD KSIĄŻEK

JERZY ZAGÓRSKI: *Męska pieśń*. Kraków, 1954, Wydawnictwo Literackie; str. 112.

Najpierw — nieco polemiki i dyskusji. W „Życiu Literackim" z 21. XI. 1954 (Rok IV, nr 46) zamieścił Leszek Herdegen obszerną i starannie opracowaną recenzję Męskiej pieśni Jerzego Zagórskiego. Ten szkic krytyczny, w którym wyczuwa się znaczny wysiłek analityczny — zawiera próbę określenia pozycji, jaką twórca Męskiej pieśni i Wieczoru w Wieliszewie zajmuje w naszym aktualnym życiu poetyckim. Na niektóre z wysnutych tu wniosków można by się zgodzić — inne warto zaczepić. Wśród stwierdzeń, które budzą wątpliwości, znajduje się obserwacja, która szkicowi Herdegena użyczyła tytułu: Na sposób malarski. Ów „malarski sposób" widzenia, wedle krytyka, charakteryzuje tak bardzo poezję Zagórskiego, iż cechę tę uznał widocznie za decydującą.

Herdegen powołuje się na wyznanie samego poety. W wierszu Jak pisałem stwierdza Zagórski:

Nie pytałem, czy upał, czy mrozy,
Czy deszcz siąpi, czy idzie burza.
Jakież dzieło by malarz stworzył,
Gdyby w jednej aurze się nurzał?

A ja właśnie na sposób malarski
Chcę opisać to, co spostrzegam,
Więc nie radzę doz aptekarskich
Tutaj szukać perfidnym kolegom.

Wydaje mi się jasne, że słów „na sposób malarski" użył tu Zagórski w tym sensie, iż od siebie samego jako poety żądał uwzględnienia różnorodnych, wszechstronnych spojrzeń na wielkie fakty współczesne. Oglądać pragnął budowę Nowej Huty — w upał czy mrozy, w ulewę czy męczący czas przedburzowy. „Jakież dzieło by malarz stworzył — gdyby w jednej aurze się nurzał?" Jakiż utwór, godny naszych czasów, mógłby napisać poeta, gdyby obok zwycięstw i spraw jasnych — nie uwzględniał walk czy trudności?

Inaczej interpretuje to wyznanie Herdegen i inne zeń wyciąga wnioski. Przytoczywszy strofy Zagórskiego jako jego „program twórczy" dodaje: „Wiele wierszy powstało w oparciu o sformułowaną tu *expressis verbis* metodę. Zagórski przyjmuje postawę bardzo kulturalnego turysty, który ze smakiem odtwarza przed czytelnikiem widziane zjawiska, obrazy i ludzi. Szczególnie w cyklu o Nowej Hucie (poza paroma wyjątkami, o czym niżej) poetę interesuje przede wszystkim zewnętrzny opis, kształt i barwa, urzeka go »socjalistyczna egzotyka« maszyn, budowli, nowych warunków pracy. Ważne, że przy słowie »egzotyka« możemy położyć już ten przymiotnik. Poeta nie jest malarzem beznamiętnym (o ile w ogóle można być beznamiętnym malarzem), czujemy jego przychylność ideową, jego stosunek uczuciowy, choć głęboko ukryty, ale jednak uchwytny".

Za chwilę idzie krytyk jeszcze dalej: „«Na sposób malarski»... Oświadczenie to jest nieco perfidne. Poeta, formułując tego typu nieobowiązujący program, pragnie zawęzić znaczenie i wymowę swych utworów. Tylko opisuję, nie rejestruję, tylko widzę — nie interpretuję, nie postuluję, nie rozważam — mówi. A to nieprawda. Wśród wierszy, gdzie element wizualny odgrywa niepoślednią rolę, odnajdziemy przecież utwory, które nie rezygnując z wielkich, plastycznych obrazów, wyrażają istotne i głębokie koncepcje intelektualno-światopoglądowe". Wydaje mi się, że owa sprzeczność, jaką Herdegen do-

strzega między programem poety a najwykwintniejszymi jego wierszami — jest po prostu nieporozumieniem. Można przyjąć, że Zagórskiemu chodziło o składniki opisu i o nasycenie go wielością barw czy linii — a nie o wyłącznie malarską postawę wobec zjawisk, wobec spraw i konfliktów.

Praktyka poetycka Zagórskiego zdaje się potwierdzać takie właśnie pojmowanie jego „programu". Miałem ostatnio w rękach tomy trzech poetów krakowskich, opublikowane przez to samo Wydawnictwo Literackie: Frasika, Szymborskiej i Zagórskiego. Wydaje mi się, że z tych trzech zbiorów właśnie tom Zagórskiego jest stosunkowo najmniej „malarski". Gdy czytamy wiersze Frasika, zapadają nam w pamięć obrazy wsi podkrakowskiej, lektura Szymborskiej każe pamiętać o tej kobiecie, która „przy radiu wysłuchała walca i pierścionek obracała w palcach", albo o Pałacu Zimowym, gdzie w jednej z wielkich sal rewolucjoniści dostrzegają odbite w lustrach malowidła. Postawa Zagórskiego jest inna i inny jest mechanizm jego poetyckiej pracy. Częściej niż oczyma malarza patrzy poeta na współczesne zjawiska wzrokiem działacza, publicysty, gorącego patrioty, psychologa czy socjologa. Znamienny jest fakt, że żaden chyba ze współczesnych poetów średniego pokolenia nie zajmował się tak wszechstronnie budową i rozrostem Nowej Huty. Że żaden z krakowskich poetów nie dojrzał tu tyle tematów, nie doznał tak wielu bodźców twórczych. Że żaden z liryków z taką żarliwością i z takim uporem nie wracał do nowowznoszonego miasta socjalistycznego. Że żaden tak się nie zachwycał, nie cieszył, nie przeżywał procesów przemysłowych, urbanistycznych (M i e j s c e n a p a r k), socjologicznych, kulturalnych (L o t e r i a k s i ą ż k o w a).

I rzucałem chałupy błękitne,
Ornamenty przy oknach brązowe,
Żeby wracać, gdzie Huta bitwę
Toczy z czasem o miasta budowę.

Bardzo często przemawia tu Zagórski bezpośrednio, zamykając w swój wiersz jakieś dopiero co zaobserwowane zjawisko, jakiś fakt uderzający wyobraźnię i cieszący czy nawet niepokojący serce. Obserwacja i zrodzony przez nią proces emocjonalny albo ciekawe skojarzenie myślowe — stosunkowo rzadko przeobrażają się w tak barwny obraz, jaki oglądamy u Frasika czy Szymborskiej. Czasem, gdy Zagórski obraz taki konstruuje, czujemy pewien wysiłek; wskutek tego obraz nie jest dostatecznie przystępny.

Zagórski opisuje natomiast w sposób zaskakujący śmiałym skojarzeniem intelektualnym, jakim jest np. B a l l a d a o o k r ę t a c h. Absurdalność walki atomowej dążącej do samounicestwienia streszcza finał tego wiersza:

Kiedy zaś popiół po walce cichł,
Jeden zwyciężył z okrętów tych.
A gdy zwycięstwo chciał w salwach paru
Ogłosić... nie miał nawet sztandaru.
Nie było wiatru, nie było prądu,
Nie było morza, powietrza, lądu,
Nie było fali, nie było skał,
Ani nie było dla tych salw — dział.

Równie interesujący intelektualnie jest wiersz W p e r s p e k t y w i e k o s m i c z n e j. Utwór ten rozwija przez stopniowe odsłanianie perspektyw nieskończoność w przyrodzie, a więc i w zjawiskach ludzkich. Wiersz rozpoczyna się bardzo tutaj sugestywnym (właśnie dzięki swemu sensowi intelektualnemu) obrazem:

To nie Syriusz czerwony się pali,
To nie gwiazda największa z gwiazd,

Nad konstrukcją niewidoczną ze stali
Nocny sygnał wznoszonych miast.

Nowe reflektory współzawodniczą z planetami o wpływ na życie. Współzależność zjawisk w kosmosie jest doskonale znana:

...stłumiony okrzyk człowieczy
Idzie w przestwór jak woda po rosie.

Dochodzi do nas refleks świateł sprzed miliona lat, ale:

...ucz nas, wszechświata budowo,
Gdy będziemy w twoich rozbłyskach,
Że na wielkość wpływa gwiazdową
Oprócz siły — odległość zjawiska.

I dlatego, gdy się wyrusza
Na ojczystych spraw rozważanie,
Większą jasność ma od Syriusza
Blask latarni nad rusztowaniem.

Jakże tu jesteśmy dalecy od postawy rzekomo „opisowej"! Proces myślowy jest konsekwencją światopoglądu a równocześnie pobudką do działania, gdyż wyjaśnia ważność spraw bliskich, zależnych od naszego bezpośredniego wysiłku.

Kiedy indziej — na przykład w pięknym poemacie Sen o tamie — liryka przybiera formy dramatyczne, ukazuje, ile ostrej walki mieści się w prostym na pozór zadaniu budowy tamy na Dunajcu:

Na pozór zda się prostą rzeczą
Wytyczyć tak zapory wodne,
Które tych skał nie okaleczą
A staną się człowieka godne.

Potem jednak wyłaniają się wielkie trudności techniczne związane z siłą prądu oraz problemem wody podskórnej. I w zakończeniu, w drogim Zagórskiemu Przesłaniu (który w tych wierszach pełni funkcje podobne do komentarza epicznego w dramatach Brechta) taki znajdujemy morał:

Wyszedł nad rzeki wzburzonej brzeg
Człowiek — decyzji rozważa ciężar,
Kto umie przegrać, będzie zwyciężał,
Wzrok jego leci jak strzały ścieg.

Myliłby się zapewne i ten, kto wyłącznie intelektualne piękno znajdowałby w tym tomie. Nie brak tu i wierszy na wskroś emocjonalnych, działających jak potężny bodziec energii, np. napisany w roku 1951 Gneisenau. Czasem znów znajduje ta poezja swe źródła w interesującym zestawieniu historycznym (Pod portretem przegranej w karty — wiersz ten zrodził się z oglądania portretu Izabelli Ciechanowieckiej, którą rozrzutny mąż-arystokrata przegrał jako stawkę w zabawie karcianej). I myślę, że właściwy program poetycki Zagórskiego mieści się w wierszu Męska pieśń, od którego cały tom wziął swe zawołanie. Jest to dialog z samym sobą: wezwanie do twardej solidarności ze światem, z wysiłkiem braci i sióstr toczących walkę z przyrodą. Oto najlepsze lekarstwo na niepokój, jaki przynosi zmierzch młodości:

Gdy się z lekka zaczyna
Pruć wspaniała maszyna,
Która miała na imię pamięć...

Świadomość męskiej i zwycięskiej walki zbiorowej wzbogaci jednostkę, obroni ją przed myślą o czyhającym niebezpieczeństwie, o groźbie starości i śmierci:

Niesiesz oto sztafetę
Przez to życie i Letę.
Czym jest życie? Czym śmierć? Czym
są ślady?
Opowiedzą kopalnie,
O los ziemi batalie.
Czy świat zdradził cię? — Nie ma
w nim zdrady.

I dlatego, gdybym próbował ujmować w jeden zwrot tak zawiłe zagadnienie,

jakim jest poetyka Jerzego Zagórskiego, nie użyłbym tu zwrotu: „na sposób malarski". Określenie to nie obejmuje najistotniejszych stron tej poezji, towarzyszącej człowiekowi w jego wysiłku i walce.

Wojciech Natanson

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK: *Ziemia kwitnie*. Kraków, 1954, Wydawnictwo Literackie; str. 62.

Największą wartością nowej książki Frasika Ziemia kwitnie wydaje mi się poetycka rekonstrukcja krajobrazu podkrakowskiego. Kiedy się mówi o Krakowie, kiedy się myśli o tym mieście jako o źródle poezji, jako o materiale poetyckim — wspomina się najczęściej czar ulic, starych murów czy Plant. Ktoś opowiadał mi niedawno o grupie starszych panów, siedzących w jednej z kawiarń poznańskich i ocierających łzy wzruszenia, ponieważ „w tej chwili na krakowskich Plantach kwitną kasztany". Żaden z tych panów nie urodził się w Krakowie, żaden z nich nie mieszkał w nim dłużej. Są wrażliwi na piękno — to wszystko. Tylko że zapomina się czasem o jednej jeszcze właściwości starego — a dziś tak znów rozkwitającego — miasta. Zapomina się o wsi podkrakowskiej, wsi pejzażowo bogatej, urodziwej, urozmaiconej, a przy tym przeludnionej, bagnistej, malarycznej. Od dawna nie zdarzyło mi się czytać wierszy, które by wyraźniej i wierniej ukazywały urok tej wsi niż nowe liryki Józefa Andrzeja Frasika. Wystarczyło podczas lektury przymknąć lekko oczy, aby zobaczyć:

...dom u zbocza, gdzie śliwina
stromo w leśne ustronie zwisa —
niebo jak szklany klosz, jak siwa misa
— z pękiem grzybów wraca starowina...
(Za rosochatką)

Myślałem z początku, że są to u mnie przypadkowe skojarzenia czytelnicze. Ale nie, poeta ma pełne poczucie tego podkrakowskiego rytmu krajobrazowego, który stanowi największy urok jego tomu. W wierszu Ziemia kwitnie, który dał tytuł tomikowi, odnajdujemy na stronie 26 takie wyznania:

U nas łąki mają smak miodu
u nas w polu kołyszą się żyta —
szkarłatem koniczyna, gdy dokwita,
śliczna jest. I koń pijący u brodu.

Kim jesteś? Wołają cię te strony,
gdzie gniazda skowrończe tulą się w zbożu,
żółte kwitnienie żyta i obłoki
wachlujące skrzydło motyla, spokój biedronek,
powój ciągnący miedzą, w kielich kwiatów rosę strąca
i ni to żagiel srebrny ten wiatr u wzgórz, ni łodzie,
ni jeleni bieg — a wierzbin okiść u dróg
woła wiosnę idącą w lato.

W tych krakowskich wierszach Frasik ma swój własny ton artystyczny; ma swój własny sposób potęgowania wrażeń przez celowe, starannie opracowane kumulacje obrazów. Oto przykład tej metody poetyckiej, zaczerpnięty z wiersza Ziemia wczoraj sza:

U pól, u dróg rozkisłych moja młodość,
u trudu, u pługa, u bron, u smutnych jesieni,
u wiosen woniejących ziemią, kiedy otworzy je skiby szarość,
u młocek dymiących i cepów skrzypliwych,
u studzien żurawianych i konwi chłodnych,
u sierpów krzywych, kos i grabi, u chrzęstu snopów,
u ścierni zagrabianych, u żytnisk poskładanych,

u dymu ziemniaczysk, krzyku wron,
gniazd wiatru,
nucenia skowronków, słońca żaru, rzek
chłodnych,
dni tak podobnych, jak krzyki wróbli,
poryk krów,
gdzie kołysze się łąka i dom o świcie,
gdzie uchylona sień i gęsi krzyki
i matki chód ciężki, ojca wołanie
ranem —
moja młodość.

Zauważmy, że w obrębie tego narastającego obrazu poetyckiego potęgują się (także metodą kumulacji) i jego części składowe. Na przykład: podobieństwo dni wyraża się analogią nie tylko z codziennymi, stale identycznymi krzykami wróbli, ale i z porykiem krów. Także i formy gramatyczne wiersza wyrażają skojarzenia, które powodują rozbudzenie wyobraźni. Młodość jest „u pól", „u dróg" — jak konie u wodopoju, spragniony człowiek u źródła. Mimo pozornego skomplikowania — obrazowanie poetyckie jest tutaj proste, bezpośrednie, komunikatywne. Zestawienie „żaru słońca" i „chłodnych rzek" — wystarczy za krajobraz. Tak samo „wiosna woniejąca ziemią"; inwersja, odwrócenie normalnego porządku skojarzeń (zazwyczaj mówi się przecież, że ziemia pachnie wiosną) jest dobrze użytym chwytem poetyckim.

I nie tylko krajobrazy, rozsnute w tej książce, biorą wyobraźnię czytelnika w mocne i bezpośrednie władanie. To samo można powiedzieć o działających tu ludziach: zresztą ludzie ci są mocno, nierozerwalnie związani z podkrakowskim pejzażem. Myślę zarówno o postaciach pojawiających się przelotnie, jak i ludziach, wypełniających sobą małe poematy. Przykładem pierwszego zjawiska może być owo „dziewczę zapłakane u krów" a także i „ten chłopak, strugający wierzbinę" czy zmarła młodo, wracająca jak wspomnienie siostra poety. Przykład drugiego zjawiska — to Lądzyna „zmarła przed drugą wojną światową, utalentowana poetka ludowa z Rakowic, natchniona analfabetka." Autor ukazuje ją w sposób urzekający „u młyna, gdzie Lądzyna prała chusty", na tle szerokich jaworów i drżącej osiki.

— A wiecie wy, kto to była Lądzyna?
— To z płachetką, to z sierpem szła w
pole z nami,
to mówiła do nas składnie
wierszami
tak serdecznie, jak matka do syna.
Spracowane miała ręce.
Usta zawsze pełne wiązanej mowy.
A że pisać nie umiała, więc swe pieśni
gdy odeszła, zostawiła ptakom leśnym
i śpiewają teraz w dąbrowie.

Celowo staram się tu zajmować opisywaniem środków poetyckich, jakich używa Józef Andrzej Frasik. Gotów jestem narazić się nawet na zarzut „opisywactwa", którym szermował w czasie dyskusji o krytyce poetyckiej na zebraniu Sekcji Poezji warszawskiego oddziału ZLP Witold Wirpsza. Zarówno on, jak i inni dyskutanci domagali się, by recenzenci w większym niż dotychczas stopniu uwzględniali specyfikę gatunku lirycznego i indywidualne właściwości stylu poetyckiego. Otóż myślę, że opis jest pierwszym krokiem wiodącym do tego właśnie celu — i dlatego potępianie opisu nie wydaje mi się słuszne. Zgadzam się natomiast z Wirpszą, że krytyka powinna zawierać akcenty „dyskusji" i „polemiki" artystycznej z twórcą. Spróbuję więc — przy całym uznaniu, jakie we mnie budzi poezja Frasika — rozpocząć z poetą spór o pewne sprawy.

Zamiarem artystycznym autora tomu Ziemia kwitnie było zapewne poetyckie ukazanie kontrastu między dawnym krajobrazem krakowskim,

oglądanym poprzez ewokacje wspomnień młodości, a dzisiejszymi głębokimi przeobrażeniami, jakie wieś podkrakowska przeżywa. Otóż ten zamiar nie zawsze zostaje osiągnięty — i chyba można wskazać tutaj przyczynę owego zjawiska. Obrazy poetyckie, które mają ukazać obecne przeobrażenia, są zanadto uproszczone i jakby — sztucznie sielankowe. Oto na przykład zwrotka z wiersza Traktorzystka z POM-u:

Ma w oczach to dziewczę czar nowych
wielkich rzeczy,
które dzieją się, które tworzą nowy
i lepszy świat,
a w świecie tym człowiek człowiekowi
brat,
nuci dziewczę młode, gdy traktor wraca
z pól pod wieczór.

A przecież wiemy dobrze, że poezji Frasika nie są obce tony dramatyczne, że jego wyobraźnia umie ukazać obraz walki. Dowodem są wiersze omawianego tomu, poświęcone wspomnieniom z czasu hitlerowskiej okupacji (np. Do dzieci):

widziały rzeki i jeziora, i polny widział
wiatr, lecz milczą,
widziały lasy i góry, gdzie tulił się
partyzancki śpiew,
widziały wierzby zgięte nad wodą
biała brzoza i gwiazdy wysokie widziały, lecz milczą.

Ginęli ludzie, a po nich tylko dym i
popiół.
Ginęły miasta i wioski, płonęły drzewa,
noce były pełne trwogi, bomby
przynosiły śmierć,
do świtu drżał horyzont i ogniem zionął,
potem dalekie mruczenie wybuchów,
dygocą szyby
i kiedy ucichło na chwilę — znów serce
zamiera:
biją kolbami w drzwi, krzyczą: otwórz!

Ten obraz wydaje się prosty — ale jakaż w nim siła, jaki gniew, jakie oburzenie i jaka nienawiść. Istotą przeobrażeń, jakie przeżywa świat, jest zmaganie. Istotą zmian, jakie widzi polska wieś, jest ścieranie się sił. Któż lepiej może nam opowiedzieć etapy tej walki jak poeta chłopski, wychowany przez mądrą pieśń ludową, dziedzic tradycji wspaniałego miasta i wspaniałego folkloru? Zresztą sam Frasik zdaje sobie z tego dobrze sprawę, on, który pisze w ostatniej strofie wiersza Dawne:

Kto jak ja zna ciężar pługa
i zapach ziemi, orną pieśń?
Moja znojem uchodzona wieś
jak łza jest, jak odlot, jak dymu
smuga.

I mimo owych upiększeń sielankowych w niektórych (nielicznych, dodajmy) wierszach J. A. Frasika, zamykamy ten tom pod silnym wrażeniem. Można go czytać wielokrotnie — za każdym razem odkryje nam jakieś nowe, przedtem niedostrzeżone piękności. Gdy rozłożyliśmy już kształty tych wierszy na ich składniki, przeanalizowaliśmy, rozebraliśmy je jak cząstki pomarańczy — pozostanie nam i w ustach, i na palcach ich smak i zapach, świeży, niezapomniany.

Wojciech Natanson

JERZY ANDRZEJEWSKI: *Książka dla Marcina*, Warszawa, 1954, PIW; str. 105.

Książka dla Marcina jest zbiorem wspomnień o Warszawie. Wspomnienia te nie są ani bardzo bogate, ani bardzo szczególne, są dobrane dość luźno, fragmentaryczne, nie ma w nich atrakcji fabularnych i w ogóle nie jest to książka, od której nie można by się było oderwać. Nie piszę jednak tego

wszystkiego po to, by kogokolwiek przekonać, że dla owych kilku wspomnień Andrzejewskiego nie warto przeto tracić czasu. Wprost przeciwnie — piszę to, ponieważ książka ta ujęła mnie w sposób zdradziecki, jest to bowiem książka podstępna i pozostaje się pod jej urokiem, choć tak łatwo opisać jej niepozorność, a trudno nazwać zalety.

Większa część *Książki dla Marcina* obejmuje „wspomnienia najdawniejsze": dzieciństwo i lata szkolne. Ale nie w opisywanych faktach życiowych, nie w szkicowym rysunku psychologicznych właściwości dzieciństwa i nie w uogólnieniach tych doświadczeń w pewne prawdy życiowe — leży jej urok. Wszystkie trzy wymienione warstwy wspomnień są mało atrakcyjne, jakoś niesamodzielne, żadna z nich nie byłaby w stanie nadać książce określonego kształtu artystycznego. Wspomnienia Andrzejewskiego nie pretendują zresztą do tej formy literackiej, jaką wizji własnego dzieciństwa nadał na przykład Jan Parandowski w pięknych opowiadaniach *Zegara słonecznego*: nie mają ani tej skończonej formy gatunku literackiego, ani konsekwentnej fabuły, ani tej pasji w subtelnym odkrywaniu psychologicznych finezji dziecięcych przeżyć. Andrzejewski jako pisarz dokonuje tu pracy zupełnie innej, stawia sobie zadanie artystyczne na miarę bezpośredniej, półpamiętnikarskiej, półfelietonowej wypowiedzi. Niepozorność owej formy pokrywa się ze swoistą niepozornością treści: opis spaceru, opis ulicy, kawiarni, parku, szkoły, księgarń, pierwszych przeczytanych książek, pierwszego przedstawienia teatralnego. Nawet liczne uogólnienia rozsiane w całej książce są na tyle znane i oczywiste, że trudno, mimo całej ich życiowej słuszności, uznać je za szczególnie ciekawe (np.: „Myślałem dawniej, że kiedy człowiek kocha — nie trzeba mu o miłości mówić, ponieważ ta miłość *jest*, i ten, który jest kochany, powinien o niej wszystko wiedzieć bez słów. Nieprawda. O miłości należy mówić. Wstydliwość uczuć — powie ktoś. Nie dowierzajcie tej wstydliwości, kryje się bowiem pod nią zazwyczaj po prostu oschłość. Trzeba o miłości mówić. Nie można zostawiać w miłości pustych przestrzeni dla domyślania się. Kochając, czyż nie chcemy wiedzieć, że jesteśmy kochani? Każdy człowiek chce to wiedzieć").

Nic więc, jako się rzekło, nie ma w tej książeczce szczególnego ani od strony formy artystycznej, ani też pod względem atrakcji tematycznych. A jednak posiada ona swoisty nastrój i urok, w którym wyczuwa się pisarski sukces, pisarski zamysł, celowość zestawianych obrazów, dbałość o pewien koloryt. *Książka dla Marcina* ma mianowicie wdzięk albumów ze starymi fotografiami, wdzięk dawnych pamiątek, miłej sercu aury wspomnień, w których drobiazgi grają wielką rolę i posiadają wymowę wzruszeń dalego głębszych, niż świadczyć by o tym mogła ich zewnętrzna treść. Bowiem w gruncie rzeczy mogłoby nie być nic interesującego w tym, gdzie mały chłopiec przed trzydziestu laty chadzał na spacery, w jakiej kawiarni jadł ciastka i przed jakimi stawał wystawami. Gdyby wszystko to działo się na przykład w Piotrkowie Trybunalskim, zapewne nie znaleźlibyśmy dosyć dobrych chęci, by entuzjazmować się tymi wydarzeniami. Ale już za samo utrwalenie tego, jak wyglądały Łazienki, w jakich kawiarniach spotykano się i jakie cuda leżały na wystawach antykwariatów przy ulicy Świętokrzyskiej — gotowi jesteśmy książkę Andrzejewskiego postawić na własnej półce i zaglądać do niej, choćby tylko

w celu odnalezienia owej wzruszającej topografii miasta, którego dawny, nieistniejący już kształt tak łatwo rozsypuje się w naszej pamięci. Urok warszawskich ulic, sklepów, zabaw w parkach, teatralnych premier, popularnych aktorów, filatelistycznych i antykwarskich tęsknot, koloryt miasta cieniowany lekko nastrojem przedszkolnych ranków, hałasów ulicznych, witryn sklepowych, wieczornych spacerów po jednej stronie Nowego Światu — panują niepodzielnie w książce Andrzejewskiego.

I nic nie przeszkadza nam ani pewna jednostajność opisu, ani brak rozbudowy fabularnej, ani powtarzanie. Wszystko to razem utrzymane jest bowiem w książce na prawach, które zachowują proporcje, jakie na własny użytek stwarza u każdego z nas wspomnieniowy pietyzm. Dla tych proporcji niekoniecznie najważniejszy jest fakt odkrywający w sposób oczywisty treść dawnych wydarzeń, natomiast bezcenną wartość zachowuje drobiazg, ornament, szczegół posiadający niespodziewaną nieraz siłę odtwarzania przeszłości. Ta właśnie siła jest siłą wspomnień zamkniętych w książce Andrzejewskiego. Dlatego to właściwą treścią książki nie są ani wspomnienia o pierwszej wojnie, ani opis endeckich ekscesów w gimnazjum Zamoyskiego, ani to, czego możemy się dowiedzieć o powstaniu warszawskim z ostatniej części zatytułowanej B i e l a n y. Wszystkie te wiadomości są tutaj tylko pewnymi faktami historycznymi, nie historyczne fakty jednak mówią w tej książeczce same za siebie, ale otaczające je wspomnienia codziennych wzruszeń, szczegółów, drobnych zapałów i rozczarowań, sentymentów, które po latach i wzruszają, i śmieszą.

Dużą część uroku wszystkie te szczegóły zawdzięczają po prostu Warszawie. Wzruszająca jest ta skrzętna troskliwość pisarza usiłującego utrwalić w obrazach zachowane w pamięci jak na kliszy fragmenty miasta, jego ulic, sklepów, których już nie ma, hałasów, nieuchwytnego niemal kolorytu tylokrotnie zmieniającego się w ciągu ostatnich dziesięcioleci. I to właśnie udało się Andrzejewskiemu najpełniej, nadało tym luźnym wspomnieniom jednolity ton. To, co opowiada autor o losach warszawskich księgarń i kawiarni, o tym, na jakich odcinkach Nowego Światu i Marszałkowskiej ludzie s p a c e r o w a l i, a na jakich po prostu s z l i, o tym, jak wyglądały Aleje we wszystkich porach roku, jak umeblowany był dom rodziców, jakie kupowano książki, jakie oglądano przedstawienia, jakie były szkolne wypracowania i kłopoty — łączy się w wyobraźni czytelnika w ogólny, bardzo plastyczny i konkretny obraz minionych lat i minionych krajobrazów tamtej Warszawy.

Trudno nie docenić tu prostoty i bezpośredniości wypowiedzi autorskiej, owego tonu lirycznego felietonu, eseju, niemalże listu do czytelnika. Na tle tych wspomnień łatwo przyznać autorowi prawo do snucia ogólno-moralnych lub filozoficznych rozważań, których forma w innym kontekście mogłaby razić. Przyznać jednak trzeba, że razi nas ona niekiedy również w K s i ą ż c e d l a M a r c i n a. Znalazłoby się kilka fragmentów, podobnych do już przeze mnie cytowanego, w których owe ogólne stwierdzenia wydają się być niepotrzebną „watą", nie przydającą książce ani uroku, ani filozoficznej głębi.

Napisałem na wstępie, że K s i ą ż k a d l a M a r c i n a nie należy do książek, które czyta się „jednym tchem". To prawda. Trzeba się w niej nieco rozsmakować, trzeba również dobrze rozumieć pełną wartość tych podjętych przez pisarza szczegółów z życia miasta, którego niepowtarzalną

minioną atmosferę tak troskliwie ochrania Andrzejewski w swych wspomnieniach. A wtedy uzna się ją za książkę „dla siebie".

Helena Zaworska

ANNA SEGHERS: *Umarli pozostają młodzi*, powieść, przełożył Julian Maliniak, posłowiem opatrzył Egon Naganowski. Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 658.

Umarli pozostają młodzi, siódma z kolei powieść Anny Seghers powstała w latach 1944—47 w dalekim Meksyku i została wydana po raz pierwszy w roku 1949, wkrótce po powrocie pisarki do ojczyzny.

Tematem utworu są dzieje narodu niemieckiego od 1919 roku do końca drugiej wojny światowej. Jednakże Umarli nie są powieścią historyczną obrazującą bieg wydarzeń dziejowych. Autorka wydarzeń tych nie odtwarza, nawet ich nie relacjonuje — są one tylko wspominane i to w najbardziej zwięzłych skrótach. W książce nie ma ani jednego cytatu z jakiegoś przemówienia czy innego dokumentu epoki. Wszystkie bez wyjątku postacie są — jak zawsze w powieściach Anny Seghers — fikcyjne.

Dzieje narodu niemieckiego pisarka ukazuje i interpretuje jedynie i wyłącznie poprzez indywidualne losy poszczególnych jednostek. Analiza i krytyka bohaterów powieści jest zarazem analizą i krytyką mentalności i działania ugrupowań społecznych, do których należą. Obiektem bezpośredniego zainteresowania autorki są wszystkie nieomal klasy i warstwy społeczne narodu niemieckiego w tym okresie historycznym.

Z powyższego wynika, że zasięg tematyczny i zagadnieniowy powieści Umarli pozostają młodzi jest wręcz ogromny. Nie trzeba chyba specjalnie podkreślać, iż zamknięcie takiego bogactwa treściowego w granicach jednotomowej powieści było zadaniem wyjątkowo trudnym. Jakie ramy kompozycyjno-fabularne znalazła Anna Seghers dla rozwiązania tego zadania?

Powieść otwiera zwięzła, dramatyczna scena, zawierająca ekspozycję całego utworu. W styczniu 1919 roku kilku białogwardyjskich oficerów niemieckich zabija w podberlińskim lesie młodego rewolucjonistę Erwina. Zabójstwo Erwina ma bezpośredni albo pośredni wpływ na losy pięciu ludzi, a mianowicie jego morderców (przemysłowca Klemma, oficerów von Wenzlow i von Lieven i chłopa Nadlera) i jego przyjaciółki (Marii). Dzieje tych pięciu postaci i ich rodzin na przestrzeni ćwierć wieku stanowią materiał fabularny książki. Są one ukazane w pięciu równoległych opowieściach, mających więc wspólny punkt wyjściowy. Niektóre z tych opowieści wiążą się luźno ze sobą w toku akcji, inne pozbawione są więzi kompozycyjnej.

Koncepcja samoistnych, nie zaś krzyżujących się wątków przypomina konstrukcję pierwszej powieści Anny Seghers, wydanych w 1932 roku Towarzyszy. Ale kompozycja Towarzyszy była logiczną konsekwencją zamierzenia autorskiego: chcąc ukazać walkę komunistów i terror klas rządzących w różnych krajach w tym samym okresie historycznym — pisarka uczyniła to w ramach utworu składającego się z pięciu równoległych opowieści, złączonych więzią ideową i tematyczną. Słabość książki o Towarzyszach nie jest spowodowana układem kompozycyjnym powieści, lecz tym, że poszczególne wątki są przeważnie blade i bezbarwne, a postacie — zbyt szkicowo ujęte.

Wręcz odwrotną sytuację mamy w epopei Umarli pozostają młodzi. W każdym z pięciu wątków jest najprawdziwszy miąższ epicki,

w każdym pojawiają się niezapomniane postacie, sceny i obrazy. Obrany jednak przez Annę Seghers układ kompozycyjny nie okazał się najszczęśliwszy. Wprawdzie układ ten umożliwił autorce odzwierciedlenie typowych przejawów życia we wszystkich środowiskach społecznych Niemiec weimarskich i hitlerowskich, ale powieść nie wywiera wrażenia jednej organicznej całości. Co więcej: koncepcja nie krzyżujących się ze sobą, lecz oddzielnych wątków fabularnych spowodowała, że obrazy poszczególnych środowisk są jakby odizolowane od siebie, że nie widzimy w dostatecznej mierze starć między występującymi w powieści przedstawicielami antagonistycznych klas społecznych. Gdy najwspanialsza powieść Anny Seghers, S i ó d m y k r z y ż, tworzy zwartą, jednolitą budowlę, jest — rzec można — arcydziełem architektury powieściowej — epopeja o U m a r ł y c h rozpada się na poszczególne opowieści, obrazy, epizody itd.

Trzeba więc wyraźnie powiedzieć, iż Anna Seghers nie znalazła ram kompozycyjnych, jakich domagał się obrany przez nią niezwykle szeroki i skomplikowany temat, a centralny motyw fabularny U m a r ł y c h (zabójstwo Erwina) jest znakomity, ale zarazem — w pewnej mierze — niefortunny.

Krótka, nadzwyczaj wyrazista scena zamordowania Erwina jest jakby prologiem powieści, czy też raczej wspólnym prologiem owych pięciu samoistnych wątków, z których składa się cały utwór. Znaczenie tej sceny nie sprowadza się bynajmniej tylko do zawartej w niej ekspozycji — z prologu wyłania się zarazem podstawowa koncepcja historiozoficzna powieści.

Rozkaz zamordowania wydaje bogaty przemysłowiec Klemm, wykonawcą jest pruski junkier von Wenzlow, a ofiarą robotnik, który walczył o demokratyczne Niemcy. Symboliczny sens jest jasny: rewolucja niemieckiego proletariatu zostaje bestialsko zduszona przez wielką burżuazję i junkierstwo, a więc klasy społeczne, które rządziły w rozbitym państwie Wilhelma II, doprowadziły do pierwszej wojny światowej i w zmienionych warunkach historycznych w rzeczywistości nadal sprawować będą władzę.

Obierając zamordowanie Erwina jako punkt wyjściowy dla odzwierciedlenia losów poszczególnych ludzi, reprezentujących różne środowiska społeczne — Anna Seghers mówi wyraźnie: zdławienie rewolucji po upadku państwa Hohenzollernów zaciążyło w decydujący sposób na historii Niemiec następnych dziesięcioleci. Ukazane w przekroju jednostkowym skutki przegranej rewolucji, skutki rozciągające się na cały okres aż do rozgromienia hitleryzmu w 1945 roku — to zasadniczy temat powieści. Prolog stanowi wręcz mistrzowskie wprowadzenie do tego tematu, bo daje w błyskawicznym skrócie charakterystykę zarówno klas rządzących, jak i niemieckiej klasy robotniczej w 1919 roku. Wystarczy przeczytać tę pierwszą, zaledwie kilka stron obejmującą scenę U m a r ł y c h, by przekonać się, że Anna Seghers jest wielką pisarką.

Dlaczego więc określiliśmy poprzednio podstawowy motyw fabularny związany z zabójstwem Erwina jako raczej niefortunny?

Bohaterami czterech wątków powieści autorka uczyniła ludzi, którzy w prologu mordują młodego rewolucjonistę; czyn ten ujawnia w pełni ich oblicze „ideowe" i moralne — już po pierwszym rozdziale, rozgrywającym się w całości w styczniu 1919 roku, jesteśmy przeświadczeni, że Klemm, Wenzlow, Lieven i Nadler będą w przyszłości hitlerowcami. Charakterystyki tych czterech bohaterów U m a r ł y c h

stają się coraz bogatsze w toku dalszej akcji, obejmującej przecież dwadzieścia pięć lat, ale nie następują już żadne istotne zmiany ich psychiki. Skoro wizerunki Klemma, Wenzlowa czy Lievena są już w 1919 roku ukształtowane, skoro oni już wówczas byli bezwzględnymi cynikami i reprezentowali skrajną reakcję społeczną — to nic dziwnego, że pomimo różnych powikłań życiowych w duszy ich nie będą rozgrywać się żadne prawdziwe konflikty. W odróżnieniu od Siódmego krzyża, powieści konfliktów dramatycznych, Umarli są powieścią, w której dominują obrazy epickie. Wspólna jest jednak obydwum wielkim powieściom Anny Seghers ogromna wiedza o człowieku i epoce.

Najtrafniejszy, a niekiedy wręcz odkrywczy obraz epoki zawdzięczamy tym częściom Umarłych, w których Anna Seghers ukazuje środowiska reakcyjne. Jak wynika z powyższych uwag, autorka poświęca przedstawicielom ugrupowań wstecznych aż cztery wątki powieści, natomiast w jednym tylko wątku uosabia zdrowe siły narodu. Proporcja ta może wywołać zdziwienie, toteż wymaga krótkiego wyjaśnienia. Przypomnijmy w tym celu raz jeszcze Siódmy krzyż.

Jak wiadomo, główne zainteresowanie Anny Seghers skierowane było w tej pięknej i wielkiej powieści na dramat rozgrywający się w duszy tych, którzy nie ulegli zbrodniczym hasłom brunatnych władców. W Siódmym krzyżu, pisanym w latach 1937—39, Anna Seghers ukazała przed całym światem te nieliczne, ale jakże istotne światła, które w najbardziej ponurych godzinach mroku hitlerowskiego zapowiadały nową erę Niemiec.

Powieść o Umarłych powstała już w innej sytuacji historycznej — pisząc ten utwór Anna Seghers myślała w pierwszym rzędzie o czytelniku niemieckim, o milionach, których osobowość była w mniejszym czy większym stopniu wypaczona przez faszyzm. Siódmy krzyż — to przede wszystkim bolesne, z najgłębszego cierpienia zrodzone wyznanie wiary w lud niemiecki, to książka o siłach postępu w społeczeństwie niemieckim. Umarli natomiast — to powieść przede wszystkim oskarżycielska i demaskatorska, powieść namiętnie ostrzegająca przed ugrupowaniami społecznymi, które doprowadziły do zwycięstwa hitleryzmu i umożliwiły jego dwunastoletnie panowanie.

W Umarłych, w wątku obrazującym losy Klemma, Anna Seghers po raz pierwszy w historii literatury oświetliła i ujawniła rolę kapitału niemieckiego w utorowaniu drogi faszyzmowi.

Kiedy postępowi pisarze mieszczańscy ukazywali partię Hitlera jako zbiorowisko wyrzutków społeczeństwa, awanturników i pospolitych złoczyńców (jak np. Lion Feuchtwanger w Sukcesie, co prawda napisanym już w 1929 roku, lub Bernard Kellermann w Tańcu umarłych) — Anna Seghers odsłania klasowy charakter faszyzmu. Przedstawia nam kapitalistów (zwłaszcza Klemma i jego wspólników) w pełni działania, chwyta ich niejako na gorącym uczynku, co z miejsca pozwala nam ocenić ich charakter i rolę, jaką odegrali w historii Niemiec. Klemm jest świetnym przykładem postaci, która urasta do miary sugestywnego symbolu powieściowego, ale jednocześnie zachowuje indywidualne i niepowtarzalne rysy żywego i prawdziwego człowieka. W jego wizerunku i historii pisarka ukazała typową mentalność wielkich kapitalistów niemieckich, odzwierciedliła ich taktykę w latach dwudziestych.

Anna Seghers, dążąc do odtworzenia w psychice i losach swych bohaterów najbardziej charakterystycznych rysów

określonych warstw społecznych, w najmniejszym stopniu nie upraszcza i nie ogranicza życia jednostki, nigdy nie pokazuje jednostronnie naświetlonych postaci. Świadczy o tym np. obraz stosunków rodzinnych Klemma albo też finezyjnie narysowana sylwetka Wenzlowa. Autorka U m a r ł y c h potrafi przekonać czytelnika, że tego pruskiego oficera, który zastrzelił Erwina, trapią niejednokrotnie szczere wyrzuty sumienia. Ale szczegółowe ukazanie jego intymnych przeżyć psychicznych bynajmniej nie osłabia jednoznacznej, oskarżycielskiej wymowy tej postaci, lecz potęguje ją jeszcze bardziej — widzimy bowiem, że rozważania junkra von Wenzlow nie mają żadnego wpływu na jego postępowanie.

Zobrazowanie środowiska przemysłowców, junkrów i oficerów uzupełnione jest analizą wsi niemieckiej w okresie Republiki Weimarskiej i panowania hitleryzmu. W wątku rodziny Nadlerów powtarzają się motywy znane nam z L i s t u g o ń c z e g o, ale tym razem rozwinięte na przestrzeni dwudziestu lat i — przede wszystkim — dialektycznie pogłębione.

Warto przy tej sposobności zaznaczyć, że w swoich dawniejszych utworach pisarka, ukazując postacie z ludu niemieckiego, niekiedy ulegała wpływom psychologizmu (przykład: Bentsch z O c a l e n i a). W U m a r ł y c h nie ma nawet śladu tych tendencji — poszczególne analizy psychologiczne spełniają zawsze rolę służebną wobec nadrzędnej myśli.

Szczególnie ciekawa i głęboka jest analiza chłopa Wilhelma Nadlera, który w zabójstwie Erwina brał udział jako konwojent. Trzej oficerowie świadomie zamordowali rewolucjonistę, natomiast Nadler był ślepym narzędziem w rękach przełożonych. Postacie tych trzech oficerów posiadają już w zalążku powieści swe decydujące rysy psychiczne, w psychice Nadlera następuje w latach dwudziestych i trzydziestych istotna przemiana — z bezwolnego wykonawcy zbrodniczych rozkazów staje się on świadomym mordercą. Losy Nadlera, najpierw lancknechta armii kajzerowskiej, później SA-mana i wreszcie żołdaka armii hitlerowskiej, są głęboko osadzone w rzeczywistości społecznej epoki i ukazują z godną podziwu wyrazistością destrukcyjny wpływ militaryzmu i faszyzmu na osobowość człowieka.

Każdy z trzech wymienionych wątków — Klemma, Wenzlowa i Nadlera — odznacza się precyzją i bogactwem rysunku obyczajowego. Podobnie jak analizy psychologiczne postaci zarówno pierwszoplanowych, jak i epizodycznych, uderzają wnikliwością i wszechstronnością, ocenę i interpretację zjawisk historyczno-społecznych cechuje zawsze trafność i nieomylność. Każdy z tych wątków tworzy oddzielną opowieść o atrakcyjnej fabule, stanowi kompozycyjną całość, w której artystyczno-ideowa celowość i konieczność poszczególnych scen czy postaci nigdy nie wzbudza wątpliwości. Nie można tego powiedzieć o czwartym z kolei wątku, historii zdeklasowanego arystokraty Lievena, któremu autorka poświęca wiele miejsca, choć właściwie historia ta nie wnosi wiele nowych elementów do obrazu ukazanego w pozostałych opowieściach.

Przejdźmy obecnie do zawartej w U m a r ł y c h wizji świata walczącego z faszyzmem i powiedzmy od razu: wizja ta nie odznacza się pełnią i wyrazistością, jaka jest znamienna dla obrazu środowiska reakcyjnego. Oczywiście: nie w tym rzecz, iż tylko jedna z pięciu opowieści odzwierciedla i interpretuje tragedię ludzi postępu — jest to logicznym następstwem poprzednio wspomnianej oskarżycielskiej koncepcji całego utworu. Ale w ramach tej opo-

wieści, rozgrywającej się w środowisku robotniczym, niektóre istotne elementy historyczne zostały pominięte, inne zaś przedstawione nieco jednostronnie, w wyniku czego otrzymaliśmy obraz wzbudzający tu i ówdzie zastrzeżenia.

Trzy postacie wysuwają się w tej części książki na pierwszy plan: przyjaciółka Erwina, Maria, ich syn Hans, urodzony już po zamordowaniu Erwina, oraz robotnik Geschke, późniejszy mąż Marii.

Tragedia znacznej części niemieckiej klasy robotniczej znalazła swe trafne odbicie w losach socjaldemokraty Geschkego, uczciwego, prostolinijnego człowieka, który staje się ofiarą oportunistycznej polityki przywódców swojej partii. Pisarka obrazuje ze szczególną subtelnością stopniowe budzenie się wątpliwości u Geschkego i — utrafiając w sedno rzeczy — stawia swego bohatera wobec dylematu: czy działać w myśl tego, co dyktuje instynkt klasowy, czy też posłusznie realizować wytyczne ustalane przez kierownictwo socjaldemokracji?

Opowieść o dziejach Geschkego, a zwłaszcza jego żony Marii, zawiera niezliczone dowody wyjątkowego wręcz daru autorki Siódmego krzyża odtwarzania życia prostych, skromnych i cichych ludzi z proletariatu niemieckiego. W dotychczasowych powieściach Anny Seghers kobiety zjawiały się jedynie jako postacie drugoplanowe. W Umarłych Anna Seghers po raz pierwszy daje pełny obraz postaci kobiecej.

Obrazując miłość Marii do Erwina, jej początkowo chłodny i rzeczowy stosunek do Geschkego, jej codzienne borykanie się z nędzą, jej trudną walkę o wychowanie dzieci na rzetelnych ludzi, jej żywiołową, instynktowną nienawiść do faszyzmu — Anna Seghers sięga głęboko w najbardziej intymne warstwy doznań swej bohaterki. Uzyskany w ten sposób portret Marii urzeka prawdą i zdumiewa głębią. Nie będzie przesadą, jeśli stwierdzimy, że Maria jest najbardziej jednolitą, najpiękniejszą postacią kobiety z ludu, jaką znaleźć możemy w epice niemieckiej XX wieku.

A jednak część powieści, odzwierciedlająca losy proletariatu w tym ćwierćwieczu, nasuwa — jak wspominaliśmy poprzednio — poważne zastrzeżenia.

Walkę rewolucyjną, uosobioną w prologu książki w postaci Erwina, kontynuowała Komunistyczna Partia Niemiec. Ale w części powieści, odtwarzającej lata Republiki Weimarskiej, nie widać w dostatecznej mierze następców Erwina. Jego przyjaciel Marcin pojawia się dopiero pod koniec tej części i w jego charakterystyce dominują rysy zmęczenia i smutku. Również drugi występujący w tej części komunista, robotnik Triebel, którego stałe spory z sąsiadem, socjaldemokratą Geschkem, symbolizują rozłam w klasie robotniczej, naszkicowany jest dość jednostronnie. W rezultacie brak w powieści odzwierciedlenia bohaterskiej walki jedynej partii, która nieustannie walczyła z hitleryzmem.

W latach Trzeciej Rzeszy kontynuatorem walki Erwina ma być jego syn Hans. Trudną walkę antyfaszystowską w tym okresie autorka zobrazowała więc przede wszystkim na przykładzie chłopca, który w chwili zagarnięcia władzy przez hitlerowców ma zaledwie trzynaście lat. Jest to koncepcja co najmniej zadziwiająca. Hans nie wie, kto był jego ojcem, w jego otoczeniu nie widać w dostatecznej mierze ludzi, kształtujących jego osobowość (kontakt z Marcinem, przyjacielem Erwina, urywa się bardzo szybko), jego ojczym Geschke, bezradny wobec reżimu, staje się coraz bardziej samotny i rozgoryczony — ale mimo wszystko droga rozwojowa Hansa (przypadająca więc na

okres Trzeciej Rzeszy!) prowadzi go do szeregów niemieckiego ruchu oporu. W wyniku tej niefortunnej koncepcji ewolucja Hansa jest nieprawdopodobna, a jego sylwetka psychologiczna niejednolita i pozbawiona owej typowości i wyrazistości, która tak chlubnie wyróżnia postacie Klemma, Nadlera czy Marii.

Śmierć Hansa, który pod koniec drugiej wojny światowej zostaje stracony za działalność antyfaszystowską w armii hitlerowskiej, stanowi zakończenie powieści. Rozkaz rozstrzelania wydaje ten sam Wenzlow, który niegdyś zamordował Erwina — jest to dość sztuczne rozwiązanie fabularne, sugerujące jakiś niewątpliwie przez autorkę niezamierzony fatalizm: Hans stając się kontynuatorem walki ojca, musi tak samo jak ojciec zginąć i nawet z tych samych rąk.

W scenie rozstrzelania Hansa znajdujemy rozszyfrowanie tytułu powieści. Wenzlowowi, który oczywiście nie wie, że Hans jest synem Erwina, wydaje się, iż rozpoznaje on rewolucjonistę zabitego przed ćwierć wiekiem, ale nie może pojąć, że wygląda on tak młodo. „Ten chłopak" — rozmyśla Wenzlow — „...tak odrzucił jak źrebak głowę do tyłu. Jak gdyby sobie nic nie robił ze śmierci. Przeszli nad nim: Noske i Lichtschlag, Kapp i Lüttwitz, a on pozostał tak młody. Przecież to właśnie jemu hitlerowcy obiecywali raj na ziemi, nie dał się jednak oszukać. Obrabiali go na wszystkie strony, że aż mu gnaty trzeszczały; wysłali go na wojnę, kazali mu się bić w jednej bitwie po drugiej; nie dał się jednak zastrzelić; i został młody. Nawet teraz, kiedy wszystko już było stracone, gotów był jeszcze raz postawić wszystko na jedną kartę".

Wyrażona w ten sposób wiara w nieśmiertelność idei rewolucyjnej i nieśmiertelność tych, którzy, jak Erwin i Hans, padli w walce o urzeczywistnienie tej idei — nie znajduje jednak dostatecznego potwierdzenia w zakończeniu powieści. Dowiadujemy się, że Emmi, przyjaciółka Hansa, nosi w łonie jego dziecko. Powtarza się więc w 1945 roku sytuacja z 1919 roku: dziecko Emmi urodzi się po śmierci Hansa — tak jak dziecko Marii urodziło się po śmierci Erwina. Trudno pogodzić się z takim usymbolizowaniem ciągłości walki rewolucyjnej. Perspektywa zwycięstwa słusznej sprawy jest i mało konkretna, i jakby odsunięta w daleką przyszłość.

Ale jednocześnie w zakończeniu powieści kryje się głębsza myśl: gdy Maria właściwie nic o swoim ukochanym nie wiedziała, a wychowując swego syna kierowała się — będąc człowiekiem o bardzo skromnych horyzontach myślowych — jedynie prawością swego serca, o tyle Emmi, bojowniczka ruchu oporu, jest kobietą uświadomioną, która w pełni brała udział w życiu Hansa. Zasugerowane przez autorkę porównanie Marii z 1919 roku i Emmi z 1945 roku symbolizuje wzrost świadomości klasy robotniczej.

Uwagi powyższe bynajmniej nie wyczerpują problematyki U m a r ł y c h — powieści zdumiewającej niezwykłym bogactwem myśli i obrazów. Mówiąc o brakach tego dzieła trzeba stale mieć na uwadze, że jest to utwór pionierski i nowatorski. Bezsprzecznie U m a r l i nie są pełnym zwycięstwem wielkiego talentu autorki S i ó d m e g o k r z y ż a, ale niewątpliwie „pozostaną młodzi". Jest to najszerszy i najgłębszy obrachunek z niedawną przeszłością, jaki powstał w powojennej literaturze niemieckiej.

Marceli Ranicki

NA WIDNOKRĘGU

ŚWIADOMOŚĆ SIŁY

W opublikowanym 29 listopada 1954 roku orędziu Światowej Rady Pokoju czytamy:

„Podczas gdy zakończenie wojny w Korei i Indochinach oraz odrzucenie „Europejskiej Wspólnoty Obronnej" natchnęły cały świat nadzieją na zlikwidowanie sporów dzielących poszczególne państwa — układy londyńskie i paryskie stawiają narody w obliczu groźnego niebezpieczeństwa, jakim będzie dla każdego z nich odrodzenie Wehrmachtu. Podczas gdy zgłoszono nowe propozycje, których urzeczywistnienie zapewnić może zjednoczenie Niemiec, realizacja układów londyńskich i paryskich zadałaby ciężki cios demokratycznym i patriotycznym siłom narodu niemieckiego, wzbudziłaby pragnienie militaryzmu niemieckiego i usankcjonowałaby rozbicie Niemiec i Europy...

...Postawiono narody przed dramatyczną alternatywą: albo rokowania, które mogą być uwieńczone rozsądnym porozumieniem, albo akt samowoli, który może zniweczyć odprężenie międzynarodowe wskutek remilitaryzacji Niemiec zachodnich i włączenie ich do paktu militarnego...

Narody powinny stawić opór ratyfikacji układów londyńskich i paryskich..."

Od I Apelu Sztokholmskiego z roku 1950 do Orędzia z 1954 światowy ruch pokoju okrzepł i stał się największą współcześnie, moralną potęgą świata. Miliony, setki milionów prostych ludzi reprezentujących najwyższe ideały człowieka — umiłowanie życia, umiłowanie pracy nad budową lepszego losu — zdołało swoją wiarą, swoją nadzieją i swoją miłością związać ręce imperializmowi.

Zahamowanie rozlewu krwi w Korei i Wietnamie, odrzucenie EWO — unaoczniły sztabowi światowego imperializmu, że nie ma siły, która by zmusiła powszechną opinię ludzkości do aprobaty polityki wojny, że każdą nową próbę narzucenia militarystycznego dyktatu spotka ten sam los, co poprzednie. Imperializm amerykański zrzucił więc maskę. Polityką faktów dokonanych, najbrutalniejszą taktyką presji pragnie zagłuszyć sumienie świata i zdławić głos protestu. Układy londyńskie i paryskie — pomimo woli narodów, wbrew woli narodów — mają stworzyć nieodwracalny stan rzeczy, w którym tylko pięść będzie miała prawo do decydowania o życiu i śmierci. Parlamenty i rządy z nienotowanym w historii pospiechem wobec tak kardynalnej dla losów świata sprawy uchylają się przed odpowiedzialnością wobec swoich narodów. Widmo hitlerowskiego żołdaka stoi u progu.

*

Amerykański imperializm środkami wypróbowanymi na giełdach Wall Street, środkami walki rywalizujących ze sobą trustów nie zdobędzie świata. Polityka zaskoczenia bezsilna jest wobec wartości niezniszczalnych, na których straży stoi największa duchowa i materialna potęga ludzkości.

Konferencja moskiewska krajów europejskich w sprawie zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie była wyrazem tej potęgi. Na amerykański szantaż i groźbę wojny kraje socjalistyczne w imieniu setek milionów ludzi odpowiedziały słowami nabrzmiałymi powagą. Na histerię wojenną odpowiedziały gotowością do obrony pokoju. Odpowiedzialność za losy świata wzięły w swoje ręce te siły, które już raz ocaliły ludzkość przed ostateczną i nie-

uchronną — zdawało się — nocą faszyzmu.

Znamy styl polityków imperialistycznych. Znamy agresywny ton haseł o „obronie cywilizacji", o „solidarności wolnego świata" itd. W zestawieniu z tym stylem deklamacyjno - inwektywnym jakimże spokojem tchną słowa W. M. Mołotowa, kiedy analizuje sytuację wytworzoną przez posunięcia imperialistyczne! W imieniu narodu, który ocalił świat pod Stalingradem, Mołotow ukazuje perspektywy zbrodni, która zagraża, tak, alę która nie jest nieuchronna:

„Zaledwie przed dziewięciu laty zakończyła się druga wojna światowa, która przyniosła narodom europejskim niezliczone nieszczęścia. Nie wolno zapominać o dziesiątkach milionów ofiar w ludziach, o wielkim bólu matek, wdów i sierot. Nie dadzą się z niczym porównać wyrządzone przez wojnę zniszczenia materialne i straty narodów. Następstwa tej wojny odczuwa się po dzień dzisiejszy. Daleko jeszcze do usunięcia wszystkich szkód wyrządzonych przez okupantów faszystowskich w miastach i wsiach Związku Radzieckiego i Polski, Francji i Anglii, Jugosławii i Czechosłowacji, Belgii i Holandii oraz szeregu innych państw europejskich. Same Niemcy należą również do państw, które poniosły największe straty.

Przypomnienie tego jest dziś naszym obowiązkiem. Powinniśmy wciąż przypominać o tak niedawnych jeszcze latach drugiej wojny światowej, aby przeszkodzić realizacji zbrodniczych planów obecnych militarystów, przygotowujących w naszych oczach nową wojnę światową...

W obecnych warunkach remilitaryzacja Niemiec zachodnich nabiera jeszcze bardziej niebezpiecznego charakteru niż dawniej. Wystarczy powiedzieć, że armia zachodnio - niemiecka otrzymuje do dyspozycji wszystkie rodzaje broni, nie wyłączając możliwości użycia broni atomowej. W takiej sytuacji niewiele trzeba, aby rozpętać wojnę atomową rękami tych militarystów, którzy przeszli hitlerowską szkołę zbrodni wojennych, zgładzili miliony niewinnych ludzi w obozach śmierci, w kamerach gazowych, gdzie duszono ludzi, w Majdankach, Oświęcimiach i wielu innych. Czyż można zapomnieć o tym, że te potwory przelały potoki krwi ludzkiej dążąc do unicestwienia całych narodów, całych ludów! Ponieważ obecnie dokonuje się nie tylko remilitaryzacja Niemiec zachodnich, lecz również wciąga się je do ugrupowań militarnych wymierzonych przeciwko innym państwom europejskim — nie należy pomniejszać zgubnych następstw takiej sytuacji. Znaczy to, że w oczach wszystkich odbywa się jawna zmowa między militaryzmem niemieckim i agresywnymi kołami niektórych państw zachodnich w celu przygotowania nowych awantur wojennych. Niemieccy militaryści i odwetowcy otrzymując do swojej dyspozycji zasoby Niemiec zachodnich i odpowiednie poparcie tych państw zachodnich, a przede wszystkim kół agresywnych Stanów Zjednoczonych — niebezpodstawnie uważają, że zapewni im to już w najbliższym czasie przewagę militarną Europy zachodniej, na której opierając się ponownie zdepczą wszelkie wiążące ich porozumienia".

W tej solidarności wolnych narodów wobec groźby nowego Wehrmachtu postawa i rola nas, Polaków, jest jasna i oczywista.

„Dla nas, Polaków — mówił na konferencji moskiewskiej premier Cyrankiewicz — których kraj stał się pierwszym pobojowiskiem drugiej wojny światowej, nie istnieje żaden argument, który by mógł w jakimkolwiek stopniu przekonać nas, że można na nowo

zbroić militarystów niemieckich bez niebezpieczeństwa ściągnięcia na nasz kraj i wszystkie kraje Europy nowej katastrofy".

Oświadczenia przedstawicieli wolnego świata są proste i jednoznaczne. Nie ze względu na właściwości stylistyczne. Proste i jednoznaczne dlatego, że nie kryją się za nimi ani niedopowiedziane cele, ani niewyrażone interesy. Za potęgą narodów socjalizmu stoi jednoznaczna idea sprawiedliwości społecznej, jednoznaczna troska o człowieka i jednoznaczna nadzieja lepszego jutra. Przez usta przedstawicieli wolnego świata w imię prawa do życia przemawia ludzkość śmiertelnie zagrożona. Dlatego rezonans konferencji moskiewskiej jest i będzie olbrzymi. Narody całego świata, miliony ludzi dławionych materialnie i moralnie przez kapitalizm — w sformułowaniach konferencji moskiewskiej znajdą pokrzepienie i siłę do dalszej walki z narastającym faszyzmem i wzmagającą się histerią wojenną.

Obóz postępu nie jest bezbronny. Polityka zaskoczenia, polityka dokonanych faktów ani go nie przerazi, ani sparaliżuje. W zakończeniu deklaracji ośmiu państw uczestniczących w konferencji moskiewskiej czytamy:

„Narody Związku Radzieckiego, Polski, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii, Bułgarii, Albanii i Niemieckiej Republiki Demokratycznej pochłonięte są pokojową, twórczą pracą. Wysiłki ich zmierzają do dalszego rozwoju gospodarki i kultury, do nieustannego podnoszenia stopy życiowej mas pracujących i równocześnie do zapewnienia niezawodnej ochrony ich wielkich zdobyczy socjalistycznych. Nie ma na świecie siły, która by potrafiła cofnąć koło historii i przeszkodzić budownictwu socjalizmu w naszych krajach.

Narody naszych państw świadome są tego, że układy paryskie znacznie wzmogły groźbę nowej wojny. Nie dadzą się one jednak zaskoczyć rozwojem wydarzeń.

Narody nasze są pewne swej siły i swych niewyczerpanych zasobów. Nigdy jeszcze siły pokoju i socjalizmu nie były tak potężne i zwarte jak obecnie. Wszelkie próby napaści, rozpętania wojny i zakłócenia pokojowego życia naszych narodów spotkają się z druzgocącą odprawą. A wtedy narody nasze opierając się na sympatii i pomocy innych narodów uczynią wszystko, ażeby zniszczyć siły agresji i zapewnić triumf naszej słusznej, sprawiedliwej sprawie.

Narody nasze pragną żyć w pokoju i utrzymywać przyjazne stosunki ze wszystkimi innymi narodami. Właśnie dlatego, broniąc również nadal ze wszech miar sprawy pokoju i powszechnego bezpieczeństwa, uczynią wszystko, co niezbędne, ażeby zapewnić sobie dalszą pokojową drogę rozwoju i należyte bezpieczeństwo swych państw".

Widmo nowego Wehrmachtu stojącego u progu Europy nie obezwładni, lecz zmobilizuje wszystkie istniejące na świecie siły wolności. Walka o pokój — dla milionów ludzi pamiętających Majdanek, Oświęcim, Dachau i Oradour sur Glane — coraz bardziej nabiera ostatecznego sensu. To walka o życie, o to, co najcenniejsze w świecie. To walka o samo pojęcie człowieczeństwa.

Zbigniew Bieńkowski

PRZECIW MONOPOLOM WOJNY

W dniu rozpoczęcia w Moskwie obrad państw europejskich nad zapewnieniem bezpieczeństwa w Europie świat zwany zachodnim podzielił się na dwie części. Jedni — a tych były miliony — zatroskani o los własny i swoich dzieci, czekali na słowa otuchy. Inni, two-

rzący nieznaczną, ale potężną mniejszość, z niepokojem badali reakcję narodów i — jej wpływ na cedułę giełdową.

Tam, gdzie mowa służy ukrywaniu myśli, z konieczności narzucają się inne mierniki. Milczenie, jakim prasa Stanów Zjednoczonych otoczyła Konferencję i Deklarację Moskiewską, było więc równie pełne wyrazu, co późniejsza wrzawa. Oba zaś te zjawiska są odbiciem wahań giełdy nowojorskiej — jej lęku wobec perspektyw pokoju, jej zadowolenia na wiadomość, że Mendes-France zobowiązał się forsować zbrojenie Wehrmachtu.

W kulisach bowiem wypowiadano się bez obsłonek. „Wprowadzenie w życie układów paryskich — mówił jeden z wielkich przemysłowców wojennych, Charles Dana — położy kres dziesięcioletnim wahaniom, które hamowały ekspansję gospodarczą niektórych narodów". Po czym dodaje, aby rozwiać wszelką wątpliwość, o co mu chodzi: „Będziemy mogli zwiększyć nasz wywóz o co najmniej 50%".

Kropkę nad „i" postawił Eliot Janeway, ekonomista Wall Street i ekspert w zakresie gospodarczej mobilizacji: „Niemieckie zbrojenia podniosą bardzo szybko cenę stali do poziomu z okresu wojny, kiedy doszła do wysokości 42 dolarów za tonę. Co więcej, już w roku 1955 przeskoczymy ten pułap. A stal jest przecież barometrem ekonomiki USA. Zamówienia rządowe będą wzrastać w tym samym tempie, w jakim zbrojenie wyczerpywać będzie zapasy. To zaś z kolei torować będzie drogę nowemu wielkiemu programowi amerykańskiej produkcji wojennej, przeznaczonej na dalsze zasilanie zbrojeń".

Trudno o jaśniejsze wyłożenie zamiarów i celów. Układy paryskie oficjalnie tylko zawarli Dulles, Eden, Adenauer i Mendes-France. Za ich plecami stoją Morgan i Rockefeller, Krupp, Armstrong-Vickers i Schneider-Creuzot. Monopole wojenne chcą „wyczerpać swoje zapasy" i „utorować drogę nowemu programowi wielkiej produkcji wojennej USA". W tym celu trzeba uzbroić Niemcy zachodnie. By potem z „pozycji siły" nowego Wehrmachtu poprzeć odwetowe żądania Bonn, w myśl tajnej umowy Dullesa z Adenauerem, zawartej 29.X.1954. By potem nienasycony Moloch sięgnął po jeszcze większe zyski, zmierzające utorowaną już drogą do trzeciej wojny światowej.

Gramy zatem w otwarte karty. „Atmosferę pokoju, panującą w powojennym świecie, całkowicie zatruły polityczne intrygi oraz napastnicze, zaborcze dążenia Stanów Zjednoczonych" — stwierdza wielki dziennik hinduski, „Dehli Times".

I oto w odpowiedzi na cyniczny upór wojenny rozlega się głos narodów zebranych w Moskwie. „Państwa uczestniczące w niniejszej konferencji — stwierdza Deklaracja Moskiewska — oświadczają, że w wypadku ratyfikacji układów paryskich zdecydowane są przedsięwziąć wspólnie środki w dziedzinie organizacji sił zbrojnych i ich dowództwa, jak również inne środki, niezbędne do umocnienia ich zdolności obronnej, by ochronić pokojową pracę swoich narodów, zagwarantować nietykalność swych granic i terytoriów oraz zapewnić obronę przed ewentualną agresją". Gdyż „ratyfikacja tych układów będzie oznaczała akt wymierzony przeciw zachowaniu pokoju i zmierzający do przygotowania nowej wojny w Europie. Ratyfikacja ta w znacznym stopniu skomplikuje całą sytuację w Europie i podważy możliwości uregulowania nierozwiązanych problemów europejskich, a przede wszystkim problemu niemieckiego".

Nie ma tu niedomówień. Napastnik został wyraźnie ostrzeżony. Ale zarea-

gował na to ostrzeżenie wzmożeniem zabiegów o ratyfikację wojennego sojuszu, wzmożeniem intryg i próbą okłamania rzeczywistości, skoro rzeczywistość stała się dlań niewygodna.

Najbardziej nawet zagorzali siewcy histerii wojennej muszą jednak mówić językiem pokoju. Cóż mieli więc przeciwstawić jasnym słowom Deklaracji Moskiewskiej, stwierdzającej, że główną przeszkodą w utrwaleniu pokoju w Europie jest nierozwiązany do dziś problem niemiecki; a jedyną przeszkodę w rozwiązaniu tej sprawy stanowi plan uzbrojenia Niemiec zachodnich?

W USA znaleziono formułę prostą, a właściwie prostacką. Wynalazł ją niezawodny w tych rzeczach John Foster Dulles. Licząc na otępienie społeczeństwa Ameryki czadem propagandy, zabrał głos w Chicago i dał do zrozumienia, że w Moskwie został uknuty „napastniczy spisek wojenny". Tezę Dullesa podchwyciły skwapliwie wszystkie dzienniki, począwszy od największych.

W Europie Zachodniej sytuacja nie była tak prosta. Niełatwo jest wmówić logicznie myślącym narodom, że redukcję zbrojeń i wstrzymanie wyścigu osiągnąć można tylko drogą uzbrojenia Niemiec. Nie podobna bez karkołomnej żonglerki myślowej wytłumaczyć Niemcom, że zjednoczenie uzyskać mogą tylko dzięki trwałemu rozdarciu. Alternatywy nie ma: ratyfikacja układów paryskich uczyni bezprzedmiotowymi wszelkie rokowania w sprawie niemieckiej. Wniosek ten wysnuwa Deklaracja Moskiewska i powtarzają z naciskiem późniejsze wypowiedzi radzieckie. A z logiką trudno walczyć. Co najwyżej można ją ignorować.

Istotnie tak było. „Dla uzyskania ratyfikacji — pisała „Washington Post" — Mendes-France musi uprawiać ekwilibrystykę na linie. Musi zostawić drzwi otwarte dla rokowań z Moskwą, ale rokowań żadnych prowadzić nie może". Znamy te metody. Nie inaczej postępowały mocarstwa zachodnie latem 1939. Symulacja rokowań, by za tym parawanem stwarzać fakty dokonane. Dla wznowienia rokowań trzeba by anulować ratyfikację układów paryskich. Ale w takim razie po co ratyfikować? By wybrnąć z tego absurdu, Mendes-France z pomocą de Gaulle'a wprowadza szczególne rozróżnienie: ratyfikacja nie oznacza jeszcze wprowadzenia w życie. Lecz takie rozumowanie jest już prowokacją zdrowego rozsądku. Kto bowiem, zwłaszcza po ratyfikacji, przeszkodzi Adenauerowi w organizowaniu Wehrmachtu — a o to przecież chodzi? I jakimi środkami można temu przeszkodzić po uroczystym wyrażeniu zgody?

„Utworzenie zachodnio - niemieckiej półmilionowej armii — głosi Deklaracja Moskiewska — i jej uzbrojenie ma kosztować — według obliczeń polityków bońskich — w przybliżeniu sto miliardów marek, co całym ciężarem spadnie na barki mas pracujących Niemiec zachodnich, a zwłaszcza na barki klasy robotniczej; nie może to nie pociągnąć za sobą gwałtownego obniżenia ich stopy życiowej".

Rzeczywistość z nadwyżką potwierdziła te przewidywania. Jeszcze przed rozpoczęciem debaty ratyfikacyjnej zjawił się w Paryżu minister gospodarki w rządzie Adenauera i niedwuznacznie zażądał obniżenia płac robotników francuskich i wprowadzenia 50-godzinnego tygodnia pracy dla „ujednolicenia poziomów" Niemiec zachodnich i Francji. Takie są wstępne skutki, takie są objawy „dobrobytu zbrojeń".

Polska, obok Czechosłowacji i Niemieckiej Republiki Demokratycznej, znajduje się w pierwszej linii zagrożenia. Tragiczne szaleństwo zbrojeń rozpętane przez monopole wojenne nie pozostawia nam złudzeń. Czeka nas okres żmudnych i ciężkich wysiłków,

by doprowadzić do szczytu naszą zdolność obronną, by pancerz naszych granic uczynić nieprzeniknionym. Zadanie jest tym trudniejsze, że obłęd, który zagraża światu, nie jest przypadkowym i przejściowym zjawiskiem. Kryje się w nim zimna, cyniczna kalkulacja grupy potężnych spekulantów, którzy — jak dwadzieścia lat temu w Niemczech — dorwali się dziś do władzy w największym z państw kapitalizmu.

Wojna stała się groźną zmową w ręku monopolu nielicznych. Zmowa będzie udaremniona, złowieszcza siła monopoli złamana. Ale żaden sukces nie powinien nas uśpić, tak jak żadne niepowodzenie zniechęcić. Tylko z tym zastrzeżeniem wolno nam patrzeć spokojnie w przyszłość, tylko pod tym warunkiem wyjdziemy zwycięsko z próby.

Nie płyniemy na oślep. Jesteśmy cząstką wielkiej społeczności narodów, obejmującej połowę ludzkości. A drugą jej połowę wydobywa z bierności nasza czynna postawa. Pełne pokrycie tym faktom dała konferencja moskiewska. Na tym właśnie polega jej nieprzemijające znaczenie, na dziś i na jutro.

Julian Stawiński

Z DYSKUSJI PRZEDZJAZDOWEJ

Niemal w przeddzień Zjazdu Pisarzy Radzieckich z nową siłą rozgorzała dyskusja o poezji, zwłaszcza o liryce. Ostrą polemikę wywołała wypowiedź poety Ilji Sjelwińskiego, krytykująca w artykule P a l ą c a s p r a w a („Litieraturnaja Gazieta" z 19.X. ub. r.) — jego zdaniem — mocno popierany w poezji radzieckiej kierunek liryczny, reprezentowany przez trzech poetów — Twardowskiego, Isakowskiego i Surkowa. Sjelwiński wysunął pod adresem Związku Pisarzy, pod adresem krytyków i wydawców żądanie, aby jednakowo popierano również i inne, różnorodne odmiany i kierunki poetyckie, które, razem wzięte, powinny stanowić jednolity, zharmonizowany zespół twórczy.

Już w następnym numerze pisma (z 21.X. ub. r.) ukazała się odpowiedź na wywody Sjelwińskiego — artykuł poetów M. Gribaczowa i S. Smirnowa pt. W i o l o n c z e l i s t a o t r z y m a ł k a l a f o n i ę (aluzja do użytego przez Sjelwińskiego porównania zespołu poetów radzieckich z zespołem instrumentów w orkiestrze, a jego własnej twórczości — z wiolonczelą). W toku polemiki z Sjelwińskim autorzy artykułu poruszyli także i inne problemy współczesnej poezji radzieckiej.

Zdaniem obu poetów niedawna dyskusja nie pozostała bez wpływu także i na rozwój poezji epicznej. „Polemika na temat problemiku «samowypowiadania się» — czytamy w artykule Gribaczowa i Smirnowa — spowodowała w szczególności to, że jako główny wysunęliśmy problem rozwoju liryki, a zupełnie zapomnieliśmy o epice."

W polemice z postulatem Sjelwińskiego Gribaczow i Smirnow doszli do takiego wniosku: „Zabierając głos na sekcjach i w prasie, my, literaci, powinniśmy dbać o to, aby ścieranie się prądów i kierunków twórczych w najszerszym zakresie przybrało charakter współzawodnictwa twórczego, aby nie było u nas nieprzyjemnych starć na tle klikowości i niechęci osobistej, aby zawsze uzasadnieniem krytyki, wysuwanej pod adresem kolegi, było dobro naszej literatury".

Z kolei artykuł Gribaczowa i Smirnowa wywołał również protesty. Najżywiej zareagowała Olga Bergholc (P r z e c i w k o l i k w i d o w a n i u l i r y k i, „Litieraturnaja Gazieta" z 28.X. ub. r.), polemizując z poglądami Gribaczowa i Smirnowa na przyczyny nienadążania radzieckiej poezji epicznej za życiem, na źródła bra-

ku większych poematów w twórczości ostatnich lat. Uważa ona za błędne operowanie przez Gribaczowa i Smirnowa argumentem, że — cytuję artykuł Olgi Bergholc — „...nasza obecna rzeczywistość rzekomo nie daje poetom tworzywa tak pełnego konfliktów i dramatyzmu, jak na przykład początki kolektywizacji, Wojna Narodowa, pierwsze lata powojenne..."

Zdaniem Olgi Bergholc — podobne rozważania mogą dezorientować, rozbrajać poetów. Takim poglądom przeczy sama rzeczywistość radziecka. „Właśnie ostatnie półtora roku, dwa lata — czytamy w artykule Przeciwko likwidowaniu liryki — i to zarówno w naszym kraju, jak i poza jego granicami, obfitowały w tak gigantyczne, tak szybko i gwałtownie przebiegające wydarzenia dziejowe, iż ich ważkością i dramatyzmem lata te dorównują pierwszym latom kolektywizacji czy też pierwszym latom powojennym". Olga Bergholc przykładowo przytacza pełną romantyzmu tematykę zagospodarowania ugorów. „A jeżeli — zamyka tę myśl autorka Pierworosyjska — ukazuje się jeszcze wiele monotonnych i pozbawionych emocjonalności wierszy o ugorach, to winę za to ponosi nie życie, lecz raczej — poeci".

Poetka polemizuje z twierdzeniem Gribaczowa i Smirnowa o fatalnym, bo rzekomo hamującym rozwój epiki, oddziaływaniu dyskusji o liryce. Olga Bergholc broni pełnego prawa poety radzieckiego do „samowypowiedzi" *).

W dyskusji o poezji wypowiedziało się wielu poetów i krytyków, na przykład: M. Łukonin (Rozmowa z towarzyszami poetami, „Litieraturnaja Gazieta" z 10.VIII. ub. r.), St. Szczipaczow (Poezji potrzeba potężnych skrzydeł, „Prawda" z 19.IX. ub. r.), M. Rylski (Bogactwo naszej poezji, „Litieraturnaja Gazieta" z 26.X. ub. r.), K. Simonow (Człowiek w poezji, „Litieraturnaja Gazieta" z 4.XI. ub. r.), A. Jaszyn (Wymagania życia, „Litieraturnaja Gazieta" z 13.XI. ub. r.), W. Ługowski (Rozmyślania o poezji, „Litieraturnaja Gazieta" z 16.XI. ub. r.), S. Wasiljew (Piękno tkwi w różnorodności, „Litieraturnaja Gazieta" z 18.XI. br.), W. Orłow (Wielkie tradycje, „Litieraturnaja Gazieta" z 27.XI. ub. r.), M. Lisjański i K. Murzidi (Dlaczego nasza poezja pozostaje w tyle, „Litieraturnaja Gazieta" z 30.XI. ub. r.), W. Druzin (Na marginesie polemiki o poezji, „Litieraturnaja Gazieta" z 2.XII. ub. r.) i in.

Nieomal wszyscy dyskutanci zgodni są co do tego, że zła sytuacja w poezji bynajmniej nie wypływa z nienadążania poetów za wydarzeniami i przejawami życia, z niemożności szybkiego poetyckiego opracowania tematów dnia. „Istota sprawy polega na tym — pisze Łukonin — że nasza poezja nie dorównuje wydarzeniom skalą, rozmachem, głęboką istotną treścią, że nie odpowiada pełnemu dziejowemu znaczeniu i filozoficznemu sensowi naszego życia."

Ale to nie wyczerpuje zagadnienia. „Wiele utworów poetyckich — czytamy w artykule Łukonina — pod względem walorów artystycznych nie osiąga poziomu kultury narodu, jego pogłębionych wyobrażeń o doskonałości, o pięknie, o kunszcie poetyckim".

W sporze o treść liryki, o prawo do lirycznej samowypowiedzi radzieckiego poety-obywatela Jaszyn podziela zdanie Olgi Bergholc. „Wiersze poety — czytamy w jego artykule Wymagania życia — to nie tylko

*) Poglądy Olgi Bergholc na tę sprawę już omawialiśmy w „Twórczości" (Nr 9/53, Nr 9/54).

życie jego bohaterów, ale i jego własne życie, jego autobiografia. Prawdziwym poetą staje się jedynie ten, kto — abstrahując od spełnienia wszystkich innych warunków — wierszy nie p i s z e, ale w wierszach ż y j e, kto wybrał je jako formę własnej aktywnej, społecznej działalności życiowej". Jaszyn jest zdania, że nie trzeba lękać się starego wyrażenia „samowypowiedź". Pojęcie to należy napełnić nową, radziecką treścią. „Bez samowypowiadania się — cóż to za poezja, tym bardziej — liryka!" — konkluduje Jaszyn.

Konstanty Simonow również ujmuje treść i zadania poezji pod kątem potrzeby odtworzenia w niej człowieka, jego uczuć i myśli. Wyraziwszy przekonanie, że każdy poeta radziecki nieodparcie dąży do odtworzenia w postaciach poetyckich wszystkiego, co w człowieku jest najlepsze, Simonow pisze o ideologicznych przesłankach twórczych i zapytuje: „O jakim obiektywnym odtworzeniu rzeczywistości, o jakiej lirycznej samowypowiedzi poety może w ogóle być mowa, gdy — odtwarzając obiektywną rzeczywistość, względnie dając „samowypowiedź", to znaczy odtwarzając samego siebie jako cząstkę tej obiektywnej rzeczywistości — poeta nie wnosi do poezji poczucia zwycięstwa nowego nad starym, mężnego nad tchórzliwym, światłego nad ciemnym, rewolucyjnego nad reakcyjnym? Jest to właśnie ów dział wodny: z jednego jego zbocza spływa potok poezji realizmu socjalistycznego, na drugą zaś stronę ściekają prądy obce temu rewolucyjnemu szlakowi rozwojowemu w poezji."

Wychodząc z założeń socjalistycznego humanizmu Simonow wypowiada pogląd, że „...dla artysty podstawowym problemem jest wiara w człowieka tworzącego rewolucję, wiara w jego moc, wystarczającą, aby zwalić to, co stare w świecie, i to, co stare w nim samym".

Trzeźwy pogląd na siłę i chwytliwość przeżytków przeszłości każe — zdaniem Simonowa — przypuszczać, że nawet teraz, chociaż od sformułowania na I Zjeździe Pisarzy Radzieckich metody realizmu socjalistycznego upłynęło 20 lat, mogą znaleźć się poeci, którzy jeszcze na drogę realizmu socjalistycznego nie wstąpili.

„Moim zdaniem — pisze Simonow — takie postawienie sprawy jest bardziej słuszne i zasadnicze niż mechaniczny punkt widzenia, według którego wszyscy poeci, mieszkający w Związku Radzieckim, automatycznie, w różnym stopniu i zakresie — są realistami socjalistycznymi."

Pod kątem odtworzenia w poezji człowieka Simonow rozpatruje również i spór o istotę liryki, o ustalenie stosunku liryki do epiki i tym podobne poruszone powyżej problemy poezji. Simonow uważa, że polemika ta dotyczy raczej terminologii niż istoty rzeczy, przy czym bynajmniej nie chodzi o to, „...aby w poezji propagować epikę ze szkodą dla liryki czy na odwrót... Nie mamy żadnych powodów do wznoszenia chińskiego muru pomiędzy liryką a epiką, ani też do wszczynania sztucznych sporów literackich. Podobnie jak w epice, tak i w liryce, odtwarzającej świat zewnętrzny widziany oczyma poety, przedmiotem odtworzenia jest właśnie człowiek i jego stosunek do pracy, do przyjaźni, do miłości, do przyrody. Toteż gdy wartościujemy takie lub inne przejawy poezji (włączając w to lirykę) — przede wszystkim powinniśmy zająć się tym, w jaki sposób wyobrażono w nich współczesnego nam człowieka, czy został on odtworzony wszechstronnie".

Simonow dochodzi do wniosku, że w poezji często odczuwa się brak wielowymiarowości w odtwarzaniu człowie-

ka. „Nazbyt często — czytamy w artykule Simonowa — poeci niejako biorą z człowieka tylko próbki — nie odtwarzają w pełni jego uczuć, lecz dokonują wyrywkowej analizy tego lub owego uczucia."

Wychodząc z zasadniczych założeń realizmu socjalistycznego o odtwarzaniu prawdy życiowej, Simonow uzupełnia definicję realizmu socjalistycznego takim określeniem: „Prawdziwy obraz życia powinien być jednocześnie odtworzeniem wielostronnym, wielowymiarowym". To właśnie prawda życiowa i artystyczna wymaga od poety kreślenia postaci wielowymiarowych.

Wychowawcza funkcja poezji wymaga, aby nie tylko odtwarzała ludzi, lecz także — aby o nich walczyła. „Ale walczyć o człowieka nowego — wyjaśnia bliżej autor P r z y j a c i ó ł i w r o g ó w — może poeta tylko wtedy, gdy opisze, w jaki sposób człowiek staje się człowiekiem nowym, co i jak zwalcza w sobie i w innych ludziach, na jakiej drodze w wyniku wielkiej walki duchowej znajduje właściwe rozwiązanie problemów własnego ludzkiego postępowania, własnych stosunków z innymi ludźmi.

W poezji potrzebne jest nam wszystko, co dzieje się w duszy człowieka: i dzień świąteczny, i dni powszednie, i radość zwycięstwa, i gorycz rozczarowania, i spory. Ludzie powinni polemizować nie tylko w życiu, ale i w poezji."

Simonow poruszył też od wielu miesięcy żywo omawianą sprawę „idealnego bohatera" w poezji. „Całkowicie zgadzam się z tymi towarzyszami — deklaruje swoje stanowisko Simonow — którzy wypowiedzieli się na łamach prasy i zdążyli zauważyć, iż spoza wszystkich uporczywie wiedzionych dysput o «bohaterach idealnych» — sterczą ośle uszy teorii bezkonfliktowości."

Simonow omówił kilka zasadniczych zadań stojących przed radziecką poezją. Aby im sprostać, należy — zdaniem poety — doprowadzić do szerokiej wymiany poglądów na możliwości współistnienia i twórczego współzawodnictwa rozmaitych kierunków twórczych. Wielu uczestników dyskusji o poezji omówiło szeroko właśnie to zagadnienie. Poeta Siergiej Wasiljew pisał: „Im pełniej i bardziej szczegółowo wypowiedzą się w przedzjazdowej dyskusji poeci należący do różnych pokoleń i kierunków, tym łatwiej i konkretniej będzie można stawiać zagadnienia z wysokiej trybuny zjazdowej. Szczerość, otwartość, samokrytyka — wszystko to jest pewnym doradcą i pomocnikiem naszego ogólnego postępu."

Wasiljew omówił słabe strony niektórych rodzajów poetyckich, zwłaszcza liryki, poezji satyrycznej. „Niemal wszyscy my — pisze Wasiljew — (mam na myśli nie milczków, ale poetów aktywnych, piszących) w miarę swoich sił i temperamentu twórczego szukamy tego, co nowatorskie, ale byłoby rzeczą co najmniej naiwną zadowalać się relatywnymi osiągnięciami w poszukiwaniach nowatorskich, upajać się odkryciami zaledwie zbliżonymi do nowatorstwa."

Do śmiałości w poszukiwaniach poetyckich wzywa poetów Stiepan Szczipaczow w artykule P o e z j i p o t r z e b a p o t ę ż n y c h s k r z y d e ł. „Mamy — pisze Szczipaczow — wielu poetów z różnorodnym doświadczeniem życiowym, temperamentem, twórczym widzeniem świata. Toteż nie bez kozery obok prostych, chwytających za serce wierszy i pieśni M. Isakowskiego mamy wiersze o skomplikowanej rytmice pióra W. Ługowskiego, obok wartkiego wiersza A. Mieżyrowa: N a p r z ó d, k o m u n i ś c i! istnieją przepojone sympatyczną, na

wpół żartobliwą intonacją utwory poetyckie M. Świetłowa. W naszej poezji występują tacy różnorodni poeci, jak: M. Asiejew i E. Dołmatowski, N. Uszakow i S. Wasiljew, L. Martynow i N. Rylenkow — oraz wielu innych, różniących się od siebie poetów. A jednak poezja nasza cierpi na pewne zwężenie tematyczne i rodzajowe; to ją zuboża i — nie ma czego ukrywać — niekiedy czyni nudnawą."

Nie tylko jednak wąskość tematyczna i gatunkowa przysparza poetom trudności. Zdaniem Szczipaczowa w ogóle chodzi o „temperaturę poezji, o rolę i pozycję poety w życiu". Na przykładzie kilku utworów na tematy najaktualniejsze Szczipaczow ilustruje swoje twierdzenie o braku skrzydeł w twórczości poetyckiej niektórych pisarzy. Najprawdopodobniej przyczyną niskiego lotu jest — zdaniem autora artykułu — „zadufanie, jakie opanowało niektórych kolegów."

Mówiąc o różnych gatunkach twórczych w poezji, Szczipaczow podkreśla, że „...o podziale poezji na obywatelską i nieobywatelską można mówić tylko umownie. W twórczości wielu poetów oba te pojęcia zespalają się tak, iż niemal niemożliwe jest ustalić między nimi wyraźną granicę. Czyż to jednak usprawiedliwia niektórych redaktorów i krytyków, żądających, aby w każdym wierszu o miłości lub o przyrodzie niezawodnie występował moment polityczny lub produkcyjny?"

Stwierdziwszy znaczne ożywienie radzieckiej twórczości lirycznej Szczipaczow konkluduje: „Wszystkim wiadomo, że szczyty poezji zawsze wytyczała poezja obywatelska. Przekonuje nas o tym przykład Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa, Szewczenki, Majakowskiego. Ale my pragniemy, aby w poezji kwitły wszystkie rodzaje twórcze, aby nasza twórczość była poezją wielkich idei i uczuć, aby była tak wielowymiarowa, jak dusza człowieka, jak samo życie naszego wielkiego narodu."

Zarówno Szczipaczow, jak i inni uczestnicy dyskusji o poezji, a zwłaszcza M. Łukonin w cytowanym wyżej artykule — dużo uwagi poświęcili twórczości młodych poetów. Dużo mówiono o tym na III Zjeździe Radzieckich Pisarzy Ukrainy (z końcem października ub. r.) — w przemówieniach P. Tyczyny, A. Pidsuchy i innych, wygłoszonych w ciągu dyskusji zjazdowej. Miarą napływu młodych sił do poezji i literatury ukraińskiej w ogóle są cyfry, podane na Zjeździe przez P. Pancza: w kilkuletnim okresie, który upłynął od II Zjazdu Radzieckich Pisarzy Ukrainy, do Związku przyjęto 128 nowych członków i kandydatów; w ugrupowaniach i zjednoczeniach literackich zrzeszonych jest obecnie około 900 młodych autorów.

Szczegółowe omówienie przebiegu tego Zjazdu przekracza ramy niniejszego artykułu: ograniczę się więc do naszkicowania pewnych poruszonych na Zjeździe zagadnień literatury ukraińskiej *), przede wszystkim z dziedziny poezji. W dniu otwarcia Zjazdu (26.X. ub. r.) ukazał się w „Litieraturnej Gaziecie" artykuł Maksyma Rylskiego — B o g a c t w o n a s z e j p o e z j i, zawierający przegląd ostatnich osiągnięć i charakterystykę twórczości najwybitniejszych liryków ukraińskich — Pawła Tyczyny, Mikoły Bażana, Andreja Małyszki, Leonida Pierwomajskiego, Płatona Woroński i in. Oczywiście Rylski wypowiedział się również i o spornych sprawach liryki, problemie bohatera lirycznego itp. Oto jak Rylski definiuje lirykę: „Liryka w szerokim znaczeniu tego wyrazu — jest to odpowiedź poety na wszystkie przeja-

*) Bliższe omówienie spraw ukraińskiej literatury radzieckiej znajdzie czytelnik w Nr. 7 „Twórczości" z ub. r. (Na widnokręgu: Rozkwit ukraińskiej literatury radzieckiej).

wy życia, podyktowana jego osobistym stosunkiem do nich. Możemy wiele dyskutować o tak zwanym lirycznym bohaterze, ale liryka Goethego i Heinego, Byrona i Petöfiego, Villona i Musseta, Mickiewicza i Słowackiego, Puszkina i Niekrasowa, Błoka i Majakowskiego, Tyczyny i Tuwima — jest przede wszystkim odbiciem osobistych przeżyć autorów. I obojętne jest, czy wiersze Niekrasowa podyktowało obywatelskie oburzenie, czy też głęboka i pełna smutku miłość do ludu albo czy — na przykład — Fet utrwala w poetyckim słowie własne przelotne i nieokreślone czucia i wrażenia, zrodzone z uwielbienia kobiety lub z zachwytu nad przyrodą — zarówno Niekrasow, jak i Fet, nie przypadkiem mówią w pierwszej osobie — „ja".

Uczestnicy dyskusji zjazdowej również wiele uwagi poświęcili sprawom liryki. Poeta B. Palijczuk mówił o problemie lirycznego bohatera: „Wydaje mi się rzeczą bezsprzeczną, że zrodzony z twórczej myśli poety liryczny bohater istnieje... Liryczny bohater nie potrzebuje specjalnie uzewnętrznionych przymiotów. Aby udowodnić, że jest człowiekiem współczesnym, nie musi się go umieszczać w samolocie odrzutowym. Prawdziwy liryczny bohater naszych czasów posiada przekonywające przymioty wewnętrzne, cechy charakteru właściwe człowiekowi nam współczesnemu, człowiekowi radzieckiemu".

Krytyk S. Kryżanowski bronił w dyskusji odmiennego punktu widzenia na sprawę lirycznego bohatera. Kryżanowski powiedział m. in.: „Lirycznym bohaterem powinien być sam poeta. Mówienie o lirycznym bohaterze stanowi wygodny parawan dla pewnych poetów, pragnących za nim ukryć swoje własne zacofanie. Pomiędzy poetą z utworu a poetą w życiu nie powinno być żadnych «nożyc»."

I w referacie zjazdowym przewodniczącego Zarządu Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy, M. Bażana, i w dyskusji najwięcej uwagi poświęcono stanowi ukraińskiej prozy, jej osiągnięciom i trudnościom. „Analizując osiągnięcia ukraińskiej prozy w dziedzinie powieści historycznej — mówił M. Bażan — należy zaznaczyć, że ten gatunek twórczy powinien rozwijać się nie kosztem osłabienia zainteresowania pisarzy tematyką współczesną. W ostatnich latach zaznaczyła się taka tendencja i to powinno wzmóc naszą czujność. Nie przezwyciężyliśmy jeszcze niedoceniania pewnych bardzo ważkich gatunków prozy: dotyczy to przede wszystkim nowelistyki i reportażu literackiego."

Wielu uczestników dyskusji poruszyło sprawę pozytywnego bohatera, występując przeciwko koncepcjom „bohatera idealnego". Oleś Gonczar przyznał, że spór ten jest jednak uzasadniony i pożyteczny, ułatwia bowiem jasne i ścisłe określenie pojęcia estetycznego ideału *), nie mają natomiast racji ci, którzy postulują bohaterów bez skaz. „Jestem przeświadczony — mówił Gonczar — że M. Ostrowski, tworząc swojego Korczagina, czy M. Szołochow, tworząc Dawydowa — nie posługiwali się jakimś schematem postaci pozytywnej, ale przedstawiali bohaterów takich, jacy istnieli albo mogli istnieć w rzeczywistym życiu."

Wybitni mistrzowie prozy radzieckiej wypowiadają się w prasie literackiej na temat prozy realizmu socjalistycznego. W „Litieraturnej Gaziecie" z 13.XI. ub. r. Borys Polewoj zamieścił odpowiedź na list otwarty robotników kosogorskich do pisarzy radzieckich (o liście tym, zatytułowanym C z e g o

*) Syntetyczne omówienie tego zagadnienia dał krytyk B. Riurikow w artykule I d e a ł e s t e t y c z n y a p r o b l e m p o z y t y w n e g o b o h a t e r a („Litieraturnaja Gazieta" z 2.XI. ub. r.). Tłumaczenie tego artykułu zamieściła „Nowa Kultura" w Nr. 46 z ub. r.

oczekujemy od naszych pisarzy, pisaliśmy w przeglądzie w Nr. 8 „Twórczości“ z ub. r.). Polewoj porusza w swym artykule zagadnienia tematyczne, w szczególności uznaje słuszność postulatu stworzenia postaci bohaterów spośród klasy robotniczej.

Z wypowiedzi prozaików o literaturze, z notatek o własnej twórczości i doświadczeniach twórczych — na uwagę zasługują też artykuły zamieszczone w dziale Dziennik pisarza „Nowego Miru“ (Nr. 11/54). W obronie pozytywnego bohatera — to tytuł notatek młodego prozaika, W. Tendriakowa, który ciekawie ujął to trudne zagadnienie. „Często — pisze Tendriakow — nie doceniamy sprawy pokazania tego, co negatywne, co obumiera, z czym mają walczyć pozytywni bohaterowie.“ Żądając pokazywania zjawisk i ludzi tylko dodatnich niektórzy krytycy i pisarze popełniają duży błąd właśnie w stosunku do pozytywnego bohatera. „Istnieje niebezpieczeństwo — snuje tę myśl Tendriakow — że krytycy, którzy tak uporczywie powtarzają wołanie o to, co pozytywne, mimo woli odsuwają w cień zjawiska ujemne. Zarówno pisarze, jak i czytelnicy zaczynają przyjmować odtwarzanie zjawisk nowych jako coś abstrakcyjnego, metafizycznie oderwanego od obrazów zjawisk obcych i wrogich. Wynikiem takiego jednostronnego ujmowania zjawisk będzie tylko jedno — nieżyciowy, anemiczny rysunek bohaterów utworu. Zmuszeni do zwalczania drobnych przejawów życia, przezwyciężania zaledwie nieśmiałych aluzji do braków i wad — tacy bohaterowie sami stają się drobnostkowi, nieśmiali, sztuczni.“

W notatkach zmarłego w ubiegłym roku Michała Pryszwina (Zajmująca opowieść) znajdujemy bardzo interesujące rozmyślania na temat stosunku talentu pisarskiego do kunsztu. Ostrzegając pisarzy przed bałwochwalczym służeniem „nagiej umiejętności pisania“, kunsztowi pisarskiemu — Pryszwin dowcipnie odsłania tajniki artyzmu: „Należy ustrzec nasze dzieci przed ponętą «wyrabiania» tworów sztuki i smażenia ich jak kucharz smaży naleśniki — setkami na jednej patelni.

Bez wystarczającego doświadczenia w żaden sposób nie można wytłumaczyć, dlaczego kuchmistrz sztuki, czyli artysta, dla każdego naleśnika musi przygotowywać nową patelnię.

Możliwe, iż w tym właśnie kryje się zagadka talentu, stylu, natchnienia: dlaczego każdy nowy utwór wymaga dla siebie nowej formy, dlaczego prawdziwy aktor ma tremę nawet wówczas, gdy wychodzi na scenę w starej roli, dlaczego plastyk nie może ściśle skopiować własnego obrazu, dlaczego Rafael i Rembrandt istnieją w jednym egzemplarzu, dlaczego Lew Tołstoj sam nie potrafił dokładnie przepisać własnego rękopisu...“

O swoim warsztacie twórczym, o procesach powstawania Dwóch kapitanów, cyklu powieściowego Otwarta księga — pisze W. Kawerin w artykule Poszukiwania i rozwiązania. Powieściopisarz J. German w artykule Bądźmy wobec siebie surowi pisze o pracowitości i mozolnym pokonywaniu trudności pisarskiego warsztatu. K. Paustowski w artykule pt. Wielkie nadzieje rozpoczął swoje rozważania od zagadnień języka artystycznego, od stwierdzenia konieczności czerpania z bogactwa języka ojczystego poprzez bezpośrednie zapoznawanie się z językiem, z pierwotną czystością słowa.“

Omówiwszy ważną sprawę stworzenia dla pisarzy właściwej atmosfery twórczej — Paustowski przeszedł do

zagadnień krytyki literackiej: „Potrzebni są nam krytycy — surowi i bezstronni przyjaciele literatury, a nie jej nadzorcy. Literatura radziecka ma wielu oddanych krytyków-przyjaciół. Ale najlepszym krytykiem i przyjacielem naszym jest wielomilionowa rzesza czytelników. Surowym, ale sprawiedliwym.

Niektórym krytykom czas już zrozumieć, że dla wyrażenia krytycznej myśli świst bicza krytyki nie jest najlepszym dźwiękiem. O brakach i niedostatkach mówię świadomie. Należy od nich się uwolnić, a nie wstydliwie odwracać oczy. Moc nasza tkwi w naszej szczerości, nie w tchórzliwym przemilczaniu tego, co hamuje wzrost naszej literatury. Czekać i tolerować — nie wolno."

Problemy krytyki literackiej szeroko omawiano na III Zjeździe Pisarzy Ukraińskich. Od czasu do czasu wypływają one na łamy prasy. W artykule wstępnym „Litieraturnoj Gaziety" z 23.X. ub. r. (W i ę c e j u w a g i k r y t y c e l i t e r a c k i e j) czytamy o wysokich wymaganiach, jakie społeczność pisarska, rzesze czytelników radzieckich stawiają krytykom literackim: „Uzasadnione są stawiane krytykom wymagania, aby zawsze byli pryncypialni i obiektywni, aby gruntownie i wszechstronnie analizowali utwór literacki i bez uzasadnienia nie dopuszczali już to do jego «wykończenia», już to do pustego ględzenia. Przecież praca krytyka jest właśnie taką samą wymagającą czujnej opieki pracą literacką. Absolutnie niedopuszczalne jest spotykane jeszcze niekiedy niedocenianie krytyki, lekceważenie jej. Nie jest tajemnicą, że trafiają się pisarze, którzy ten rodzaj broni literackiej uważają niejako za podrzędny, znieważają krytykę, w sądach o niej pozwalają sobie niekiedy na niesprawiedliwe zarzuty, lekceważący ton, chętnie malują krytykę tylko w czarnych barwach, nie wnosząc żadnych pozytywnych wniosków celem podniesienia jej poziomu."

W konkluzji artykułu „Litieraturnaja Gazieta" wzywa do podniesienia i ożywienia krytyki literackiej, co jest ważkim czynnikiem właściwego i prawidłowego rozwoju twórczości literackiej.

Również i w prasie codziennej omawia się problemy krytyki literackiej. W „Izwiestiach" z 31.X. ub. r. opublikowano U w a g i o k r y t y c e l i t e r a c k i e j pióra I. Uspieńskiego. Autor artykułu tak ujmuje zadanie krytyki literackiej w epoce literatury realizmu socjalistycznego: „W warunkach radzieckich przewodnią rolę krytyki wytycza jej główny cel: aktywnie i skutecznie dopomagać partii w kierowaniu rozwojem literatury."

Józef Spinc

W dniach 15.XII — 20.XII odbył się w Moskwie II Zjazd Pisarzy Radzieckich. W Zjeździe z ramienia Związku Literatów Polskich udział wzięli: Jarosław Iwaszkiewicz, Leon Kruczkowski i Henryk Markiewicz. Omówienie Zjazdu ukaże się w numerze lutowym.

SPROSTOWANIE

W numerze 12/54 „Twórczości", na str. 132, pierwsza zwrotka drugiego sonetu Ronsarda w przekładzie Leopolda Staffa powinna brzmieć:

Gdybym otrzymał chociaż twej łaski dowody
Unosząc twój rozkoszny pocałunek b ł o g i,
Z mniejszą żałością twoje opuszczałbym progi
W nadziei, że przełamię twego serca lody.

KSIĄŻKI NADESŁANE

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Bobrowski Lech — Tajemnica grudki uranu. Okładkę projektował Jerzy Cherka. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 329, 3 nl.

Fiedler Arkady — Wyspa Robinsona. Ilustrował Stanisław Poznański. Okładkę projektował Janusz Grabiański. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 256, 4 nl.

Grigoriew S. — Kurhan Małachowy. Tłumaczył z rosyjskiego Tadeusz Evert. Okładkę opracowali Stefan Rzepecki i Jarosław Kirilenko. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 275, 5 nl.

Gryfin Maciej — Młodzi agitatorzy. Okładkę projektował Czesław Borowczyk. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 108, 4 nl.

Kowzan Halina — S. O. S. „Sollum" tonie. Rysunki Adama Lewandowskiego i Michała Niczko. Okładkę projektował Jerzy Cherka. Opracowanie graficzne Anny Dąbskiej. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 137, 3 nl.

Meissner Janusz — Wraki. Okładkę projektował Jerzy Cherka. Tom I i II. „Iskry", Warszawa, 1954; t. I str. 182, 2 nl.; t. II str. 250, 6 nl.

Trifonow Jurij — Studenci. Przełożył Tadeusz Evert. Tom I i II. „Iskry", Warszawa, 1954; t. I str. 228, 4 nl.; t. II str. 227, 5 nl.

Wojtaś Stefan — Wśród uczniów. O pracy organizacji ZMP w szkołach. Okładkę projektował Janusz Stanny. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 84, 4 nl.

KULTURA, NAUKA, OŚWIATA

Arnold Stanisław — Podłoże gospodarczo-społeczne. (Polska Akademia Nauk. Z prac Sesji Naukowej „Odrodzenie w Polsce"). Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 74, 2 nl.

Małowist Marian — Rzemiosło polskie w okresie Odrodzenia (Polska Akademia Nauk. Z prac Sesji Naukowej „Odrodzenie w Polsce"). Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 70, 2 nl.

Modzelewski Zygmunt — Tło społeczne nauki polskiej w dobie Odrodzenia. (Polska Akademia Nauk. Z prac Sesji Naukowej „Odrodzenie w Polsce"). Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 44, 2 nl.

SZTUKA

Teatr

Lavedan Piotr — Historia sztuki. Średniowiecze i czasy nowożytne. Przekład z języka francuskiego. Wstęp i uzupełnienia bibliografii: Hanna Morawska i Stefan Kozakiewicz. Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. XII, 624.

Szewczyk Wilhelm — Niemiecka dramaturgia. Szkice literackie. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 242, 2 nl.

HISTORIA

Bieniarzówna Janina — O chłopskie prawa. Szkice z dziejów wsi małopolskiej. Okładkę projektowali: Adam Młodzianowski i Mieczysława Kosińska. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 308, 4 nl.

Historia nowożytna. Tom I. 1640—1789. Pod redakcją B. F. Porszniewa, S. D. Skazkina i W. W. Biriukowa. Tłumaczyli: I. Ogrodowicz, W. Głuchowski, A. Śleszyński. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1954; str. 464, dodatek do książki: mapy.

Wolff Wilhelm — Wybór pism o Śląsku. Wybrał, przełożył, przedmową i przypisami opatrzył Wacław Długoborski. Okładkę projektował Marek Rudnicki. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1954; str. 234, 2 nl, 1 knl (portret).

JĘZYKOZNAWSTWO

Doroszewski Witold — Z zagadnień leksykografii polskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 145, 3 nl.

BUDOWNICTWO SOCJALISTYCZNE ZSRR

Smirnow J. S. — Z historii budownictwa kultury socjalistycznej w pierwszym okresie władzy radzieckiej (październik 1917 r. — 1918 r.). Tłumaczyła z języka rosyjskiego H. Szpakowicz. Okładkę projektował Bolesław Penciak. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1954; str. 186, 2 nl.

DZIEŁA TREŚCI OGÓLNEJ

Almanachy

Almanach literacki. Projekt okładki, ilustracje i opracowanie graficzne studentów Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie. Z pracowni prof. J. M. Szancera: Butenko Bogdan, Dolna Maria, Heidrich Andrzej, Kosińska Teresa, Tarkowska Krystyna, Wieczorek Maria. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 435, 1 nl.

RÓŻNE

Banaczkowski Piotr — Jak korzystać z broszur i książek rolniczych. Okładkę projek-

towała Julitta Milewska. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1954; str. 107, 1 nl.

Bryczew N. — Przysięga wojskowa. Tłumaczył z rosyjskiego J. Milenband. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 121, 3 nl.

Frontczak Kazimierz — O pracy zastępcy dowódcy kompanii do spraw politycznych. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 78, 2 nl.

Kozłowski Jan — Pierwsze kroki w terenie. Okładkę projektował Czesław Borowczyk. (Biblioteka Żołnierza. Seria IV. Przodownik Wyszkolenia Bojowego. Tomik 40). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 78, 2 nl.

Nadzieja Józef — Wykorzystanie literatury pięknej w pracy propagandowej i agitacyjnej. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 61, 3 nl.

Pczelincew W. — Mistrzowie celnego strzału. Tłumaczył z ros. J. Żegota. Okładkę projektował M. Wiśniewski. (Biblioteka Żołnierza. Seria IV. Przodownik Wyszkolenia Bojowego, Tomik 41). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 69, 3 nl.

Terlecki Olgierd — Dni wolności. Ilustrował Mieczysław Kościelniak. Okładkę projektował Zbigniew Piotrowski. (Biblioteka Żołnierza. Seria V. Z minionych dni. Tomik 28). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 107, 1 nł.

Wiercholetow A. — W powietrzu — Chramow. Tłumaczył z rosyjskiego Rudolf Weczer. Okładkę opracował Włodzimierz Lewiński. Ilustracje opracował Wacław Siemiątkowski. (Biblioteka Żołnierza. Seria III. Opowiadania o walce i pracy. Tomik 68). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 50, 2 nl.

SPIS TREŚCI

str.

Zofia Nałkowska: Z „Medalionów“ 3
Leopold Staff: Ballada 12
Jerzy Zagórski: Dyzma i Gezma; (Jak wiadro dzwoni...) 13
Jan Bolesław Ożóg: Na budowie; Kiedy serce się spali 16
Jan Gałkowski: Wierzba mówi; Spektakl wiosenny 18
Jarosław Iwaszkiewicz: W pierwszą rocznicę 20
Mieczysława Buczkówna: Tuwim 23
Włodzimierz Słobodnik: Cieniom Juliana Tuwima 23
Artur Sandauer: Gałczyński 24
Jan Nagrabiecki: Konstanty 27
Jan Parandowski: Petrarka 28
Jerzy Putrament: Bolutek w szkole 46
Aleksander Maliszewski: Ballady i romanse 84
Paweł Jasienica: Dni wczorajsze Staropolskiego Okręgu 131
SPRAWY PISARSKIEGO WARSZTATU: Jan Parandowski: Moja praca nad Petrarką 155
Roman Zimand: Brązoburca 160
WŚRÓD KSIĄŻEK: Wojciech Natanson — Jerzy Zagórski „Męska pieśń“; Wojciech Natanson — Józef Andrzej Frasik „Ziemia kwitnie“; Helena Zaworska — Jerzy Andrzejewski „Książka dla Marcina“; Marceli Ranicki — Anna Seghers „Umarli pozostają młodzi“ 187
NA WIDNOKRĘGU: Zbigniew Bieńkowski, Julian Stawiński, Józef Spinc 201
Sprostowanie 213
KSIĄŻKI NADESŁANE 214

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik“
Redaguje Zespół
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewnętrzny 54
Administracja: Wiejska 12, tel. 8-24-11
Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych P. P. K. „Ruch“, Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.
Cena zeszytu zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

Nowości PIW Nowości

Ignacy Krasicki
MYSZEIDOS — PIEŚNI X
Opracowanie i wstęp M. Klimowicza
Ilustr. M. Berezowska
s. 94 opr. płt. zł 20.—

*

Ignacy Krasicki
MONACHOMACHIA
czyli Wojna Mnichów
Opracowanie i wstęp T. Mikulskiego
Ilustr. A. Uniechowski
s. 88 opr. płt. zł 25.—

*

Bolesław Prus
KRONIKI
Tom trzeci
Opracował Z. Szweykowski
Redaktor naukowy J. Baculewski
s. 679 zł 44.—

*

Władysław St. Reymont
WYBÓR NOWEL
Wybór i posłowie L. Sobierajskiego
s. 301 zł 9.50

*

Jerzy Andrzejewski
KSIĄŻKA DLA MARCINA
Ilustr. O. Siemiaszkowa
s. 105 opr. płt. zł 7.—

*

Jarosław Iwaszkiewicz
OPOWIEŚCI ZASŁYSZANE
s. 154 opr. płt. zł 8.60

*

Mieczysław Jastrun
POETA I DWORZANIN
Rzecz o Janie Kochanowskim
s. 475 zł 16.—

Z PISM LWA TOŁSTOJA
pod red. P. Hertza
SONATA KREUTZEROWSKA I INNE OPOWIADANIA
Przełożyli J. Dmochowska, W. Rogowicz i K. Truchanowski
s. 402 zł 12.70

UTWORY DRAMATYCZNE
Przełożył J. Pomianowski
s. 449 zł 18.50

*

Arystofanes
PTAKI
Przełożył i objaśnił J. Jedlicz
Wstęp K. Kumanieckiego
s. 193 opr. płt. zł 11.—

*

Scarron
OPOWIEŚĆ UCIESZNA
Przełożył J. Rogoziński
s. 516 zł 16.70

*

William Godwin
KALEB WILLIAMS
Przełożyła A. Frybes
Posłowie I. Dobrzyckiej
s. 463 zł 15.—

*

Tomasz Hardy
TESSA D'URBERVILLE
Historia kobiety czystej
Przełożyła
R. Czekańska-Heymanowa
s. 508 zł 17.—

*

Marko Polo
OPISANIE ŚWIATA
Przełożyła A. L. Czerny
Wstęp i przypisy M. Lewickiego
s. 805 opr. płt. zł 60.—

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Nowości PIW Nowości

J. W. Goethe

DZIEŁA WYBRANE

Wydanie w czterech tomach pod red. J. Z. Jakubowskiego i A. Milskiej

t. I — **Utwory poetyckie,** s. 455, t. II — **Utwory dramatyczne,** s. 435, t. III — **Utwory dramatyczne,** s. 419, t. IV — **Utwory prozą,** s. 551,
t. I/IV opr. płt. 60.— zł

*

Konstanty Stanisławski

PISMA

Wydanie pod redakcją Edwarda Csató
Wstęp H. Szletyńskiego. Przypisy H. Pieniewskiego

t. I — **Moje życie w sztuce.** Przeł. Z. Petersowa.
s. 460 opr. płt. 24.— zł

t. II — **Praca aktora nad sobą.** Cz. I — Praca aktora nad sobą w twórczym procesie realizacji. Przeł. A. Męczyński.
s. 367 opr. płt. 19.50 zł

t. III — **Praca aktora nad sobą.** Cz. II — Praca aktora nad sobą w twórczym procesie realizacji. Przeł. A. Męczyński.
s. 246 opr. płt. 14.50 zł

*

Tadeusz Borowski

UTWORY ZEBRANE

Wydanie w pięciu tomach pod naczelną redakcją J. Andrzejewskiego. Wstęp W. Woroszylskiego.

t. I — **Wiersze,** s. 243, t. II — **Proza 1945 — 1947,** s. 314, t. III — **Krytyka literacka i artystyczna,** s. 268, t. IV — **Publicystyka,** s. 481, t. V — **Proza 1948 — 1951,** s. 280
t. I/V opr. płt. 65.— zł

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY